



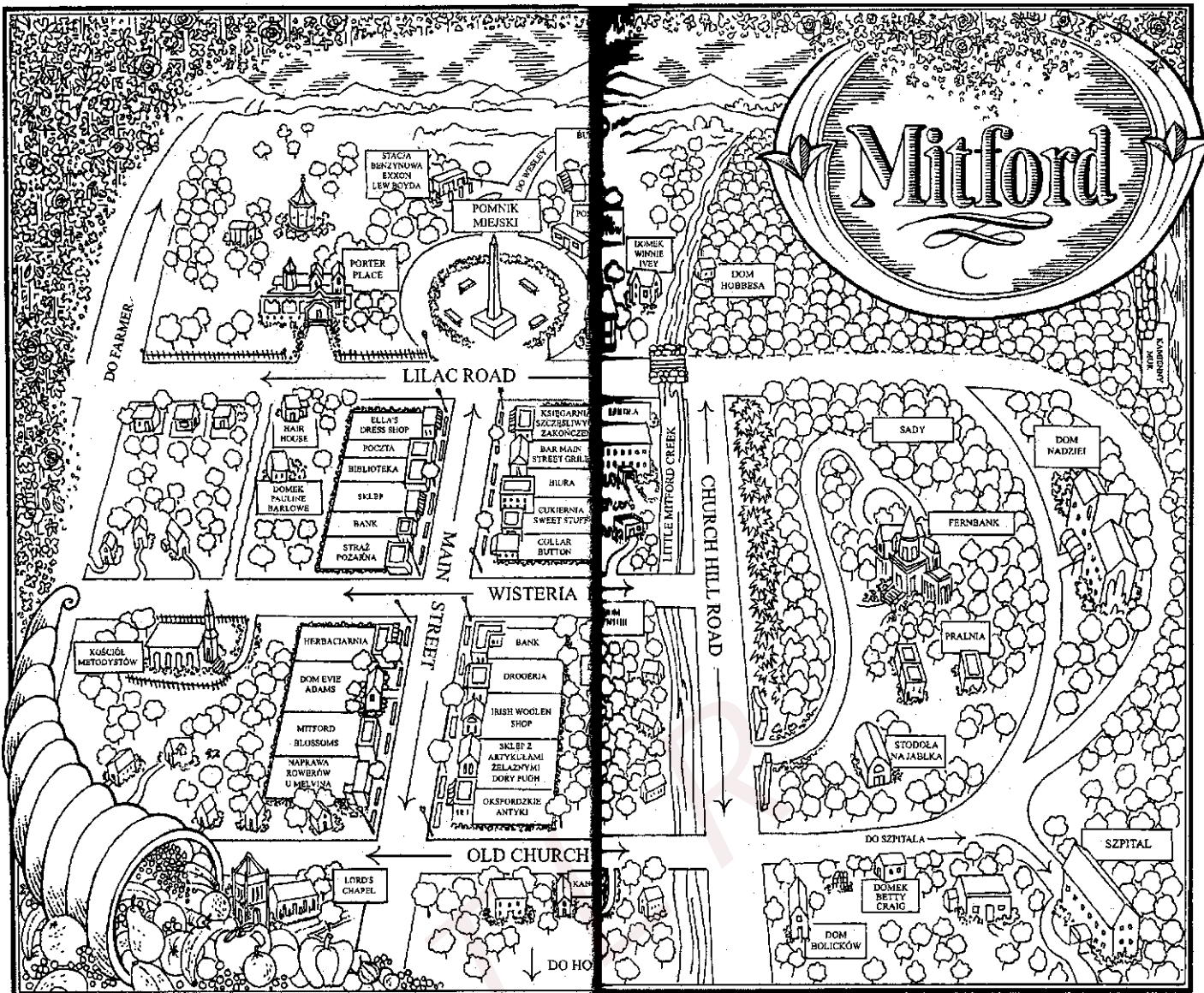
**Jan Karon**

**DO KANAANU**

*Wszystkim rodzinom,  
które podejmują wysiłek,  
by wybaczyć  
i zdobyć przebaczenie  
„W ten sposób wynagrodzę wam lata,  
które strawiła szarańcza...”*

Księga Joela 2, 25

TLR



# Rozdział pierwszy

## TO DOPIERO BYŁ PODWIECZOREK

Kwiaty doniczkowe pierwsze opuściły domy i zaryzykowały zaczerpnięcie łyku świeżego, zimnego powietrza, które oznajmiało nadejście wczesnej wiosny w Mitford.

Stęsknione za promykiem słońca, spragnione ożywczej mocy górskiej bryzy, dziesiątki begonii i paproci, wielkanocne lilie i trzykrotki — niespokojne w swoich doniczkach — spoczęły na gankach w całym miasteczku.

Podczas gdy temperatura sięgała zawrotnych dziesięciu stopni, Winnie Ivey postawiła trzy begonie, posępną gloksynię i paproć bostońską na tylnych stopniach domu na Lilac Road, gdzie obecnie mieszkała. Przypomniawszy sobie o zaatakowanej przez mszyce koniczynie, przyniosła ją z kuchni i umieściła na poręczy.

— Proszę! — zawołała, wciągając do płuc łyk ostrego, czystego powietrza. — To powinno dobrze wam zrobić!

Gdy następnego ranka otworzyła tylne drzwi, przeraził ją widok, który ukazał się jej oczom. Starannie przechowane przez zimę kwiaty, za sprawą okrutnego mrozu i niewielkiego śniegu zamieniły się w papkę. Podobnie krzewy bzu zarzuciły wszelką myśl wczesnego zakwitnięcia.

To przez tę przeklętą krzyżówkę, którą rozwiązywała do pierwszej w nocy, zapomniała wczoraj wieczorem oglądnąć prognozę pogody. Siedziała tam jak głupia, jej stopy zamieniały się w lód, temperatura spadała, a ona zastanawiała się, jak nazywa się kępa drzew na osiem liter poziomo.

Dręczona poczuciem winy, pocieszała się, że przynajmniej udało jej się pozbyć w ten sposób mszyc, i to bez stosowania środków chemicznych.

W sklepie żelaznym Dora Pugh pokiwała głową i westchnęła. Zwiedziona wczorajszym olśniewającym słońcem umieściła w oknie wystawowym żywe kurczątka, metalową siatkę ogrodową, nasiona i polewaczki. Teraz może równie dobrze przynieść z powrotem łopaty do śniegu i ogłosić ostateczną wyprzedaż soli do posypywania podjazdów.

Coot Hendrick odebrał u Lew Boyda swoje pięć dolarów nagrody, wygrane w zakładzie, i colę.

— Nie pierwszy i nie ostatni raz widzicie śnieg w maju — zawyrokował, uśmiechając się.

Lew Boyd bardzo nie lubił, gdy Coot się uśmiechał, odsłaniając resztki swojego niezbyt ładnego uzębienia. Był bardzo niezadowolony z faktu, że w kwestii pogody w Mitford sceptycy, cynicy i pesymiści zazwyczaj mieli rację,

— Do licha! — zawołała Cynthia Kavanagh, która powiesiła na poręczy ganku mokry chodnik.

Gdy uniosła go do góry, okazało się, że jest zmarznięty na kamień i że nadaje się, by go postawić.

Ojciec Timothy Kavanagh, pastor Kaplicy Naszego Pana i Zbawiciela, nigdy przedtem nie słyszał takich jęków i narzekań z powodu przykrego ociągania się wiosny. Spotkał się z nimi nawet w Księgarni

Szczęśliwych Zakończeń, gdzie kolejnego zimnego, pochmurnego ranka wziął do ręki książkę zatytułowaną *Kolibry w ogrodzie*.

— Kolibry? — jęknęła młoda Hope Winchester, wydając mu resztę. — Jakie kolibry? Chyba nie myśli ojciec, że jakikolwiek koliber miałby ochotę wystawić dziób w tej arktycznej tundrze, w tym nie kończącym się zmierzchu, w tym... mistycznym barbakanie?

„Mistyczny barbakan” to zwrot, którego zaledwie wczoraj nauczyła się z książki i chciała użyć, zanim zdąży go zapomnieć. Wiedziała, że pastor z Lord's Chapel jest osobą, przy której można posługiwać się takimi słowami — nie był zdziwiony, gdy powiedziała „empiryczny” tydzień temu. Robił też wrażenie, jakby wiedział dokładnie, o co jej chodzi.

Podczas gdy wszyscy wznosili lamenty, bardziej żalosne niż prorok Jeremiasz, pastor pozostawał beztrosko obojętny na skargi, że wiosna nigdy nie nadejdzie. Musiał jednak przyznać, że bardzo rzadko mu się zdarzało, jak ostatniej niedzieli, odprawiać wielkanocne nabożeństwo w kalesonach i skarpetach narciarskich.

Z podniesionym kołnierzem opuścił głowę, stawiając opór ostremu wiatrowi, i skierował się w stronę kancelarii.

Czyż zima nie doświadczała miasteczka lodem, śniegiem, deszczem ze śniegiem, gradem i burzami już od końca października? Czyż nie spowijała ich raz po raz mgłą tak gęstą, że można ją było kroić tępym nożem?

Przy całej wilgoci, która przenikała do ziemi przez tak wiele miesięcy, czyż nie wróżyło to najwspanialszej wiosny od wielu lat? I czyż było to tak naprawdę warte tego nieustającego ataku?

— Zdecydowanie, tak! — zawyrokował na głos, przemykając obok Irish Woolen Shop, sklepu z wełnianymi wyrobami z Irlandii. — Bez wątpienia!

— Widzisz? — zawołała Hessie Mayhew, wyglądając przez okno w sklepie. — Nawet ojciec Tim zaczyna mówić sam do siebie, do tego już doszło. — Westchnęła. — Słyszałam, że jeśli słońce nie dociera przez wiele miesięcy do szyszynki, to następuje całkowity zanik popędu płciowego.

Minnie Lomax, która wypisywała metki na wyprzedaż swetrów z wełny, podniosła wzrok i mrugnęła zaskoczona.

— A co ty wiesz o szyszynce?

Bała się zapytać, co Hessie może wiedzieć o popędzie seksualnym.

— A co można wiedzieć o szyszynce? — zapytała posepnie Hessie.

Wujaszek Billy Watson otworzył tylne drzwi w swoim domu i nie schodząc z progu, zdjął z gwoźdźnia wiszący kosz i wciągnął go do środka.

— Zobacz tylko, co zrobiłeś z tą pelargonią! — rzuciła ostro jego żona, z którą przeżył prawie pięćdziesiąt lat. — Doglądałam tego biedactwa przez całą zimę, a teraz nic z niej nie zostało.

Starszego mężczyznę zżerało poczucie winy.

— Już zanim ją tam powiesiłem, wyglądała nędznie!

— Zamknij się? Powiedziałaś: „zamknij się”?

Panna Rose, która nie chciała nosić aparatu słuchowego, spojrzała na niego złowrogo.

— Powiedziałem: „nędznie"! Była uschnięta! Miała żółknięte liście!

Podszedł do kaloryfera w kuchni i rozgniewany postawił na nim koszyczek.

— Proszę bardzo! — zawołał, rozżalony wynikiem swoich zabiegów, by wyhodować ogród w takim klimacie. — To powinno ją ożywić.

Pastor zwrócił uwagę na liście funkii porastające rabaty przed kancelarią. Oto coś, na co można liczyć każdej wiosny. Funkia była jednym z najbardziej wytrzymałych kwiatów, jakie można zasadzić w ogrodzie. Tak jak listonosza, nie był jej w stanie powstrzymać ani deszcz ze śniegiem, ani śnieg. Gdy już przebiła warstwę ziemi, rosła dalej, dumna i niepokonana — tylko po to, oczywiście, by letni grad w Mitford podziurawił jej szerokie liście, tak że przypominały szwajcarski ser.

— Prawdziwa dżungla — westchnął, otwierając drzwi do kancelarii.

Po zamieci śnieżnej i mrozie przyszedł dzień deszczu, po którym z kolei rozszalała się burza. Deszcz i śnieg bębniły w okna niczym usiłujące się dostać do środka stado wróbli domowych.

Zauważył, że jego żona wygląda blado. Siedziała przy oknie w salonie, wpatrując się w piekielną pogodę, i ssła dolną wargę. Obgryzała również skórkę wokół paznokcia na kciuku, owijała pasmo włosów wokół palca, wybijała rytm stopą i ogólnie rzecz biorąc, usiłowała się jakoś rozerwać. On tymczasem czytał kolejną książkę i robił coś pożytecznego.

Niewielki ogień trząsał na kominku.

— Niesłychane! — zawołał. — Nigdy byś nie zgadła, co może przyciągać motyle.

— Nie mam pojęcia — odparła Cynthia.

Wyglądała przy tym, jakby ten stan zupełnie ją satysfakcjonował. Deszcz ze śniegiem zaciął w szybę.

— Poidełka! — obwieścił. Brak reakcji.

— Razem z wiciokrzewem! Spróbował jeszcze raz.

— Rozmyślasz o podwieczorku pierwiosnkowym, prawda?

Druga edycja słynnego podwieczorku dla całej parafii, który wydawała jego żona, przypadała za niecałe dwa tygodnie. Rok temu o tej samej porze Cynthia żyła na drabinie, przemalowując gorączkowo kuchnię i jadalnię, usuwając wiekowe zasłony, wybijając dziury w ścianach, aby nadać całości wygląd „starej włoskiej willi”. Teraz natomiast siedziała, wpatrując się w okno i nie okazując żadnego widocznego zainteresowania niezliczonymi ciasteczkami cytrynowymi, małymi zapiekankami, kanapkami jarskimi i wszystkimi innymi zakąskami potrzebnymi, aby nakarmić sto dwadzieścia pięć kobiet, z których prawie wszystkie potraktują podwieczorek jako lunch.

Jego pies Barnaba wszedł wolnym krokiem do pokoju i osunął się ciężko na podłogę przy kominku, jak zamroczony.

Cynthia wystukiwała rytm stopą i bębniła palcami po oparciu krzesła.

— Hm — odparła.

— Co masz na myśli? Spojrzała na niego.

— T.P.S.

— T.P.S.?

— Ta Pamiętna Szafa, najdroższy.

Serce zabiło mu mocno. Błagam, nie. Nie szafa.

— Co chciałabyś zrobić z szafą? — zapytał, obawiając się odpowiedzi.

— Nadszedł czas, żeby przestawić ją z pokoju gościnnego do naszej sypialni. Pamiętasz? Ustaliliśmy, że zrobimy to na wiosnę! — Uśmiechnęła się do niego promiennie, jak miała w zwyczaju, a jej oczy w kolorze szafirów rozbłysły. Jak to możliwe, że po półtora roku małżeństwa jej spojrzenie sprawiało, że ugiwały się pod nim kolana?

— Aha.

— A więc! — zawołała, unosząc do góry dłonie i spoglądając na niego niecierpliwie.

— A więc? A więc jeszcze nie ma wiosny!

Wstał z sofy i wskazał na okno.

— Widzisz? Nazywasz to wiosną? To, Kavanagh, jest tak dalekie od wiosny jak... jak...

— Triest od Wesley — dodała pomocnie — albo jak Morze Czerwone od Mitford Creek.

Zawsze zadziwiał go sposób, w jaki funkcjonuje jej mózg.

— Ale nie kieruj się pogodą, Timothy, kieruj się tym, co pokazuje kalendarz! Trzeciego maja!

Ubiegłej jesieni znieśli ogromną szafę z piętra jej domu na parter, potem znieśli ją po tylnych schodach ganku, następnie przenieśli przez żywopłot, wnieśli na górę po tylnych schodach jego ganku, a w końcu wnieśli ją po schodach na piętro, do pokoju gościnnego. Gdy znalazła się na miejscu, nie marzył o niczym innym, jak tylko o położeniu się jak długi na dywanie.

Czy po tym wszystkim Cynthia była zadowolona z ostatecznego efektu? Ależ oczywiście, że nie. Widok szafy dokładnie w tym miejscu napawał ją obrzydzeniem i natychmiast obmyśliła dalszy plan, do wdrożenia na wiosnę — wszystko to oznaczało ponowne opróżnianie szuflad i półek, ponowne obwiązywanie sznurem drzwi, by się nie otwarły, i ponowne transportowanie szafy — tym razem przez hol na piętrze do ich sypialni. Był przekonany, że nocą szafa będzie ich przytłaczać jak pięciopoziomowy parking.

— Co planujesz w związku z podwieczorkiem? — zapytał, mając nadzieję, że odwróci jej uwagę.

— Prawdę powiedziawszy, niewiele, dopóki nie przeniesiemy szafy. Wiesz, jakie one są, Timothy, chcą zajrzeć w każdy kąt. Rok temu Hessie Mayhew klękła na czworakach, żeby zaglądnąć do pojemnika na brudną bieliznę, widziałam na własne oczy. A Georgia Moore otwarła po kolei wszystkie drzwi kredensu w kuchni, twierdząc, że szuka szklanki, podczas gdy ja wiem bardzo dobrze, że sprawdzała, czy naczynia ułożone są tak, jak ona lubi. A zatem na pewno nie mogę pozwolić, aby ta szafa stała na ścianie w pokoju gościnnym, gdzie jest wyraźnie... — przerwała i spojrzała na niego — wyraźnie nie na miejscu.

Nie miał wyjścia.

Zdołał odłożyć przenosiny szafy o cały tydzień, ale w rewanżu za opóźnienie musiał upiec cztery blaszki czekoladowych ciastek z orzechami — jego specjalność od czasów studenckich — posprzątać kominiek, wypastować na czarno ruszt i przyciąć przerośniętą forsycję przy oknach jadalni.

Całkiem nieźle, zważywszy na okoliczności.

W sobotę rano, na tydzień przed wielkim wydarzeniem w następną piątek, wstał wcześniej, pomodlił się, przez chwilę studiował Pierwszy List świętego Pawła do Koryntian i spędził trochę czasu nad notatkami do kazania. Potem przebiegł trzy kilometry z Barnabą, prowadząc go na czerwonej smyczy, i wrócił do domu, czując, że jest w stanie zrobić wszystko.

Z sercem nadal bijącym jak szalone po końcowym sprincie przez park Baxter wpadł do kuchni, która pachniała cytryną, cynamonem i świeżo zmieloną kawą.

— Zróbmy to! — zawołał.

I miejmy to z głowy, pomyślał.

Szuflady były wyjęte, półki opróżnione, drzwi obwiązane sznurem, żeby się nie otwały. Tym razem ciągnęli szafę po podłodze na szydełkowej kapie, zostawionej przez poprzedniego pastora.

— „...sposób na lepsze życie!”

Cynthia podniosła wzrok.

— Co mówiłeś, najdroższy?

— Nic nie mówiłem.

— „Mack Stroupe niesie ze sobą poprawę, nie zmianę...”

Podeszli do otwartego okna na podeście schodów i wyjrzel na ulicę. Nowa błękitna półcięzarówka z systemem głośników posuwała się wolno wzdłuż Wisteria Lane, ciągnąc na platformie dużą reklamę. „Mack dla Mitford — głosił napis — Mitford dla Macka”.

— „...poprawę, nie zmianę. Więc zastanówcie się nad tym, przyjaciele i sąsiedzi. I pamiętajcie — tutaj, w Mitford, już żyje się nam dobrze. Z Mackiem jako burmistrzem będzie się nam wszystkim żyło jeszcze lepiej!”

Następnie dał się słyszeć rozdzierający uszy dźwięk muzyki country.

— „Nie pozostawaj obojętny! Wybierz swoją przyszłość już dzisiaj...”

Spojrzała na swojego męża.

— Mack Stroupe! Tylko nie to.

Zmarszczył czoło, a na jego twarz wypłynął wyraz niezadowolenia.

— Jest maj. Wybory będą dopiero w listopadzie. — Zaczyna trochę wcześniej.

— Rzeczywiście — przyznał jej rację, czując się wyraźnie nieswojo.

— Najzwyczajniej w świecie złamał rozporządzenie odnośnie do zakłócania ciszy — oświadczył szef policji Rodney Underwood, podciągając pasek z bronią.



Rodney zajrzał do tylnej części baru Main Street Grill, żeby przywitać się z porannymi stałymi klientami, którzy zajmowali tylny boks.

— Określa to rozdział piąty, ustęp pięćdziesiąty drugi Kodeksu Miejskiego Mitford. Zabrania wykorzystywania systemów nagłaśniających w celach takich jak kampanie polityczne.

— Zaczyna swoją karierę polityczną jak najzwyczajniejszy rzezimieszek — stwierdził Mule Skinner.

— Co w przypadku polityków stało się cholernym obowiązującym prawem w tym kraju! — Wydawca „Mitford Muse” J.C. Hogan otarł czoło chusteczką.

— No cóż, nie stało się nic złego. Dałem mu upomnienie, to rozporządzenie jest stosunkowo nowe. Kiedyś politycy wysyłali samochody z systemem nagłaśniającym, które jeździły po drogach tam i z powrotem.

— A co z jego półciężarówką i reklamą? — chciał wiedzieć ojciec Tim.

— Może wozić tę reklamę gdziekolwiek zechce, pod warunkiem, że samochód się porusza. Jeśli zaparkuje na terenie należącym do miasta, mam go. Mogę go przymknąć, a on będzie mógł sobie poczytać „Southern Living”.

Miejskie więzienie było jedyną znaną pastorowi izbą zatrzymań, gdzie w celach leżały równo ułożone egzemplarze magazynu „Southern Living”.

— Szkoda, że gość robi z siebie takiego idiotę — ocenił Rodney. — Nikomu nie uda się pobić Esther Cunningham... a jak się wygadacie, że tak mówiłem, to powiem, że kłamiecie.

— W porządku — zgodził się Mule.

— Oczywiście, chwaliła się, że pewnego dnia razem z Rayem wsiądą do swojego samochodu turystycznego i zostawią całe to burmistrzowanie komuś innemu.

Mule pokiwał głową.

— Piętnaście lat to wystarczająco długo; by być przywiązany do niewdzięcznej pracy.

— Czy to nowa półciężarówka Macka? — zapytał ojciec Tim.

O ile się orientował, Mack nigdy nie grzeszył nadmiarem gotówki, ponieważ jego budka z hot dogami naprzeciw stacji benzynowej chyba nie miała zbyt wielu klientów.

— Nie wiem, czyja to półciężarówka, ale na pewno nie jest Macka. No cóż, nie mogę tu przegadać całego dnia, jak wy, panowie. — Rodney skierował się w stronę kasy, żeby odebrać zamówione śniadanie. — Do zobaczenia wkrótce.

J.C. zmarszczył czoło.

— Nie wiem, czybym powiedział, że nikomu nie uda się pobić Esther. Mack jest za poprawą, a nam odrobina poprawy bardzo by się tutaj przydała, jeśli chcecie znać moje zdanie.

— Nikt cię nie pytał — zgasił go Mule.

Ojciec Tim zadzwonił z kancelarii.

— Pani burmistrz!

— A więc to kaznodzieja, nieprawdaż? Czekałam na ojca telefon.

— Co się dzieje?

— Jeśli ta podła szumowina myśli, że wygryzie mnie ze stanowiska, to się jeszcze zdziwi.

— Czy to znaczy, że nie zamierzasz zrezygnować i odjechać w siną dal razem z Rayem samochodem turystycznym?

— A niech to! Mówię tak tylko po to, żeby poprawić sobie samopoczucie. Słuchaj, nie myślisz, że ten nicpoń ma jakieś szanse, prawda?

— Prawdę powiedziawszy, Esther, wydaje mi się, że istnieje pewne prawdopodobieństwo...

Głos Esther był wyraźnie słabszy.

— Naprawdę?

— Mniej więcej takie jak to, że w lipcu spadnie śnieg. Roześmiała się w głos, a potem nagle spoważniała.

— Oczywiście, nie jest to wykluczone, że Mack Stroupe wejdzie tu kiedyś i siądzie za moim biurkiem.

Ogarnął go niepokój.

— Naprawdę?

— Tak. Ale to będzie po moim trupie.

Prawie codziennie w domu działo się coś nowego.

We wtorek wieczorem znalazł dużą, oprawioną w ramy akwarelę, wiszącą w niegdyś ponurym holu ich domostwa. Przedstawiała Violet, należącą do Cynthii białą kotkę i bohaterkę nagradzanych książek dla dzieci autorstwa jego niezrównanej żony. Violet siedziała na kawałku brokatowej materii, wpatrując się w dzban z bukietem nasturcji i samotną złotą rybkę z przerażonymi oczami.

— Zachwycające! — ocenił. — Zdecydowana zmiana.

— Powiedzmy, że poprawa — zgodziła się zadowolona.

W środę odkrył nowe perkalowe zasłony w jadalni i salonie. Nadawały one tym pomieszczeniom tak olśniewającej elegancji, że widok ten wprowadził go na chwilę w zupełne osłupienie. Ale czyż nie zgodzili się oboje, że żadne z nich nie wyda więcej niż sto dolarów bez zgody drugiego?

Odgadła jego myśli.

— A więc zasłony kosztowały pięćset, ale ponieważ cena rynkowa akwareli równa się co najmniej tyle samo, więc wychodzi na zero.

— Aha.

— Robię też portret Barnaby, do salonu. Co oznacza — dodała — że skarbiec rodzinny będzie mógł unieść kolejny wydatek, a mianowicie zakup zasłon do naszej sypialni.

— Jesteś geniuszem księgowości, Kavanagh. Ale dlaczego chcesz kupować nowe zasłony, skoro przechodzimy na emeryturę za osiemnaście miesięcy?

— Kazałam je zrobić tak, żeby można je było zabrać wszędzie i żeby pasowały do każdego okna. W najgorszym wypadku przerobię je na letnie sukienki i szaty liturgiczne dla mojego duchownego.

— Tak trzymać!

Dlaczego miał wrażenie, że jego żona potrafi nakłonić go do wszystkiego? Czy dlatego, że czekał sześćdziesiąt dwa lata, jak uparty muł, żeby się zakochać i ożenić?

Gdyby razem z Cynthią napisali szczegółową petycję na kartce papieru i wysłali ją prosto do nieba, pogoda w dniu rzezonego podwieczorku nie mogłaby być cudowniejsza.

Ku powszechnej uldze pierwiosnki rzeczywiście zakwitły. Zaledwie jednak pojawiły się ich niecierpliwe kwiaty, Hessie Mayhew przypuściła na nie bezwzględny atak na podwórkach i we wszystkich ukrytych zaułkach. Znała dokładnie lokalizację każdej kępki pierwiosnków w miasteczku, nie wspominając o położeniu każdego dzikiego fiołka, krzewu bzu i wierzby.

— To Hessie! — ostrzegł niewinny świadek podczas porannej rundki Hessie w dniu podwieczorku. — Zejdźcie z drogi!

Uzbrojona w zestaw koszyków zdobiących jej ramiona jak bransoletki, Hessie nie przyjęła pomocy od Kobiet Kościoła Episkopalnego ani żadnego przedstawiciela własnej prezbiteriańskiej starszyny. Pracowała w pojedynkę, pracowała szybko, pracowała sprytnie.

Po szybkim truchcie przez ogrody sąsiadów, przyprawiającym o zadyszkę biegu w górę Old Church Lane do odosobnionego zagajnika wczesnie kwitnących krzewów i przeczesaniu sześciu kilometrów pobocza drogi, stawiała się pod tylnymi drzwiami domu pastora punktualnie o jedenastej, z wyrazem triumfu na twarzy.

Mokra od porannej rosy i umorusana czarną ziemią przekazała na ręce pomocy domowej pastora, Puna Guthrie, mnóstwo kwiatów, mchu i winorośli, następnie pośpieszyła do domu, żeby się wykąpać, przebrać i nałożyć antybiotykową maść na kolana, które otarła, gdy się pochyliła, aby zerwać trillium, i upadła jak długa.

Kobiety Kościoła Episkopalnego, które stawiały się jak jeden mąż o dziesiątej trzydzieści, natychmiast zajęły się aranżowaniem „zbiorów Hessie”, jak je nazwały, podczas gdy Barnaba chrapał w garażu, a Violet przemierzała nerwowo swoją przenośną klatkę.

— Czy już skończyłeś? — zapytała Cynthia, gdy pastor przebiegał truchtem przez tętniącą pracą kuchnię.

— Skończyłem i już uciekam. Wypolerowałem otwór w drzwiach na listy, poprawiłem pokrowiec na sofie, przyciąłem lawendę przy głównym wejściu. Wytrzepałem również poduszki z ewentualnych zaczątków kurzu i kaszlałem przez pełne pięć minut.

— Dobra robota! — odparła wesoło, przytulając go.

— Będę w domu o pierwszej trzydzieści, aby pomóc mężom zaparkować samochody.

Pomóc mężom zaparkować samochody?, zastanawiał się, biegnąc do kancelarii. On też jest mężem! Minęło już tak wiele miesięcy, a ta myśl nadal od czasu do czasu spadała na niego jak grom z jasnego nieba i zapierała mu dech w piersiach.

Dziewięcioro starszych gości, nie wyłączając przyjaciółki państwa Kavanagh, Louelli, przyjechało mikrobusem z Domu Nadziei, po czym każdy z nich osobiście został wprowadzony po schodach domu pastora i przekazany pod opiekę Bractwa Ołtarzowego.

Jak Wisteria Lane długa i szeroka, mężczyźni z opaskami na rękawach, z przypiętymi do nich pierwiosnikiem i firletką, kierowali ruchem, który jednak szybko się zablokował. W pewnej chwili pastor wskoczył do chevroleta, który utknął w korku, i zdołał zaparkować go przy chodniku. Kobiety przyjeżdżały po kilka w jednym samochodzie, mężowie podwozili żony, córki przywoziły matki, i ogólnie rzecz biorąc, wąska ulica była tak zatłoczona jak podczas karnawału w Rio.

— To największe wydarzenie w Mitford od czasu burzy śnieżnej dwa lata temu — zauważył Mule Skinner, który był baptystą, ale mimo to zaoferował swoją pomoc. Pastor roześmiał się.

— Można i tak na to spojrzeć.

Czy w tym mieście już nikt nie chodzi na piechotę?

— Patrz!

Ujrzał Macka Stroupe'a w tej przeklętej półciężarówce, obwożącego swoją reklamę w ich podwieczorkowym ruchu ulicznym. Mack przejechał obok, gryząc wykałaczkę i patrząc prosto przed siebie.

— Jesteś zaproszony na podwieczorek pierwiosnkowy? — warknął Mule. — Jak nie, to zabieraj stąd ten pojazd, pracujemy tu na rzecz Kościoła!

Cztery członkinie chóru kościelnego, w składzie: sopran liryczny, mezzosopran oraz dwa alty, przybyły w kabrioletcie, lekko potargane wiatrem i przytrzymując na głowie kapelusze.

— Kapelusze są wielkim przebojem tego roku — skomentował wujaszek Billy Watson, który stał na chodniku razem z panną Rose i obserwował bieg wydarzeń.

Wujaszek Billy był jedynym mężczyzną, który pojawił się na zeszłorocznym podwieczorku, i teraz uważał swoją obecność na tej uroczystości za tradycję.

Wyszedł właśnie na ulicę, opierając się na swojej lasce, i poklepał ojca Tima po ramieniu.

— To jak łamigłówka, wie ojciec. Gdybyście przesunęli ten na bok i umieścili ten przy chodniku, to byłoby po kłopotcie.

— Koniec z parkowaniem na Wisteria Lane — Ron Malcolm poinformował pastora. — Resztę gości skierujemy na parking przy kościele, a stamtąd przewieziemy ich tutaj mikrobusem Domu Nadziei.

Kierowca firmy kurierskiej UPS, który najwyraźniej skręcił nieszczęśliwie w Wisteria Lane, siedział w swojej ciężarówce przed domem pastora, wprawiony w osłupienie widokiem takiego dużego ruchu na zazwyczaj spokojnej trasie Holding-Mitford-Wesley.

— To właśnie nazywa się zastojem — poinformował wujaszek Billy J.C. Hogana, który pojawił się ze swoim nikonem i sześcioma rolkami filmu Tri-X.

Gdy samochody znowu ruszyły, pastor zobaczył, jak Mack Stroupe skręca z Church Hill w Wisteria Lane. Najwyraźniej robił kółko.

— Chętnie wygarbowałbym mu skórę — wyznał Mule.

Spojrzał złowrogo na Macka, który siedział wygodnie w fotelu, z opuszczonymi szybami po obydwu stronach, i słuchał stacji z muzyką country. Mack pomachał do kilku kobiet, które natychmiast odwróciły głowy. Mule prychnął.

— Ten głupi taki owaki! Jak by ci się podobał taki kmiotek jako burmistrz?

Pastor otarł czoło, na którym pojawiły się kropelki potu.

— Uważaj na ciśnienie, kolego.

— Mówi, że zamierza prowadzić kampanię przez całą wiosnę i lato, do samych wyborów w listopadzie. To tak, jakbyś musiał słuchać odgłosu kapiącej z kranu wody.

Gdy samochód przejechał, zbliżyła się do nich gniewnym krokiem Emma Newland.

— Powinnam wskoczyć do tej półciężarówki i dać mu w zęby. Co on w ogóle wyprawia? Próbuje przeciągnąć wierzących ludzi na swoją stronę?

— Daj mu spokój — ojciec Tim upomniał swoją sekretarkę i nieocenionego geniusza komputerowego.

Jak tak dalej pójdzie, Mack sam napyta sobie biedy...

Cynthia leżała w łóżku, jęcząc, gdy wyszedł spod prysznica. Wszedł do sypialni, pośpiesznie wycierając się ręcznikiem.

— Dlaczego jęczysz? — spytał zaniepokojony.

— Ponieważ to pomaga zwalczyć zmęczenie. Mam nadzieję, że okna są zamknięte, bo nie chciałabym, żeby sąsiedzi usłyszeli.

— Jedyna wystarczająco bliska sąsiadka już nie mieszka w małym żółtym domku obok. Prawdę powiedziawszy, to właśnie ona tutaj leży i jęczy.

Jęknęła ponownie.

— Jęczenie jest dobre — usiłowała go przekonać, z twarzą wtuloną w poduszki. — Powinieneś spróbować.

— Raczej nie — odparł.

Rozgrzany prysznicem nałożył piżamę i usiadł na brzegu łóżka.

— Jestem z ciebie dumny — zauważył, masując jej plecy. — To dopiero był podwieczorek! Najlepszy! Szczerze mówiąc, brak mi słów. Trudno będzie ci to przebić.

— Nie mów mi, że mam to przebić!

— No tak, oczywiście, nie martw się. Za rok możemy poprosić Omera Cunninghama i jego kolegów pilotów, żeby zrobili honorową rundkę. To dostarczy paniom tematu do rozmów.

Z pewnością on sam dostarczył całemu Mitford tematu do rozmów rok temu w maju, gdy poleciał do Wirginii z Omerem jego małym samolocikiem z zadartym ogonem. Cztery godziny w samolocie Omera zjednały mu więcej szacunku niż trzydzieści sześć lat na ambonie.

— Trochę niżej — poprosiła go żona. — Uch. Krzyż boli mnie potwornie od tego całego stania i gotowania.

— Wysłuchałem recenzji, gdy twoi goście wychodzili.

— Interesują mnie tylko te dobre. Nie chcę nawet słyszeć o paluszkach serowych, które były tak wiotkie jak legumina.

— Najczęściej padało słowo: „perfekcyjny”, no i oczywiście ciasteczka cytrynowe otrzymały zwyczajową porcję zachwytności. Niektórzy chcieli, żebym wiedział, że uważają, iż jesteś czarująca, a inni z kolei zachwycali się twoją młodością i urodą.

Pochylił się i pocałował ją w ramię, wdychając ledwie wyczuwalny zapach wistarii.

— Jesteś piękna, Kavanagh.

— Dziękuję.

— Przypuszczam, że nie chciałabyś skierować słów podziękowania do biednego prowincjusza, który pomógł rozładować korek uliczny utworzony przez cztery tysiące trzysta siedemdziesiąt dziewięć samochodów, ciężarówek i mikrobusów?

Odwrociła się na plecy i spojrzała na niego, uśmiechając się. Następnie przechyliła głowę na bok w sposób, który tak chwycił go za serce, przyciągnęła go do siebie i pocałowała.

— No, to rozumiem — odparł. Zadzwoił telefon.

— Proszę?

— Hej. Dooley!

— Hej, kolego — odwzajemnił jego powitanie pastor.

— Czy Cynthia wysłała mi paczkę z tymi pysznościami, które przygotowała na podwieczorek? Muszę szybko kończyć.

— Dwie paczki. Dzisiaj.

— A niech mnie! Dzięki!

— Bardzo proszę. Jak szkoła?

— Świetnie.

Świetnie? Dooley Barlowe nie należał do osób, którym łatwo przychodziły zachwyty.

— Serio?

— Będzie ojciec zadowolony z moich stopni.

Czy to był ten mały chłopiec, którego usiłował wychowywać od prawie trzech lat? Dooley, który zawsze podcinał sobie skrzydła? Pewny siebie ton głosu chłopca sprawił, że ogarnął go przelotny strach.

— Będziemy jeszcze bardziej zadowoleni, gdy do nas przyjedziesz. Będziesz tutaj za mniej więcej sześć, siedem tygodni...

Cisza. Czy Dooley bał się mu powiedzieć, że chce spędzić lato na farmie Meadowgate? Decyzja chłopca, by to właśnie zrobić rok temu, nieomal złamała mu serce, nie wspominając o Cynthii. Poradzili sobie z tym, oczywiście, widząc, że chłopiec robi to, co kocha najbardziej — poszerza swoją wiedzę z zakresu weterynarii na wiejskiej praktyce u Hala Owena.

— Oczywiście — kontynuował pastor trudny temat — chcemy, żebyś pojechał do Meadowgate, jeśli właśnie to chciałbyś robić.

Przełknął z trudem. Teraz był silniejszy, umiał to zaakceptować.

— W porządku — odparł Dooley — właśnie to chciałbym zrobić.

— Doskonale, nie ma sprawy. Zadzwoń do ciebie jutro, na nasze zwyczajowe telefoniczne odwiedziny. Kochamy cię.

— Ja też was kocham.

— Podaję ci Cynthię.

— Hej — przywitała go.

— Hej — odwzajemnił jej powitanie. To był ich rodzinny zwyczaj.

— A więc, ty wielki postrzeleńcu, wysłaliśmy jedną paczkę dla ciebie, a drugą, żebyś się nią podzielił z przyjaciółmi.

— Co w niej jest?

— Ciasteczka cytrynowe.

— Lubię ciasteczka cytrynowe.

— Plus malinowe tarteletki, trufle z pekanami i ciastka czekoladowe z orzechami, które zrobił kuznodzieja.

— Dziękuję.

— Wszystko w porządku?

— Tak.

— Na pewno?

— Tak.

— To dobrze! — odparła Cynthia. — Pytała kiedyś o ciebie Lace Turner.

— Ta głupia dziewczyna, która ubiera się jak chłopak?

— Już się nie ubiera jak chłopak. Och, i twoja przyjaciółka, Jenny, też o ciebie pytała.

— Jak się ma Tommy?

— Tęskni za tobą. Tak jak i my. Więc wracaj szybko do domu, nawet jeśli zamierzasz spędzić lato na farmie Meadowgate, ty nędzna kreaturo.

Dooley zachichotał.

— Kochamy cię.

— Ja też was kocham.

Cynthia odłożyła słuchawkę na widelki, uśmiechając się uszczęśliwiona.

— A więc, biedny prowincjusz, na czym to stanęliśmy?

Usiadł na sofie w salonie i ściągnął recepturkę z „Mitford Muse”.

Dobry Boże! Oto i on na pierwszej stronie, stoi z wyrazem zdumienia na twarzy przed ciężarówką UPS, a jego nos wygląda, jak zwykle, jak rzepa albo cebulka tulipana. Dlaczego J.C. Hogan zamieścił to

ohydne zdjęcie, podczas gdy mógł sfotografować jego pracownicę, ładną i jak najbardziej godną tego zaszczytu żonę?

*Podwieczorek pierwiosnkowy przyciąga wyjątkowe tłumy*

Najwyraźniej Hessie nie napisała tego artykułu, który na pierwszy rzut oka zdawał się traktować o golfie, ale przekazała swoje notatki J.C., który dokończył dzieła, nie sprawdzając pisowni.

Wszyscy bawili się doskonale... o tej samej porze za rok... stu trzydziestu gości... czterdzieści litrów herbaty, ponad sto ciasteczek cytrynowych, blisko sto malinowych tartuletek... korek uliczny...

Ciszę przeszył dzwonek telefonu.

— Proszę?

— Timothy...

— Hal! Właśnie myślałem o tobie i o Marge.

— Świetnie. A my o tobie. Mam pewną... niezbyt dobrą wiadomość i chciałem, żebyś wiedział.

Hal i Marge Owenowie byli jego najbliższymi, najdroższymi przyjaciółmi. Bał się tego, co może usłyszeć.

— Właśnie zatrudniłem asystenta na pełny etat.

— To ta zła wiadomość? Mnie się wydaje, że dobra, pracujesz jak wół.

— Tak, ale... nie będziemy mogli zaprosić Dooleya na to lato. Mój asystent jest młody, dopiero zaczyna i będę musiał poświęcić mu dużo czasu i uwagi. Poza tym musimy go umieścić w pokoju Dooleya, dopóki się nie usamodzielni.

Hal westchnął.

— Ależ to cudownie. Wiemy, że Dooley cieszył się na myśl o pobycie w Meadowgate, ale wszystko zależy od okoliczności, jak mawiał mój krewny z Missisipi.

— Kilometr stąd rusza nowa stadnina koni i zwrócili się do mnie, abym zapewnił im opiekę weterynaryjną. Już samo to może się okazać zajęciem na pełny etat.

— Rozumiem. Oczywiście. Twoja praktyka się rozrasta.

— Będzie nam go brakować, Tim, wiesz, jak bardzo go kochamy, jak uwielbia go Rebecca Jane. Ale słuchaj, zaprosimy go, żeby spędził z nami dwa pierwsze tygodnie wakacji, gdy tylko wróci ze szkoły

— jeśli wam to odpowiada.

— Jak najbardziej.

— Och, i... Tim...

— Tak?

— Czy powiesz mu o tym?

— Powiem. Porozmawiam z nim o tym, poproszę go, żeby się zastanowił, co chce robić tego lata. Będę razem z nim.

— A może zaplanowalibyście spędzenie z nami całego dnia, gdy go przywieziecie? Zabierzcie ze sobą Barnabę, oczywiście. Marge przygotuje twoje ulubione danie.



Zapiekanka z kurczakiem, z chrupiącym, francuskim ciastem.

— Możesz na nas liczyć! — zawołał z przekonaniem.

— Powiesz mu? — poprosił Cynthię.

— Absolutnie — odmówiła.

Nikt nie chciał powiedzieć Dooleyowi Barlowe'owi, że nie będzie mógł spędzić tego lata, robiąc to, co lubi najbardziej.

Otworzyła oczy, a kiedy przewróciła się na drugi bok, zobaczyła, że jej mąż siedzi w łóżku.

— Och, mój kochany! Och, mój Boże! Co się stało?

Był zachwycony wyrazem twarzy swojej żony; pragnął się nim rozkoszować.

— Zdążył już nabrać kolorów — wyjaśnił, zdejmując dłoń z prawej skroni.

Przyglądała mu się, jakby był motylem na szpilce.

— Tak! Czarny... i błękitny... i... odrobina żółtego.

— Moje dawne barwy szkolne — wyjaśnił.

— Ale co się stało?

W całym swoim życiu nie słyszał takiego syczenia i wzdychania.

— T.P.S. — odparł.

— Ta Pamiętna Szafa? Co masz na myśli?

— Otóż wstałem w środku nocy, w ciemnościach, wyszedłem na półpiętro i otwarłem okna, żeby wpuścić Barnabie trochę świeżego powietrza. Gdy byłem już w sypialni i szedłem do łazienki, wpadłem na ten przeklęty mebel.

— Och, nie! O, wielkie nieba. Co mogę zrobić? A jutro jest niedziela!

— Przemoc w rodzinie — mruknął pod nosem. — W klimacie, jaki kreuje współczesna telewizja, moja kongregacja natychmiast podchwyci ten wątek.

— Timothy, najdroższy, tak mi przykro. Coś ci przyniosę, nie wiem co, ale na pewno coś znajdę. Zostań tu i nigdzie się stąd nie ruszaj.

Nałożyła pantofle oraz szlafrok i zbiegła po schodach. Tuż za nią podążył szczekający Barnaba.

T.P.S. mogło oznaczać „Tę Pamiętną Szafę”, jeśli tego właśnie życzyła sobie jego żona. Dla niego jednak skrót ten oznaczał coś zupełnie innego.

# Rozdział drugi

## KROK PO KROKU

Tęsknił za nią.

Ile to razy podchodził do telefonu, żeby do niej zadzwonić, po czym przypominał sobie, że już jej tam nie ma i że nie podniesie słuchawki?

Gdy Sadie Baxter zmarła rok temu, w wieku dziewięćdziesięciu lat, poczuł się tak, jakby stracił grunt pod nogami. Była dla niego członkiem rodziny, przyjacielem, z którym lubił spędzać czas; jego siostrą w Chrystusie i ulubioną parafianką. Na dodatek, była dobroczyńcą Dooleya i przez ponad pół wieku najhojniejszą darczyńcą w parafii. Nie tylko podarowała Dom Nadziei — wart pięć milionów dolarów nowy dom opieki, wzniesiony na końcu Old Church Lane, ale także utrzymywała wiernie dach Lord's Chapel, podczas gdy jej własny nie mógł się doczekać remontu.

Sadie Baxter śpiewała w chórach anielskich, myślał, a widok, który sobie wyobrażał, przyprawiał go o śmiech. Nie jednak dzięki pieniądзом, które ofiarowała, o nie, zaiste. Dobre uczynki, stwierdzało jasno Pismo Święte, nie były przepustką do nieba. „Łaską bowiem jesteście zbawieni przez wiarę” — napisał święty Paweł w Liście do Efezjan. „A to pochodzi nie od was, lecz jest darem Boga: nie z uczynków, aby się nikt nie chlubił”.

Kwestia dobrych uczynków w zestawieniu z łaską była nieomal tak kontrowersyjnym tematem jak kwestia grzechu. Niemniej jednak zamierzał nauczać o słowach świętego Pawła, i to już wkrótce. Cała ideologia dobrych uczynków jest tak niewinnie podstępna, jak armia termitów toczących schody do ołtarza.

Emma dosłownie wpadła do kancelarii. Gdy otwierała drzwi, podmuch zimnego wiosennego wiatru wyrwał je z jej ręki i sprawił, że uderzyły z hukiem o ścianę.

— Boże, miej litość! — krzyknęła.

Usiłowała chwycić je ponownie i powstrzymać huragan, który zdmuchnął z biurka wszystkie jego papiery. Zatrzasnęła drzwi i stała przed nimi, ciężko oddychając, z przekrzywionymi na nosie okularami.

— Czy kiedykolwiek przedtem? — zapytała.

— Co: „kiedykolwiek przedtem”?

— Widziałeś zimę, która trwa dziewięć miesięcy i wygląda na to, że na tym się nie skończy? Powiedziałam, Harold, a może przeniesiemy się na Florydę? Nigdy bym nie pomyślała, że dożyję dnia, w którym takie słowa padną z moich ust.

— A co na to Harold? — zapytał, usiłując pozbierać swoje papiery.

— Wiesz, jacy są baptyści — odpowiedziała, wieszając płaszcz. — Oni nie przenoszą się na Florydę. Oni nie chcą, żeby im było ciepło! Oni chcą zamarznąć na śmierć w drodze na spotkanie modlitewne, znaleźć się w ekspresowym tempie u bram raju i mieć to z głowy.

Dżyngis-chan kościelnych sekretarek pogroził mu palcem.

— Miałabym ochotę wrócić do Kościoła episkopalnego.

— Co tym razem zrobił Harold?

— Kazał Snickersowi spać w garażu. Dasz wiarę? Ludzie na wsi nie lubią, żeby ich psy mieszkały w domu.

— Wydawało mi się, że Snickers śpi w domu.

— Spał, dopóki nie zjadł Haroldowi z talerza steku.

— Aha.

— Połknął go w całości. Ale wiesz, co się stało potem?

— Nie mam pojęcia.

— Zwymiotował wszystko w garderobie, na buty Harolda.

— Muszę przyznać, że rozumiem Harolda.

— To oczywiste — odparła sztywno, siadając przy biurku.

— Tak?

— Tak. Jesteś mężczyzną — stwierdziła, spoglądając na niego gniewnie. — Przy okazji...

— Co takiego przy okazji?

— Nigdy w życiu nie widziałam niczego tak okropnego, jak ten guz na twojej głowie. Czy nie możesz poprosić Cynthii, żeby coś z nim zrobiła?

Z drugiej jednak strony, może dobre uczynki mają jakieś znaczenie. Okazywanie przez piętnaście lat isticie anielskiej cierpliwości w codziennych kontaktach z Emmą Newland powinno wystarczyć, by pomknął do nieba niczym rakieta, bez żadnych przystanków po drodze.

Emma uruchomiła komputer i spojrzała na ekran.

— Niewiele brakowało, a potraciłabym dzisiaj rano Macka Stroupe'a. Przechodził przez ulicę, nie rozglądając się przedtem na boki. Nie wiedziałam, czy mam nacisnąć hamulec czy pedał gazu. Przypominasz sobie tę jego budkę z hot dogami? Przekształca ją w swoje biuro wyborcze! Biuro wyborcze, słyszysz? Za kogo on siebie uważa, za Rossa Perota\*?

\* Ross Perot - kandydat na prezydenta Stanów Zjednoczonych w roku 1996. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Pastor westchnął.

— Przypominasz sobie to klepisko przed nią, które on nazywa parkingiem?

Kliknęła przyciskiem myszy.

— Kazał je utwardzić, krążą nad nim ciężarówki niczym stado much. Asfalt! — mruknęła. — Nie nawidzę asfaltu. Stokroć bardziej wolę cement.

Tak, zaiste. Do samej góry, wprost na osobistą i upragnioną audiencję u świętego Piotra.

— Coś trzeba zrobić — stwierdził.

— Tak, ale co?

— Nie mam pojęcia. Jeśli wkrótce nie położymy nowego dachu, kto wie, do jakich zniszczeń może dojść w środku?

Ojciec Tim i Cynthia siedzieli przy kuchennym stole, omawiając jeden z dwóch najbardziej męczących go problemów — co zrobić z przepastną, trzypiętrową, wiktoriańską rezydencją znaną jako Fernbank, i jej nieskończonymi, zarośniętymi ziemiami.

Gdy panna Sadie zmarła rok temu, zostawiła Fernbank Kościołowi, „aby zaspokoił wszystkie przyszłe potrzeby Domu Nadziei”. I tak oto rzeczony dom stał smagany przez górskie wiatry i chłostany przez zacinający grad, i nie było nawet nikogo, kto zmiótłby z jego parapetów martwe pszczoły.

Dla panny Sadie Fernbank był podarunkiem; dla niego — kukułczym jajem. To przecież jego pieczy, wyraźnie, powierzyła przyszły dobrobyt swojego coraz bardziej wiekowego domu rodzinnego.

Była mowa o oddaniu go w leasing prywatnej szkole bądź instytucji — pomysł ten funkcjonował gdzieś w diecezjalnej machinie biurokracji. Z drugiej strony, czy powinni go sprzedać i zainwestować pieniądze? Jeśli tak, czy powinni go sprzedać w obecnym stanie, czy też zacisnąć zęby i najpierw wyremontować, przy horrendalnym koszcie dla parafii, która prawie na pewno nie miała ochoty na niepewne inwestycje w rynek nieruchomości.

— Właśnie otrzymaliśmy szacunkowy koszt naprawy dachu — powiedział.

— Ile?

— Trzydzieści, może trzydzieści pięć tysięcy.

— Wielkie nieba!

Siedzieli w ciszy, zastanawiając się.

— Biedny Fernbank — westchnęła. — Kto by go poza tym kupił? Z pewnością na ten dom nie stać nikogo z Mitford.

Nalał sobie drugą filiżankę kawy. Nawet jeśli rozmawiali na przykry temat, był szczęśliwy, że towarzyszy mu w tym jego żona. Poza tym Cynthia Kavanagh słynęła z tego, że potrafiła znaleźć najbardziej nieoczekiwane remedium na wszelakie smutki i kłopoty.

— Co gorsze — mówiła dalej — kogo byłoby stać na przeprowadzenie remontu domu, zakładając, że po pierwsze byłby go w stanie kupić?

— W tym właśnie problem.

Wpatrywała się przez chwilę w obrus, a potem podniosła wzrok.

— Ale dlaczego mielibyśmy się tym martwić? Panna Sadie nie zostawiła go tobie...

Więc dlaczego ta sprawa ciążyła mu niczym kamień u szyi już od ponad dziesięciu miesięcy?

— ...zostawiła go Kościołowi. Który, gdybyś chwilowo o tym nie pamiętał, należy do Boga. Więc pozwól Jemu się tym zająć, na litość boską.

Czuł, jak na twarz wypływa mu uśmiech. Zgadza się! Oczywiście! Poczul, jak z serca spada mu kamień, nawet jeśli tylko na chwilę.

— No i kto jest tutaj księdzem?

— Czasami bierzesz urlop naukowy, najdroższy. Wstał i otworzył okno w kuchni.

— Kiedy się tam wybierzemy, żeby wybrać jakąś pamiątkę, którą panna Sadie podarowała nam w swoim liście?

Westchnęła.

— Ale w naszych domach nie ma gdzie wetknąć nawet szpilki. Mój dom obok jest pełny, twój dom pęka w szwach, a my wybieramy się na emeryturę.

Miała rację. Nadszedł czas, by pozbywać się przedmiotów, nie obrastać w nowe.

— Co wzięli sobie inni? — zastanawiała się na głos.

— Louella wzięła broszkę, którą malowała mama panny Sadie, a Olivia chciała tylko kufer z orzecha i zdjęcia mamy panny Sadie oraz Willarda Portera. Dom pozostał właściwie nietknięty.

— Czy ktokolwiek był poszperać na strychu?

— Kompletnie nikt.

— Uwielbiam szperać na strychach! Strychy są pełne tajemnic i sensacji. A więc tak, zróbmy to! Poza tym, nie musimy niczego wybierać, możemy jedynie pooglądać!

Jej oczy zrobiły się nagle bardziej błękitne, jak zawsze, gdy była podekscytowana.

— Uwielbiam, gdy mówisz w ten sposób — zgodził się z ulgą. Przynajmniej jeden z obowiązków związanych z Fernbank zostanie wypełniony.

Fernbank był dopiero drugim w kolejności najbardziej męczącym go problemem.

Co zrobić z rozproszonym rodzeństwem Dooleya — znajdowało się na pierwszym miejscu.

Przez ostatnie kilka lat mama Dooleya, Pauline Barlowe, rozdała swoje dzieci jak gromadkę kociąt z miotu.

Jak mógł mieć nadzieję, że uda mu się zebrać coś, co zostało rzucone na wiatr w czasie napadów pijactwa Pauline? Z ostatnich wiadomości, jakie miała Pauline, jej syn Kenny był gdzieś w stanie Oregon, miejsce pobytu małej Jessie było nieznane, a Sammy... wolał o tym nie myśleć.

Rok temu pastor udał się z Lace Turner do toczonej przez narkotyki społeczności Creek i zabrał stamtąd dziewięcioletniego brata Dooleya. Poobaw mieszkał obecnie w domku Bettie Craig, ze swoją powracającą do zdrowia matką i schorowanym dziadkiem oraz radził sobie całkiem nieźle w szkole w Mitford.

Cud. Ale w tym przypadku od cudów, podobnie jak od orzeszków ziemnych, można się było uzależnić.

— Ta nowina dopiero ujrzała światło dzienne — obwieścił Mule, wślizgując się do boksu z filiżanką kawy. — Dowiedziałem się o tym przed J.C.

— Aha — przytaknął pastor, nie mogąc się zdecydować, czy posmarować bułkę masłem, czy też zjeść suchą.

— Joe Ivey zamyka interes.

— Nie!

— Wyjeżdża do Tennessee, żeby zamieszkać u krewnego, a Winnie Ivey wypłakuje oczy. Joe Ivey to cała rodzina, która jej została w Mitford.

— Dlaczego zamyka?

— Nerki.

Velma pojawiła się z notesem, żeby przyjąć zamówienie.

— Nie mamy już nerek. Spróbowaliśmy nerek rok temu i nikt ich nie zamawiał.

— Kanapka z pieczenią w takim razie — zdecydował się Mule. — Zaczekaj chwilę. Co zamawia ojciec?

— Sałatka z kurczakiem.

— Pass. Dla mnie wobec tego bekon, sałata i pomidor na chlebie pełnoziarnistym.

— Nerki? — zapytał pastor, gdy Velma odeszła.

— Nie muszę ci mówić, że Joe lubi sobie wypić jednego od czasu do czasu.

— Uhm.

— Ostatnio pijał brandy brzoskwiniową, pędzoną co tydzień w Knox County. Drugi powód to żyłaki. Czterdzieści pięć lat stania na nogach i strzyżenia sprawiło, że jego nogi wyglądają jak mapa samochodowa Georgii.

Mule podmuchał na kawę.

— Pokazał mi.

Z wyjątkiem kilku wizyt w Hair House Fancy Skinner, to Joe Ivey był jego fryzjerem, od kiedy zamieszkał w Mitford.

— To dla mnie okropna wiadomość.

— To dla nas wszystkich okropna wiadomość.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Pastor posmarował bułkę masłem.

— Nie cierpię zmian — stwierdził Mule, wyglądając ponuro.

— Ja też.

— To dlatego Mack nie mówi o zmianie, tylko o poprawie. Ale ty i ja wiemy bardzo dobrze, co to oznacza...

— Zmianę — przyznał ojciec Tim.

— Zgadza się. A jeśli Mack Stroupe będzie miał z tym cokolwiek wspólnego, to nie będzie to zmiana na lepsze.

A co tam, otworzył pojemnik z dżemem z jeżyn, pozostawiony przez poprzednich klientów, i nim też posmarował bułkę. Z cukrzycą może nie pożyć długo, ale dieta, której każą mu przestrzegać, rzeczywiście sprawia, że zaczyna tak myśleć.

— Zastanawiałeś się nad pozytywną stroną wycofania się Joe z biznesu? — chciał wiedzieć ojciec Tim.

— Pozytywną stroną?

— Wszyscy klienci Joe przeniosą się do twojej żony. Twarz Mule'a pojaśniała.

— Niech mnie licho. Rzeczywiście.

— Razem powinno to wynieść jakieś czterdzieści osób, lekko licząc. Przy obecnych dziesięciu dolarach od głowy, oboje z Fancy będziecie mogli się wybrać bez żadnego problemu w ten rejs, o którym mówiłeś.

Mule znowu sposepniał.

— Tak, ale wtedy Fancy dostanie żylaków.

— Każde powołanie niesie ze sobą określone ryzyko zawodowe — wyjaśnił pastor. — Zastanów się nad swoim — rynek handlu nieruchomościami, który jest tradycyjnie niestabilny... nigdy nie jesteś pewien, czy starczy ci na życie i na jak długo.

J.C. rzucił swoją pękatą teczkę na ławkę i wślizgnął się do boksu.

— Czy słyszeliście, co zrobiła Adele tej nocy?

— Co? — zapytali zgodnie pośrednik handlu nieruchomościami i pastor.

Wydawca wyglądał, jakby właśnie wygrał na loterii.

— Przymknęła gościa za próbę kradzieży i prawdopodobnie uratowała życie Dot Hamby.

Adele była nie tylko funkcjonariuszem policji w Mitford, ale również żoną J.C.

— Niewiele brakuje, a twoje guziki powpadają mi do kawy — ostrzegł go Mule.

— Gdzie to się stało?

— W Shoe Barn. Zaparkowała samochód z tyłu sklepu, weszła bocznymi drzwiami i stanęła pochylona, usiłując znaleźć czólenka. Tymczasem ten idiota wchodzi głównymi drzwiami i prosi Dot, żeby mu rozmięła dziesiątkę, a gdy Dot otwiera kasę, on wyciąga rewolwer i podsuwa go jej pod nos. Adele usłyszała, co się dzieje, stanęła więc na bosaka tuż za frajerem i wsunęła mu między zębra lufę.

— Co powiedziała? — dopytywał się Mule.

— Powiedziała to, co należy w takim wypadku powiedzieć. Powiedziała: „Rzuć broń”.

Mule uniósł brwi.

— A niech mnie!

J.C. otarł twarz chusteczką.

— W chwili gdy my tu rozmawiamy, on siedzi w więzieniu.

— Czytając przepisy na potrawki z „Southern Living” — dodał Mule. — To za dobre dla takiej szumowiny.

— Miło widzieć finał moich działań na rzecz recyklingu — zauważył wydawca, wpatrując się w Mule'a.

— Co masz na myśli?

— Przeczytałem właśnie, że potrzeba dwudziestu sześciu plastikowych butelek po wodzie mineralnej, żeby powstał taki poliestrowy garnitur.

— Nie marnuj i nie żałuj — zripostował Mule. J.C. rozglądnął się, szukając Velmy.

— Widzieliście, co robi Mack nieopodał stąd?

— Tak.

— To prawdziwa zmiana na lepsze. Mówi, że urządzi party z grillem, jak tylko parking stwardnieje. Muzyka na żywo, całe dziewięć metrów kwadratowych. Może poświęcę temu pierwszą stronę.

Mule zamarł na chwilę.

— Co wam się stało, że tak bardzo nie lubicie Macka Stroupe'a? — chciał wiedzieć J.C. — Powin-  
niście przynajmniej posłuchać tego, co ma do powiedzenia.

— Nie słucham dwulicowych oszustów — warknął Mule. — Nie mają do powiedzenia nic, co  
chciałbym usłyszeć.

— Daj spokój, to było dawno temu.

— Pozwól, że powiem to tak — ja nie będę na niego głosował. Twarz J.C. oblał rumieniec.

— Jeśli chcesz chować głowę w piasek, jak większość ludzi w tym mieście, to proszę bardzo. We-  
dług mnie, już najwyższy czas, żeby wydarzyło się tutaj coś nowego i innego, żeby powstały jakieś nowe  
biznesy, ruszyły przyzwoite inwestycje budowlane. Gdy obsadzali Dom Nadziei, zatrudnili dwadzieścia  
siedem osób spoza Mitford, i jak myślisz, gdzie oni mieszkają? W Wesley! W Holding! Pracują tutaj, ale  
napędzają koniunkturę gdzie indziej, komu innemu budują miejskie parki, do innej kasy płacą podatki.

Pastor zauważył, że Mule'owi drżała ręka, gdy podnosił filiżankę z kawą.

— Wolę, żeby Mitford wyrzucało pieniądze swoich podatników w błoto, niż gdyby miało umieścić  
na stanowisku Esther kłamliwą szuję.

— Przede wszystkim — rzucił gniewnie J.C. — wybijcie sobie lepiej z głowy, że to jest stanowisko  
Esther.

Stali bywalcy tylnego boksu miewali odmienne zdania, ale ta sprzeczka była niepokojąco inna.

Bułka, którą pastor zjadł, nagle zamieniła się w kamień.

— Tylko trochę po bokach — poprosił.

— Po bokach? Po jakich bokach? Odkąd ojciec zdezerterował i powierzył strzyżenie głowy Fancy  
Skinner, nie ma już ojciec żadnych boków.

Cóż mógł powiedzieć?

— Będzie nam ciebie brakować, Joe. Tak strasznie mi żal, że wyjeżdżasz.

— Mnie też jest strasznie żal, że wyjeżdżam. Ale jestem już za stary, żeby to robić.

— Jak stary?

— Sześćdziesiąt cztery.

Dobry Boże! Jego wiek też oscylował w tych granicach. W jednej chwili poczuł, jak ogarnia go  
przygnębienie.

— To wcale nie jesteś stary! — zaprzeczył.

— Jak na ten zawód, jestem. Wykończyłem sobie przy nim nogi, i to mi zupełnie wystarczy.



— Gdzie dokładnie do Tennessee się przeprowadzasz?

— Do Memphis. Może będę pracował jako ochroniarz na pół etatu w Graceland, razem z kuzynem. Zamieszkać z młodszą siostrą — Winnie jest najstarsza, wie ojciec, chcemy, żeby też do nas dołączyła.

Winnie zostawi cukiernię Sweet Stuff? Dwie znajome twarze znikną z Mitford jednocześnie? Nie podobało mu się to ani trochę.

— Proszę — zachęcił go Joe, podając mu butelkę z etykietką informującą, że jej zawartość stanowi woda po goleniu. — Niech ojciec sobie troszkę pociągnie. To może już ojca ostatnia szansa.

— Coto?

— Domowej roboty brandy brzoskwiniowa, nigdzie nie znajdzie ojciec lepszej. Proszę, niech ojciec spróbuje jeden łyk. Nikomu nie powiem.

Przez piętnaście lat jego fryzjer proponował mu odrobinę tego, naparstek tamtego, a on zawsze odmawiał. Pastor wygłosił mu jedno czy dwa kazania wiele lat temu, ale Joe powiedział, żeby pilnował własnego nosa. Teraz bez zastanowienia odkręcił zakrętkę, uniósł do góry butelkę i wypił jeden łyk. Na wszystkich świętych!

Oddał butelkę Joe, z trudem wypowiadając słowa:

— To mi wystarczy, dziękuję.

— Ja też może spróbuje kropelkę.

Joe przechylił butelkę i opróżnił połowę jej zawartości.

— Jesteś pewien, że wylałeś wodę po goleniu przed nalaniem brandy?

Joe zachichotał.

— Niech mnie ojciec posłucha — poradził, omiatając z włosów kark klienta — nie pozwólcie Mac-kowi Stroupe'owi zająć miejsca Esther.

— Zrobię co tylko w mojej mocy.

— Proszę się opiekować Winnie, dopóki nie sprzeda swojej cukierni i nie przeprowadzi się do Memphis.

— Obiecuję, że się nią zajmę. Jest tego warta.

— I proszę się troszczyć o tego chłopca, pilnować, żeby nie zszedł na złą drogę. Ja nigdy nie miałem nikogo, kto pilnowałby, żebym nie zszedł na złą drogę.

— Świetnie sobie poradziłeś, Joe. Byłeś dla nas wszystkich dobrym przyjacielem i będziemy za tobą tęsknić.

Jedynie z największym trudem był w stanie przełknąć. Nienawidził pożegnań.

Wstał z krzesła i sięgnął po portfel.

— Chcę, żebyś na siebie uważał i dał nam znać, jak sobie radzisz. Do oczu Joe napłynęły łzy.

— Proszę to schować do kieszeni. Strzygłem ojca przez piętnaście lat i tym razem stawia firma.

Nigdy przedtem nie zauważył, że Joe Ivey wygląda na tak wątłego i bladego — jakby bezbronnego. Pastor objął go w niemym geście pożegnania. Następnie zszedł po schodach na Main Street. Idąc, łkał jak dziecko, a z ust pachniało mu benzyną do zapalniczki.

Termin wenty dobroczynnej został oficjalnie ustalony i rozpoczęły się doroczne narzekania.

Ani widok bzu, ani porywający wygląd derenia nie był w stanie złagodzić ogólnej rozpacz.

Trzy członkinie Kobiet Kościoła Episkopalnego zaczęły nagle cierpieć na chroniczne bóle kręgosłupa, a członkini Bractwa Ołtarzowego zarezerwowała sobie podróż z wizytą do siostry mieszkającej w Toledo, i to w tygodniu, w którym odbywać się będzie wenta. Dwóch nauczycieli szkoły niedzielnej, którzy w chwili słabości zaoferowali swoją pomoc, podeszło w środę po Eucharystii przed ołtarz, żeby się pomodlić.

Po tym jak Esther Bolick zgodziła się przewodniczyć przygotowaniom do tego historycznego w życiu Kościoła wydarzenia, wróciła do domu i poprosiła męża, żeby kazał ją zamknąć w szpitalu dla umysłowo chorych. Wszyscy wiedzieli, że wenta dobroczynna w minionych latach przykuła do łóżka dwie kobiety, nieomal doprowadziła do rozbicia jednego małżeństwa i sprawiła, że trzy rodziny przeniosły się do luteranów do Wesley.

Poza tym, czyż właściwie nie zrezygnowała z wieloletniej pracy na rzecz Kościoła, usiłując się skupić w zamian na pieczeniu ciast? Czy pieczenie nie było odrębnym powołaniem, samym w sobie? I czy nie piekła ciasta pomarańczowego co najmniej dwa razy w tygodniu dla jakiejś biednej duszyczki, która w taki czy inny sposób była w potrzebie?

Po pierwsze, wcale nie pamiętała, żeby miała powiedzieć, iż zorganizuje wentę. Była całkowicie zaskoczona, gdy po skończonym spotkaniu wszyscy przybiegli, żeby ją uściskać, podziękować i powiedzieć, jaka jest cudowna.

Na koniec westchnęła zdecydowana, że zrobi to „jak dla Pana, a nie dla ludzi”.

— Tak trzymać! — zawołał pastor, obdarowując Esther jakże potrzebnym uściskiem.

Za żadne skarby świata nie zamieniłby się z nią miejscami. Esther jednak poradzi sobie ze wszystkim doskonale i sprawi z pewnością, że do misyjnego skarbca napłyną duże fundusze.

Ponieważ było to najbardziej udane przedsięwzięcie charytatywne w całej diecezji, kobiety, które je organizowały, cieszyły się zazwyczaj w okolicy dozgonną, a w najgorszym wypadku kilkumiesięczną sławą.

— Czwartego października — powiedziała Gene'owi Esther.

— Pamiętaj o witaminach — powiedział Esther Gene.

Wolałby klęczeć w kącie na grochu. Ktoś musiał to jednak zrobić.

— Hej — przywitał go Dooley, wiedząc, kto telefonuje.

— Hej — odwzajemnił powitanie. — Co nowego?

— Na ten weekend wybieramy się z chórem do Waszyngtonu. Śpiewamy w kościele i będzie tam kilku senatorów i innych ważnych gości. Kupiłem nową marynarkę, stara podarła się na gwoździu. Jak się ma Barnaba?

— Siedzi obok mnie, liże mój but. Wydaje mi się, że spadło mi tam trochę dżemu dzisiaj rano. Jest coś, o czym muszę z tobą porozmawiać.

Cisza.

— Hal Owen zatrudnił asystenta.

Równie dobrze mógł wbić w serce chłopca nóż, tak wyczuwalne było jego rozczarowanie.

— To znaczy, że będzie miał pomocnika tego lata i że chłopiec... — przyszedł czas na najgorszą wiadomość — zamieszka w twoim pokoju, dopóki się nie usamodzielni.

— W porządku — odparł chłodno Dooley.

— Hal nie miał wyboru, poproszono go, aby otoczył opieką weterynaryjną nową stadninę koni, która rozpoczyna działalność w pobliżu. Ma pełne ręce roboty.

Nie mógł znieść takich chwil milczenia Dooleya Barlowe'a; wydawały się głębokie jak studnie, czarne jak najodleglejsze zakątki ziemi.

— Hal i Marge chcą, żebyś do nich przyjechał na dwa tygodnie, jak tylko wrócisz do domu ze szkoły. Żałują, że nie spędzisz u nich całego lata.

— OK.

— Może chciałbyś się zastanowić nad jakąś pracą. Znowu cisza.

— Tommy będzie pracował.

— Gdzie?

— Będzie nalewał benzynę u Lew. Dostanie prawdopodobnie ubranie robocze ze swoim imieniem. — Był to marny chwyt, ale nic lepszego nie przychodziło mu do głowy. Brnął dalej — Latem będziesz mógł spędzić trochę czasu z bratem. Poobaw się ucieszy. Tak samo twój dziadek.

Daj mu czas, żeby to przemyślał.

— Słuchaj, przyjacielu. Czeka cię wspaniałe lato, zobaczysz. I bardzo cię kochamy. Nigdy o tym nie zapominaj.

— Nie zapominam. Wspaniałe!

— Wspaniałe. Porozmawiamy w sobotę.

— Hej, posłuchaj... — zaczął Dooley.

— Tak?

— Nie, nic.

— W porządku. Bóg z tobą, synu. Wyjął chusteczkę i otarł czoło.

„Kto kocha, nie umie czekać” — mówi stare włoskie przysłowie.

To najszczerza prawda, pomyślał, wychodząc z biura i idąc pospiesznie Main Street do domu.

Dlaczego czuł się taki podekscytowany faktem, że już wkrótce zobaczy żonę, skoro widział ją dopiero rano? Przyniosła im kawę do łóżka o nieprzyzwoitej godzinie i siedzieli, pijąc, śmiejąc się i rozmawiając, jakby było samo południe.

Kobieta, która wstawała o piątej, żeby pobyć ze swoim mężem, zanim się pomodli i odda się rozważaniom, była aniołem. Oczywiście, musiał przyznać, nie robiła tego codziennie. I czyż właśnie dzięki temu nie było to jeszcze większą przyjemnością?

Cynthia! Cynthia!, pomyślał, spoglądając na różowy dereń w ogródku przed herbaciarnią po drugiej stronie ulicy. Jak ogromne różowe baldachimy drzewa rozpostarły koronkowy cień na szmaragdowej trawie i rabatach żółtych tulipanów.

Dobry Boże! To nieomal więcej, niż człowiek jest w stanie znieść — wiosna przychodząca zupełnie zniecka i kobieta, która pocałowała go zaledwie kilka godzin temu w sposób, który jeszcze za kawalerskich czasów był dla niego zupełnie niewyobrażalny.

Nawet krótka pamięć była zupełnie wystarczająca, żeby pomieścić wszystkie kobiety, które odegrały w jego życiu jakąś rolę.

Peggy Cramer. To nauczyło go kilku rzeczy. A kiedy zaręczyny zostały zerwane, gdy był w seminarium, wiedział, że dobrze się stało.

Potem była Becky. Jakże jego parafia się starała, żeby coś z tego wyszło! Była kobietą która myślała, że Wordsworth to supermarket w Dallas. Przemknął pieszo obok sklepu z artykułami żelaznymi Dory Pugh, śmiejąc się w głos.

Och, ale jakże był wdzięczny za spontaniczny śmiech swojej żony, jej mądrość i nawet jej przeklęty upór. Odłamał gałązkę białego bzu z krzewu w rogu przydomowego ogródka.

Wbiegł po wejściowych schodach, pchnął przed siebie drzwi i przebiegł przez hol.

— Cynthia!

Jakby nacisnął guzik. Wszczął się zgiełk. Rudowłose bliźniaczki Puny Guthrie, Sissy i Sassy, zaczęły jednocześnie krzyżeć.

— Widzi ojciec, co ojciec zrobił! — zawołała Puny. Stała przy desce do prasowania w kuchni.

— Nie wiedziałem, że jeszcze tu będziesz — bronił się.

— A ja właśnie je uświadłam! Patrzcie dziewczynki, to wasz dziadek!

Jego pomoc domowa, za którą będzie wdzięczny po wieczne czasy, uparła się, aby został dziadkiem dla jej dzieci, czy mu się to podobało, czy nie.

— W takim razie niech ojciec posłucha, ojciec potrzyma Sissy, a ja połużam Sissy. Została mi jeszcze godzina, żeby dokończyć całe to prasowanie po podwieczorku.

Wziął Sissy, a dziewczynka nieomal tak gwałtownie jak zaczęła płakać, przestała i spojrzała na niego.

— Hej tam — powiedział, patrząc na nią.

— Widzi ojciec? Lubi ojca! Uwielbia swojego dziadka, prawda?

Nie mógł oderwać wzroku od tego cudu, który trzymał w ramionach. Ponieważ Puny często już nie było, gdy wracał do domu, albo była obok, w małym żółtym domku, nie widywał bliźniaczek zbyt często tej zimy. A teraz miał je przed sobą. Miały już prawie rok, a jedna z nich wyciągała rączkę, żeby naciągnąć mu dolną wargę do koloratki.

Puny posadziła Sassy na biodrze i pohuśtała ją.

— Gdyby ojciec pochodził i pokazał coś Sassy, byłabym wdzięczna. Dobry Boże, niech ojciec tylko spojrzy, ile prasowania zostało po tym podwieczorku, a wszystko zabytkowe albo od biskupa, albo od papieża...

— Gdzie jest Cynthia?

— Nie widziałam jej od lunchu. Może jest w swoim domu i pracuje nad książką.

Jak dalece się orientował, jego pracowita żona nie zajmowała się obecnie żadną książką. Postanowiła zrobić sobie przerwę po ostatniej książce o drozdach.

— Wezmę Sassy i pójde sprawdzic — postanowił.

— Jak zacznie płakać, niech ją ojciec pohuśta!

Uprzedzając wypadki, zaczął ją huśtać od razu.

Przeszedł przez tylny ogródek, nie zwracając uwagi na mlecze, które rozświeślały jego trawnik jak mnóstwo małych żółtych płomieni. Nie, zdecydowanie nie, nie podda się obsesji na punkcie mleczy tej wiosny, nie będzie wykopywał każdego z osobna, tak jak czynił to w poprzednich latach. Mlecze się pojawiają i znikają, i tak już jest, myślał, huśtając Sissy. Czyż nie był mężczyzną zbliżającym się do emerytury? Czyż nie był mężczyzną, który usiłował się wyluzować i mieć z życia jakąś przyjemność?

Sissy wydała z siebie serię dźwięków i poruszyła się w jego ramionach.

— Timothy!

Była to jego żona. Przechodziła przez żywopłot i wyglądała jak dziewczynka.

— Nie masz pojęcia!

— Święta prawda — zgodził się, pochylając głowę, by ją pocałować.

Wsunął gałązkę bzu do kieszonki jej koszuli, a Sissy w tej samej chwili uderzyła go w podbródek.

— Dziękuję ci, najdroższy! Właśnie dzwonił Mule, żeby powiedzieć, że ktoś jest zainteresowany rezydencją Fernbank! Próbował zadzwonić do ciebie do kancelarii, ale już wyszedłeś. Czy możesz sobie wyobrazić? To ktoś spoza miasta, powiedział, jakaś instytucja czy coś takiego. Biegnij i zadzwoń do niego, a ja wezmę Sissy!

Dlaczego nie czuł radości, gdy podchodził do telefonu w salonie? W ogóle go to nie cieszyło. Ogarnęło go natomiast bardzo złe przeczucie.

Leżał na boku, opierając się na łokciu.

— Myślałem dzisiaj o tobie — zwierzył się jej, lekko zawstydzony tym prostym wyznaniem.

Przesunęła swoim palcem wskazującym wzdłuż jego nosa i podbródka.

— Jakie to dziwne! Myślałam dzisiaj o tobie.

— To przez tę kawę o piątej — wyjaśnił, całując ją.

— Naprawdę? — szepnęła, odwzajemniając pocałunek.

Być może każdy potrafi kochać, pomyślał; to w odwzajemnieniu miłości jednak tkwi klucz.

Rzucił go na rosnący stos.

Człowiek, który ma czas, aby wykopywać mleczce, ma za dużo czasu, pomyślał.

Mimo że nie miał w ogóle czasu, żeby się zajmować czymś tak nieistotnym, doszedł do wniosku, że nie może się powstrzymać. Zwabił go ogród, tak jak żyły złota wabią poszukiwacza.

Miał oczywiście setki innych, ważniejszych spraw do załatwienia. Wizyta na strychu rezydencji Fernbank, i to niezwłocznie, skoro na horyzoncie pojawił się potencjalny nabywca. Nawieźć róże. Posypać korą rabaty.

Wybrać się do Domu Nadziei i porozmawiać ze Scottem Murphym...

Scott był młodym, zapalonym kapelanem, którego zatrudnił razem z panną Sadie rok temu. Odkąd przybył do nich we wrześniu, usiłowali znaleźć czas, żeby razem biegać, ale jak do tej pory nic z tego nie wyszło. Scott był jak tygrysy w jego ulubionej bajce z dzieciństwa — biegał wokół drzewa tak szybko, że zamieniał się w masło.

Nowy kapelan nie tylko codziennie odprawiał poranne nabożeństwo, ale również odwiedzał osobiście każdego z czterdziestu pensjonariuszy.

— To po to zostałem zatrudniony — wyjaśniał, uśmiechając się.

Ponadto udało mu się wprowadzić w życie niegdyś kontrowersyjny program czworonogów. Program przewidywał, że każdy z pensjonariuszy Domu Nadziei mógł „wypożyczyć” kota lub psa na maksymalnie dwie godziny w ciągu dnia, składając po prostu z wyprzedzeniem zamówienie na Hectora, Barneya, Muffina, Lucky'ego itd. Jak pastor zauważył w czasie wizyt w Domu Nadziei, ten program sam w sobie stanowił rodzaj lekarstwa w ogólnej terapii.

Matka Evie Adams, panna Pattie, która od ponad dziesięciu lat nie była w pełni władz umysłowych, polubiła Baxtera, wesołego jamnika, i w niektóre dni zachowywała się tak, jakby zupełnie odzyskała sprawność umysłu.

Każdego popołudnia wózek z ulubieńcami przejeżdżał korytarzami Domu Nadziei, a przykuci do łóżek pensjonariusze mieli okazję pobawić się i uszczęśliwić swoich czworonożnych gości. Dla tych, którzy nie byli w stanie zająć się psem lub kotem, były złote rybki, a z myślą o wszystkich i każdym z osobna szkoła w Mitford zapelniała ściany kolorowymi plakatami.

— Niech mnie licho, jeśli nie chciałbym się tutaj przeprowadzić — zadeklarowało kilku jak najbardziej sprawnych mieszkańców miasteczka.

Usiadł na piętach i odłożył na chwilę narzędzie do wrywania chwastów. A co ze społecznością Creek? Czyż nie rozmawiał ze Scottem rok temu o tym, żeby coś zrobić, cokolwiek, by chociaż w małym stopniu uzdrowić to miejsce? Już sama myśl była przytłaczająca, a mimo to nie opuszczała go ani na chwilę.

I Sammy, i Kenny, i Jessie... był też ten drugi przytłaczający, i nawet bardziej palący problem, i nie miał pojęcia, od czego zacząć.

Wykopał łopian i rzucił go na stos.

A teraz to. Instytucja? Nie zwiastowało to nic dobrego. Mule nie znał żadnych szczegółów, rozmawiał jedynie przez telefon z firmą pośredniczącą w handlu nieruchomościami, która była zainteresowana zebraniem podstawowych informacji o Fernbank.

— „Nie troszczcie się więc zbyt o jutro...” — wyszeptał, cytując świętego Mateusza.

A głośno dodał, cytując czwarty rozdział z Listu do Filipian:

— „O nic się już zbyt nie troskajcie, ale w każdej sprawie wasze prośby przedstawiajcie Bogu w modlitwie i błaganu z dziękczynieniem! A pokój Boży, który przewyższa wszelki umysł, będzie strzegł waszych serc i myśli w Chrystusie Jezusie”.

Wszystko robił źle. Jak zwykle próbował się skoncentrować na ogólnym obrazie.

Spojrzał na kamienne płytki, które razem z Cynthią ułożyli rok temu, tworząc w ten sposób ścieżkę przez żywopłot. Właśnie! Tuż pod jego nosem.

Krok po kroku. Oto odpowiedź.

## Rozdział trzeci

### EDEN

— Wiesz, jak to niektórzy uważają, że my w Mitford nie mamy nic lepszego do roboty, jak tylko przyglądać się łuszczącej się farbie?

— Tak.

Emma prychnęła z obrzydzeniem.

— Dom Macka Stroupe'a mógł być obiektem naszych westchnień przez ostatnie piętnaście lat.

— Nie przejeżdżałem tamtędy już od dość dawna.

— Wyglądał jak jakaś rudera w Creek, dopóki... no spróbuj zgadnąć co?

— Nie mam pojęcia.

— Zajechały tam dzisiaj rano cztery półciężarówki, z ludźmi i z drabinami. Pierwszą warstwę położyli przed dwunastą, widziałam to na własne oczy, gdy szłam do Hessie na lunch.

— Aha.

— Pomalowali go na niebiesko. Nie cierpię niebieskich domów. Ktoś kiedyś powiedział, że niebieski jest kolorem władzy — to dlatego policjanci noszą niebieski. Podobno w tym kolorze wygląda się tak, jakby się było kimś!

— No, no...

— A weźmy na przykład różowy. Jak myślisz, co się stało, gdy szeryf w Teksasie wymalował cele więzienne na różowo? Więźniowie się uspokoili, koniec z przemocą, czy to nie rewelacyjne?

— Istotnie — przyznał jej rację, przyklejając do podpórki na książki drewnianą podstawę. — I to w dodatku w Teksasie.

— Jak myślisz, skąd Mack Stroupe bierze na to wszystko pieniądze?

— Jakie pieniądze?

— Na nowy samochód, na malowanie domu. Słyszałam nawet, że zrobił sobie manicure u Fancy Skinner.

— Manicure? Mack?

— Manicure — potwierdziła lodowatym głosem.

— Wielkie nieba.

Zaczynało to wyglądać poważnie.

— Nie zrobił sobie jednocześnie maseczki, prawda?

— Maseczki? Na co mu maseczka, skoro jest w stanie kłamać, oszukiwać i kraść bez niej?

— Daj spokój, Emmo, nic nie wiem o żadnej kradzieży.

— Może ty nie wiesz, ale ja wiem. Spojrzała na niego z wyższością.

Unikaj plotek! Tak mówiło Pismo Święte. Trudno byłoby wyrazić to prostszymi słowami.

— Wychodzę na parę minut. Znosi się na deszcz, więc lepiej zamknij okna, zanim wyjdiesz. Przekaż Haroldowi moje gratulacje z okazji awansu z doręczyciela na pracownika sortującego korespondencję.

— Sortującego korespondencję i obsługującego klientów — sprostowała dumnie Emma.

— Winnie! — zawołał w chwili, gdy rozległ się dźwięk dzwonka nad drzwiami cukierni.

Do licha, jeśli nie kochał zapachu tego miejsca. Co się stanie, jeśli cukiernia zostanie sprzedana? Każdy może się tu wprowadzić i handlować wszelkiego rodzaju towarami i wyrobami. Czy kartki i artykuły piśmienne mogą pachnieć tak cudownie albo artykuły różne, albo gospodarstwo domowe?

Pięć lat wcześniej, zanim on pojawił się na scenie, Winnie udało się zebrać pieniądze na tę witrynę sklepową, wymalowała ją w środku i na zewnątrz, zainstalowała piece i używane szklane gabloty, ozdobiła okno napisem Cukiernia Sweet Stuff i rozpoczęła dwudziestoletni okres ciężkiej i niestrudzonej pracy.

Jej ujmujący uśmiech i dobre serce stały się symbolem tej ulicy. Czyż nie żywiła wiernie panny Rose i wujaszka Billy'ego, gdy starsza para nadciągała chwiejnym krokiem po swój codzienny poczęstunek? Tak, a na dodatek dawała im jeszcze coś do domu, dla ptaków.

Znalazł ją w kuchni. Siedziała na taborecie i pisała coś na kawałku papieru.

— Winnie, wreszcie cię znalazłem! Rozpromieniła się na widok gościa.

— Proszę się poczęstować ciastkiem owsianym — zaprosiła, podsuwając mu tacę. — Dietetyczne.

Nagle poczuł się szczęśliwy jak dziecko.

— No cóż, w takim razie...



Usiadł na drugim taborecie i żuł powoli swoje ciastko.

— Wiesz, Winnie, zastanawiałem się...

Okrągła twarz Winnie spoważniała. Nigdy nie wiedziała, nad czym zastanawiają się księża.

— Sweet Stuff nie jest cukiernią.

— Nie?

— Jest instytucją! Czy musisz wyjechać do Tennessee? Czy nie możemy cię tutaj zatrzymać?

— Mogę tu zostać do końca świata, zważywszy na to, jak się mają sprawy. Nikt nawet nie zainteresował się kupnem cukierni.

— Zobaczysz, że znajdą się chętni, wspomnisz moje słowa. Bóg ma najlepsze wyczucie chwili, nawet w handlu nieruchomościami.

— Gdybym w to nie wierzyła, wyskoczyłabym przez okno.

— Nie musiałabyś skakać daleko — pocieszył ją, spoglądając na widoczny przez firanki chodnik.

Winnie roześmiała się. Uwielbiał, gdy Winnie się śmiała. Dźwięk jej śmiechu rozlegał się tu znacznie częściej niż dzwonek kasy, ale radziła sobie nieźle. Odniosła sukces.

— Za chwilę idę do domu — westchnęła. — Już nie jestem taka młoda jak kiedyś.

— A kto jest? Ja sam zbieram się już wkrótce, wstąpiłem jedynie się przywitać. Jak ci się podoba mieszkanie na Lilac Road?

— Tęsknię za moim małym domkiem nad strumieniem, ale ten młody kaznodzieja z Domu Nadziei dobrze się nim opiekuje.

— Scott Murphy...

— Umył okna! Te okna nigdy nie były myte! Są zawsze brudne, ponieważ mój dom stoi tak blisko drogi.

— Cóż, nigdy nie zauważyłem tam dużego ruchu. Siedzieli w ciszy, podczas gdy on kończył jeść ciastko.

— Proszę się poczęstować jeszcze jednym — zachęcała go szczerze.

Skorzystał z zaproszenia. Ciastko było miękkie i chrupiące, dokładnie tak jak lubił, a na dodatek dietetyczne. To z pewnością był jego dzień.

— Czy miałaś jakieś wiadomości od Joe?

— Tęskni za domem.

— Ale przecież Tennessee to jest jego dom.

— Tak, ale Mitford jeszcze bardziej. Nie mieszkał w Tennessee od pięćdziesięciu lat. Prawdę powiedziawszy, ojczyste, wcale nie chcę za bardzo tam wyjeżdżać, ale zostałam tu w Mitford zupełnie bez rodziny, więc wydaje mi się to właściwym rozwiązaniem.

Czasami to, co wydaje się właściwe, wcale takie do końca nie jest, ale kim on jest, żeby to mówić?

— Proszę spojrzeć — zaczęła Winnie, pokazując mu kartkę papieru, na której pisała. — Postanowiłam się zgłosić do tego konkursu na dwadzieścia pięć słów lub mniej. Jest ojciec wykształcony, czy mógłby ojciec sprawdzić, czy nie zrobiłam jakiegoś błędu?

Wziął kartkę papieru.

„Używam mąki Golden Band, ponieważ jest lekka i dobrze się wyrabia. Również dlatego, że moja mama i babcia jej używały. Golden Band! Z pokolenia na pokolenie jest najlepsza”.

— Nie dają człowiekowi zbyt wiele miejsca na popisy — zauważył. — A wygląda na to, że masz tu dwadzieścia osiem słów.

— Ojej! Źle policzyłam. Jak ojciec myśli, co można pominąć?

— Spójrzmy. Mogłabyś opuścić „moja” i powiedzieć: „dlatego, że Mama i Babcia jej używały”.

— Dobrze! Zostały nam jeszcze dwa!

— To trudne — przyznał.

— Wiem. Piszę to od czterech dni. Ale niech ojciec spojrzy, fundują rejs statkiem, jeśli się wygra! Po Morzu Karaibskim! Czy był tam ojciec kiedyś? — Nigdy.

— Tyle tylko, że to dla dwóch osób. Z kim bym pojechała?

— Zastanowisz się nad tym, jak już wygrasz — poradził. — W porządku, a co powiesz na to? „Przez wszystkie pokolenia Golden Band jest najlepsza”.

— Ile słów? — zapytała, wstrzymując oddech.

— Dwadzieścia pięć, dokładnie! Odchrząknął i przeczytał na głos:

— „Używam Golden Band, ponieważ jest lekka i dobrze się wyrabia. Również dlatego, że Mama i Babcia jej używały. Przez wszystkie pokolenia Golden Band jest najlepsza!”

— Hm, brzmi naprawdę dobrze! Winnie promieniała.

— Proszę przeczytać jeszcze raz!

Przeczytał jeszcze raz swoim głosem kaznodziei. Wydawało mu się, że medalowy cukiernik w miasteczku spadnie z emocji z krzesła. Dlaczego jego kongregacja nie mogłaby bardziej przypominać Winnie Ivey, na litość boską?

Gdy wychodził z cukierni, zobaczył kaznodzieję z Kościoła baptystów w Mitford, Billa Sprouse'a, biegnącego w jego kierunku lekkim truchtem.

— Pracuje ojciec w terenie, prawda? — zapytał serdeczny duchowny, ściskając mu dłoń.

— O tak, a dzień jest wyjątkowo sprzyjający!

— Amen! Chciałbym zacząć na południowym końcu i spotkalibyśmy się w środku na kawę, ale muszę odprawić pogrzeb.

— Ja, z drugiej strony, miałem dzisiaj rano chrzciny. Bill poprawił białą różę w klapie.

— Powitania i pożegnania! Wokół tego kręci się cały ten biznes, w którym pracujemy!

— Do zobaczenia pod pomnikiem! — pożegnał się pastor.

Odkąd nadeszła wiosna, często spotykali się o tej samej porze pod pomnikiem w towarzystwie swoich psów, które wyprowadzali na wieczorny spacer.

Wstąpił do Księgarni Szczęśliwych Zakończeń, żeby sprawdzić, czy przyszły już książki, które zamówił.

— Jak się podoba ojcu nowa książka o motylach? — zapytała Hope Winchester.

Swoje długie kasztanowe włosy związała z tyłu i wyglądała czarująco.

— Dokładnie o to mi chodziło! — zawołał. — Powinnaś napisać recenzję tej książki dla „Muse” i zanim byś się obejrzała, połowa Mitford byłaby pochłonięta przyciąganiem motyli.

— To bardzo kuszący pomysł! — zgodziła się.

— Dziękuję.

— Miasto Motyli! Ściągaliby tu ludzie ze wszystkich stron.

— Nie wydaje mi się, żeby miało to jakoś szczególnie przypaść do gustu pani burmistrz. Chyba że, oczywiście, wszyscy wracaliby na noc do domu.

— Cóż, ojciec, postępowanie nie ominie Mitford, bez względu na to, czy będzie się to podobało naszej pani burmistrz, czy nie. Nie możemy siedzieć tu beczynnie, nie rozwijając się i nie adaptując do nowych czasów! I niech ojciec tylko pomyśli. Ludzie, którzy lubią motyle, byliby ludźmi, którzy lubią książki!

— Aha. No cóż, z pewnością masz w tym względzie rację.

— Czasami nasza pani burmistrz bywa odrobinę zbyt wyniosła.

Uśmiechnął się.

— Czyż nie zdarza się to nam wszystkim? Czy moje książki już przyszły?

— Zobaczmy — odparła — to był zbiór etymologiczny, wydaje mi się.

— *Amo, amas, amat* — wyliczył, kiwając głową.

— Naprawdę! — prychnęła Helen Huffman, właścicielka. — A może tak nauczylibyście się mówić po angielsku?

— Ojciec, czy nie przeszkadzam?

Usłyszał niepokój w głosie Olivii Harper, gdy zadzwoniła do niego do kancelarii.

— Ty nigdy nie przeszkadzasz — odparł z przekonaniem.

— Lace wybrała się do Creek, żeby odwiedzić swojego przyjaciela Harleya. Prosiłam ją, żeby nie szła, ojciec, wiem, jakie to może być niebezpieczne. Ona jednak poszła i jest teraz w domu, twierdząc, że Harley jest chory i że wraca, żeby się nim zaopiekować. Hoppy właśnie operuje, a ja nie wiem... Proszę. Pakuje swoje rzeczy. Ojciec jest w tym taki dobry.

— Zaraz tam będę — obiecał.

Barnaba wskoczył na siedzenie pasażera w jego buicku i ruszyli w górę Old Church Lane.

Nie, wcale nie był w tym taki dobry. Ani trochę. Lata, które spędził z Dooleyem Barlowe'em, były jednym z najtrudniejszych okresów w jego życiu; wszystko robił na wycucie, ogromnie ryzykując, a jakkolwiek sukces zawdzięczał żarliwej modlitwie. Kto mógł być dobry w znajomości właściwych

parametrów dla zranionych dzieciaków? Mimo to, do licha, jego praca polegała na znajomości parametrami i właśnie dlatego — zarówno jedno, jak i drugie — tak często spotykało się z pogardą i potępieniem świata.

Doskonale rozumiał dramat tej sytuacji. Lace Turner była zdecydowaną i uczuciową dziewczynką, która przez trzynaście lat w Creek przeżyła niewypowiedziane tragiczne chwile — od wczesnego dzieciństwa musiała opiekować się przykutą do łóżka mamą, a ponadto znosić brutalne zachowanie ojca, cierpiącego z powodu łącznego efektu narkotyków, alkoholu i ciągłego braku pracy.

Z powodu tych wszystkich tragedii bezzębny Harley Welch troszczył się o dobro Lace Turner, chroniąc ją, kiedy tylko mógł, przed wszelkim złem. To właśnie ciężarówką Harleya posłużyła się Lace, żeby przewieźć mamę Dooleya, wtedy jeszcze jedną mieszkankę Creek, do szpitala rok temu latem.

Przeszył go zimny dreszcz na wspomnienie Pauline Barlowe, która okrutnie poparzona przez mężczyznę, znanego jako L.M., nie tylko przeżyła horror przeszczepu skóry i utratę ucha, ale musiała żyć z gorzką świadomością że rozdała czworo ze swoich pięciorga dzieci.

Chociaż ojciec i starszy brat Lace zniknęli rok temu, nikt nie wiedział, kiedy Cate Turner może wrócić do Creek ani co mogłby zrobić, gdyby znalazł tam swoją córkę.

Skreślił w prawo, w nieomal niewidoczny podjazd prowadzący do przepastnej górskiej posiadłości Harperów. Wzrok pastora z przyjemnością spoczął na domu, z jego splukanym przez deszcz i wiatr gontem, podwójnymi kamiennymi kominami i szerokim frontowym gankiem.

Barnaba wyskoczył, szcękając zapamiętałe, zaniepokojony nagle mnóstwem wiewiórek w znajdującej się nad ich głowami gęstwinie drzew.

Dzięki Bogu, Lace znajdowała się teraz pod Opieką Harperów i radziła sobie zaskakująco dobrze w szkole w Mitford. Oczywiście nadal posługiwała się swoim ojczystym dialektem, ale ołśniła ich wszystkich umiejętnością czytania i wyjątkową inteligencją. Jego natomiast jeszcze bardziej oczarowała niesamowita głębia jej charakteru.

Kolejny Dooley Barlowe, w pewnym sensie — z całym jego trudnym i rogatym charakterem, do potęgi.

Załoczył swojemu psu smycz, przywiązał go do poręczy schodów i zawołał. Olivia pośpieszyła ku niemu korytarzem i uściśnęła go.

— Ojcze, zawsze jest ojciec gotowy nam pomagać.

— A ty nam — powiedział, odwzajemniając jej uścisk.

— Jest w swoim pokoju, pakuje się. Tak mi przykro, że jestem taka... nieudolna...

— Nie jesteś nieudolna. Usiłujesz wychować nastolatkę i poradzić sobie ze złamanym duchem.

Pomódlmy się — poprosił.

Spojrzał w jej fiołkowe oczy, które zawsze wydawały mu się wyjątkowe, i dostrzegł w nich bolesne zatroskanie.

Ujął ręce Olivii.

— Ojcie, to poważna sprawa. Obdarz nas swoją mądrością prosimy, abyśmy uczynili to, co właściwe, co przyniesie ulgę, i czego od nas oczekujesz. Daj nam również przenikliwość, za sprawą Twojego Ducha Świętego, i uczyn nasze serca wzajemnie wrażliwe na siebie i Ciebie. W imię Jezusa.

— Amen! — zawołała.

— Porozmawiamy z nią razem?

Znalazł Lace w jej pokoju. Miała na głowie swój brudny kapelusz z czasów, gdy mieszkała w Creek, i zasuwała zamek torby. Odwróciła się i spojrzała na niego złowrogo.

— Wiedziałam, że ojciec przyjdzie. Nie może mnie ojciec powstrzymać. Harley jest chory i idę.

— Co jest Harleyowi?

— Wymiotuje krwią. Ma krew w kale. Nie może jeść, ma, okropne skurcze i jest tak słaby, że nie może wstać. Ale stało się coś jeszcze gorszego.

— Co?

— Ktoś ukradł jego psy.

— Dlaczego to jest jeszcze gorsze?

Spróbuj ją zatrzymać, dopóki nie uda mu się zebrać myśli.

— Skoro nie ma jego psów, każdy może przyjść i zabrać mu pieniądze, które zaoszczędził i schował w poduszkach na łóżku. Muszę też wywieźć jego ciężarówkę, bo i ją ukradną.

— Jak myślisz, co to za choroba?

— Nie jestem lekarzem! — zawołała gniewnie.

— To może być coś zakaźnego.

— I co z tego? Harley robił to dla mnie wiele razy. Byłam bliska śmierci, a on mi usługiwał, nawet szedł i karmił moją mamę, gdy tato wyjeżdżał do pracy.

Wzięła torbę, nacisnęła kapelusz głębiej na głowę i podeszła do drzwi.

— Pójdę z tobą — powiedział.

Czy on zwariował? Był środek dnia. Kiedyś poszedł już z nią do trawionego przez narkotyki Creek, żeby wyprowadzić stamtąd Poobaw Barlowe'a — ale to było pod osłoną nocy i w całym swoim życiu nie był tak przerażony jak wtedy.

— Nie pójdzie tam ze mną ojciec w środku dnia, kaznodzieja narobiłby tylko kłopotu. Poza tym ledwo udało się ojcu wspiąć w górę zbocza tamtym razem, niewiele brakowało, a by się ojciec zabił.

Miała rację.

Robił jeden krok do przodu i dwa do tyłu przez całą drogę do góry.

— Jakie lekarstwa masz ze sobą?

Zatrzymała się i spojrzała na niego.

— Dlaczego miałabyś iść z pustymi rękami? Co możesz zrobić, nic nie wiedząc? Pojedź ze mną do szpitala, porozmawiamy z pielęgniarką.

— Nie jadę do żadnego szpitala.

— Lace. Bądź rozsądna. Nic nie zrobisz bez pomocy. Pojedź ze mną do szpitala, poproszę siostrę Kennedy, żeby zeszła do samochodu, jeśli to będzie konieczne. Przekażesz jej, co wiesz, i dowiesz się, co ona o tym myśli.

Lace spojrzała na podłogę, potem na niego.

— Niech ojciec nie próbuje mnie oszukać — zagroziła.

— Nie wydaje mi się, żeby łatwo było cię oszukać.

Dobry Boże, nie miał pojęcia, do czego może go to doprowadzić.

Siostra Kennedy pochyliła się i rozmawiała z Lace przez opuszczoną szybę w samochodzie. Lace siedziała spokojnie, ściskając w rękach flanelową torbę.

— To może być krwawiący wrzód — stwierdziła siostra Kennedy. — Czy Harley pije?

— Harley pił kiedyś bardzo dużo, ale teraz jest trzeźwy.

— Ma biegunkę?

— Okropną i w dodatku z krwią.

— Jakiego jest koloru?

— Bardzo biała. Jak płótno. Siostra zastanawiała się przez chwilę.

— Wymiotuje krwią, wydała krew, blady, słaby, skurcze, biegunka. Wszystkie symptomy krwawiącego wrzodu.

Przynajmniej — cokolwiek to było — nie było zakaźne, pomyślał pastor z ulgą. I było uleczalne.

— Jakie są prognozy? — zapytał.

— Mogę się mylić, oczywiście, ale nie wydaje mi się. Jeśli to krwawiący wrzód, można go wyleczyć antybiotykami. Dieta też ma duże znaczenie. Najważniejsze jednak, że będzie potrzebował leczenia. Będzie miał niską hemoglobinę, a to poważna sprawa.

— Nie wiem, jak mamy siostrze dziękować.

Gdy zjeżdżali w dół, nadal nie wiedział, gdzie zmierza i jak się to wszystko potoczy.

Zatrzymał samochód przy chodniku obok Oksfordzkich Antyków Andrew Gregory'ego.

— Zatrzymajmy się i przemyślmy to. Jeśli pojedziesz do Creek, nic nie będziesz mogła zrobić. Słyszałaś, co mówiła pielęgniarka, będzie się musiał poddać leczeniu. Pozwól, że poproszę szefa policji, pana Underwooda, żeby nas tam zawiózł. Zabierzemy stamtąd Harleya z pieniędzmi, ciężarówką i całą resztą.

— Gdzie by go ojciec zabrał? On nie pójdzie do szpitala.

— Nie wiem. Pozwól, że się zastanowię.

Nie do Betty Craig, to na pewno. Mały domek Betty pękał w szwach. Mieszkał tam obecnie Russell Jacks, schorowany dziadek Dooleya; mama Dooleya, Pauline Barlowe, która szukała pracy; i jej syn, Poobaw. Nie było też wolnego łóżka w Domu Nadziei, nawet gdyby Harley tam się kwalifikował, a biurokracja związana z umieszczeniem go w okręgowym domu pomocy społecznej byłaby niewyobrażalna.

— Do licha! — zawołał.

— Czy to rodzaj przekleństwa? — zapytała Lace.

— W pewnym sensie — odparł.

Był spóźniony na obiad i nie miał pojęcia, jak wytłumaczyć to wszystko żonie.

Oczywiście, była niezwykle wyrozumiała w większości spraw, musiał jej to przyznać. Jak do tej pory, nie przepędziła go z domu przy użyciu miotły ani nie kazała mu spać w salonie.

To jednak zdecydowanie mogło odwrócić bieg wypadków.

Stała w tylnych drzwiach, wyglądając go, gdy podszedł do ganku z Lace Turner i słabym, niedomagającym Harleyem Welchem.

Zawołała tylko:

— Dobry Boże!

Potem zeszła, żeby mu pomóc.

Hoppy Harper był już w drodze, zapewne ostatni z tego znakomitego gatunku lekarzy, którzy składali wizyty domowe.

Wprowadzenie Harleya po schodach do pokoju gościnnego było dużo trudniejsze niż wniesienie tą samą drogą jakiegokolwiek szafy. Chociaż szokująco kruche, bezwładne ciało Harleya zdawało się mieć wagę małego słonia. Dopiero w trójkę byli w stanie położyć Harleya do łóżka. Następnie pastor zdjął z niego ubranie i umył go, używając do tego celu małej szmatki, którą zanurzał w rondelku z wodą i z mydłem.

Harley wyglądał śmiesznie w piżamie pastora, którą natychmiast trzeba było zmienić, zważywszy na niezdolność Harleya do tego, by zdążyć na czas do pobliskiej łazienki.

— Ja tego nie zrobiłem — tłumaczył się Harley.

Rumieniec wstydu sprawił, że jego twarz nabrała naturalnego koloru.

W co się wpakował?, zastanawiał się ojciec Tim, Nie wiedział. Ale gdy Harley Welch spojrzął i uśmiechnął się do niego słabo, pastor poczuł absolutną mądrość tej impulsywnej decyzji i odwzajemnił jego uśmiech.

Położył się do łóżka wyczerpany. Lace dostała pozwolenie, żeby zostać na noc i spać obok, w pokoju Dooleya, aby czuwać nad Harleyem.

Wyciągnął ramię w poszukiwaniu żony, a ona wzięła go za rękę.

— Czy bardzo narozrabiałem? — zapytał.

Przysunęła się do niego i pocałowała delikatnie w nieomal łysy czubek głowy.

— Wysłałam za męża za kaznodzieję — uspokoiła go. — Nie bankiera, nie eksportera i nie przemysłowca. Kaznodzieję. Właśnie to robi kaznodzieja — jeśli robi to dobrze.

Nikt z członków rady parafialnej nie miał żadnych wiadomości od firmy zajmującej się handlem nieruchomościami, która zbierała informacje w miasteczku.

No cóż, zarzucili wędkę i teraz mogli jedynie czekać na kolejne branie. Ale czy ich przynęta była wystarczająco atrakcyjna? Nie mogli się o to martwić. Nie mogli zainstalować dodatkowych łazienek w nadziei, że Fernbank przyciągnie pensjonat. Nie mogli podzielić parteru na sale lekcyjne w nadziei, że Fernbank przyciągnie akademię. Koniec końców, nie mogli sobie nawet pozwolić na pomalowanie i pokrycie go dachem z nadzieją przyciągnięcia kogokolwiek.

O ósmej rano zaglądnął do ratusza i usiadł w fotelu w stylu Danish modern, który kiedyś stał w rodzinnym pokoju samej pani burmistrz. Podziękował za słabą kawę w styropianowym kubku.

— Grill? — jęknęła pani burmistrz. — Grill? Ja też to potrafię. Ray Cunningham urządza najlepsze party z grillem w kraju — oczywiście poza stanem Teksas.

— Nie wiem, czy przeciwko grillowi Wytoczyłbym grill — przyznał pastor. — Słyszałem, że Mack planuje je urządzać aż do dnia wyborów.

Pani burmistrz kończyła właśnie swoje ulubione danie fastfoodowe — bułkę z parówką.

— A niby dlaczego miałabym robić cokolwiek?! Nie potrafię sobie w ogóle wyobrazić, żeby taka zmija miała mnie pokonać, nawet gdybym była najbardziej objającym się burmistrzem, jaki kiedykolwiek piastował to stanowisko.

— Każde miasteczko byłoby zachwycone, gdybyś prowadziła jego sprawy, Esther. Spójrz tylko na ogródki przed sklepami wzdłuż Main Street, przypomnij sobie festyn miejski, który zebrał więcej pieniędzy niż jakiegokolwiek inne wydarzenie w naszej historii. Pomyśl o Dniu Róż i o tym, jak zakasałaś rękawy i pomogłaś przekształcić Porter Place w muzeum miejskie! Spójrz tylko, jak ci się udało zebrać brygadę i pomalować oraz dokonać drobnych napraw w małym domku Sophii... Lista ciągnie się bez końca.

— I popatrz tylko, jak nie słucham żadnych bredni rady. Wiesz dobrze, że mamy przynajmniej dwóch takich owaków, którzy w jednej sekundzie byliby gotowi wybudować tu fabrykę celulozy i otworzyć wysypisko śmieci.

— Nigdy nie zboczyłaś z obranego kursu, muszę ci to przyznać.

— Więc co myślisz? — zapytała Esther, wychylając się do przodu.

Pastor zauważył, że na jej skórze pojawiły się czerwone plamy, co zazwyczaj oznaczało jej entuzjazm dla słusznej walki.

— Wydaje mi się, że należy odczekać trochę i zobaczyć, co słychać we wrogim obozie.

— Dokładnie to samo powiedział Ray.

— Tymczasem mam nadzieję, że zaznaczysz swoją obecność na festynie miejskim. Słyszałem, że Mack planuje wystawić niezłe stoisko.

— Możesz na mnie liczyć! Rok temu całowałam świnie, teraz będę całować dzieci. A już wkrótce zamierzam zrobić coś dla miasta, podziękować mieszkańcom za ich poparcie przez te wszystkie lata. Dobry Boże, mam nadzieję, że rozmowa z tobą nie narusza żadnych przepisów kościelnych ani stanowych!

Roześmiał się.



— Nie wydaje mi się. Przy okazji — co powiedziałybyś na odstawienie na jakiś czas bułek z parówką? Chciałbym cię oglądać, jak sobie dobrze radzisz jeszcze przez kilka kolejnych kadencji.

Zwinęła w kulkę opakowanie z przekąski i rzuciła je do kosza.

— Nie jesteś tu służbowo — odcięła się. — Wobec tego byłabym ci wdzięczna, gdybyś przestał głosić kazania.

Szkoła kończy się za dwa tygodnie i Dooley wróci do domu.

Gdzie, na litość, znajdzie chłopcu pracę albo gdzie znajdzie ją sam Dooley? Będzie to musiało być w Mitford, które nie było kopalnią możliwości zarobkowania. Porozmawia z Lew Boydem, gdy będzie kupował benzynę, albo może człowiek, który zajmuje się kościelnymi ogrodami będzie zainteresowany dodatkową pomocą...

Jest jeszcze inna możliwość. Może razem z Cynthią będą mogli zrobić coś, czego nie robił w całym swoim życiu — wyjechać na tydzień nad morze, wynająć mały domek? Jego żona będzie wiedziała, jak się do tego zabrać. Co do ich zgodnej niechęci do piasku i zbyt dużej ilości słońca, czyż nie istniała wręcz niewspółmierna rekompensata — jak mnóstwo czasu do czytania, szum oceanu, świeże owoce morza prosto z łódki?

Dooleyowi na pewno się to spodoba i będzie mógł zabrać ze sobą Tommy'ego. Zapakują samochód i wyruszą zaraz po dwóch tygodniach, które Dooley spędzi na farmie Meadowgate.

Wakacje! Jak na człowieka słynącego ze swojego konserwatyzmu, to wielki postęp.

Gwizdząc, pośpieszył do domu.

Lace Turner nadal nosiła zniszczony kapelusz. Ale jej życie z Harperami wydobyło z niej pewne piękno. Jej kiedyś potargane włosy były teraz starannie zaczesane i związane z tyłu, potęgując żarliwą determinację widoczną w jej oczach.

— Nie jest z nim zbyt dobrze — żaliła się, wskazując na bladego, drobnego mężczyznę, który leżał w łóżku w pokoju gościnnym.

Pastor był zdania, że jak na kogoś, kto nie ma ani jednego zęba, uśmiech Harleya Welcha jest prawdziwie zaraźliwy.

— Ależ to nieprawda, wielobny, proszę jej nie słuchać. Uwzięła się na mnie.

— Nie zjadł nic prócz puddingu dla dzieci.

— Nie mogę jeść czarnego pieprzu, czerwonej papryki ani kawy i cukierków czekoladowych — żalił się Harley. — Podobno sprzyja to powstawaniu wrzodów. Prędzej umrę, niż przeżyję bez odrobiny cukierka.

— Już prawie umarłeś! — zawołała Lace.

— Jak się tu czujesz? — zapytał pastor. — Czy masz wszystko, czego ci potrzeba?

— Wszystko, o czym można zamarzyć, a na dodatek Lace i panią ojca, i Puny, które się mną opiekują. Ale uważam za swój obowiązek powiedzieć ojcu, że za młodu nie wylewałem za kołnierz, i martwię się, czy na pewno Pan chciałby, żebym leżał w tym łóżku.

— Wydaje mi się, że to właśnie On cię do niego położył — uspokoił go pastor.

Długie i chude palce Harleya zacisnęły się na kocu.

— Nie zawsze żyłem tak, jak należy — stwierdził, patrząc pastorowi prosto w oczy.

— Nikomu się to jeszcze nie udało — pocieszył go ojciec Tim, odwzajemniając jego spojrzenie.

— Opuściłam żaluzje — wyjaśniła Lace — ponieważ on nie może przebywać w świetle dziennym, musi przyjmować tę tetra...cyklinę cztery razy dziennie przez trzy tygodnie. Musi też wziąć wszystko, co znajduje się w tej drugiej butelce, i proszę tu spojrzeć — dwa razy dziennie musi łykać pepto-bismol.

— W całym swoim życiu nie żyłem tak nędznie — skarżył się Harley.

Ojciec Tim usiadł na brzegu łóżka.

— Doktor Harper mówi, że wyzdrowiejesz. Chcę, żebyś wiedział, że cieszymy się, że jesteś z nami, i chcemy, żebyś nabrał sił.

— Musi jeść sześć razy dziennie. Nie jest nam łatwo z Cynthią wymyślić sześć przekąsek dla kogoś, kto nie ma zębów.

— Zęby zawsze sprawiały mi jedynie kłopoty — wyjaśnił Harley, uśmiechając się słabo. — Niektóre wypadły, niektóre wyrwałem, a pozostałe ktoś mi wybił. Przyzwyczyłem się do tego, co mam. Zęby zajmowały tyle miejsca.

— Przychodzę po szkole i zostaję na noc — poinformowała go Lace. — Olivia i Cynthia się zgodziły.

— To dobrze, Lace. Cieszę się, że jesteś tu z nami. Masz wspaniałą przyjaciółkę, Harley.

Harley uśmiechnął się.

— O tak, dobra z niej dziewczyna. Ale strasznie twarda dla chorych.

— No cóż, leżysz na swoich pieniądzach, a twoja ciężarówka jest u Lew Boyda, gdzie wymieniają w niej olej zgodnie z życzeniem, więc możesz spokojnie odpoczywać.

— To straszne, że tak zaniedbałem ten olej, ale ostatnio musiałem się pogodzić z zaniedbaniem wielu rzeczy. Nie chciałem, żeby wielebny się tym zajmował. Zamierzam zrobić coś dla ojca i dla pani, jak tylko stanę na nogi.

— Och, ale wcale nie chciałem...

— Wiem, że ojciec nie chciał, ale zamierzam to zrobić. Leżę tu i wszystko obmyślam. Lace mówiła mi, że ma ojciec buicka, który ma już swoje lata, i może mógłbym zrobić gruntowny remont silnika.

Ojciec Tim roześmiał się serdecznie.

— Zrobić gruntowny remont silnika?

— Gdy skończyłem z alkoholem, zająłem się wyścigami samochodowymi.

Czy mu się wydawało, czy rzeczywiście policzki Harleya Welcha nagle się zarumieniły?

— Byłeś kierowcą?

— Nie, proszę ojca. Byłem szefem ekipy Juniora Watsona.

— Juniora Watsona! A niech mnie!

Harley uśmiechał się jeszcze szerzej. Nie myślał, że duchowni mogą wiedzieć o takich sprawach.

Tak, to wszystko tłumaczy, rozmyślał pastor, schodząc po schodach. Wczoraj wyjechał starą ciężarówką Harleya na Main Street i myślał, że będzie się musiał niezłe namęczyć, żeby doprowadzić ją do odległej o dwie przecznice stacji Lew Boyda. Gdy nacisnął gwałtownie na pedał gazu, czekała go jednak niespodzianka. Przemknął obok policyjnego samochodu Rodneya Underwooda, jakby ktoś wystrzelił go z procy.

Nigdy wcześniej nie udało mu się pokonać odcinka pomiędzy Wisteria Lane a pomnikiem miejskim w tak rekordowo krótkim czasie, z wyjątkiem tych rzadkich okazji, gdy Barnaba miał ochotę załatwić swoją potrzebę pod ulubionym, rosnącym tam bukszpanem.

— Architekt krajobrazów — obwieściła Emma.

Jej usta zacisnęły się następnie tak szczelnie, jak zapięcie plastikowej torby Ziploc.

— Architekt krajobrazów? — usiłował zrozumieć. — U Macka Stroupe'a.

— U Macka Stroupe'a?

— Żywopłoty. Krzewy. Krzaki.

Powodowana wściekłością jego sekretarka ograniczyła się do telegraficznego skrótu.

— Trawa — dodała z obrzydzeniem.

Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek widział trawę na podwórku Macka. Może mlecze...

— A na dodatek...

— A na dodatek co?

Emma spojrzała na niego sponad swoich połówkowych szkielec.

— Lucy Stroupe farbuje sobie dzisiaj włosy!

Manicure, architekt krajobrazów, farbowane włosy. Nie przypominał sobie, kiedy ostatnio był tak zdezorientowany przez wydarzenia polityczne — na skalę lokalną czy też większą.

Wydawało mu się, że jego ogród nigdy wcześniej nie wyglądał tak pięknie. Przepelniał go dziwnym poczuciem tęsknoty i radości jednocześnie.

Z pewnością bywały też inne, teraz zapomniane chwile, kiedy piękno i tajemniczość tego niewielkiego miejsca, zamkniętego pomiędzy domem i żywopłotem, poruszały go w taki sposób...

Poranna mgła unosiła się nad ciepłą ziemią i snuła po ogrodzie, przywodząc na myśl parujące bagna. Pod przezroczystą warstwą szarości rozciągał się wibrujący szmaragd świeżo skoszonej trawy i rozwijające się liście funkii. Opodal, na rabacie bujnej tawułki, wiły się nowe pędy krzewów truskawek, których kwiaty jaśniały we mgle niczym różowe ognie.

Był to moment doskonałości, którego prawdopodobnie nie znajdzie już po raz drugi w tym roku, siedział więc nieruchomo, nieomal wstrzymując oddech.

W uprawie ogrodu były chwile wzniosłe, gdy się kopało i sadziło, dźwigało i przemieszczało, a potem przyziemne, gdy się plewiło i doglądało, i podlewało, i pracowało w pocie czoła. Trzeba było być

niezwykle uważnym, aby uchwycić ten moment pośrodku, wierzchołek góry, gdy doskonałość stawała się tak ulotna jak muśnięcie motyla siadającego na wyciągniętej dłoni.

Przez tę jedną niepowtarzalną chwilę ich ogród był wszystkimi ogrodami, najwspanialszym z ogrodów, tak jak dzika jeżyna, którą znalazł rok temu, była najwspanialszą z jeżyn.

Pamiętał ją dokładnie, pamiętał, jak przyglądał się jej niezwykle, wydłużonemu kształtowi i jak wkładał ją do ust. Jeżyna rozprysła się smakiem, który w jednej chwili przeniósł go do dzieciństwa, do wieku niewinności i bosych stóp, i kleszczy, i wolności. Jeżyna, która rozpałała jego usta słodyczą i serce wspomnieniami, była wszystkimi jeżynami, których będzie potrzebował jeszcze przez długi czas, działała tyle, co setki letnich jeżyn.

Spojrzał na baldachim z różowego derenia, który zasadził lata temu, na pąki rododendronu tak ogromne, jak staromodne bożonarodzeniowe światełka, i na łądygi swoich francuskich róż o średnicy jego wskazującego palca.

Co ważniejsze, każda rabata przyozdobiona była najżyźniejszym, najczarniejszym kompostem, jaki udało mu się znaleźć. Pojechał do krainy, którą zamieszkiwali klasycy produkcji nawozu, i trafił na farmera, który zgodził się dostarczyć mu ciężarówkę zgniłego produktu pod same drzwi. Nie oddałby go za złoto...

Wciągnął głęboki łyk czystego, górskiego powietrza i zamknął oczy. Piękno w jego przypadku musiało być dawkowane, nigdy nie był w stanie podziwiać ogromnego piękna przez długie chwile; musiał robić sobie krótkie przerwy na odpoczynek, jak w muzyce.

— Czy modlisz się, kochanie?

Nadeszła jego żona i usiadła obok, obejmując go w pasie ramieniem.

Zanurzył nos w jej włosach.

— Jesteś.

— Jeszcze nigdy nie było tu tak pięknie — szepnęła. Sikorka zanurkowała w krzakach. Zięba wzbiła się w górę.

— „Kto kocha ogród, nie opuszcza Edenu” — stwierdziła, cytując Bronsona Alcottą\*.

\* (Amos) Bronson Alcott (1799-1888) — amerykański pedagog i filozof.

Społgądał na ten Eden przez lata w całkowitej samotności. Stare przysłowie, że posiadanie kochanej osoby podwaja radość i dzieli smutki, było — jak większość starych przysłów — pełne najzwyczajszej prawdy.

Chciał coś powiedzieć, coś, by wiedziała, że jej obecność u jego boku znaczy tak wiele, więcej niż cała reszta.

— Kupię nam dzisiaj nową patelnię — oznajmił.

Odsunęła się i spojrzała na niego. Potem roześmiała się w głos, sprawiając, że wszystkie ptaki wystrzeliły z żywopłotu niczym kule armatnie.

Nie chciał tego powiedzieć. Wcale nie chciał tego powiedzieć!

## Rozdział czwarty

### PEŁEN DOM

Włożył kilogram wątróbki i paczkę Kit Katów do papierowej torby, po czym wyruszył spacerem do Betty Craig.

Jak to dobrze, że jego żona nie pracowała obecnie nad żadną książką — siedzieli wczoraj jak nastolatki, rozmawiając do północy (czuli się jak konspiratorzy za zamkniętymi drzwiami sypialni) i omawiając w końcu kwestię rodzeństwa Dooleya.

— Nie wiem, Timothy — żaliła się przygnębiona. — Nie wiem, jak szukać zaginionych dzieci.

Dlaczego zawsze myślał, że jego żona zna odpowiedzi na wszystkie trudne pytania? Nawet on miał dość rozsądku, by wierzyć, że ogłoszenia na kartonach z mlekiem\*, jakkolwiek szlachetny byłby to gest, nie są prawdopodobnie odpowiedzią.

\* Kartony z mlekiem — popularne w USA miejsce zamieszczania ogłoszeń, na przykład o zaginionych dzieciach.

— Musisz nakłonić Pauline, żeby opowiedziała ci wszystko, co wie — poradziła Cynthia. — Mówi, że nie pamięta dokładnie, ale to dlatego, że wspomnienia są tak bolesne. Ona nie chce pamiętać.

Jego żona przechyliła głowę na bok.

— Nie zamieniłabym się z tobą pracą, najdroższy. Wszyscy mu to powtarzali.

Zajrzał przez drzwi z siatką Betty Craig i zawołał.

— To ojciec! — ucieszyła się Betty, śpiesząc mu na powitanie. Uścisnął ją i podał torbę.

— To, co zwykle — wyjaśnił, śmiejąc się.

— Mały Poobaw polubił wątróbkę, zupełnie jak jego dziadek! Nie starczy tego na długo — stwierdziła, oceniając zawartość.

Russell Jacks przyczłapał do kuchni z uśmiechem na twarzy.

— To ojciec, Pauline! Chodź i zobacz.

Stary kościelny znacznie się postarzał, ale nigdy nie będzie wspanialszego ogrodnika, myślał pastor. Prawdziwy Capability Brown... Mężczyźni objęli się.

— Robi mi małą szafkę na narzędzia, proszę zobaczyć! — zachęcała Betty Craig, ciągnąc go za rękaw.

— Na pewno ojciec myśli, że jeśli ktoś jest w stanie zrobić szafkę, to może doglądać kościelnych ogrodów — tłumaczył się Russell — ale brak mi powietrza w płucach, żeby sadzić i grabić, i kopać, i tak dalej.

Wyglądał na zawstydzonego.

— Rozumiem. Wiem o tym. A próchnica szkodzi ci na płuca. Russell odetchnął z ulgą, gdy wychodzili na tylny ganek.

— Widzi ojciec? To była drewniana skrzynka, a ja przerabiam ją na szafkę na konewki i ziarno dla ptaków i tak dalej. Montuję do niej uchwyty, które zdyłem z drzwi do szopy na narzędzia. Gdybym miał dość siły, rozebrałbym tę szopę, zanim sama się rozpadnie.

— Możemy ci w tym pomóc razem z Dooleyem tego lata. Wiesz, że wraca do domu za dwa tygodnie.

— Tak, proszę ojca, i będzie to dla jego mamy najlepszym lekarstwem. Nigdzie nie znalazła pracy i trochę jest tym przygnębiona.

— Rozumiem, ale coś się znajdzie, wspomnisz moje słowa.

— Och, ja wiem, że ojciec nigdy się nie myli. Wiem to już od dłuższego czasu. A dokładnie mówiąc, od piętnastu lat.

Poobaw podszedł do drzwi z siatką i wyjrzał nieśmiało. Tuż za chłopcem stała jego mama.

— Ojczy? — przywitała go.

Do jej oczu natychmiast napłynęły łzy i zaczęły spływać po policzkach.

— Ojej — westchnął Russell, spoglądając na płytki na ganku.

— Nie wiem — odpowiedziała Pauline. — Nie pamiętam.

Jej atak płaczu minął i siedziała teraz spokojnie razem z nim w sypialni na tyłach domu Betty Craig.

— Musisz pamiętać.

Zauważył fragment skóry po lewej stronie jej twarzy, zaledwie jedno z miejsc, w którym dokonano przeszczepu — miał odrobinę inny kolor, a wzdłuż jego krawędzi ciągnęła się blizna, jak blade szycie na kapie. Jej długie brązowe włosy z rudymi przebłyskami zasłaniały brakujące lewe ucho i zakrywały większość przeszczepu na szyi. Cud, że tutaj z nim siedzi...

Siedzieli przez chwilę bez słowa. Nie będzie próbował wypełnić przerw w ich rozmowie pustymi frazesami. Zmusi ją, jeśli mu się to uda, do zrobienia tego, czego się obawiała. Ale on bał się jeszcze bardziej. Nie chciał nikogo wtrącać w rozpacz. Bez tego jednak nie mógł jej pomóc w dotrzymaniu obietnicy złożonej, gdy leżała niema i cierpiąca po strasznych oparzeniach.

— Holding — rzuciła, odwracając wzrok.

— Mieszkałaś w Holding?

— Tak. Dalsza kuzynka mamy, Rhody, przyjechała i zabrała Jessie. Nigdy nie powiedziałam tacie, kto to zrobił.

Nadal unikała jego wzroku.

— Pamiętam, że następnego ranka zauważyłam, że nie ma Jessie, i znalazłam kartkę. Rhody pisała, że zabiera Jessie na zawsze i że bym jej nie szukała.

Nastąpiła długa chwila ciszy i Pauline pochyliła głowę.

— Nie szukałam jej. Sprawy miały się wtedy już tak źle... Cierpiała, ale bez łez.

Czekał.

— ...wiedziałam, że nie będę mogła się nią zaopiekować, że mogę zrobić jej krzywdę, czasami traciłam panowanie nad sobą i rzucałam rzeczami. Pamiętam, jak uderzyłam Dooleya, to było na Boże Narodzenie...

Schowwała głowę w dłoniach.

— Zjechał z góry na swoim nowym rowerze, żeby mnie zobaczyć, mieszkał wtedy z ojcem. Sprawiał mu ogromny ból, gdy go uderzyłam, a on nigdy się nie poskarżył.

Dooley! Miał ochotę wsiąść do samochodu i pojechać do Wirginii, i znaleźć go w jego klasie, i przywieźć do domu, i kochać, i zabrać na ryby, chociaż nie miał pojęcia, jak się to robi. Przypomniawszy sobie, jak po raz pierwszy zobaczył porzuconego chłopca w spodniach na szelkach i jego piegowatą twarz zdradzającą taką ciekawość świata...

— Pamiętam, że odjechał na swoim rowerze, a ja myślałam... zabiję się, nie zasługuję na to, żeby żyć, I próbowałam, ojczy, naprawdę. Próbowałam zapać się na śmierć.

Modlił się za nią po cichu.

— Nie wiem, gdzie jest Rhody, chciałabym móc powiedzieć, że jest dobrym człowiekiem, ale... nie jest. Myślę, że cieszyła się, widząc, jak się staczam, i że była zadowolona, że może uciec z jednym z moich dzieci.

Pauline odetchnęła głęboko.

— Próbowałam jej wybaczyć. Czasami potrafię, czasami nie. Ale... może Jessie miała szczęście, że ktoś ją zabrał.

Nie wszystko naraz — zdawało się podpowiadać mu serce. To nie był odpowiedni dzień, żeby mówić o Samym i Kennym.

Obeszli rozpadającą się szopę, przyglądając się jej dokładnie. Po co owijać w bawełnę?

— Russell, opowiedz mi o kuzynce twojej żony, Rhody. Starszy mężczyzna spojrział na niego poważnie.

— Jak dla mnie, nieszczerza. Dwulicowa. Nie widywałem się z nią często od czasu śmierci Idy.

— Jak mogę ją znaleźć?

— Nie mam pojęcia. Jej mężczyzna ją zostawił, pracował kiedyś na poczcie w Holding, ale nie wiem, co się z nim stało. Jej mama umarła, myślę, że nic nie trzymało jej w Holding. Wydaje mi się, że ostatnie wiadomości, jakie o niej miałem, to, że wyjechała gdzieś na Florydę.

— Nie przypominasz sobie, gdzie dokładnie?

— Ojej, zupełnie nie pamiętam. Chyba zaczynało się na L. Może Los Angeles.

— Aha — przytaknął.

Gdy przejdzie na emeryturę, odchodząc z Lord's Chapel, i wyprowadzi się z obecnie zajmowanego domu, mały żółty domek obok stanie się ich domem. A to prawdziwa klitka.

Był już najwyższy czas, myślał, aby znaleźć jakiegoś architekta, który powie im, jak dodać oszkloną werandę i pracownię, powiększyć łazienkę na dole oraz garaż Cynthii.

A skoro już mowa o projektach rozbudowy, nadszedł również czas, żeby zadzwonić do prezesa firmy Bucka Leepera — ludzi, którzy tak śpiewająco wywiązali się z budowy Domu Nadziei, i sprawdzić, czy może zarezerwować Bucka na nadzorcę projektu adaptacji kościelnego strychu.

To i znalezienie pracy dla Dooleya. I przeglądnięcie strychu panny Sadie. I obmyślenie, co zrobić z posiadłością Fernbank, zanim tak bardzo zniszczeje, że nic już nie da się z nią zrobić, koniec kropka.

Nic dziwnego, że nigdy nie wspiął się po szczeblach kariery aż do godności biskupa; mógł jedynie dziękować Bogu za to, że został wiejskim pastorem.

Śpieszył właśnie do domu, gdy Avis Packard w swoim zielonym fartuchu wyszedł przed Sklep. Drzwi z siatką zatrzasnęły się za nim.

— Przypuszczam, że nie będzie miał ojciec chłopca, który chciałby pakować warzywa tego lata? Strzał w dziesiątkę!

Sprawy miały się zupełnie inaczej, gdy dom był pełen ludzi.

Olivia często zaglądała, aby pomóc Cynthii w opiece nad mężczyzną, który nie był jeszcze w stanie zadbać o siebie. Lacey przychodziła po szkole i. odrabiała zadanie domowe w pokoju Harleya, będąc najwyraźniej dobrym lekarstwem na to, co mu dolegało.

Violet spędzała więcej czasu w ich domu, ponieważ jej pani nie bywała często w małym żółtym domku, a Barnaba leżał, wyczekując cudownej okazji, kiedy to znajdzie Violet na podłodze, a nie na szczycie lodówki. Kot zarekwirował to miejsce na swoją stałą siedzibę i dzielił je jedynie z gloksynią w doniczce.

— Idealnie! — oceniła Cynthia.

Kładła tam jedzenie Violet z taką nonszalancją, jakby wszystkie koty mieszkały na lodówkach.

Ponieważ dom wymagał teraz zwiększonego nakładu pracy, czasami gdy wracał, Puny wciąż tam była razem z bliźniaczkami.

Piąta po południu, z jego punktu widzenia, zupełnie przypominała dziesiątą rano. Bardzo często chodziła pralka, warczał odkurzacz, mikser wytwarzał odżywcze porcje dla bezzębnych i chorych, a bliźniaczki huśtały się w swoich płóciennych siodełkach wiszących w drzwiach do kuchni.

Wszystko to zupełnie nie przeszkadzało Barnabie, który siedział cierpliwie przed lodówką, tarasując ruch i przyglądając się żałośnie Violet, gardzącej każdym jego ruchem.

Dom wariatów!, myślał, uśmiechając się. Do licha, jeśli większość mężczyzn nie uciekłyby przed czymś takim gdzie pieprz rośnie. Ale po sześćdziesięciu latach bycia jedynakiem, i kawalerem na dodatek,



wszystko to wydawało mu się cudowne — prawdziwa eksplozja śmiechu, trzasków, uderzeń i kwilenia. Nie życzyłby tego najgorszemu wrogowi, ale jeśli chodzi o niego samego, był zafascynowany innością.

— Zapraszam, wielebny!

Harley siedział w łóżku i jadł jedną ze swoich przekąsek.

— Co słyhać? — zapytała Lace, nie spuszczać wzroku ze swojego pacjenta.

Jakie cywilizowane powitanie! Olivia osiągała znaczne postępy w pracy nad swoją nieugiętą podopieczną.

— Wszystko w porządku. A co u ciebie?

— OK. Harley, jeśli schowasz ten chleb bananowy i nie zjesz go, to dostaniesz w głowę.

Harley uśmiechnął się.

— Widzi ojciec? Człowiek nie ma szansy. Jest jak poborca podatkowy, który szuka ciężarówka przemycającej alkohol. Ma oczy dookoła głowy.

— Jesteś dzisiaj silniejszy.

— O tak, proszę ojca, jestem. Nigdy w całym swoim życiu nie wylegiwałem się w takim stylu. Było nam bardzo ciężko, gdy dorastałem w Wilkes County. Byliśmy tacy biedni, że jedyną zabawką, którą mogliśmy się bawić, była gumowa piłka, i to w dodatku do połowy zjedzona przez psa.

— Trochę trudno zgadnąć, w którą stronę się odbije — zgodził się pastor.

— Do licha, byliśmy tacy biedni, że raz poszedłem do szkoły w jednym bucie. Nauczycielka zapytała mnie: „Harley, czy zgubiłeś but?”, a ja odpowiedziałem: „Nie, proszę pani, znalazłem”.

— Nie kłam — zwróciła mu uwagę Lace. — Tak nie należy. Harley wyglądał na zasmuconego.

— Nie kłamię! Coś jeszcze, wielebny, wstaję jutro z tego łóżka, i to bez dwu zdań. Wyjrzałem przez to tylne okno i zobaczyłem ojca ogród za domem. Nie zaszkodzi trochę pograbić wzdłuż żywopłotu.

Lace spojrzała gniewnie na Harleya spod runda swojego kapelusza.

— Nie ruszysz się, dopóki doktor Harper nie da ci zielonego światła.

— Boże, miej litość! Dajcie tej dziewczynie jakąś robotę. Pastor roześmiał się.

— Ona już ma robotę. A ty zostaw mój żywopłot w spokoju, przyjacielu.

— Tak mi przykro, że jestem u ojca i u pani na garnuszku.

— Nie chcę o tym słyszeć. Jedz swój chleb bananowy.

— Na Boga, teraz jest ich już dwoje — jęknął Harley, odgryzając kęs.

— I uważaj, żeby okruszki spadały na serwetkę — zwróciła mu uwagę Lace.

— Lace jest naprawdę piękna.

— Tak, ale ukrywa to pod tym strasznym kapeluszem. Pozwalamy jej nosić go w domu, oczywiście, ale nigdy do szkoły czy kościoła.

— Brzmi rozsądnie — zgodził się.

Cynthia wyszła do domku obok po formę do ciasta, a Olivia kończyła w jego towarzystwie filiżankę herbaty.

— On coś dla niej symbolizuje — wyjaśniła Olivia. — To obrona tego, kim jest, wydaję mi się, czegoś, czego nie chce dać zmienić.

— Doskonale sobie radzicie, ty i Hoppy, widzimy różnicę.

— Kochamy ją. Jest naprawdę wyjątkowa. Olivia zamieszała herbatę zamyślona.

— Być może najbardziej pragnęlibyśmy, żeby Lace nauczyła się płakać.

— A ja najbardziej pragnąłem, żeby Dooley nauczył się śmiać. Olivia uśmiechnęła się.

— Jedno od drugiego być może nie różni się tak bardzo. Śmiech, łzy... obydwie są sposobami na uwolnienie się od czegoś, na wyzwolenie. Przebaczenie... w jakiś sposób. Myślę, że to stanowi odpowiedź. Czy mówiłam ojcu, że ma same piątki?

— Niesłychane!

— Nie chodziła zbyt wiele do szkoły, prawdę powiedziawszy, ale uwielbia się uczyć i przychodzi jej to z łatwością. Siedzi z nosem w książce, słuchając radia ustawionego na stację z muzyką country.

Pili małymi łykami herbatę.

— Uwielbia Hoppy'ego, oczywiście — opowiadała Olivia.

— Jestem pewien, że ciebie też lubi.

— Nie wiem. Ze mną... walczy.

— No cóż, wiem coś o tym.

— Zabieram ją w odwiedziny do jej mamy dwa razy w tygodniu.

— Jaka jest jej mama? Olivia wolno pokręciła głową.

— Twarda i nieuprzejma. Miałam nadzieję, że będzie inna. Lace opiekowała się swoją mamą przez całe życie — Lila Turner choruje od czasu, gdy Lace nauczyła się raczkować. Wydaje mi się, że jedyną osobą, która naprawdę troszczyła się o Lace, która ją kochała, jest Harley.

— Czy Harley był kiedyś żonaty? Czy ma własne dzieci?

— Jego żona zmarła wiele lat temu, bardzo ją kochał i nigdy naprawdę nie otrząsnął się po jej śmierci. Nie mieli dzieci.

Olivia dokończyła herbatę.

— No cóż, zmieniając temat na weselszy... — zaczęła z uśmiechem. — Nasza szkoła kończy się za dwa tygodnie. Kiedy Dooley wraca do domu?

— W następny piątek — odparł. — Przyjedzie z rodzicami kolegi. Avis chce, żeby pracował tego lata w Sklepie.

— Wspaniale! Jak zniósł wiadomość, że nie będzie mógł pojechać do Meadowgate?

— Poradzi sobie z tym. Po kilku tygodniach w Sklepie i przestawianiu z Tommym, i po kilku dniach na plaży...

Wzruszył ramionami, z nadzieją.

— Wszystkiego najlepszego — powiedziała. Jej fiołkowe oczy aż błyszczały z radości.

— Wszystkiego najlepszego — z głębi serca odwzajemnił życzenie.

Avis chciał, żeby Dooley zaczął pracę jak najszybciej, co mogło oznaczać trzy dni na farmie i cztery na plaży. Albo zero dni na plaży i tydzień na farmie. Inna myśl — może Dooley chciałby zabrać Poobaw na plażę i pozwoliłby Tommy'emu zastąpić się w Sklepie, zanim Tommy rozpocznie pracę u Lew Boyda?

Dlaczego łamał sobie głowę nad czymś tak prostym? Czy powinien zadzwonić do Dooleya i powiedzieć mu, że ma dla niego pracę, która może ograniczyć nieco jego pobyt na farmie? Czy powinien w ogóle wspominać o plaży? Czy powinien poczekać, aż Dooley wróci do domu, i wtedy się tym zająć?

— Boże... — westchnął, unosząc do góry ręce.

— Billboard — oświadczyła Emma.

— Billboard?

— Mack Stroupe.

Mack na billboardzie? Czy to dlatego Mack zrobił sobie manicure? Nie miał pojęcia, jak takie rzeczy funkcjonują.

— Na autostradzie, tuż za sklepem Hattie Cloer. Bije prosto w oczy. Wyrasta przed człowiekiem, że można dostać zawału. Brzydki to mało powiedziane, jego nos zajmuje połowę tablicy. I te krzaczaste brwi, i ten przymilny uśmiech...

Emmę przeszył dreszcz.

— Co mówi ten billboard?

— Mówi: „Mack dla Mitford, Mitford dla Macka, Wybierz Stroupe'a na burmistrza”. Poprosiłam Harolda, żeby zatrzymał samochód, i zwymiotowałam.

Billboard. Zdziwiający. Kto poszukiwał nowego wizerunku dla Macka Stroupe'a?

— Czy widziałeś Lucy, od kiedy ufarbowała sobie włosy? Blondynka! Czy możesz w to uwierzyć? Miała włosy jak mysz kościelna od niepamiętnych czasów. Jak wiesz, na pewno Mack kazał jej to zrobić. Prędzej ja pomyślałabym o zgłoszeniu się do maratonu, niż Lucy wpadłaby na pomysł, żeby ufarbować sobie włosy. Ale... czy myślisz, że te blond włosy powstrzymają Macka Stroupe'a od zdradzania żony z tą czarnowłosą latawicą z Wesley? Wątpię.

Emma spojrzała na niego gniewnie, jakby to on osobiście był odpowiedzialny za cały ten romans.

— Wybierasz się na jego przyjęcie z grillem w sobotę?

— Dooley przyjeżdża w piątek i spędzimy całą sobotę w Meadowgate.

— To dobrze! Mam nadzieję, że całe miasto solidarnie zostanie w domach.

— Niestety, wielu ludzi uwielbia grill na świeżym powietrzu.

— Możesz być pewien, że Harold i ja nie zatrzymamy się tam dłużej niż piętnaście minut.

— Wybieracie się?

— Oczywiście, że się wybieramy. Chcę zobaczyć, co ta szuja ma do powiedzenia. Jak można pokonać opozycję, skoro nie wiemy, co za nią stoi?

— Aha — przyznał jej rację.

Dooley wrócił do domu i Barnaba wręcz nie posiadał się z radości. Pastor zastanawiał się, czy radość, którą ludzie tak doskonale potrafili ukrywać, nie przenosiła się w jakiś sposób na ich psy, które nie miały nic do ukrycia.

— Cześć, Barn! Cześć, kolego!

Barnaba lizał Dooleya po każdej nie osłoniętej części ciała, szczególną uwagę poświęcając jego lewemu uchu.

— Niech ojciec powie jakiś werset z Pisma Świętego! — zawołał.

Pastor roześmiał się.

— Ty powiedz jakiś werset z Pisma Świętego!

— Aaa... „Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego!” — przemówił donośnym głosem Dooley.

Barnaba opadł na podłogę i westchnął.

— Najprawdziwszy cud — oceniła Cynthia. Mówiła o jedynym znanym psie, którego temperament można było złagodzić poprzez recytowanie słów Pisma Świętego.

— No cóż, wzięłeś już kąpiel — stwierdził pastor, obejmując ramieniem chłopca w granatowej szkolnej marynarce. — Witaj w domu!

— Witaj w domu, ty olbrzymie! — zawołała Cynthia, przytulając go mocno.

— Wielkie nieba, ależ ty jesteś wysoki! Muszę zadzierać głowę!

— Jestem taki sam jak wtedy, gdy widziałas mnie ostatnio — wyjaśnił Dooley.

— W takim razie to ja musiałam się skurczyć! Ojciec Tim podniósł dwie torby.

— Pomogę zanieść ci twoje rzeczy na górę. Chcemy, żebyś kogoś poznał. Mamy gościa w pokoju gościnnym.

— Kto to?

— Harley Welch — wyjaśniła Cynthia. — Jest chory i wraca u nas do zdrowia. Włóż jakieś stare ubrania i rozgość się. Kolacja będzie gotowa za chwilę. Jesteś głodny?

— Umieram z głodu! — zawołał z przekonaniem Dooley,

Dooley wszedł do kuchni, spoglądając na nich gniewnie.

— Jakież dziewczynskie rzeczy są w moim pokoju! — stwierdził szorstko.

Cynthia wyjmowała właśnie pieczeń z piekarnika.

— Jakie rzeczy?

— Kurtka. Szczotka do włosów. Jakieś... spinki do włosów czy coś takiego.

— Lace Turner spała w twoim pokoju i pomagała opiekować się Harleyem.

Spojrzał złowrogo na Cynthię.

— Tak właśnie myślałem. Mój pokój pachnie inaczej. Lepiej niech tam więcej nie wchodzi... Nie żartuję! — zagroził, podnosząc głos.

Cynthia postawiła pieczeń na płycie kuchenki i wzięła głęboki oddech.

— W chwili obecnej jest to szczęśliwy, tętniący życiem i radosny dom. To bardzo cenne dla każdego domostwa i wszyscy musimy dołożyć wszelkich starań, żeby tak zostało. Pomoc Lace przy Harleyu była bardzo ważna, ponieważ nie mogłam wszystkiego zrobić sama. Opuściła już twój pokój i teraz ty tam jesteś. Oczekuję, że będziesz ją traktował uprzejmie, gdy się z nią spotkasz, i takiego samego traktowania oczekuję dla siebie. Kolacja jest już prawie gotowa, wszystko, co lubisz najbardziej. Jeśli rozboleł cię żołądek z powodu tego zdarzenia, co — jak się spodziewam — jest wysoce prawdopodobne, idź do swojego pokoju i pomódl się, a potem zejź na dół i jedz jak wilk.

— Masz — dodała, spoglądając na niego spokojnie — dziesięć minut.

Dooley stał przez chwilę, potem odwrócił się i wszedł po schodach na górę.

Pastor kładł widelce, noże i łyżki na stole, usiłując zachować spokój. Z jego żoną i Lace Turner pociągającymi tu za sznurki, on i Dooley mimo wszystko mogą zamarzyć o tym, żeby uciec stąd gdzie pieprz rośnie.

Dooley Barlowe był rzeczywiście wyższy i — jeśli to możliwe — chudszy. Czy za dwadzieścia tysięcy dolców rocznie ci ludzie w szkole nie dawali im się nawet porządnie najeść?

A co się stało z jego piegami?

— Czekają, aż dopadnie je słońce! — wykrzyknęła Cynthia. Co w takim razie z jego kogutem? Czy już nigdy go nie zobaczą?

— Nie w tym życiu — stwierdziła jego żona.

A jego stopnie — co z jego stopniami? Niezłe! Zupełnie niezłe! Był winien chłopcu niezłą sumkę. Kilka dwudziestek co najmniej.

— Powiesz mu? — zapytał ją po obiedzie.

— A jak myślisz?

— Myślę, że nie — zauważył lakonicznie, udając się spokojnym krokiem do salonu.

Dooley czekał na Tommy'ego, który miał do niego przyjść, i bawił się kolejką elektryczną, którą trzymali w rogu pod oknami.

— Kolego, mam dla ciebie dobre wiadomości!

W jego słowach było tyle autentyczności, ile w banknocie trzydolarowym.

— Masz pracę na lato... co oznacza, oczywiście, że...

— Wiem — przerwał mu Dooley, podnosząc wzrok.

— Wiesz?

— Avis powiedział Tommy'emu i Tommy do mnie zadzwonił. Avis zatrudnia też Tommy'ego.

— Wydawało mi się, że Tommy ma pracować u Lew Boyda.

— Miał, ale przyjechał siostrzeniec Lew i to on weźmie tę pracę. Zaczynamy w poniedziałek.

— Naprawdę?

— Punktualnie o ósmej, powiedział Avis.

— No cóż. Chcieliśmy zabrać cię nad morze na kilka dni, z Tommym i Poobaw. Zamieszkać w domku na plaży. Popływać. Coś w tym stylu.

Popływać? Nie miał pojęcia, jak się to robi, ale Cynthia pływała jak ryba.

— Popróbować trochę owoców morza. Dooley znowu bawił się pociągami.

— No wiesz... trochę się rozerwać.

Dooley spojrział na niego i uśmiechnął się niespodziewanie.

— W porządku. Cały czas coś dla mnie robicie. Praca będzie super. Będziemy się z Tommym świetnie bawić.

— Doskonale. No cóż. Gratuluję! W takim razie możemy pojechać do Meadowgate w sobotę. Na cały dzień. Jak ci to odpowiada?

— Ekstra.

— No widzisz! — zawołała Cynthia, gdy wrócił do kuchni. — Widzisz, jak łatwo poszło?

Łatwo? Wcale nie wydawało mu się to łatwe, z wyjątkiem ulgi, jaką poczuł, gdy zobaczył uśmiech Dooleya.

Ich rozmowa przyniosła oczywiście niespodziewaną rekompensatę.

Teraz nie będą musieli pakować się do samochodu i jechać przez pięć długich godzin nad morze. Może zostać właśnie tutaj, w Mitford, jak przystało na konserwatystę, za jakiego powszechnie uchodził.

Meadowgate.

Już sama nazwa działała na niego kojąco i stanowiła w istocie niezwykle trafny opis.

Szeroka, zielona łąka ciągnęła się na długości prawie kilometra przed posiadłością Owenów, przedzielona na pół przez polną drogę, która prowadziła dalej przez otwartą bramę na farmę.

Znajdował pocieszenie w tym miejscu, raz po raz przez te wszystkie lata, początkowo jako nowy ksiądz w zupełnie nowej parafii.

Potrzeba było miesięcy, a może nawet kilku lat, aby poradzić sobie z faktem, że przyszedł na miejsce kanonizowanego świętego. Ojciec Townsend był wysoki, dynamiczny, przystojny i spędził w Lord's Chapel prawie dwadzieścia lat. Mimo że parafia wybrała Timothy'ego Kavanagha w rezultacie niezwykle trudnego i ostrego procesu selekcji, potrzebował wszystkich swoich umiejętności, aby wyzwolić ich spod charyzmatycznego wpływu Henry'ego Townsenda.

Wspominał ból, jaki czuł przez większość tego okresu, zadowolony w istocie, że teraz może się z tego śmiać.

— Najdroższy, ty się śmiejesz!

— Masz absolutną rację! — zgodził się.

Czuł się szczęśliwy, jadąc miłą drogą z sympatyczną żoną, szczęśliwym chłopcem i psem wielkości spichlerza.

— Niech mi ojciec pozwoli poprowadzić stąd na farmę. Dooley niespodziewanie chuchał wprost na tył jego szyi.

— Nie wydaje mi się to dobrym pomysłem.

— Tato Tommy'ego pozwala mu prowadzić. Jack, ten chłopiec ze szkoły, jego tato pozwala mu jeździć samochodem cały czas...

— Będziesz mógł jeździć, gdy skończysz szesnaście lat. I wierz mi, nie będziesz musiał czekać długo.

— Mógłby mi ojciec pozwolić poprowadzić tylko do domu. Wiem jak.

— Od kiedy?

— Odkąd pojechałem do domu z Jackiem i jego tato pozwolił mi poprowadzić.

— Aha.

Na horyzoncie pokazał się dom i nie znajdując żadnej bardziej inteligentnej odpowiedzi, wcisnął hamulec. Zupełnie zapomniał o namiętym uczuciu, jakie zawsze łączyło chłopców i samochody.

Przepis na zapiekankę z kurczakiem francuskiej babci Marge Owen był studium kontrastów. Jego nieskomplikowane i uczciwe nadzienie, które łączyło w sobie duże kawałki białego i ciemnego mięsa, zielony groszek, grubo pokrojoną marchewkę, seler i całe szalotki, skropione było winem sauterne i zwieńczone ciastem tak lekkim i delikatnym, że mogło zdobyć uznanie Ludwika XIV.

— Bravo! — wykrzyknął pastor.

— A niech mnie! — zawołał Dooley.

— Bezwstydnie błagam cię o przepis — jęknęła Cynthia. Nowy asystent, Blake Eddistoe, skrobał talerz łyżką.

— Wspaniała, proszę pani!

Prawie nikt nie gotował dla cukrzyków, myślał pastor, gdy wychodzili, żeby zjeść ciasto w cieniu dębu. Najwyraźniej była to choroba tak niewinna, tak nijaka i tak nudna dla wszystkich poza jej bezbronną ofiarą, że była w zupełnie niezauważalny sposób lekceważona przez wszystkich kucharzy świata.

Przyglądał się czekoladowemu ciastu mokka, które Marge kroila na stole pod drzewem. Czyż to nie było jej słynne malinowe nadzienie? Stąd z pewnością tak wyglądało.

No cóż. Cały okropny obowiązek powiedzenia „nie” — którego z całego serca nienawidził — zawsze spadał na niego. Może jednak tylko cieniutki plasterek... zupełnie przeźroczysty...

— On nie może się poczęstować — wyjaśniła Cynthia.

— Nie mogę uwierzyć, że zapomniałam! — zawołała zrozpaczona Marge. — Przepraszam, Tim. Oczywiście, mamy trochę domowej roboty ciasteczek imbirowych, wiem, że je lubisz. Rebecca Jane, przynieś, proszę, ciasteczka imbirowe dla ojca Tima, są na dolnej półce...

To z pewnością Cukrzyca była tą powszechnie roztrząsaną i kontrowersyjną przypadłością, o wybawienie z której trzykrotnie prosił Boga święty Paweł.

Siedzieli na ganku, zbierając siły, aby zapakować się do buicka i wyruszyć do Mitford.

Gdy był na miejscu, Mitford wydawało mu się zaledwie małym, spokojnym miasteczkiem, kochanym za sam fakt istnienia, z populacją przekraczającą zaledwie jeden tysiąc. Stąd jednak Mitford

było prawdziwą metropolią, z ruchem ulicznym, politycznymi billboardami i przyjęciami z grillem wydawanymi na asfaltowych płytach.

Dooley był w swoim pokoju i sekretnie wyniósł pudełko ze swoimi rzeczami.

Szur, szur, szur, szur... Jeden z psów podrapał się gwałtownie, a potem polizał podrażnioną skórę.

— Ojej — zmartwiła się Marge. — I znowu to samo! Nastąpiła pora alergii skórnej dla Bonemeala.

Hal wyjął z kieszeni fajkę.

— Co roku ma podrażnioną skórę w jednym miejscu na prawym tylnym boku, które gryzie i liże.

— Mogę zrobić mu zastrzyk z depo-medrolu — zaoferował się Blake, a zwracając się do gości, dodał: — To steroid o wydłużonym działaniu. Przenika do organizmu i wystarcza na trzy miesiące. Przystanie się drapać w ciągu trzech godzin.

Dooley podniósł wzrok znad pudełka, które trzymał pomiędzy nogami.

— Nie robiłbym tego. Nastąpiła krótka chwila ciszy. Blake zmieszał się.

— A co byś zrobił?

— Użyłbym kortyzonu, który ma krótkofalowe działanie i byłby łagodniejszy dla jego organizmu, następnie zastosowałbym kurację farmakologiczną i zmianę diety... dodałbym substancje lecznicze do jego szamponu.

— To wiejska praktyka — stwierdził Hal Owen, nabijając fajkę tytoniem. — Nie mamy czasu, żeby bawić się w nowe diety i wymyślne szampony.

Dooley wstał, podnosząc pudełko.

— Zgadza się — rzucił.

Milczeli w drodze do Mitford. Być może z powodu posiłku zjedzonego późnym popołudniem i świeżego wiejskiego powietrza.

— Czy Dooley wrócił już ze szkoły?

To była Jenny, dziewczynka, która mieszkała przy końcu ulicy w domu z czerwonym dachem. Zjawiała się u ich drzwi od czasu do czasu przez ostatnie kilka lat, a on wiedział bardzo dobrze, że Dooley wydał kiedyś swoje ciężko zarobione pieniądze na albumowe wydanie książki o koniach dla tej dziewczynki.

— Wrócił! Może wejdiesz do środka?

Przyjęła zaproszenie. Wyglądała na jedynie odrobinę mniej nieśmiałą niż rok temu.

Barnaba podbiegł, machając ogonem i szczekając. Nie było jednak potrzeby, żeby wyrecytować na głos fragment Pisma Świętego. Jenny spojrzała jego psu prosto w oczy i podrapała go za uszami.

Pośpieszył na górę do pokoju Dooleya, wyczuwając w powietrzu jakiś dreszcz podniecenia.

— Ktoś chce się z tobą zobaczyć.

— Kto?

— Jenny.

Aha. Nie mógł nie zauważyć, że twarz Dooleya oblała się rumieńcem.



— Nie wiesz, co straciłeś — zaczęła wyniośle.

Dlaczego w ogóle wyrzucał pięćdziesiąt centów na gazetę, skoro wszystkie nadające się do druku wiadomości płynęły niepomahowanie z ust jego sekretarki?

— Mów dalej.

— Przypominasz sobie ten zadrzewiony teren za Shoe Barn?

— Tak.

— Gdy Mack zostanie wybrany, cały ten żaloszny sosnowy gąszcz stanie się nowym, supernowoczesnym kompleksem pod nazwą Mitford Woods.

— Mitford Woods?

— Na dodatek, powiedział, że osobiście wie o zainteresowaniu dużego inwestora starym domem panny Sadie. Wkrótce stanie się to oficjalną informacją.

— Aha.

Jeśli nie było się czym martwić w kwestii zdobycia przez Macka Stroupe'a stanowiska burmistrza, dlaczego poczuł się tak, jakby ktoś ugodził go w splot słoneczny?

— Więc jak udał się grill?

— Wspaniale. Zero obrzucania się błotem, które tak często towarzyszy polityce. Poza tym miał całą zgraję muzyków country, która porwała do tańca połowę towarzystwa.

Spojrzał na nią, ale ona unikała jego wzroku.

— Hm. Co wobec tego myślisz o Macku?

— Och... czas pokaże — odparła, klikając myszą na menu.

Czy to była kobieta, która zaledwie dwie doby temu nazwała tego kandydata szują?

— Esther Cunningham była wspaniałym burmistrzem dla tego miasta — stwierdziła — ale...

Wolałby tego nie słyszeć.

— ...ale zawsze jest miejsce na poprawę.

Na światłach na Main Street Rodney Underwood zawołał ze swojego policyjnego samochodu:

— Co tobie się wydaje? Że to Talladega?

Cóż mógł na to poradzić, że ciężarówka Harleya przemknęła obok Rodneya, jakby stał w miejscu? Poza tym, dlaczego Rodney musiał pojawiać się na Main Street za każdym razem, gdy on usiłował komuś wyświadczyć przysługę i zająć się jego samochodem?

Rodney mrugnął do niego.

— Niech to się więcej nie powtórzy, przyjacielu.

Czuł falę ciepła zalewającą twarz od koloratki w górę, kiedy ciężarówka minęła pędem światła i popędziła z hukiem Main Street, kierując się na południe.

— Co ty masz pod maską tego forda '72? Niewiele brakowało, a dwa razy z rzędu zapłaciłbym przez ciebie mandat.

Pastor miał wrażenie, że bezzębny Harley uśmiecha się dookoła głowy.

— Dobry Boże, miałem nadzieję, że ojciec zapyta. Oto, co zrobiłem. Pozbyłem się silnika i napędu forda, wyjąłem skrzynię biegów i końcówkę, i założyłem silnik XKE oraz napęd z jaguara '64. Potem włożyłem końcówkę jaguara i podpiąłem ją do nowej skrzyni biegów. Trzysta dwadzieścia koni! Oczywiście, to wszystko, czego człowiekowi potrzeba na stanowej autostradzie.

Nie zrozumiał ani słowa z tego, co powiedział Harley, ale wiedział jedno — już więcej nie tknie tej ciężarówki.

— Bawiłem się płaskimi nitami V-8 przez większość życia, aż pewnego dnia zajrzałem pod maskę jaguara i zobaczyłem stalową skrzynię korbowa, podwójne aluminiowe pokrywy zaworów i aluminiową głowicę. Junior na ten przykład nie lubił niczego obcego, ale dla mnie była to najpiękniejsza rzecz, jaką widziałem w całym swoim życiu. Cóż, wielebny, gdy odszedłem z biznesu, dałem sobie spokój z płaskimi nitami i nigdy tego nie żałowałem.

— Aha.

— Trzeba z nim postępować delikatnie, bo inaczej skoczy jak koń z kopyta.

Ojciec Tim położył kluczyki na komodzie.

— O tak, doświadczyłem tego na własnej skórze. Niewiele brakowało, a zerwałbym wszystkie markizy nad wystawami sklepów przy Main Street.

Harley wył i chichotał, aż po policzkach popłynęły mu łzy. Jeśli, jak twierdziło Pismo Święte, śmiech był najlepszym lekarstwem, to Harleyowi Welchowi nic nie groziło.

Pacjent wytarł oczy w rękaw pizamy.

— Chciałem jeszcze raz podziękować za wszystko, co ojciec i pani dla mnie robią. Nikt nigdy nie traktował mnie tak dobrze i zamierzam się wam za to odpłacić. Doktor Harper wypuszcza mnie za dwa dni, powiedział: „Odpocznij sobie jeszcze przez dzień albo dwa i zanim się obejrzysz, będziesz starym Harleyem”. Kupię sobie nowe psy i wrócę do mojego małego domostwa w Creek. Ale dopiero jak zrobię coś, żeby się wam zrewanżować.

— Nie martw się tym, przyjacielu. Czy masz pracę, która na ciebie czeka?

— Miałem, ale skończyła się dokładnie wtedy, kiedy ja. Nie pracowałem już od dłuższego czasu, mój żołądek i tak by mi nie pozwolił. Ale wrócę, nie jestem leniwy. Lubię pracę.

— Cóż, zobaczymy, jak się to wszystko ułoży — uspokoił go ojciec Tim. — Czy zaglądał do ciebie nasz chłopiec dzisiaj po południu?

— Słyszałem, jak wchodził i wychodził, to wszystko.

— To był jego pierwszy dzień w sklepie. Gdzie jest Lace?

— Jak jutro skończy się jej szkoła, będzie tutaj, żeby pomóc mi wstać i wyjść na świeże powietrze, i tak dalej.

— Dobrze! Chciałbym, żebyś się z tym wszystkim nie śpieszył.

— Tak, proszę ojca wielebnego. Chcę być silny, gdy będę się zabierał do silnika w ojca samochodzie.

Pastor roześmiał się.

— Lepiej zostaw silnik w moim samochodzie w spokoju — poradził jak najbardziej serio.

## Rozdział piąty

### DO KANAANU

Zajrzał do pojemnika na warzywa w lodówce i wyjął z niego trzy cukinie, żółtą cebulę, dwa czerwone ziemniaki i kilka łydżg selera.

Gdzieś tu musi być kość wołowa, którą przyniósł ze Sklepu. Aha. Zawinięta w folię aluminiową, za niskotłuszczowym majonezem, którego nawet nie zamierza dotykać...

Włożył wszystko do brązowej papierowej torby razem z puszką wołowego bulionu i paczką kawy, po czym wyruszył do domku Scotta Murphy'ego przy moście nad Little Mitford Creek.

Szli ścieżką wzdłuż strumienia, z Luke'em i Lizzie wrywającymi się do przodu na smyczy.

Było gorąco jak na czerwcowe popołudnie w górach, a on i Scott Murphy biegli truchtem. Pastor przełożył torbę z warzywami pod drugie ramię, wyciągnął chusteczkę i otarł twarz.

— Ojczy, co do ojca zmartwienia w sprawie posługi kapłańskiej w Creek...

— Tak?

— Wydaje mi się, że ta sprawa jest już załatwiona. Pastor spojrział na niego zdziwiony.

— Wyprowadził ojciec stamtąd małego brata Dooleya, który mieszka obecnie w swoim pierwszym prawdziwym domu. Zapewnia też ojciec dach nad głową jego mamie...

— Ale...

— A proszę spojrzeć na Lace Turner. Rok temu mieszkała pod podłogą własnego domu, usiłując nie wchodzić w drogę agresywnemu ojcu. Teraz mieszka z jedną z najbardziej uprzywilejowanych rodzin w mieście i dostaje w szkole same piątki.

— Aha.

— I Harley Welch, ojca mechanik samochodów wyścigowych... Przyjął go ojciec i pani Kavanagh, pielęgnował go, może nawet uratował mu życie.

— Tak, no cóż...

Luke zatrzymał się, żeby podnieść nogę pod drzewem.

— Wydaje mi się, że zawsze szukamy wielkich rzeczy — rozmyślał Scott. — Wielkie powołanie, wielkie wyzwanie. Jeśli się nie mylę, to Bonhoeffer miał na ten temat coś do powiedzenia.

— Miał — zgodził się pastor. — Coś w rodzaju: „Boimy się zadowolić małą dawką wiedzy duchowej, doświadczenia i miłości, które zostało nam ofiarowane, i uważamy, że nieustannie i gorliwie powinniśmy poszukiwać najwyższego dobra”.

— Tak, i podoba mi się, że mówi o postawie wdzięczności nawet tam, gdzie nie ma wielkiego doświadczenia i żadnych bogactw do odkrycia, ale jest dużo słabości, małej wiary i trudności.

Obydwoj mężczyźni zastanawiali się nad tym, idąc. Dobrze było porozmawiać o sprawach zawodowych w wiosenny dzień na drewnianej ławce nad wartkim strumieniem.

— Zanim tu przyszedłem, powiedziałem ojcu, że pójde tam i zobaczę, co się da zrobić. Może mnie ojciec trzymać za słowo.

— Porządny gość.

— Już od jakiegoś czasu chciałem ojcu powiedzieć, że mamy ogród w Domu Nadziei, czternastu pensjonariuszy jest w stanie sadzić i trochę pielnić, zaczął nam wschodzić groszek.

— Jesteś wszystkim, czego pragnęła panna Sadie — cieszył się pastor. — Sprawiasz, że Dom Nadziei staje się godzien imienia, które nosi.

— Dziękuję, proszę ojca. Mitford jest zdecydowanie moim domem. Może będę mógł kupić mały domek panny Ivey, gdy sprzeda cukiernię i przeprowadzi się do Tennessee. Modłę się w tej sprawie.

Minęli zakręt na ścieżce i zobaczyli Bezdonnego Hobbesa, jak siedzi na stopniu przed swoim małym, schludnym domkiem i kolorowym praniem wiszącym na sznurku.

— Niech mnie Bóg broni, jeśli to nie mieszczuchy!

Bezdomny wstał i podszedł do nich, opierając się na kuli. Śmiał się swoim świszczącym śmiechem. Jego niemy pies w brązowo-białe łatki przycupnął przy schodku i poruszał szczękami, ale na zewnątrz nie wydostawał się żaden głos. Luke i Lizzie szczeły jak oszalałe.

— Bezdomny!

Pastor był szczęśliwy, widząc swojego starego przyjaciela, człowieka, który zrezygnował z zawrotnej kariery w branży reklamowej, wrócił do domu swojego dzieciństwa i na powrót zaczął „mówić tak, jak nauczono go w dzieciństwie”.

— Jestem już wykończony wyglądem towarzystwa! Powiedziałem Bezgłosemu chwilę temu, że ktoś do nas idzie — swędział mnie nos — więc włożyłem coś ekstra do garnka z zupą!

Pastor objął Bezdonnego i podał mu torbę.

— To do garnka. A to jest Scott Murphy, kapelan z Domu Nadziei. Pracuje szesnaście godzin dziennie i ma jeszcze czas, żeby się wtrącać w sprawy Greek.

Bezdomny spojrzał z aprobatą na wysokiego, chudego kapelana.

— Potrzebujemy tutaj takich — odparł.

— Chciałbym zobaczyć, jak buldożery spychają całe to rumowisko do rzeki, i po kłopotcie!

Bezdomny przyniósł z domu dwa aluminiowe składane krzesła, które czasy świetności miały już dawno za sobą, i postawił je dla gości. Usiadł na stopniu, a psy dysząc, leżały na kawałku trawy.

— Słyszałem, że za kilka lat wszystko to będzie centrum handlowym. Tam, gdzie stoją przyczepy — Wal-Mart! Tam, gdzie spalone domy — Lowe's Hardware! Tam, gdzie kiedyś mogłeś pójść i dostać kulę w głowę, teraz będziesz mógł pójść i dostać muszlę klozetową ze spłuczka. Mimo wszystko, dwa lata to niezły szmat czasu i mógłbyś działać tu w Creek wiele dobrego, gdybyś wiedział, jak się do tego zabrać. Weźmy na przykład Absaloma Greera. Przyszedł tu i swoimi naukami wywołał prawdziwą burzę.

Niektórzy ludzie zostali zbawieni, a wielu zaczęło żyć zupełnie inaczej, ale Absalom był ich człowiekiem i był stary, i zostawili go w spokoju. Nie przyjmą dobrze młodego mężczyzny, takiego jak ty, jeśli nie dasz im dość czasu, żeby się przyzwyczaili. Wydaje mi się, że powinieneś przyjść do mnie w środę wieczorem, gdy gotuję zupę dla wszystkich, którzy się pojawią, i po prostu siedzieć i mówić, i być cierpliwym, i pozwolić, aby Bóg działał te wszystkie cudowne rzeczy.

— Możesz na mnie liczyć — obiecał Scott. Bezdomny uśmiechnął się.

— Na twoim miejscu nie przyprowadzałbym ze sobą psów. Jack Russell to trochę zbyt wymyślna rasa dla mojego towarzystwa.

— Straciliśmy naszego kierownika jadalni — skarżył się Scott w drodze do domu. — Problemy rodzinne. Wszyscy usiłują go po trochu zastąpić. Straszne zamieszanie.

— Podoba mi się zamieszanie — odparł pastor, który obecnie sam miał z nim do czynienia na co dzień.

Czasami jakaś myśl zagnieżdżyła się w zakamarkach jego umysłu i nie mógł się jej pozbyć, zupełnie jak ziarenka sezamu, które utkwilo między zębami.

Idąc w dół Old Church Lane następnego dnia, z marynarką przewieszoną przez ramię, usiłował skoncentrować się na tym miejscu — czyżby w jego umyśle? — które miało mu coś do powiedzenia, jakąś ukrytą prawdę do wyjawienia.

Do licha! Nie cierpiał tego. Przypominało to tę irytującą zabawę Emmy — do trzech razy sztuka. Nie miał nawet pojęcia, od czego zacząć...

Praca. Dlaczego wydawało mu się, że ma to coś wspólnego z pracą?

„Straciliśmy naszego kierownika jadalni”, skarżył się Scott.

Tak!

Pauline!

Przytrzymując marynarkę, zaczął biec. Mógł pójść do kancelarii i stamtąd zadzwonić, ale nie, pobiegnie przez park Baxter, przez swoje własne podwórko, a potem w górę, do domku Betty Craig. Szkoda każdej minuty. O pracę jest tak trudno.

Był zdyszany i zlany potem, gdy znalazł się na chodniku przed zadbanym domkiem Betty. Zatrzymał się na chwilę, aby wytrzeć twarz chusteczką, gdy Dooley przemknął obok niego na swoim czerwonym rowerze.

— Hej! — zawołał Dooley.

— Hej! — odwzajemnił jego powitanie.

Zobaczył, jak chłopiec zostawia swój rower przy schodach wejściowych Betty, rzuca w trawę kask i biegnie do drzwi.

— Mamo! Mamo! — zawołał przez drzwi z siatką.

Pauline pojawiła się w drzwiach i wpuściła go do środka, gdy pastor zbliżał się do ganka.

— Mamo, jest praca w Domu Nadziei! Coś w jadalni! Słyszałem w Sklepie, potrzebują kogoś od zaraz.

— Ach. — Pauline zbladła i zbliżyła dłoń do lewej strony twarzy. — Nie... wiem.

— Pracowałaś w restauracji, mamo, umiesz to robić! Umiesz to robić!

Zobaczył wyraz twarzy Dooleya i jedynie z największym trudem był w stanie przełknąć. Za zaledwie kilka lat ten chłopiec na rowerze będzie wart ponad milion dolarów, może nawet dwa miliony, jeśli gospodarka będzie silna. Dooley nie dowie się o tym, dopóki nie skończy dwudziestu jeden lat, ale pastor potrafił ocenić, że panna Sadie Baxter bardzo dobrze wiedziała, co robi, pisząc swój testament.

— Proszę, mamo, ubierz się i idź tam, ja muszę wracać do Sklepu, bo Avis mnie zabije, mam pięć zamówień do doręczenia.

— Zabiorę cię — zachęcał Pauline pastor. — Pójdę do domu i przyprowadzę samochód, będę tu za minutę.

Do licha ze spotkaniem w świetlicy parafialnej o drugiej. Pauline spojrzała na niego przez drzwi z siatką, znowu zasłaniając dłonią lewą część twarzy.

— Och, ale... nie mam, co... nie wiem...

— Nie bój się — uspokajał ją.

Łzy napłynęły nagle do oczu Pauline, ale udało się jej uśmiechnąć.

— Dobrze — zgodziła się, zwracając się do syna. — Dam sobie radę.

— Świetnie! — zawołał Dooley.

Wybiegł przez drzwi, zbiegł pośpiesznie po schodach i odjechał na swoim czerwonym rowerze. Pastor zdołał jednak dojrzeć przedtem na jego twarzy mimowolny przeblysk nadziei.

— Wrócę za chwilę — pożegnał się ojciec Tim. — Możesz włożyć tę niebieską spódnicę i białą bluzkę. Wydawało mi się, że wyglądałaś... — nie był w tym zbyt dobry, szukał właściwego słowa — w tym... bardzo ładnie.

Spoglądała na niego przez dłuższą chwilę, prawie się uśmiechając, a potem zniknęła w korytarzu.

Atrakcyjna kobieta, pomyślał, wysoka i szczupła, i obdarzona zadziwiającą klasą. Jak każdy człowiek, swoje dawne życie miała wypisane na twarzy, ale przebijało przez nie jakieś światło i zmieniało ją nie do poznania.

Był zdania, że wybór Lidy Willis na dyrektora personalnego Domu Nadziei nie był stuprocentowym sukcesem.

— Od jak dawna pani nie pije? — zapytała z surowym wyrazem twarzy kobieta, przyglądając się Pauline.

— Od półtora roku.

— Co sprawiło, że postanowiła pani zerwać z nałogiem?

— Odmówiłam modlitwę — wyjaśniła Pauline, znosząc dzielnie chłodne spojrzenie pani dyrektor.

— Odmówiła pani modlitwę?

Mimo że siedział w odległej części pomieszczenia, udając zainteresowanie czasopismem, ojciec Tim wyczuwał napięcie, jakie towarzyszyło temu spotkaniu. Bóg wzywał Pauline Barlowe, aby wyznała go z odwagą.

— Tak, proszę pani.

— Czy należy pani do klubu AA?

— Nie, proszę pani.

— Dlaczego nie?

— Nie wiem. Wydaje mi się... że Bóg wyleczył mnie z alkoholizmu. Już nie chcę pić.

— Shoney wyrzucił panią za picie w pracy?

— Tak, ale mówili, że... jak byłam trzeźwa, to pracowałam lepiej niż ktokolwiek inny.

— Panno Barlowe, dlaczego uważa się pani za właściwą kandydatkę do tej pracy?

— Wiem, na czym polega praca przy żywności, lubię mieć do czynienia z ludźmi i nie boję się ciężkiej pracy.

Pani dyrektor oparła się wygodnie i spojrzała na Pauline, ale nic nie powiedziała.

— Potrzebuję tej pracy i byłabym bardzo wdzięczna, gdybym ją dostała. Wiem, że gdyby zadzwoniła pani do Sama Warda z Sam i Peg's Ham House w Holding, dowiedziałaby się pani, że jestem dobrym pracownikiem. Nie opuściłam ani jednego dnia w Ham House, obsługiwałam czternaście stolików.

— Czy piła pani, pracując tam?

Pauline spuściła wzrok, a potem spojrzała prosto w oczy Lidy Willis.

— Nie tak bardzo... jak później.

— Czy obrażenia, jakich pani doznała, obniżyły w jakikolwiek sposób pani sprawność?

— Czasami nie słyszę zbyt dobrze na lewe ucho, ale to wszystko. Moja ręka jest całkowicie sprawna, to cud.

— Doceniam pani szczerść, pani Barlowe. Wstała.

— Proszę do nas nie telefonować. Skontaktujemy się z panią. Pauline też wstała.

— Tak, proszę pani.

Dobry Boże, tak bardzo chciał tej pracy dla Pauline. Nie, nie dla Pauline, dla Dooleya.

Zobaczył Scotta Murphy'ego w holu.

— Gdybyś mógł coś zrobić — poprosił szeptem, gdy Pauline piła wodę z wodotrysku. — Praca kierownika waszej jadalni...

Nigdy nikogo o nic nie prosił, ale tym razem chodziło o coś innego i było mu wszystko jedno.

Scott spojrzał na niego ze zrozumieniem.

— Ona nadaje się do tej pracy — usłyszał kapelan.

Sprawdzał coś w salonie, gdy usłyszał dobiegający z garażu hałas. Przypominał odgłos pracy silnika jego samochodu.

Chyba Harley nie rozpoczął już pracy nad.

Przeszedł przez kuchnię, niosąc rzadki tom J.W. Stevensona, poświęcony jego posłudze duszpasterkiej na wyżynach Szkocji.

W jego buicku siedział Dooley, dodając gazu. Barnaba zajmował miejsce po stronie pasażera, spoglądając przed siebie.

— Co się dzieje? — zapytał ojciec Tim przez opuszczoną szybę samochodu.

— Nic.

— Doprawdy? Wygląda na to, że nieźle gazujesz ten silnik.

— Sprawdzam go dla Harleya.

— Rzeczywiście?

— Nie prosił mnie o to, ale pomyślałem, że dobrze mu zrobi, gdy usłyszy, jak pracuje.

— W porządku. No cóż, już cię tu nie ma, przyjacielu. Idziemy. Dooley spojrzał na niego z wyższością.

— Tato Jacka mu pozwala...

— Słuchaj. To, co robi tato Jacka, nie ma tu nic do rzeczy.

Czy rzeczywiście tak było? Nie miał pojęcia. Dlaczego ludzie pozwalają czternastoletnim dzieciakom prowadzić samochód — na dwa lata przed zdobyciem przez nich prawa jazdy? A może było to najzwyczajszą rzeczą pod słońcem, tylko on był po prostu nudziarzem?

— Może pojedziemy kiedyś do Farmer... Dooley wyłączył silnik.

— Ekstra — rzucił. — Ojca silnik ma kopa.

O szóstej trzydzięci Barnaba kończył zeszłotygodniową pieczeń pastora, Violet spoglądała z pogardą z lodówki, Cynthia nacierała ząbkiem czosnku miskę na sałatkę, Dooley brał jeden ze swoich nie kończących się przysniców, a Lace wmuszała przekąskę w opornego Harleya Welcha.

Ojciec Tim nie mógł pojąć, że zaledwie trzy czy cztery lata temu w jego domu było cicho jak w grobowcu. Bez psa, bez chłopca, bez żony w fartuchu, bez rudowłosych dzieci i nieomal zawsze bez żywej duszy w pokoju gościnnym — poza przykrym wyjątkiem, oczywiście, jego irlandzkiej kuzynki oszustki i rzadkim zatrzymaniem się na noc Stuarta Cullena, jego przyjaciela z seminarium i obecnego biskupa. Czy moglibyśmy porozmawiać? — poprosiła Lace.

Harley siedział na brzegu łóżka ubrany. Wyglądał jednak słabo. Wydrapał resztki jogurtu brzoskwiniowego z kubka i wytarł usta w rękaw.

— Wielebny, Lace wpadła na pomysł, którego nie mogę wybić jej z głowy. Proszę nie zwracać na nią uwagi, jeśli będzie mówiła niemądrze.

— Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek słyszał, jak Lace mówi coś niemądrego — odparł. — Wyglądasz dzisiaj na odrobinę zmęczonego, Harley. Jak się czujesz?

— Jestem wykończony. Chodziliśmy tam i z powrotem, doktor powiedział, że muszę ćwiczyć. Objadałem się tutaj i wylegiwałem, aż utylłem jak prosię.

— Moglibyśmy zejść na dół do ojca suterena — zaproponowała Lace, ciągnąc go za kołnierz.



— Moich suteren?

— Jestem taki niezadowolony, że nie umiałem wybić jej tego z głowy — żalił się Harley. — Jest uparta jak muł, zawsze taka była, a znam ją od dziecka.

— O co chodzi? — zapytał, gdy schodzili razem do suterena.

— Zobacz ojciec — odparła.

Kiedy poczuł zapach stęchlizny i ziemi, natychmiast przypomniał sobie jaskinię, w której zgubił się razem z Cynthią zaledwie rok temu. Kręcili się po niej w kółko przez czternaście przerażających godzin, aż wyprowadziła ich stamtąd miejscowa policja pod przewodnictwem Barnaby.

Na to wspomnienie przeszył go dreszcz, więc nacisnął przełącznik, który oświetlił ciemny hol.

Znajdowała się tam łazienka, której nie używał od czasu, gdy się tu wprowadził piętnaście lat temu, i dwie sypialnie oraz mała kuchnia — wszystko to służyło w okresie pobytu tutaj różnych pastorów jako mieszkanie dla teściowej, schronienie dla uciekinierów, następnie dla starszych wdów, domowe biuro, szkoła niedzielna dla dorosłych, kościelny żłobek i przechowalnia na pozostałości po ponad stuletnim pobycie rodzin duchownych.

Lace skrzyżowała przed sobą ramiona.

— Oto, co myślę.

— Śmiało.

— Gdy spacerowaliśmy dzisiaj przed domem z Harleyem, zobaczyliśmy drzwi do ojca suterena. Z nudów spróbowałam je otworzyć i niewiele brakowało, a bym je wyważyła.

— Naprawdę?

— Ale nic się nie stało, zacięły się tylko.

— To dobrze!

— Tak więc zobaczyliśmy, że jest to miejsce, w którym można zamieszkać. Z toaletą i kuchnią, i tak dalej. I zaczęłam myśleć o tym, że kiedy Harley wróci do Creek, nie będzie o sobie dbał, a poza tym może mu się przytrafić coś złego.

— Aha.

— Pomyślałam więc, że gdyby ojcu spodobał się ten pomysł, Harley mógłby mieszkać tu na dole i pracować dla ojca i Cynthii.

Zaczął szarpać podbródek.

— Harley umie pracować, nigdy ojciec nie widział, jak on pracuje. Widział go ojciec jedynie, jak leży chory. Harley potrafi grabić, ciąć piłą, używać młotka i malować.

— Do licha.

— I nie policzyłby ojcu i Cynthii ani centa za doglądanie waszych samochodów.

Spoglądała na niego przez chwilę w słabym świetle żarówki.

— No cóż, nie jestem pewien. Muszę się nad tym zastanowić, porozmawiać z Cynthią.

— Nie będzie sprawiał żadnego kłopotu. Nie będzie trzeba dla niego gotować ani niczego robić, zajmie się sobą. Mógłby pomalować ojcu całe to mieszkanie, wyremontować, pomogłabym mu. — Zamilkła na chwilę, potem dodała: — Powinien się ojciec zgodzić, wyszłoby to wszystkim na dobre.

Lace Turner przedstawiła swoją sprawę i poddała ją pod jego rozwagę.

— Czy umie rysować koty? — chciała wiedzieć Cynthia. — Mógłby napisać za mnie następną książkę.

Ach.

— Twoją następną książkę?

— Chciałam ci o tym powiedzieć, najdroższy. Zaczynam nową książkę. Pamiętasz, jak mówiłam, że już nigdy nie napiszę kolejnej książki o Violet?

— Na pewno tak mówiłaś. Kilka razy.

— Kłamałam.

— Aha.

— Nie uwierzysz, jaką chcę mi dać zaliczkę za napisanie kolejnej książki o Violet.

Miała rację. Gdy mu powiedziała, nie chciał uwierzyć.

— Daj spokój. To cztery razy więcej, niż dali ci za książkę o drozdach.

— No cóż, widzisz, tak stanowczo odmawiałam napisania jeszcze jednej książki o Violet, że musieli mi złożyć ofertę, której bym się nie oparła.

— Jesteś twarda, Kavanagh.

— W takim razie pocałuj mnie! — poprosiła, śmiejąc się. Pocałował ją, wdychając ulotną woń wistarii.

— Gratuluję! Możemy zbudować łódź i zamieszkać na emeryturze na Morzu Karaibskim, a następnie spędzić życie, żeglując i łowiąc ryby.

— Skąd wzięłaś taki pomysł?

— Od Mike'a Jonesa z Incarnation in Highlands. Stwierdził, że właśnie to chce robić, gdy przejdzie na emeryturę. Jedyny problem w tym, że nie powiedział o tym żonie.

— Jedyny problem w tym — wyjaśniła Cynthia — że będziemy potrzebowali mnóstwo pieniędzy, żeby powiększyć mój mały żółty domek, aby pomieścił mężczyznę, całe morze książek i psa wielkości zamrażarki Westinghouse Esther Bolick.

— W takim razie... co myślisz?

— Wydaje mi się, że powinniśmy mu pozwolić zamieszkać w suterrenach i je wyremontować. Kocham Harleya. Jest zabawny, uczciwy i ma dobre serce. I cudownie byłoby mieć tutaj kogoś do pomocy. Na początek twojemu garażowi nie zaszkodziłoby gruntowne sprzątnięcie, a mojej małżonce przydałby się nowy alternator.

— A co ty wiesz o alternatorach?

— Absolutnie nic. A to oznacza, że byłoby miło mieć w naszych suterenach Harleya. Kupimy farbę, a ja zrobię mu zasłony do kuchni.

— Załatwione! — zgodził się.

Nowa książka? Wiedział, czym to pachnie. Znaczyło to, że jego żona będzie pracować osiem godzin dziennie, narzekać nieustannie na zeszywniały kark, wyglądać przez okno, nie odzywając się przy tym ani słowem, cierpieć na ból głowy spowodowany nadmiernym obciążeniem wzroku i padać bezwładnie w nocy do łóżka jak kłoda drewna.

No cóż. Westchnął, idąc ze swoim psem po schodach, aby przekazać Harleyowi nowinę.

— Dobry wieczór, kolego.

Wyszedł z pokoju Harleya i zajrzał do Dooleya, żeby usiąść na chwilę na brzegu jego łóżka.

— Dobry wieczór.

— Modlimy się, żeby twoja mama dostała tę pracę.

— Ja też.

— A co z twoją pracą? Podoba ci się?

— Jest super. Ale jestem zupełnie wykończony.

Gdy Dooley był zmęczony albo niezadowolony, zauważył ojciec Tim, często zaczynał używać języka wyniesionego z domu rodzinnego. Uśmiechnął się. Ogląda nabyta w szkole nie do końca wymazała prawdziwą naturę chłopca.

— Czy zamierzacie otworzyć własne stoisko na miejskim festynie?

— Tak. Avis chce, żebym zajął się tym razem z Tommym. Avis będzie grubą rybą i zbierze pieniądze.

— No to wszystko w porządku. Co będziecie oferować?

— Będziemy sprzedawać kukurydzę i inne produkty z doliny. Avis zamówił całe wiadra jeżyn i truskawek z Florydy, brzoskwinie z Georgii, syrop z Vermont i tak dalej. Zamierza nazwać to wszystko: „Smak Ameryki”.

— Wspaniały pomysł! Ten Avis...

— Nie mam już sił.

— Cóż... do zobaczenia przy śniadaniu.

— Co robił ojciec dzisiaj u mamy? Zaniósł ojciec wątróbkę dla dziadka?

— Postanowiłem zajrzeć na chwilę i zobaczyć, co słychać u Poobaw.

— Teraz woli, żeby mówić do niego: Poo.

— Będę o tym pamiętał. Jestem zadowolony, że dowiedziałeś się o tej pracy w Domu Nadziei i że nie marnowałeś ani chwili.

— Ja też. Dobranoc.

— Dobranoc.

Zszedł na dół, a serce rozpieierała mu duma. Cytując powiedzenie dziadka Dooleya: do licha, jeśli nie kochał tego chłopca bardziej niż tabaki.

Za niecały tydzień do Lord's Chapel przybędzie biskup ze swoją doroczną pielgrzymką, w czasie której udzieli sakramentu bierzmowania. Tym razem jednak miał do wykonania również pewne niewdzięczne zadanie. Przypadło mu w udziale oficjalne ogłoszenie, że za zaledwie osiemnaście miesięcy przejdzie na emeryturę Timothy Kavanagh.

Stuartowi Cullenowi wcale nie śpieszyło się do spełnienia tego obowiązku. Parafii nie spodoba się ta wiadomość ani trochę. Prawdę powiedziawszy, był gotów do sprytnego uniku tuż po wyjawieniu tej przygnębiającej nowiny. Jeśli nie uda mu się z Martha wyjechać zaraz po nabożeństwie, czeka go prawdziwa kantata narzekań i jęków, nie wspominając o zawodzeniu i zgrzytaniu zębami.

Wiedział, że po tym wszystkim nastąpi seria oburzonych listów i telefonów do siedziby diecezji, a jest też zupełnie możliwe, że na jego progu pojawi się niewielka, samozwańcza grupka, błagająca, by zmusił ojca Tima do pozostania w Lord's Chapel tak długo, aż będzie się poruszał z pomocą balkoniku albo — co gorsza — zupełnie zniedołężnieje i nie będzie w stanie nauczać z ambony.

Pastor z kolei usiłował przygotować się psychicznie na okoliczność, która przypominała mu na przemian to ślub, to znów pogrzeb. Jego nastrój raz poprawiał się, raz gwałtownie pogarszał. Spokoju nie dawała mu myśl, że gdy z ust Stuarta padną te słowa, sprawa będzie przesądzona, wszystko napisane czarno na białym, nie będzie miał już odwrotu.

Jego żona z pewnością robiła wszystko, co w jej mocy, aby mu pomóc, chociaż wydawało się, że nic nie przynosi ukojenia jego nerwom. A już na pewno nie garnitur, który zamówiła w Nowym Jorku i który — jak odkrył z przerażeniem — miał dwurzędową marynarkę. Czy na parafialnym brunchu będzie wyglądał jak jakiś mafijny boss, usiłując jednocześnie zrobić na swojej osłupiałej parafii wrażenie niewinnej pobożności?

I co z tego, że udało mu się zrzucić całe dwa kilogramy i piętnaście deko i wyglądał naprawdę szczupło? Minusem było, że cały czas miał tak ściśnięty żołądek, iż nie był w stanie nic zjeść.

Przez lata bał się tego całego przejścia na emeryturę. Nawet Stuart przyznał się do obaw z nią związanych i nazwał ją kiedyś „rodzajem śmierci”.

On jednak ostatecznie poradził sobie ze swoim strachem rok temu, w jaskini. Był w stanie, w końcu, wybaczyć swojemu ojcu, znaleźć ukojenie i żyć dalej.

W jakiś dziwny sposób — czego nigdy zapewne do końca nie zrozumie — uważał, że poprzez głoszenie w nieskończoność Ewangelii zadośćuczyni za to, że nie udało mu się zbawić duszy ojca. Oczywiście osiągnięcie tego nie leżało w jego gestii — było to zadanie dla Boga. Nie udało mu się jednak złagodzić serca ojca, sprawić, żeby usłyszał i żył w przekonaniu, że jedyną formą zadośćuczynienia za tę porażkę będzie głoszenie Ewangelii aż do śmierci.

Teraz znał już prawdę i odczuwał dreszcz podniecenia na myśl, że zaufa wierze i odnajdzie swój Kanaan, gdziekolwiek by się znajdował. W istocie strach, z którym teraz się zmagał, był strachem przed nieznanym. Czyż nie żył przez ostatnie szesnaście lat pod kloszem, mając zapewniony dach nad głową?

„Przez wiarę ten, którego nazwano Abrahamem... — często powtarzał sobie słowa Listu do Hebrajczyków — wyszedł nie wiedząc, dokąd idzie...”

Wiedział jedno — nie chce porzucić pracy duchownego. Był zainteresowany posługą w innych kościołach, tu i tam, gdziekolwiek, tymczasowo. Czyż to nie okaże się prawdziwą przygodą? Cynthia Kavanagh z pewnością była takiego zdania. Podejrzał, że już spakowała torbę i ukryła ją w garderobie.

Przed niedzielą zostało mu do zrobienia już tylko kilka rzeczy. Najważniejsze to wziąć udział w zamkniętym zebraniu rady parafialnej i obwieścić im nowinę, zanim zostanie oficjalnie ogłoszona z ambony. Bał się tego jak bólu zęba. O ile był zorientowany, nie mieli pojęcia, na co się zanosi, i obawiał się, że będą zaskoczeni i zdziwieni. Może zostać i znieść to jak mężczyzna albo wymknąć się tylnymi drzwiami, podczas gdy Buddy Benfield będzie odmawiał modlitwę na zakończenie.

Potem było już z górki. Numer dwa — zarezerwować nocleg dla Marthy i Stuarta w Wesley, a numer trzy — pójść do fryzjera.

Ale czyż nie był dopiero co u fryzjera?

Włosy rosły mu szybko, twierdziła Cynthia, ponieważ jego dieta była bogata w oliwę z oliwek.

Emma uważała, że wyglądał na zarośniętego, gdyż Joe pod koniec przestał się starać i ojciec Tim tylko wyrzucał pieniądze.

Ktoś inny z kolei doszedł do wniosku, że nadeszła pora roku, w której następuje gwałtowny przyrost włosów, jak wszystkiego dookoła, od piołunu po łopian.

Zadzwoił do Fancy Skinner, żeby umówić się na wizytę. Dzisiaj, jeśli to możliwe. Będzie to miał z głowy.

— Ojej, nie mam wolnego miejsca, aż do nie wiem kiedy! Odkąd Joe Ivey wyjechał do Tennessee, mam ruch jak w ulu! Na samą myśl o fryzurach, które rozplenił w okolicy, aż przechodzą mnie ciarki. Rękę Joe widać z daleka — te malutkie kępki włosów nad uszami. Będę potrzebowała roku, aby pozbyć się z miasta tego wizerunku wiewiórki. Niech sprawdzę... Ruth Wallace o jedenastej — plastikowe paznokcie, J.C. Hogan w południe — strzyżenie, Beth Lawrence — do trwałej o dwunastej trzydzieści, to zajmie dwie godziny, szkoda, że nie widział ojciec jej włosów, mówi, że są delikatne, ja twierdzą, że łysieje. Zna ją ojciec, zawsze nosi kapelusz. Jeśli chce ojciec znać moje zdanie, to noszenie kapelusza sprawia, że ludzie łysieją, i och, Boże, niech no ojciec posłucha, o trzeciej mam Helen Nelson, uszy więdną od jej gadania, w ogóle nie dopuszcza człowieka do słowa, miele nieustannie o wszystkim, poczynając od tego, jak jej mąż zapuszcza wąsy i jak drapią, gdy ją całuje, a kończąc na świni, którą kupili, jako zwierzątko domowe. Czy słyszał ojciec o tym, żeby trzymać świnię jako zwierzątko domowe? Opowiadają, że nauczyli ją, żeby załatwiała się do pudełka z piaskiem!

Ja wolałabym po stokroć bardziej psa, a przy okazji, czy słyszał ojciec, że uciekł jeden z moich pudli i Rodney Underwood znalazł ją pod mostem, i przywiózł do domu na przednim siedzeniu swojego wozu policyjnego? Mule zrobił zdjęcie, powinien je ojciec obejrzeć.

Jak się ma ojca żona, jak to możliwe, że nie prosi mnie od czasu do czasu o zrobienie pasemek? Czy sama je sobie robi? Wygląda na to, że robi je sobie sama. Jestem pewna, że używa czepka — słońko, folia jest dużo lepsza, ale proszę jej nie mówić, że ja tak powiedziałam.

Co my tu mamy dalej? Czwarta, och, Boże, proszę tylko posłuchać. Trójka dzieci Marge Beatty, równocześnie, powinnam dostać medal za odwagę. Potem o piątej nakładam maseczkę — co mi przypomina, czy mówiłam ojcu o swojej nowej linii kosmetyków pod nazwą „Fancy — środki do odżywiania twarzy”? Chodzi o to, że twarz rozpaczliwie potrzebuje pożywienia, jak cały organizm, czy wiedział ojciec o tym? Większość ludzi o tym nie wie.

Najpierw aplikuję bardzo dużą dawkę witaminy E, potem maseczkę nawilżającą, co stanowi rodzaj zabiegu wstępnego. Następnie — na deser — nakładam maseczkę łagodzącą z ogórka, moreli i sezamu, i słońko, mówię ojcu, wyjdzie stąd ojciec, wyglądając o dziesięć lat młodziej, niektórzy mówią nawet, że piętnaście, ale staram się za bardzo nie koloryzować.

Maseczka, którą nakładam o piątej, zajmie mi godzinę, a więc odpowiedź brzmi — nie. Nie mogę ojca dzisiaj przyjąć za żadne skarby świata, co powie ojciec na następną środę o dziesiątej?

Harley wyciągnął dwa dwudziestodolarowe banknoty spod materaca w pokoju gościnnym i zamierzał pojechać do Shoe Barn po nowe robocze buty.

— Harley, bądź ostrożny. Rodney Underwood jest cięty na tę ciężarówkę.

— Niech się ojciec nie martwi — uspokajał go Harley. W mieście trzymam swojego rumaka na uwięzi.

— Nie chciałbym być zmuszony wyciągać cię z więzienia.

— Nie, proszę wielbnego ojca, nigdy do tego nie dojdzie.

Dlaczego w takim razie nie spuszczał ciężarówkę z oka, gdy jechała przez całą Wisteria Lane, aż skręciła na północ, zjeżdżając na Main Street?

— Miami — poinformowała go Emma, wyglądając na zaciekawioną.

Podniósł słuchawkę telefonu na swoim biurku.

— Halo?

— Ojczy, mówi Ingrid Swenson z Miami Development Group. Chciałabym porozmawiać z ojcem na temat starej posiadłości Fernbank, która — jak rozumiemy — jest własnością Kościoła.

— Zgadza się.

— Zależałoby nam bardzo, ojczy, na oglądnięciu tej posiadłości w następnym tygodniu, jeśli ten termin jest dla ojca dogodny.

— Cóż...

— Pragnęlibyśmy, jeśli sprawy potoczą się tak dobrze, jak byśmy chcieli, przekształcić tę posiadłość w światowej klasy farmę piękności.

— Farmę piękności.

— Tak. Adaptowaliśmy już podobne posiadłości na terenie całego kraju i zyskały one międzynarodową klientelę.

— Aha.

— Co myśli ojciec o najbliższej środzie? Powiedzmy około jedenastej?

— Ach, no tak, w porządku. Tak, będę musiał zaprosić kilku członków rady parafialnej i naszego pośrednika handlu nieruchomościami.

— Dobrze. Z naszej strony będą dwie osoby.

— Jesteśmy na rogu Old Church Lane i Main Street, tuż przy wjeździe do miasta. Bardzo łatwo nas znaleźć.

— Może chciałby ojciec wiedzieć, że pan Mack Stroupe bardzo polecał nam tę posiadłość.

— Rozumiem.

— Jesteśmy bardzo wdzięczni za pomoc w znalezieniu takiej wyjątkowej posiadłości, jaką zdaje się Fernbank. Słyszeliśmy, że ma siedemnaście pokoi.

— Dwadzieścia jeden.

— To cudownie!

— Tak. No cóż. Będziemy na panią czekać, panno Swenson.

— Ingrid, ojciec. I bardzo dziękuję za czas, który mi ojciec poświęcił.

Odłożył słuchawkę.

— Nie wyglądasz za dobrze — oceniła Emma.

Dziwne. I tak się też czuł. Po tym telefonie powinien mieć ochotę tańczyć na ulicy i krzyczeć z radości.

Jeśli Fernbank był takim kukułczym jajem, dlaczego nagle zrozumiał, że nie chce go stracić?

Serce nie biło mu tak mocno nawet w dniu, w którym przyjmował święcenia. Biło mu, to prawda, gdy głosił swoje pierwsze kazanie w pierwszej parafii w pierwszym małym kościółku. Nie przypominał sobie jednak czegoś takiego. Był zadowolony, że siedzi, i był zadowolony, że udało mu się nakłonić Cynthię, aby skróciła mu włosy.

Szukał wzrokiem swojego koła ratunkowego, którym była trzecia ławka po lewej stronie kościoła, gdzie siedziała jego żona, drapiąc się w nos. To był jej znak, który mówił: „Uśmiechnij się!”

Obok niej siedziała Pauline Barlowe, następnie Poobaw, który wpatrywał się w sufit, i Dooley. Russell Jacks ubezpieczał ławkę z drugiej strony.

— Mam jedną dobrą i jedną złą wiadomość — obwieścił Stuart kongregacji o ósmej.

Czy musiał ujmować to w ten sposób? Pastor poruszył się niespokojnie na rzeźbionym krześle. Była to próba generalna przed bardziej formalnym, tłumnym nabożeństwem o jedenastej; wszystko, co zdarzy się teraz, zdarzy się również później — tyle że będzie gorzej. Dużo gorzej.

— Dobra wiadomość — zaczął Stuart, uśmiechając się w sposób, który na pewno pomógł mu zejść wysoko w karierze duchownego — to ta, że Timothy Kavanagh, wasz ukochany ksiądz, serdeczny doradca i zaufany przyjaciel...

No, powiedz to w końcu, pomyślał, ściskając poręcz krzesła i zamykając oczy. Przypominało mu to lot z Omerem Cunninghamem jego samolocikiem z zadartym ogonem i skrzydłami z brezentu...

— ...przygotowuje się, aby... udać się do Kanaanu!

Jakie to dziwne, że Stuartowi przysłała do głowy ta sama myśl, doszukał się tej samej analogii! Zauważył, że większość jego kongregacji zdawała się nic nie wiedzieć o Kanaanie. Gdzie jest Kanaan? Spostrzegł, jak Esther Bolick patrzy na męża i wzrusza ramionami. Może to było na innym kontynencie. A może gdzieś w Wilkes County, tam, gdzie jest ta fabryka sera.

— W Księdze Rodzaju czytamy, że Abram zabrał ze sobą swoją żonę Saraj, swego bratanka Lota i cały dobytek, jaki obaj posiadali, i wyruszyli, aby się udać do Kanaanu... nieznaney, obcej ziemi. Bóg posyłał Abrama, którego później nazwie Abrahamem, w najdłuższą podróż, powierzał mu najwspanialszą misję jego życia. Ale jaki okaże się Kanaan? Niektórzy twierdzili, że ziemię tę zamieszkują olbrzymy, a ja pamiętam, co powiedział kiedyś Billy Sunday\*. Powiedział: „Jeśli chcesz mleka i miodu do chleba, musisz być gotów wyruszyć do krainy olbrzymów!”

\* Billy Sunday (1862-1935) - amerykański ewangelista.

Ojciec Tim poczuł, jak włosy jeżą mu się na głowie.

— Co — zapytał Stuart, który wyglądał olśniewająco w haftowanym brokacie — czuł Abraham, gdy Bóg wezwał go, aby poszedł do tej obcej ziemi, oddaloney od domu o setki kilometrów?

Pastor był przekonany, że wyraźnie słyszy myśli połowy zgromadzonych: „Nie mam pojęcia!”

Prawdę powiedziawszy, Abraham nie pojawił się nawet w porannym czytaniu Starego Testamentu. No cóż. Biskupi mogą robić wszystko, na co przyjdzie im ochota.

Stuart pochylił się nad amboną i spojrzał badawczo na wiernych, z których większość podziwiała jego atłasową mitrę.

— Czy — podobnie jak wasz wierny przyjaciel i ksiądz — obawiał się tej podróży w nieznaney? Oczywiście! Czy odczuwał smutek, zostawiając wszystko, co znajome? To prawie pewne! Ale — i tutaj Stuart wyprostował się na swoje metr osiemdziesiąt wzrostu z okładem — zważywszy na to, co Bóg przygotował dla niego, czy nie czuł też nadziei, ekscytacji, ciekawości i radości?

Ani trochę, pomyślał pastor. On czuł jedynie zwykle, czyste przerażenie.



Nie bez pewnej dozy podziwu obserwował, jak Stuart Cullen wydobywa z kongregacji dokładnie to, co zamierzył, niczym dyrygent prowadzący orkiestrę, aby zagrała wspaniałą symfonię.

Tam, gdzie chciał, aby popłynęły łzy, lały się rzewnymi strumieniami.

Tam, gdzie chciał niepohamowanego śmiechu, rozbrzmiewał perliście.

Pod koniec nabożeństwa prawie wszyscy czuli się tak, jakby to oni zostali wezwani do własnego Kanaanu; że samo życie było jakby rodzajem Kanaanu.

Pastor wyszedł z mszy o jedenastej na nogach miękkich jak z waty, opierając się na ramieniu żony, która promieniała.

— Sam widzisz, najdroższy, nie ma to nic wspólnego z linczem! Rozchmurz się!

Nie mógł uwierzyć, że jego parafianie całowali go, ściskali, klepali po plecach, gratulowali i życzyli wszystkiego najlepszego.

Tam, gdzie spodziewał się ujrzeć twarze zalane łzami, widział jedynie prawdziwą troskę o jego przyszłość. Tam, gdzie obawiał się surowego wyrazu oburzenia, spotykał się jedynie z uśmiechami, śmiechem i zapewnieniem, że zawsze będą go kochać.

Czy im w ogóle nie zależało?

— Nie oszukuj się — wyprowadził go z błędu Stuart, gdy razem z Marthą wchodzili do samochodu po brunchu w świetlicy parafialnej. — Najgorsze dopiero przed tobą.

Gdy Stuart ruszał toyotą camry z miejsca przy krawężniku, pastor poczuł się radośniej. W takim razie być może jego parafianie będą naprawdę nieszczęśliwi z powodu jego odejścia! Teraz po prostu świetnie się bawili — wizyta biskupa była przecież zawsze radosną okazją.

## Rozdział szósty

### MAŁY BOOM

Emma miała rację. Billboard z twarzą Macka Stroupe'a zdawał się wyrastać niespodziewanie i dominować nad całą autostradą. I ktokolwiek był odpowiedzialny za zdjęcie, wyraźnie nie przejmował się retuszem.

Przemykając obok billboardu w swoim buicku, zastanawiał się nad tym, jakie uczucia wywołuje u niego ten kandydat, i postanowił raz na zawsze przemyśleć całą rzecz od początku do końca i dojść do wniosku, z którym będzie mógł żyć. Był już zmęczony całą tą sprawą, która nieustannie chodziła mu po głowie niczym wędrujące po cukiernicze mrówki.

Dlaczego myśl o tym, że Mack Stroupe mógłby zostać burmistrzem, budziła w nim takie uczucie niepokoju i niezadowolenia? J.C. miał rację — urząd burmistrza nie był posadą Esther, był posadą każdego, kto miał odpowiednie kwalifikacje, by jak najlepiej wypełniać swoje obowiązki. Ale... czy Mack miał takie kwalifikacje?

Nie przychodził mu do głowy ani jeden powód, który by za tym przemawiał. Czy była to jedynie plotka, że Mack pozostawał w wieloletnim związku pozamałżeńskim z kobietą z Wesley? Ludzie uwielbiali informować księży o przeróżnych sprawach i wszystko wskazywało na to, że ten romans nie był wcale plotką, tylko faktem.

Podczas gdy niektórzy akceptują taki sposób postępowania, u niego nie miał on żadnych szans. Wszystko sprowadzało się do zdrady i Oszustwa, bez względu na to, jakie przyzwolenie dawał im świat.

Pomyślał o programie politycznym Esther, tak dobrze znanym wszystkim w Mitford, że nawet pierwszoklasiści byli w stanie go wyrecytować: „Mitford dba o swoich”.

Esther wcielała tę filozofię w życie na każdym kroku, nie zdradzając jej ani na chwilę.

Czyż nie było prawdą, że jeśli troszczy się o to, co się posiada, przynosi to trwały wzrost? Czyż jego trillium, gdy zapewnił mu wszelkie warunki niezbędne do właściwego rozwoju, nie rozrosło się, tworząc prawdziwy zagajnik? Podobnie konwalie, posadzone w żyznej, czarnej ziemi za jego salonem, stały się prawdziwym królestwem, które wzięło początek z trzech zaledwie małych roślinek.

Prawdę powiedziawszy, Mitford się rozwijało. Wcale nie było sielankowym zaściankiem. Mała herbaciarnia w pobliżu Mitford Blossoms prosperowała doskonale. Asortyment nadal ograniczał się co prawda do ciast, ciasteczek, herbaty i kawy, ale jak wszyscy zgodnie twierdzili, najtrudniejszy pierwszy krok.

Ostatnio Jena Ivey, właścicielka kwaciarni, zmuszona była dobudować jedno pomieszczenie. A weźmy Irish Woolen Shop — sklep z wełnianymi wyrobami z Irlandii. Oto przykład elastycznego przedsięwzięcia. Późną wiosną i latem, gdy temperatury drastycznie wzrastały, Minnie Lomax usuwała słowo „wełniane” z szyldu, zapewniając w ten sposób ożywiony handel przez cały rok.

Avis Packard stanowił kolejny przykład. Avis był właścicielem małego sklepu spożywczego w miasteczku, zwanego Sklepem, i tak doskonale wywiązywał się z zadania dostarczania światowej klasy produktów, że klienci zjeżdżali z sąsiednich okręgów, zapelniając znajdujący się na tyłach sklepu parking i blokując ulice, szczególnie gdy przychodziła pora sprzedaży kukurydzy Silver Queen.

I Księgarnia Szczęśliwych Zakończeń. Gdy tu zamieszkał, w Mitford nie było czegoś takiego jak księgarnia. Był zmuszony jeździć do Wesley i wydawać swoje pieniądze w innym okręgu podatkowym. Rok temu latem przed księgarnią ustawiała się prawdziwa kolejka — widział to na własne oczy — gdy najnowsza książka Grishama została dostarczona przez UPS. Pracownik firmy był zaskoczony, gdy zatrzymał się przed sklepem i wszyscy zaczęli wiwatować.

Mitford świetnie sobie radziło, i to bez neonów oraz fabrycznego dymu. Więc tak, być może przemysłowy rozwój byłby wskazany, ale spójrzmy prawdzie w oczy, robili to dobrze i nie chciał, aby ta filozofia została zastąpiona inną, dla której liczył się tylko rozwój i zmiana, bez względu na koszty.

Jeszcze jedna rzecz. Nie miał pojęcia, skąd Mack Stroupe mógł znać kogokolwiek spoza Wesley i Holding. Jak udało mu się nawiązać kontakty z instytucją, która wyglądała na dużą firmę developerską z Florydy? I cała ta afera z Mitford Woods i Mackiem w roli prowodyra.

A tak w ogóle, co z programem politycznym Macka?

Czy Mack był rzeczywiście dla Mitford?

A może Mack był dla Macka?

Odkrył, że jego płatki śniadaniowe smakują dokładnie jak lateks na bazie olejów.

Wszystkie okna były otwarte, trzy wiatraczki pracowały na maksymalnych obrotach, a Violet leżała wyciągnięta na lodówce jak zamroczona. Nawet gloksynii zdawały się szkodzić trujące opary unoszące się z suterren.

— Przeprowadźmy się — zaproponowała zdecydowanym głosem Cynthia.

— Gdzie? — zapytał zachwycony pomysłem.

— Mały żółty domek! We własnym holu spotykam zupełnie obcych ludzi!

— Znasz przecież Tommy'ego — bronił się. — Spędził tu jedynie trzy noce.

— Tak, ale...

— A przyjaciel Harleya, Cotton, czyż nie opowiadał wspaniałych historii?

— Oczywiście, ale...

— A Olivia miała z pewnością dobre intencje, gdy przyjechała tu z kobietami ze służby pomocniczej szpitala, przywożąc naczynia kuchenne i dywaniki do kuchni Harleya. Jestem pewien, że nie przeszkadzało im, iż miałaś jeszcze wałki we włosach.

— Wysłałam za mąż za starego kawalera, który wiódł najspokojniejszy pod słońcem żywot, a teraz popatrz! — zawołała, spoglądając na kuchenny zlew, w którym znajdowały się wałki, pojemnik na wałki i cały pęk pędzli.

— Remont instalacji wodno-kanalizacyjnej w suterrenach — przekonywał słabo — skończy się jutro i będą mogli myć pędzle na dole.

— Już to widzę!

— Jesteś piękna, gdy się złościś — rzucił w końcu.

— Wyczytałam to w jakimś romansidzie trzydzieści lat temu!

— No to podaj mnie do sądu. Ominęła stół i usiadła mu na kolanach.

— Kocham cię, ty potworze.

— A ja kocham cię jeszcze bardziej — przekonywał, przyciągając ją do siebie i całując jej włosy.

— Czy zaczęłaś już nową książkę?

Roześmiała się wesoło.

— Oczywiście, że zaczęłam nową książkę! Wszystko to nigdy by się nie wydarzyło, gdybym nie zaczęła nowej książki!

Obecnie księża rzadko mieszkali w domach należących do parafii. Zazwyczaj woleli je mieć na własność. Ponadto, ponieważ koszty utrzymania domu, w którym mieszkał, były przez te wszystkie lata dość duże, rada parafialna dawno temu przegłosowała decyzję o sprzedaży domu, gdy zakończy pracę. Zważywszy na niedawny remont na dole, pastor podejrzewał, że uzyskają za niego dużo lepszą cenę.

Kto by kiedykolwiek pomyślał, że zobaczy, jak ponury hol na dole nabiera życia pod wpływem warstwy farby w kolorze brzoskwiowego sufletu albo jak przeistacza się tamtejsza kuchnia dzięki warstwie Piña Colada i wesołym zasłonom jego żony w oknach, tańczącym na delikatnym wietrze.

Harley Welch będzie mieszkał w jego suterrenach w wielkim stylu.

Zanim następnego dnia zjawiała się ekipa z Miami, zdążył załatwić kilka bieżących spraw.

Emil Kettner, szef firmy budowlanej, która budowała Dom Nadziei, powiadomił go z żalem, że Buck Leeper przez kolejne dwa lata będzie zajęty pracą nad projektem w Wirginii.

Być może wtedy, obiecał Kettner, będą mogli przysłać Bucka do Mitford na sześć miesięcy, co powinno wystarczyć na przeprowadzenie prac na kościelnym poddaszu. Jego firma nigdy nie zlecała Buckowi takich małych projektów, ale w tym przypadku postaraliby się zrobić wyjątek. Czy mogą poczekać?

Ich szkoła niedzielna nie pękała jeszcze w szwach, ale brakowało im już niewiele.

Wniosek był następujący — Lord's Chapel skłonna jest poczekać, ponieważ naprawdę zależy im na tym, aby to Buck wykonał tę pracę.

— Radzi sobie lepiej, pomyślałem, że chętnie się ojciec o tym dowie — opowiadał Emil. — Od czasu do czasu zdarza mu się jakiś zakrapiany alkoholem weekend, ale przestało to już być jego codziennym zwyczajem, jak przez wiele lat. Co się wydarzyło w Mitford, ojczu?

— Buck pozbył się czegoś starego, a powstałe w ten sposób miejsce mogło zostać zastąpione czymś nowym.

— Ma ojciec moje osobiste podziękowania.

— Nie mnie należą się podziękowania — wyjaśnił pastor. — Podziękowania należą się Bogu!

Lace Turner czekała na niego przy schodach prowadzących do suterren.

— Zjadł całą torebkę czekoladowych cukierków! — poskarżyła się.

Harley, zielony na twarzy, siedział na podłodze w holu, trzymając się za żołądek.

— Nie donoś na mnie, jakbym był jakimś smarkaczem!

— Zachowujesz się jak smarkacz! — zaoponowała Lace. — Ta czekolada sprawi, że znowu odezwią się twoje wrzody, i to właśnie, gdy zaczynałeś się czuć lepiej.

— Wielebny, to wszystko przez ten pudding dla dzieci, to on mnie skusił. Człowiek potrzebuje czegoś, w co mógłby wbić zęby, że tak powiem. Ale och, naprawdę, bardzo żałuję, że kiedykolwiek kupiłem tę torebkę cukierków, nie tknę ich już nigdy, do końca życia! Nie, proszę ojca!

— Czterdzieści dwa cukierki, policzyłam — poinformowała go Lace. — Pozwijał papierki i wszystkie wcisnął pod materac.

— Nic się nie ukryje przed tą małą jest gorsza niż policja. Harley wstał nagle, z wyrazem rozpacz na twarzy.

— Ojej! Lepiej stąd wyjdźcie. Pośpieszył truchtem do łazienki.

Co za wycucie czasu. Za ledwie godzinę wcześniej zakończono prace nad instalacją wodno-kanalizacyjną w suterrenach.

Poruszył się niespokojnie na swoim krześle w kancelarii i spojrzął na zegarek.

Za trzydzieści minut razem z Ronem Malcolmem i kilkoma innymi członkami rady parafialnej będą oprowadzać po domu Sadie Baxter obcych ludzi. W ogóle go to nie cieszyło, ale jeszcze bardziej złościł go jego własny, chwiejny stosunek do całej sprawy.

Musieli go jak najszybciej sprzedać, uwolnić od tego ciężaru parafię. Ale oto nadarzała się świetna okazja, jechała właśnie do nich w wynajętym samochodzie, a on chciał biec w drugą stronę.

Problem brał się z tego, że za wszelką cenę nie chciał pozwolić całkowicie odejść Sadie Baxter. Usiłował trzymać się kurczowo czegoś, co przepadło i odeszło, innego stylu życia, który tak żywo przetrwał w fascynujących opowieściach panny Sadie.

Gdy Fernbank zostanie sprzedany, ze starego Mitford pozostaną jedynie trzy oryginalne witryny sklepowe na Main Street, Lord's Chapel i kancelaria, biblioteka miejska oraz posiadłość Porterów i jednocześnie muzeum miejskie, gdzie małe mieszkanie mieli wujaszek Billy i panna Rose.

Do licha!, zganiał się. Skończ z byciem prostakiem i zacznij żyć chwilą obecną!

Spojrzał na Emmę, która wpatrywała się w ekran komputera. Co takiego było w ekranach komputerowych, że ludzie tak się w nie wpatrywali? Nic się tam nie poruszało, a ona mimo to robiła wrażenie zahipnotyzowanej, jakby słyszała głosy anielskie.

— Nie do wiary — szepnęła, klikając myszą. Westchnął.

— Spójrz tylko — zawołała, nie spuszczać wzroku z ekranu. Wstał, podszedł do jej biurka i spojrzął.

— Co takiego? Wygląda jak lista.

— To jest lista. To lista wszystkich mieszkańców Stanów Zjednoczonych i ich adresów. Nasz człowiek od komputerów mi ją przesłał. Widzisz?

Przesunęła strzałkę w kierunku nazwiska.

— Albert Wilcox! — wykrzyknął. — Wielkie nieba, czy myślisz...

— Szukamy Alberta Wilcoxa od jak dawna?

— Co najmniej od dziesięciu lat! Czy myślisz, że to nasz Albert Wilcox?

— Słyszeliśmy, że przeniósł się do Seattle — zastanawiała się na głos — i próbowaliśmy go znaleźć w książce telefonicznej, ale nam się nie udało. To miasto jest gdzieś blisko Seattle, nazywa się Oak Harbor.

— Świetna robota! Napiszmy do tego Alberta Wilcoxa i sprawdźmy, czy to do jego babci należał ten ręcznie iluminowany modlitewnik, który znalazł się w schowku w świetlicy parafialnej.

— Cud! — zawołała. — Pamiętam dzień, w którym go znaleźliśmy — tuż za plastikowymi poinsecjami, które były tam od stu lat. Skąd, u licha, się tam wziął...

— Ta książka może być warta fortunę. Każda strona jest wykaligrafowana i ilustrowana akwarelami przez jego dziadka. Alberta bardzo zasmuciło jej zniknięcie z wystawy, którą przygotowaliśmy na wentę dobroczynną.

— Zginęła tylko część pierwsza, nie pamiętasz, nie cała książka!

— Niemniej jednak...

— I nie zapominaj, że chciał podać Kościół do sądu. Dopiero panna Sadie odwiodła go od tego pomysłu.

No tak, jeszcze i to.

Ingrid Swenson była zgodnie z modą szczupła, mocno opalona i drogo ubrana.

— Porywające! — zachwycała się, gdy jechali dumnym, chociaż zaniedbanym podjazdem posiadłości Fernbank.

Pnącza winogron pięły się ponad drogą i wplatały w szpaler świerków po drugiej stronie. Na prawo gigantyczny jaśminowiec przekwitał powoli w poplątanym gąszczu wistarii, magnolii i rododendronu.

Dom nie zdradzał od razu swojego złego stanu, więc czuł z tego powodu ogromną ulgę. Prawdę powiedziawszy, wyglądał jeszcze bardziej imponująco, niż miał to w pamięci ze swojej ostatniej wizyty prawnego opiekuna.

Ze wzruszeniem przypomniał sobie, że dokładnie dwa lata temu odbyła się w tym domu najwspanialsza uroczystość.

Na murawie młodzi ludzie w smokingach podawali szampana i pucharki ponczu na srebrnych tacach, podczas gdy z wysokich okien sączyły się żywe dźwięki muzyki Mozarta. Wewnątrz cała sala balowa przepelniona była serdecznym uczuciem sympatii dla Olivii i Hoppy'ego Harperów, olśniewającej panny młodej i pana młodego, oraz podziwem dla ręcznie zdobionego sufitu nad ich głowami, który dzięki staraniom właścicielki właśnie odzyskał dawny splendor.

Roberto przyleciał z Włoch, aby sprawić niespodziankę panie Sadie. Stało tam też składające się z trzech warstw ciasto pomarańczowe Esther Bolick. Każda warstwa wspierała się na kolumnach korynckich z marcepana, ozdobionych importowanymi kaliami. Było to bez wątpienia najświetniejsze wydarzenie od czasu, gdy prezydent Woodrow Wilson zaszczycił swoją obecnością bal w Fernbank i podarował małej Sadie Baxter cukierek w srebrnym papierku.

Mężczyzna, który towarzyszył Ingrid Swenson, wydawał się zainteresowany jedynie obgryzaniem paznokci, mówieniem monosylabami i oglądaniem posiadłości Fernbank wyłącznie na własną rękę. Pastor widział, jak zagląda do pralni i spaceruje po sadach, robiąc notatki.

— Blisko pięć hektarów — poinformował Ron Malcolm, wieloletni członek Lord's Chapel, który dbał o to, by nie wygasła jego licencja pośrednika handlu nieruchomościami.

— Wspaniale — stwierdziła Ingrid, która nie robiła żadnych notatek. — Pięć hektarów oznacza dwadzieścia cztery domy. Wodociągi miejskie, jak przypuszczam?

— Studnia.

— Kanalizacja miejska, oczywiście...

— Niestety nie — wyjaśnił Ron. — I muszę szczerze pani wyznać, że koszt podłączenia tej nieruchomości do systemów miejskich swobodnie przekroczy sto tysięcy. Ujęcie znajduje się prawie kilometr niżej, a ponadto sporym problemem może się okazać uzyskanie pozwoleń na poprowadzenie instalacji przez tereny prywatne.

Ingrid spojrzała na niego wyniośle.

— Być może wypadaloby, aby ponieśli państwo kosztą tej inwestycji i zaoferowali nabywcy nieruchomość o wyższym standardzie.

— Jeszcze bardziej wypada — nie zgodził się Ron — abyśmy nie obarczali takim długiem parafii.

Uśmiechnęła się wymijająco.

— To i tak jedynie nieistotny szczegół, proszę pana. Ale rozważmy kwestię, która jest biegunowo różna od tego nieistotnego szczegółu, a mianowicie liczbę miejsc pracy, która powstanie w miasteczku dzięki takiemu obiektowi. Ekskluzywna posiadłość z dwudziestoma jeden pokojami i dwudziestoma czterema domami, włącznie z supernowoczesnym centrum zdrowia, da zatrudnienie ponad stu osobom. Wielu z nich przyjedzie z Europy i z Wysp Brytyjskich i będzie potrzebowało odpowiedniego mieszkania. To, panowie, może spowodować mały boom.

Przerwała na chwilę, aby jej słowa wywarły właściwy efekt.

— Mały boom dla małego miasteczka! — rzuciła w końcu, śmiejąc się.

— Tak, proszę pani — zgodził się Ron Malcolm.

— Ale wróćmy do tego wszystkiego później. Teraz chciałabym zacząć od poddasza i zejść do suterenu.

— Załatwione — powiedział pastor, który marzył, aby mieć już to wszystko za sobą.

Kiedy znaleźli się w kancelarii, Ingrid wyjaśniła im, że omówi to ze swoimi współpracownikami. Nie wykupią opcji — zaryzykują kupno nieruchomości do czasu, gdy będą gotowi złożyć ofertę za trzydzieści do sześćdziesięciu dni.

— Ryzyko — stwierdziła, bawiąc się przyciskiem do papieru na jego biurku — czyni nasze życie bardziej fascynującym.

Ich prawnik rozpocznie natychmiast proces poszukiwań w sprawie praw własności, a pełna topografia zostanie sporządzona przez rzeczoznawcę z Holding. Nie, nie chcieli draperii okiennych ani mebli, no może poza łóżkiem panny Sadie, które — doszła do wniosku Ingrid — było francuskie, dwuosobową kanapką i sekretarzykiem, które prawie na pewno pochodziły z czasów króla Jerzego II, i chińską szafką która wyglądała na wyrób lokalnego artysty.

Jej ludzie chcieli jeszcze raz porozmawiać z inżynierem miejskim i wyrazili ubolewanie, że ogrzewanie zdaje się nie działać oraz że całkowitej modernizacji będzie wymagać instalacja wodno-kanalizacyjna.

Przed wyjazdem zwróciła uwagę na poważne zniszczenia wywołane przeciekającą od wielu lat przez dziurawy dach wodą i zmarszczyła brwi, gdy ponownie został poruszony temat studni i kanalizacji.

Usiłował poczuć się uszczęśliwiony, ale był jedynie wdzięczny, że pierwszy etap został zakończony i że miał go już za sobą. Zanotował, że powinien wybrać się do Fernbank z Cynthią, aby przeglądnąć strych, i to jak najszybciej.

Pauline Barlowe dostała pracę i miała zacząć w poniedziałek rano o szóstej trzydzieści.

Zadzwoił od razu do Scotta Murphy'ego.

— Dziękuję! — zawołał. — Nie umiem powiedzieć, jak bardzo jestem ci wdzięczny.

— Za co, proszę ojca?

— Jak to... za to, że powiedziałeś coś, co mogło pomóc w jakiś sposób Pauline dostać pracę w waszej jadalni.

— Nie powiedziałem ani słowa.

— Nie?

— Nic nie pisałem. To był pomysł naszego dyrektora personalnego. Powiedziała, że zdaje sobie sprawę z ryzyka, ale że chce to zrobić, i przyszła o tym ze mną porozmawiać. Lida Willis jest twarda, będzie bacznie obserwować panią Barlowe, ale ma dobre serce — chce, żeby to się udało.

— Wszyscy jesteśmy zachwyceni. To wiele znaczy dla Dooleya, tak jak dla jego matki. Kiedy przyjdiesz do nas na kolację? W moim domu prawdziwe urwanie głowy — dokładnie tego potrzebowałem, aby urozmaicić swój żywot starego kawalera.

— Proszę podać dzień i godzinę! — zgodził się z radością kapelan.

— Zadzwonię do ciebie — obiecał pastor.

— Urządzamy przyjęcie — obwieściła jego żona wyraźnie podekscytowana.

— Tak?

— W piątek wieczorem. W suterrenach. To inauguracja mieszkania! Ja piekę ciasteczka i robię ciasto puddingowe dla Harleya, a Lace przyrządza lemoniadę. Zaprosiłam Olivię, Hoppy ma spotkanie, i ach, zaprosiłam Dooleya, ale nie ma zbyt wielkiej ochoty. Kto jeszcze?

— Hm. Scott Murphy! — zastanawiał się na głos.

— Doskonale. Kto jeszcze?

— Tommy. Ale poczekaj, wydaje mi się, że Dooley wspominał coś o jakiejś uroczystości rodzinnej w piątek u Tommy'ego, i Dooley wybiera się tam później. Będą oglądać coś na wideo.

— W porządku. To razem siedem. Wspaniale! Skończyli malować dzisiaj, mieszkanie wygląda cudownie, jest wywietrzone, a Harley wręcz nie posiada się z radości. Zgrabił całą tonę liści spod tylnego ogrodzenia, a za kilka dni wymieni mi alternator.

— Wspaniale! — wyraził uznanie.

— Harley jest taki szczęśliwy, że nie może przestać się uśmiechać, a Lace — nie mówi tego, ale jest tym wszystkim zachwycona.



— To był jej pomysł i miała dość odwagi, aby przyjść z tym do mnie i mnie o to poprosić.

— „Przybliżmy się więc z ufnością do tronu łaski...” — zaczęła jego żona, cytując jeden z jego ulubionych wersetów z Listu do Hebrajczyków.

— „...abyśmy otrzymali miłosierdzie i znaleźli łaskę dla uzyskania pomocy w stosownej chwili!” — dokończył.

— Amen! — zawołali zgodnie, śmiejąc się.

Szczerze mówiąc, uwielbiał to, gdy udawało im się jednocześnie zacytować fragment z Pisma Świętego. Jako chłopiec w Kościele baptystów swojej mamy przeszedł prawdziwą musztrę w nauce na pamięć wersetów z Pisma Świętego, które przychodziły mu na myśl szybciej niż coś, czego uczył się wczoraj.

— Uważam, że to jedno z najwspanialszych przesłań, jakie zostało kiedykolwiek wygłoszone — stwierdził. — No dobrze, a teraz, co mogę zrobić, żeby ci pomóc w urzędzeniu przyjęcia?

— Pomóż mi przenieść tę starą sofę z garażu do salonu Harleya. Wydaje mi się, że nie ma dość siły, żeby się tym zająć. Potem przesuniemy tę szafę z klonu z kotłowni do jego sypialni.

Czy nie ma już balsamu w Gileadzie?

— Ach i jeszcze jedno — dorzuciła, uśmiechając się niewinnie. — Musimy przeciągnąć to ogromne pudło z książkami z jego salonu do kotłowni.

Na swoje urodziny w lipcu jego żona dostanie pas podtrzymujący na plecy — czy będzie jej się to podobało, czy nie. Prawdę powiedziawszy, przy okazji kupi też jeden dla siebie.

W drodze do Domu Nadziei wstąpił do cukierni Sweet Stuff, żeby kupić coś słodkiego dla Louelli.

Winnie Ivey spojrzała na niego i wybuchnęła płaczem.

— Winnie! Co się stało?

— Słyszałam, że ojciec odchodzi — wyjaśniła, wycierając oczy fartuchem.

— Tak, ale dopiero za półtora roku.

— Będzie nam ojca strasznie brakować.

— Ale ty najprawdopodobniej odejdziesz pierwsza.

— Och — przyznała mu rację. — Cały czas zapominam, że stąd wyjadę.

— Poza tym nadal będziemy mieszkać w Mitford, w sąsiednim domu.

— To dobrze! — ucieszyła się, pociągając nosem. — Od razu mi lepiej. Proszę, niech się ojciec poczęstuje napoleonką, wiem, że ojciec nie powinien, ale...

A co tam, pomyślał, przyjmując poczęstunek. Przynajmniej jedna osoba żałowała, że odchodzi na emeryturę.

Gdy wyszedł z cukierni, spojrzał w górę ulicy i zobaczył wujaszka Billy'ego, który siedział na krześle z chromowanego metalu, na terenie muzeum miejskiego, obserwując płynący wokół pomnika ruch uliczny.

Podszedł i dołączył do niego.

— Wujaszku Billy! Nie mogę się już doczekać kolejnego dowcipu.

— Za żadne skarby świata nie potrafię wymyślić niczego nowego — żalił się starszy mężczyzna, wyglądając na naprawdę zasmuconego.

— Jeśli wujaszek nie potrafi, to kto?

— Moje dowcipy do niczego się już nie nadają. Za nic w świecie nie jestem w stanie rozśmieszyć Rose.

— Aha.

— Widzi ojciec, ja testuję swoje dowcipy na Rose. W ten sposób wiem, które mam opowiadać, a z których powinienem zrezygnować.

— Proszę wypróbować jeden na mnie i zobaczymy, co się stanie.

— Cóż, proszę ojca, dwie damy rozmawiały o tym, co nałożą na bal wojskowy, wie ojciec, i jedna z nich mówi: „Mamy włożyć coś, co będzie pasowało kolorem do fryzury męża, ja wobec tego ubiorę się na czarno, a ty?” Słyszac to, ta druga jakby zbladła, wie Ojciec, i odpowiedziała: „Wydaje mi się, że ja nie pójdę”.

— Aha — powiedział ojciec Tim.

— Widzi ojciec, ten gość, który był mężem tej kobiety, był łysy, rozumie ojciec?

Pastor uśmiechnął się.

— Nie jest zbyt dobry, prawda? — dopytywał się wujaszek

Billy. — A co powie ojciec na to? Mama małego Sonny'ego krzyczy na swojego syna: „Sonny, czy wyróciłeś się w swoich nowych spodniach?” A na to Sonny: „Tak, mam, nie zdążyłem ich ściągnąć”.

Pastor roześmiał się serdecznie.

— Niezły! Całkiem niezły!

— Widzi ojciec, jak usłyszę, że ktoś się śmieje, to od razu nabieram wiary we własne umiejętności.

— To mniej więcej tak samo, jak z głoszeniem kazań, jeśli chce wujaszek znać moje zdanie.

— Jeśli już mówimy o głoszeniu kazań, to ani Rose, ani ja nie jesteśmy zadowoleni z wiadomości, którą usłyszeliśmy w niedzielę. Po powrocie do domu było nam tak smutno, że mieliśmy ochotę wczołgać się pod łóżko i stamtąd nie wychodzić. Wydaje nam się, że to niewłaściwe, żeby ojciec tak po prostu odszedł.

— Będę mieszkał na końcu ulicy, tak jak do tej pory. Zamierzamy wprowadzić się do żółtego domku, tuż obok tego, w którym obecnie mieszkamy.

— Oboje z Rose postaramy się jakoś z tym pogodzić, ale... — Wujaszek Billy westchnął.

Ojciec Tim nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widział wujaszka Billy'ego bez szerokiego uśmiechu na twarzy i błysku złotego zęba.

— Widzi ojciec, nie podoba się nam z Rose, że gdy ojciec odejdzie, przyślą nam kogoś, kogo nie znamy.

— Tak zazwyczaj bywa.

— Wydaje mi się, że zanim poznamy tego nowego człowieka, nie będzie już nas na tym świecie, więc nie warto zadawać sobie trudu. Wrócimy po prostu do prezbiterian.

— Ależ, wujaszku Billy...

— Przykro mi to mówić, proszę ojca, ale razem z Rose uważamy, że mógł ojciec jeszcze z tym poczekać.

Pastor szedł wzdłuż Main Street, wpatrując się w chodnik. Po raz pierwszy w życiu wracał od Billy'ego Watsona, nie czując się lepiej, niż gdy się do niego wybierał.

Na rogu Main Street i Wisteria Lane zobaczył Gene'a Bolicka idącego w jego kierunku, więc uniósł do góry rękę w geście powitania. Wydawało mu się, że Gene go widział, ale mimo to spojrzął w bok i przebiegł na drugą stronę.

Czerwiec.

Z czym kojarzy się czerwiec...

Co jeszcze wypada w tym miesiącu? Jego urodziny!

Do licha, zaledwie wczoraj je obchodził.

Prawdę powiedziawszy, wspomnienie ostatnich urodzin nagle poraziło go ogromną falą smutku. Żona przyniosła mu kawę do łóżka i życzyła wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, potem zadzwonił telefon, a on pośpieszył do szpitala i odkrył, że kobieta, której los na zawsze zostanie związany z jego życiem, uległa strasznemu poparzeniu za sprawą jednego szaleńca.

Oparł się wygodnie na swoim krześle obrotowym i zamknął oczy. Porażający cały ten ciąg bólu i rozpacz. A kilka dni później, zaledwie kilka pokoi za Pauline, zmarła panna Sadie.

Nic dziwnego, że nieomal zapomniał o swoich urodzinach. A tak w ogóle, kiedy będą? Spojrzął w kalendarz. Do licha. Już wkrótce.

Ile lat skończy w tym roku? Nigdy nie pamięta. Zadzwonił do domu, do Cynthii.

— Ile lat skończę w tym roku?

— Niech pomyślę. Jesteś ode mnie starszy o sześć lat, a ja mam pięćdziesiąt siedem. Nie, pięćdziesiąt sześć. W takim razie ty masz sześćdziesiąt dwa.

— Nie mogę mieć sześćdziesięciu dwóch lat. Już obchodziłem sześćdziesiąte drugie urodziny, pamiętam to bardzo dokładnie.

— A niech to! — wykrzyknęła. — W takim razie masz sześćdziesiąt trzy lata!

— No cóż, na pewno nie mam sześćdziesięciu pięciu, ponieważ przejdę wtedy na emeryturę.

— Wobec tego musisz mieć sześćdziesiąt trzy. A to znaczy, że ja mam pięćdziesiąt siedem. Do licha!

Gdy odłożył słuchawkę, zdał sobie sprawę, że aby znaleźć odpowiedź, mogli się posłużyć swoimi datami urodzin. Ale z nich para! Miał nadzieję, że nikt nie założył podsłuchu na jego linii telefonicznej i nie usłyszał tych bzdur.

— Zastanawiałam się... — zaczęła Emma. Błagam, nie.

— Może przejdę na emeryturę razem z tobą.

— No cóż! Odetchnął z ulgą.

— Niezły pomysł!

Spojrzała na niego sponad swoich połówkowych szkieł.

— Ale nie myślałam, że zrezygnujesz tak szybko.

— Zrezygnuję?

— Domyślam się, że nie jesteś w stanie sobie z tym wszystkim poradzić, cały ten stres i tak dalej — dwa nabożeństwa w każdą niedzielę, umierający i chorzy...

— Nie ma to nic wspólnego ze stresem, a już na pewno nie z umierającymi i chorymi. Jak wiesz, zadeklarowałem, że będę pracował w zastępstwie w kościołach stąd aż po Azory.

— No tak, ale to tylko praca wakacyjna, każdy może sobie gdzieś pojechać na zastępstwo i się nie angażować.

Nagle poczuł, jak ogarnia go niesamowity gniew. Dzięki Bogu, nie był w stanie nic powiedzieć; nie mógł otworzyć ust. Czerwony na twarzy wstał zza biurka i wyszedł z kancelarii, mocno zamykając za sobą drzwi.

Proszę!, pomyślał. Już samo to jest wystarczającym powodem, żeby przejść na emeryturę.

Zasługiwał na medal za to, że znosił Emmę Newland przez te wszystkie lata — a zaledwie dzisiaj rano zdał sobie sprawę, że we wrześniu minie równe szesnaście lat.

Szesnaście lat w kancelarii wielkości klatki z kobietą, przy której Attyla, król Hunów, wydawał się wrażliwy i czuły?

— Medal! — zawołał na głos, przebiegając obok Irish Shop.

— I znowu chodzi, mówiąc sam do siebie — zauważyła Hessie

Mayhew, która zajrzała, żeby podzielić się torebką karmelków z Minnie Lomax.

— Jak myślisz, co mu jest? — chciała wiedzieć Minnie, która miała nadzieję, że karmelki nie przykleją jej się do podniebienia.

— Wiek. Cukrzyca. I poczucie winy — stwierdziła posepnie.

— Poczucie winy?

— Tak, że zostawia na lodzie tych biednych ludzi, którzy się nim opiekowali przez te wszystkie lata.

— Mój Boże — wyznała Minnie — my nie opiekujemy się naszym księdzem w ogóle. Sam się sobą zajmuje.

— Tak, ale wy macie księdza baptystę. Oni umiejętność zajmowania się sobą wynoszą z domu.

— Niesamowite — nie mogła wyjść z podziwu Minnie, której taka możliwość nigdy nie przyszła do głowy.

W Sklepie spotkał Sopię Burton, która nie należała nawet do Lord's Chapel, i zaniemówił, gdy wybuchnęła płaczem przy witrynie z mięsem.

— Tak mi przykro — wyjaśniła.

— Ależ nie ma powodu! — zawołał błagalnie, ponieważ nic innego nie przychodziło mu do głowy.

— To dlatego... to dlatego, że był ojciec dla nas taki dobry i... tak bardzo przyzwyczailiśmy się do ojca!

Czyż on nie nienawidził zmian? Wręcz ich nie cierpiał? A mimo to sprawił, że wszyscy musieli ich teraz doświadczyć. Gdyby jego żona nie była taka podekscytowana całą tą przygodą bycia wolnym, zadzwoniłby do Stuarta i... nie, nie zrobiłby niczego podobnego. Prawdę powiedziawszy, on sam czuł się podekscytowany. — Ja sam jestem... dość podekscytowany — wyszeptał słabo.

— Łatwo ojcu mówić!

Mona Gragg, była nauczycielka szkoły niedzielnej w Lord's Chapel, zbliżyła się do niego gniewnym krokiem, ściskając worek kukurydzy i pomidorów. Nie wiadomo dlaczego, Mona wyglądała, jakby miała trzy metry wzrostu; była też niesamowicie wściekła.

— Gdy usłyszałam o całej tej aferze w niedzielę, to aż się we mnie zagotowało. Tak świetnie nam się układało przez te wszystkie lata plus... jest ojciec jeszcze zupełnie młody i nie ma żadnego powodu pod słońcem, żeby przechodzić na emeryturę. Czy Grandma Moses\* zrezygnowała w wieku sześćdziesięciu pięciu lat? Oczywiście, że nie! A Abraham, o którym biskup Cullen tak sprytnie nawijał w niedzielę... przeniósł się do całkiem nowego kraju, gdy był już mocno po siedemdziesiątce, i pierwsze dziecko urodziło mu się dopiero, gdy skończył sto lat!

\* Grandma Moses — Anna Mary Robertson (1860-1961) — amerykańska malarka.

Mona oddaliła się dumnym krokiem, oburzona.

— Jedna z moich, hm, parafianek — wyjaśnił, oblewając się rumieńcem.

Sophia wytarła oczy i uśmiechnęła się.

— Ojczy, teraz rozumiem, dlaczego przechodzi ojciec na emeryturę.

Zapłacił, przyglądając się z radością, jak Dooley pakuje artykuły spożywcze przy jednej z dwóch lad Avisa.

— Jak leci, przyjacielu? Dooley uśmiechnął się.

— Wspaniale! Jeśli nie liczyć tych, którzy pomstują, że chce ojciec przejść na emeryturę.

— Ach, no cóż.

Z jakiegoś nie do końca zrozumiałego powodu Dooley popierał jego plan przejścia na emeryturę. Chłopiec bronił go nie po raz pierwszy. Rok czy dwa lata temu, gdy Buster Austin nazwał pastora safandulą, Dooley zbił swojego kolegę na kwaśne jabłko.

Gdy wychodził ze Sklepu, zobaczył, jak Jenny opiera swój rower o słup latarni.

Kiedy rozpoczął spacer na jednym końcu Main Street, czuł się jak milioner; gdy znalazł się na drugim — jak tani oszust. Na całej długości ulicy podchodzili do niego ludzie, którzy słyszeli nowinę i nie byli nią zachwyceni albo — ale to należało do rzadkości — życzyli mu szczerze wszystkiego najlepszego.

Rodney Underwood doznał szoku i był — najwyraźniej — osobiście urażony.

Lew Boyd pokiwał głową i za nic w świecie nie chciał mu spojrzeć w oczy. Nie potrafił zrozumieć, czym — na Boga — mógł poczuć się dotknięty jego mechanik samochodowy.

Właściciel Collar Button wybiegł na ulicę i złożył mu wyrazy najgłębszego współczucia.

— Co za strata! — szepnął posepnie, jakby był pracownikiem zakładu pogrzebowego.

Członkini rady parafialnej zadzwoniła do niego do domu.

— To — obwieściła — najgorsza wiadomość, odkąd znaleźli coś w węzłach chłonnych Lloyda.

Zadzwonił do Stuarta Cullena.

— Gene Bolick przeszedł na drugą stronę ulicy! — wyrzucił z siebie, czując się jak żalący się rodzicowi dziesięciolatek.

— Zaprzeczenie! Jeśli nie będzie musiał z tobą rozmawiać, nie będzie musiał zaakceptować prawdy. Przejdzie mu. Na to potrzeba czasu.

— A niektórzy są wściekli, ponieważ przechodzę na emeryturę tak wcześnie! Czuję się jak zdrajca, jakbym ich porzucił.

— Pozwól im się wykrzyknąć! — zawołał Stuart. — Gdy ludzie nie wyrażają swojego gniewu, przeradza się on w depresję. Tak więc lepsze to niż parafia, którą zżera niezadowolenie i niskie morale.

— Są też i tacy — zwierzył się z ciężkim sercem ojciec Tim — którzy uważają, że to zwykła niedogodność.

— I mają rację — przyznał Stuart. — Przy okazji, twój komitet selekcyjny już rozpoczął działania, ale to będzie długi proces. Trwaj więc na posterunku.

Jego biskup wcale mu nie pomógł.

Pośpieszne postrzyżyny, które zawdzięczał swojej niechętnie podejmującej się tego żonie, pomogły mu przetrwać wizytę Stuarta, ale na tym ich zbawienne działanie się kończyło. I do licha, jeśli Fancy Skinner nie miała zajętych wszystkich terminów. Tak to już jest z tymi salonami typu uniseks, rozmyślał posepnie. Umówił się na wizytę za miesiąc i nie tracił nadziei, że uda mu się namówić Cynthię na interwencję na półmetku.

— Nie, po tysiąckroć nie. Nie umiem obcinać włosów! Jedź do Wesley, gdzie mają fryzjera takiego, jak lubisz, gdzie mężczyźni rozmawiają o łowieniu pstrągów i o polityce!

— Nic nie wiem o łowieniu pstrągów, nie wspominając o polityce — wyznał. — Skąd ci to przyszło do głowy?

— Och jej, kochanie! — zawołała, zbywając go ruchem dłoni.

— Ja mogę ojca podstrzyc! — zaoferował się Harley, który przygotowywał się na swoje przyjęcie w suterrenach.

— Och, nie jestem...

— Ależ, wielbny, obcinałem włosy stąd po Teksas, to żadna sztuka, wystarczy jedynie para ostrych nożyczek, O tak, właściwe nożyczki to wszystko. Ciąłem brzytwą, ciąłem scyzorykiem, ale najbardziej lubię nożyczki. Nie mam pary nożyczek, ale mam dobry kamień, którego używam do ostrzenia mojego noża, więc musi mi ojciec dać nożyczki i sprawa załatwiona. Na co ojciec czeka? Rozumiem, że chodzi przede wszystkim o odsłonięcie koloratki.

— Nie jestem pewien, Harley. Harley spojrział na niego poważnie.

— Wielbny, powinien mi ojciec pozwolić to dla siebie zrobić. Nie chciałbym, żeby Bóg zapytał: „Co zrobiłeś dla wielbnego?“, a ja będę mu musiał powiedzieć: „Nic, nie pozwolił mi nic zrobić!“ Wiem, co odpowie mi Bóg, odpowie: „Harley, to nie jest żadne wytłumaczenie. Musisz zejść w dół, po tych schodach, wiem, że jest piekielnie gorąco, ale...”

— Och, na litość boską — ustąpił pastor. — Przyniosę nożyczki. Na twarz Harleya wypłynął uśmiech, jak zwykle, od ucha do ucha.

— Hm — mruknęła Cynthia, spoglądając na niego, gdy ubierał się na przyjęcie u Harleya, inaugurujące jego nowe mieszkanie.

— Co takiego? — zaniepokoił się.

— Twoje włosy...

— Coś nie tak?

— Na karku masz jakby zęby.

— Zęby?

— No tak, w górę i na dół, w górę i na dół. Czego użył Harley? Nożyc profilowanych?

— Nożyczek!

— Mam nadzieję, że nie tych, których używam do krojenia kurczaka.

— Oczywiście, że nie. Użył nożyczek z mojej komody. Dbam o to, żeby zawsze były dobrze naostrzone.

— To dobrze — stwierdziła, przyglądając mu się, jakby był motylem na szpilce. — Może usiądziesz na klapie od toalety i pozwolisz, żebym... nadała twojej fryzurze jakiś kształt? Wiesz, że robię to bardzo niechętnie, ale nie możesz pokazywać się ludziom z tymi zębami.

Oczywiście. Usiadł na klapie od toalety, osłonięty ręcznikiem i zadowolony, że za chwilę będzie miał całe to fatalne przedsięwzięcie za sobą.

Cynthia zrobiła, co do niej należało, i pośpieszyła na dół. Wkładał czystą koszulę, gdy do sypialni wszedł Dooley.

Spojrział na chłopca, który dopiero co wrócił z pracy, a teraz dodatkowo odświeżył się pod prysznicem. Czysty T-shirt, czyste dżinsy, uczesane włosy, porządnie zawiązane sznurówki. Budujące! Z każdym dniem coraz bardziej przypomina milionera!

Dooley obszedł pastora, wpatrując się w niego, jakby oglądał pomnik w parku.

— A niech mnie... — przemówił w końcu Dooley.

— Czemu się tak przyglądasz?

— Ojca włosom.

— Coś nie tak z moimi włosami?

Obecnie już sama wzmianka o jego włosach sprawiała, że robił się bardzo drażliwy.

— Z tyłu mają jakby kształt litery V. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem.

— Litera V? Jak to: litera V?

Podszedł do swojej komody i posługując się lusterkiem na rączce swojej żony, spojrzął na tył głowy w trójdzielnym lustrze. Nie była to dokładnie litera V, bardziej przypominała U. Co się dzieje z tymi ludźmi?

— Mogę ojcu podciąć ten tył — zaproponował Dooley — jeśli pozwoli mi ojciec poprowadzić samochód w niedzielę.

— Dooley...

— Może ojciec jechać do Farmer, a ja poprowadzę od skrótu.

— To nie jest właściwa pora, żeby...

— W każdym razie niech mi ojciec pozwoli zrobić porządek ze swoimi włosami. Wiem, jak się to robi.

— Chyba żartujesz.

— Nie żartuję. Obcinałem włosy Tommy'emu setki razy.

— Już ci wierzę.

— Przysięgam na cały stos Biblii.

— Radzę ci tego nie robić. Te Biblie, które tak łatwo przyszło ci ułożyć w stos, mówią nam, żebyśmy nie przysięgali.

— To V zasłania ojcu koloratkę.

W następnym tygodniu pojedzie do Memphis, to zaledwie dziewięć czy dziesięć godzin jazdy samochodem w jedną stronę, i zobaczy się z Joe. Jak już tam będzie, to może Joe oprowadzi go po Graceland...

Westchnął głęboko. Po raz trzeci w tym dniu wyjął z szuflady komody swoje nożyczki i podał je drugiej osobie. Tym razem jednak miał dość rozumu, żeby się pomodlić.



# Rozdział siódmy

## NOWE MIESZKANIE

Z pokazowego ciasta puddingowego zostały jedynie okruszki, misa z owocami była całkowicie opróżniona, a ciasteczka doszczętnie spałaszowane. W szklanym dzbanku królowały jedynie dwa plasterki cytryny i kilka pestek.

W świeżo wymalowanym salonie Harley otwierał ostatni z prezentów, które otrzymał na nowe mieszkanie.

— Ojej! — zawołał, trzymając w ręce oprawiony obraz Jezusa niosącego owieczkę.

— To nasz Bóg i Pan, nieprawda?

— Strzał w dziesiątkę! — przyklasnęła Cynthia, która podarowała mu reprodukcję do powieszenia nad łóżkiem.

— Ta owieczka się zgubiła — obwieścił Dooley. — Opowiedz im o tym — poprosił, spoglądając na pastora.

— A może ty opowiesz? Dooley podrapał się w głowę.

— No cóż, widzisz, to jest tak... jakby się miało sto owiec i jedna z nich uciekłaby i się zgubiła, poszedłbyś za nią w góry, szukając jej. I tak, że jakbyś ją znalazł, to czułbyś się naprawdę szczęśliwy, to znaczy nawet bardziej niż z powodu wszystkich tych dziewięćdziesięciu dziewięciu owiec, które nie uciekły.

— Niech mnie kule biją! — wykrzyknął Harley. Siedząc na krześle, Lace pochyliła się do przodu.

— Ta opowieść jest o tym — wyjaśniła — że gdy ktoś się zgubi i Jezus go znajdzie, a on odda Mu swoje serce, Jezus cieszy się z niego bardziej niż ze wszystkich innych, którzy nigdy się nie zgubili.

Dooley spojrział na nią chłodno.

— Wydaje mi się, że ze mną właśnie tak było. Jezus chodził po górach, szukając mnie, i przyprowadził mnie tutaj. — Harley uśmiechnął się. — I już nie jestem zagubioną owieczką.

Pastora poruszyła do żywego dziwna pewność siebie — być może rodzaj nowej dojrzałości — którą dostrzegł w Lace Turner.

— No cóż, chciałbym wam wszystkim podziękować — zaczął Harley, a do oczu napłynęły mu łzy.

— Nigdy wcześniej nie miałem Pisma Świętego podpisanego własnym nazwiskiem, nigdy nie miałem elektrycznego wiatraka, który porusza się w prawo i w lewo... — Wyjął papierową serwetkę z kieszeni i wytarł nos.

— ...nigdy nie miałem obrazu do powieszenia nad łóżkiem, z wyjątkiem zdjęcia mamy, gdy była małym dzieckiem... i Bóg mi świadkiem, nigdy nie miałem... — Harley poklepał prezent od Scotta, który leżał obok niego na sofie. — Jak się nazywa to, co mi podarowałaś?

— To jest szal wełniany — wyjaśnił kapelan, uśmiechając się.

— Wyrabia je jedna z naszych pensjonariuszek. Są dużym przebojem na wzgórzu.

— Jak mówiłeś, do czego dokładnie służy?

— Jest po to, aby się nim okryć w zimie i leżeć w cieple, na sofie, oglądając telewizję.

— Będę go używał i bardzo za niego dziękuję, ale nie zamierzam leżeć na sofie i oglądać telewizji.

— Harley zamierza wymienić mi alternator! — obwieściła Cynthia.

— Byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś mógł mi sprawdzić hamulce — poprosił Scott. — Zacinają się.

— To mogą być cylinderki hamulcowe.

— Zapłacę obowiązującą stawkę.

— Jedyna obowiązująca stawka dla was to stawka zerowa — zadeklarował Harley.

Scott Murphy spojrział na zegarek i wstał.

— Muszę zaglądnąć do moich pensjonariuszy, zanim położą się spać. Dziękuję za zaproszenie, proszę ojca... proszę pani...

— Cynthia! — poprosiła pani Kavanagh.

— Cynthia! Naprawdę dobrze się bawiłem. Harley, zapraszam z wizytą do Domu Nadziei. I daj mi znać, kiedy będziesz mógł sprawdzić mi hamulce.

Scott wyszedł drzwiami prowadzącymi bezpośrednio z suterenu na zewnątrz, podczas gdy reszta biesiadników pożegnała się z Harleyem, weszła po schodach do kuchni pastora, a potem przeszła przez hol, aby wyjść na przedni ganek.

— Jak tylko spakuję swoje rzeczy, idę do Tommy'ego! — Dooley wbiegł po schodach do swojego pokoju. Tuż za nim biegł Barnaba. — Jego tato na mnie czeka. Jedziemy do Wesley wypożyczyć film wideo.

Pastor stał na chodniku prowadzącym do domu i rozmawiał z Cynthią i Olivią, podczas gdy Lace szukała czegoś pod ławką na ganku. Zeszła potem po schodach na podwórko i zajrzała do bukszpanu rosnącego przy schodach.

— Lace, co się stało? — zainteresowała się Olivia.

— Ktoś ukradł mi kapelusz — stwierdziła. — Nie ma go tam, gdzie go zostawiłam.

— Gdzie go zostawiłaś? — chciała wiedzieć Cynthia.

— Poprosiłam ją żeby zostawiła go na ławce — wyznała Olivia, wyglądając na zmartwioną.

— Pomogę ci go poszukać — zaproponował pastor, podchodząc do bukszpanu. — Najprawdopodobniej spadł...

— Nigdzie nie spadł! — krzyknęła Lace. — Po prostu go nie ma!

Trzasnęły drzwi z siatką i po schodach zbiegł Dooley.

— To ty ukradłeś mój kapelusz, prawda?! Powinam ci urwać głowę!

Rzuciła się w stronę Dooleya, a Olivia wykonała nieomal równie szybki gest, chwytając Lace za sukienkę. Słychać było odgłos rozdzierającego się materiału, gdy spódnica odrywała się od góry.

— Zobacz, co zrobiłaś z moim nowym strojem! — Lace usiłowała uwolnić się od Olivii. — Puść mnie, zamierzam urwać mu głowę!

— Lace! Nie wolno ci. Cynthia chwyciła ją za nadgarstek.

— Powinnam cię zabić, ty żaloszny, rudy sukin...

Dooley zrobił się purpurowy na twarzy.

— Dlaczego miałbym kraść twój brudny, cuchnący, głupi, pognieciony kapelusz?

Pastor położył dłoń na ramieniu chłopca.

— Spokojnie, synu.

— No, powiedz mi dlaczego?! — krzyknął.

— Lepiej mi go oddaj, i to natychmiast!

Lace drżała z gniewu, a jej twarz zrobiła się popielata.

— Na co komu twój głupi, beznadziejny kapelusz, w którym wyglądasz tak głupio, że każdy śmieje się z ciebie za twoimi plecami? Nikt by się nawet nie dotknął twój głupiego, zasmarkanego, brudnego kapelusza!

Lace wyrwała się Cynthii i Olivii i rzuciła się na Dooleya, który zasłonił twarz ręką. Uderzyła go pięścią w lewe żebro. Dooley zatoczył się w stronę ganku.

Barnaba zaszczekał ostro w chwili, gdy pastor chwycił Lace za ramiona.

— Dość — powiedział.

Dooley odzyskał równowagę i stał bez słowa. Poprawił koszulę.

— Muszę iść — powiedział z zaciśniętymi ustami. — Tato Tommy'ego czeka na mnie.

— Idź — zgodził się cicho pastor.

— Jeśli to zrobiłaś — krzyknęła za Dooleyem Lace — to tak ci skopię tyłek, że popamiętasz!

Cynthia i Olivia podeszły z Lace do zaparkowanego przy chodniku błękitnego volvo, a pastor usiadł ciężko na szczycie schodów. Barnaba położył się obok niego. Był roztrzęsiony gwałtownością nieoczekiwanego i napastliwego wybuchu Lace.

Jeśli Dooley Barlowe jest rzeczywiście winowajcą, to lepiej niech nie pokazuje się nikomu na oczy, dopóki cała sprawa nie przycichnie.

Usiadł na krześle przy biurku Dooleya, czytając psalm numer trzydzieści siedem, którego dwa pierwsze słowa były dla niego całym kazaniem.

Podniósł wzrok w chwili, gdy Dooley wbiegł do pokoju, punktualnie o wyznaczonej porze powrotu.

— Czy to ty zrobiłaś?

Dooley stał w drzwiach, ciężko oddychając. Zawahał się przez chwilę, spoglądając na buty, potem spojrzął na pastora i powiedział:

— Tak, proszę ojca.

— Dlaczego skłamałaś?

— Nie skłamałem. Nie powiedziałem jej, że tego nie zrobiłem. To prawda. Dooley odpowiadał na jej pytania pytaniami.

— Gdzie on jest?

— W mojej szafie.

— Zanieś go rano i przeproś. Lace i Olivię. Zadzwoń też do Olivii rano.

— Muszę?

— A jak myślisz?

Dooley podszedł do szafy i otworzył drzwi. Podniósł kapelusz z dna, jakby to było coś, co Barnaba zostawił po sobie w ogródku.

— A niech mnie, jak ja nie cierpię tego głupiego kapelusza.

— Ja też — zgodził się pastor.

— Naprawdę?

— Tak. Ale należy on do kogoś innego i źle postąpiłeś, kradnąc go.

— Tak.

Dooley patrzył przez chwilę na kapelusz, a potem spojrzął pastrowi prosto w oczy.

— Przepraszam — powiedział.

Prawdziwe przeprosiny! Jeśli była to zasługa tej wymyślnej szkoły, powinien wykładać na nią dodatkowe dwadzieścia tysięcy dolarów rocznie, z czystej dobroci serca.

— Przeprosisz też Cynthię.

— Za co?

— Za to, że przyczyniłeś się do przykrego zakończenia przyjęcia Harleja.

— Lace Turner przyprawia mnie o mdłości. Powinienem był urwać jej tę głupią głowę.

— Ale tego nie zrobiłeś i chwała ci za to.

Dooley usiadł na łóżku, trzymając się za lewy bok.

— Ona mnie zabije — stwierdził.

— Możesz spróbować ją przeprosić w obecności Olivii, a potem wziąć nogi za pas.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Ćma uderzała w żarówkę.

— Jeszcze raz się coś takiego powtórzy, a...

Potrzebował na zakończenie jakiejś dobrej, jeżącej włos na głowie groźby, czegoś takiego jak zabranie kluczyków do samochodu na kilka tygodni — ale Dooley nie prowadził.

— A... — powtórzył.

Do licha. Zdał sobie sprawę, że za żadne skarby świata nie jest w stanie wymyślić przyzwoitej groźby.

Pani burmistrz poprosiła go, aby zaglądnął do jej biura — i to czym prędzej, sądząc po tonie głosu.

Jak większość ludzi, biegł do Esther Cunningham na każde jej skinienie. Nie był tym zachwycony, ale dlaczego nie? Esther roztaczała nad Mitford nie słabnącą i stałą opiekę, poświęcając całe lata swojego

życia, a nawet zdrowie, aby wszystko układało się dobrze i coraz lepiej. W czasie jej długiej kadencji nie podwyższono nawet ani razu podatków. Więc tak, zjawiał się, gdy zadzwoniła, i robił to bardzo chętnie.

Pochyliła się nad biurkiem, a plamy na jej twarzy i szyi jeszcze nigdy nie wydawały mu się tak czerwone.

— Zgadnij, co ten podły nikczemnik zrobił tym razem.

— Nie mam pojęcia.

— Urządza jedno ze swoich otwartych przyjęć z grillem w najbliższy piątek — dokładnie w dniu, w którym odbędzie się festyn. — Spojrzała na niego posepnie. — Rozumiesz jego strategię?

Nie rozumiał.

— Odciągnie wszystkich naszych gości, a my będziemy siedzieć w cieniu drzew pod muzeum miejskim jak jakiś żaloszny komitet powitalny.

— Aha.

Powoli zaczynało mu świtać w głowie.

— Oto, co chciałabym, abyś zrobił — zaczęła, spoglądając na drzwi i zniżając głos.

No to już się nie wywinie.

— Siedzenie w budce ozdobionej flagą to za mało, żeby wygrać te wybory. Czasy się zmieniają. Chcę, żebyś poszedł do domu i pomodlił się w tej sprawie, i coś wymyślił.

— Ale do festynu miejskiego zostały zaledwie cztery dni.

— Coś, co przegoni Macka Stroupe'a i cały ten jego grillowy interes aż do samego Holding.

— I chcesz, żebym właśnie ja to zrobił?

— I to czym prędzej — ponagliła go, drapiąc jedną z plam.

Czyż jego żona nie dbała nieustannie o to, by w ich wspólnym życiu nie brakowało chwil wytchnienia, które pomagałyby mu się zrelaksować, nie gotowała kolacji w te wieczory, gdy nie czuł się na siłach, aby podjąć zadanie?

Czyż nie modliła się za niego wiernie i nie czuwała nad jego domem, i nie podarowała mu dzieł zebranych Charlesa Dickensa, nie wspominając o podświetlanym globusie?

I czyż nie pracowała nad książką przez prawie osiem godzin dziennie?

Postąpi tak jak Rosjanie. Mimo że były to jego własne urodziny, to on urządzi z tej okazji kolację.

Będą tylko we dwoje, a potem zatańczą. Włączy płytę CD z rumbą — a może to tango było jej ulubioną melodią? — i będzie z nią tańczył w salonie, aż zakręci się jej w głowie. Czuł nagły przypływ energii.

I szampan! Oto myśl. Coś drogiego, oczywiście, co nie przyprawiłoby o łupiący ból głowy jeszcze przed opróżnieniem butelki. Avis na pewno mu coś poleci. I czy nie wspominał, że lada dzień spodziewa się dostawy świeżej baraniny?

Ponadto, czyż jego starodawne francuskie róże nie zakwitły właśnie tak pięknie jak nigdy dotąd, nasycając powietrze swą upojną wonią?

To dopiero!

Oglądał ponownie tył głowy w lusterku. Jego głowa została nieźle zmalretowana, i to w jego własnych czterech ścianach.

Lepiej wyskoczyć na chwilę i mieć to już za sobą, raz na zawsze.

Przyzwoita fryzura, nowa sportowa marynarka, którą Cynthia znalazła na wyprzedaży, taniec z żoną w dniu urodzin — czegoż innego może pragnąć mężczyzna albo o czym innym marzyć?

Gdy sprawdzał numer Fancy, musiał przyznać, że tęskni za Joe Iveyem. I co z tego, że Joe nigdy nie jeździł na zjazdy fryzjerskie, żeby się nauczyć wszystkich nowości? Joe był nadzwyczaj przyjacielski i nigdy nie zagadywał klientów na śmierć, obcinając im włosy.

Jeszcze jedno — Joe zawsze szczerze aplikował Sea Breeze, jego ulubiony specyfik wszech czasów. Czuł po nim cudowne mrowienie głowy. Fancy Skinner z kolei uważała stosowanie Sea Breeze za rozwiązanie poniżej swojej godności.

No cóż. Westchnął, wybierając 555-HAIR. Fancy Skinner nie miała konkurencji w mieście i żywił nadzieję, że będzie mogła Wpisać go w grafik.

— Dzisiaj jest nieczynne, jestem tu, bo robię płukanek mamie. Moja mama mieszka w Spruce Pine, ale ja pochodzę z Newland. Jeśli przyjdzie ojciec szybko, mogę ojca podstrzyc, w drodze wyjątku. Jest ojciec być może jedyną osobą, dla której jestem gotowa to zrobić, nie jestem pewna, czy zrobiłabym to dla własnego księdza, czy widział ojciec, co zrobiła mu żona, wygląda to tak, jakby nałożyła mu na głowę talerz do zupy i obcięła nożem do steków to, co spod niego wystawało. Nie pojmuję, jak miał odwagę nauczać o odnowie religijnej, wyglądając w ten sposób. O Boże, właśnie sobie przypomniałam, czy mógłby ojciec wstąpić po drodze do Sklepu i kupić dla mnie zapas gumy bez cukru, zapłacę ojcu, jak tylko ojciec do mnie dotrze, albo odliczę z ojca rachunku, jak ojciec woli, lubię mieć gumę w salonie, najlepiej pracuję wtedy, gdy mam coś w ustach, przynajmniej nie jest to papieros, ojej, kiedyś wypalałam dwie paczki dziennie, bez filtra, da ojciec wiarę? No cóż, jeśli się ojciec wybiera, to proszę się pośpieszyć, jutro będzie tu cyrk, wszyscy przygotowują się na festyn miejski, nie pojmuję, po co komuś pasemka, żeby jeść potrawy z grilla na parkingu, i gdyby mógł ojciec przy okazji wziąć również torebkę cukierków miętowych, byłoby cudownie, lubię je mieć dla klientów, od których czuć cebulę, robienie fryzur to zawód bliskiego kontaktu.

Podczas gdy Fancy okrywała go różową peleryną westchnął z rezygnacją i zamknął oczy.

— Modli się ojciec, prawda? Powinien mieć już ojciec do mnie tyle zaufania, żeby wiedzieć, że nie obetnę ojcu ucha ani nie zrobię dziury w głowie. O Boże, wypiałam dzisiaj rano za dużo kawy, wie ojciec, nie mogę wypić więcej niż dwie filiżanki naraz, bo chodzę wtedy na rzęsach, a ojciec, czy nadal może ojciec pić kofeinę, a może jest już ojciec za stary? Oczywiście, ojca żona jest młoda, ona nadal może to robić, kiedyś piłam pięć do sześciu filiżanek dziennie... i paliłam, ojej, paliłam jak komin! Ale już nie, czy wiedział ojciec, że przez to szybciej robią się zmarszczki? Jak ja nie cierpię tych wąskich bruzd wokół moich ust, ale to nie kawa, to słońce, mój miły, kiedyś wylegiwałam się na słońcu i smażyłam jak frytka.

Spójrzcie tylko na te frędzle! Kto to zrobił? Wydawało mi się, że Joe Ivey pracuje w Graceland. Mamo, chodź i sama zobacz, i ja muszę to znosić. Ojciec, moja mama, mamo, to przyjaciel Mule'a, jakiś czas temu ożenił się po raz pierwszy.

Jest księdzem w tym kamiennym kościele na końcu ulicy, gdzie używają dużo kadzidła, wiercie mi, przechodziliśmy kiedyś w niedzielę z Mule'em w pobliżu i czuć było zapach kadzidła, jak wydostawał się z komina! Na Boga, wszystkie moje alergię się odzywają, gdy się nawącham tego paskudztwa, a ja myślałam, że kadzidło przynależy do kościoła katolickiego, czy mówicie po łacinie? Kiedyś miałam taką koleżankę, poszłam z nią do kościoła, nie rozumiałam ani jednego słowa z tego, co mówili.

Włosy rosną ojcu jak trawa. Słyszałam, że jak się je dużo tłuszczu, to powoduje on szybki wzrost włosów, ale ojciec nie powinien jeść tłuszczu, ma ojciec cukrzycę.

Mamo! Czy wiedziałaś, że ojciec ma cukrzycę? Mój tato miał cukrzycę. Czy to cukrzyca go zabiła, mamo, czy palenie? Może i jedno, i drugie.

Spójrzcie tylko! Nie wiem, kto podcinał ojcu włosy, ale proszę mu powiedzieć, żeby zostawił ojca głowę w spokoju. Może ojciec zadzwonić do mnie w każdej chwili, znajdę dla ojca wolne miejsce w grafiku. Przepraszam, że nie mogłam ojca przyjąć — kiedy to było? — wydaje mi się, że był tutaj wasz papież, domyślałam się, że nie siedzi cały czas w Watykanie, czy był tam ojciec kiedyś? Na Boga, ja nie byłam nawet w Izraelu, wszyscy tam byli, nasz ksiądz jedzie tam z całą grupą za rok, ale ja wolałabym raczej wybrać się na rejs statkiem, czy uważa ojciec, że to świętokradztwo?

Przy okazji, powinien ojciec pozwolić mi zrobić sobie maseczkę z serii „Fancy — środki do odżywiania twarzy”, szczególnie jeśli ojca żona obchodzi urodziny, czy to może ojca urodziny? W każdym razie moja maseczka jest nieomal tak skuteczna jak operacja plastyczna, nie mówiąc o tym, że o cztery tysiące dolarów tańsza. Nie, mówię poważnie, zrobię to dla ojca, nie zajmie nam to dłużej niż godzinę. Niech mi tylko ojciec wymieni lepszy prezent urodzinowy niż młodsza o piętnaście lat twarz. Jeśli się nie mylę, to coś bardziej w przedziale wiekowym ojca żony. W porządku, proszę się oprzeć na plecach, jest ojciec sztywny jak deska, nie wydrapię ojcu oczu, mężczyźni są jak dzieci, prawda, mamo? Nic nie słyszy, ma głowę pod suszarką.

Proszę nic nie mówić, kiedy będę to ojcu nakładała, dobrze? Stwardnieje i musi ojciec leżeć w ten sposób przez trzydzieści minut, nie wolno się ojcu odezwać ani słowem, bo w przeciwnym razie wszystko popęka i spadnie na podłogę, a to wyrzucone w błoto czterdzieści dolarów. Szkoda, że nie widzi ojciec tego ładnego zielonego koloru, jest w tym mięta, ogórek i sama nie wiem, co jeszcze, wydaje mi się, że jeszcze szpinak i łopian — moja babcia zbierała łopian jako lekarstwo na koklusz!

Czyż to nie wspaniałe uczucie, czy nie czuje ojciec, jak ojca skóra oczyszcza się ze wszystkich toksyn? A te zmarszczki na ojca czole, dają głowę, że marszczy ojciec czoło, gdy ojciec myśli, wygląda ojciec na kogoś, kto myśli, no cóż, może się ojciec pożegnać ze swoimi zmarszczkami, słonko, bo ja mówię im *adieu*...

Gdy siedział wygodnie oparty na fotelu Fancy, rozboleła go głowa, nie wspominając o skurczu szyi, który zdawał się promieniować na ramiona i większą część kręgosłupa. No cóż, to niewielka cena za to, żeby wyglądać na czterdzieści osiem lat w dniu sześćdziesiątych trzecich urodzin.

Fancy nalegała, aby nie patrzył w lustro w Hair House.

— Po co zaglądać do lustra — zapytała, zaskakując go błyskotliwie filozoficzną obserwacją — skoro może ojciec dostrzec prawdziwą różnicę w jej oczach?

Mrugnęła do niego zawadiacko i zrobiła ogromny balon z gumy, co — zważywszy na to, iż była bez cukru — nie było łatwym zadaniem.

Nie chcąc wyjść na niewdzięcznika, zostawił jej pięć dolarów napiwku, zauważając, że nie zaoferowała mu zniżki dla duchownych na ten konkretny rodzaj zabiegu.

Nie mógł się powstrzymać. Gdy tylko przekroczył próg domu, odwrócił się i spojrzał w lustro.

— Dobry Boże!

Jego twarz była... zielona.

Niewiarygodne! Nie, to niemożliwe. Może to wina naturalnego, niezbyt ostrego światła w kuchni? Włączył górne oświetlenie, chuchnął na okulary i spojrzał ponownie.

To nie była wina światła.

Serce waliło mu głucho, gdy wybierał na kuchennym aparacie 555-HAIR. Nikt nie podnosił słuchawki.

Wbiegł po schodach do sypialni i spojrzał w lustro, z którego najczęściej korzystał.

Zielona.

Na jego zegarku była piąta. Zaprosił Cynthię, żeby przyszła na siódmą.

Urodzinowa kolacja, szampan, róże... wszystko na nic. Zaprzepaszczone.

Poszedł do łazienki, namydlił ręce w gorącej wodzie i dokładnie umył twarz.

Kto chciałby tańczyć tango z kimś, kto ma zieloną twarz? I jak miał się przyznać do tego, że pozwolił sobie nałożyć maseczkę — coś, na co za nic w świecie nie zgodziłby się żaden inny mężczyzna w Mitford?

Oplukał i osuszył twarz, i spojrzał w lustro na drzwiach szafki z lekarstwami, oświetlone stупiędziesięciowatową żarówką, która nigdy nie kłamie.

Zielona. Bez dwu zdań.

Stał, wpatrując się w lustro, zupełnie osłupiały. To właśnie kara, jaka spotkała go za to, że zachował się jak bezwolny dureń, który nie potrafi odmówić kobiecie w rybaczkach tak obcisłych, jakby zostały ściągnięte z dziecka.

Miał ochotę zapaść się pod ziemię.

Ucztowali, tańczyli, zachwycali się wyjątkową wonią róż. Wychwalała pod niebiosa jego umiejętności kulinarne, odśpiewała dla niego porywające *Sto lat!* i podarowała mu książkę o nim i parafii z Mitford, którą sama napisała i ilustrowała.



Był wyraźnie wzruszony i absolutnie zachwycony. Mieć książkę, która przedstawiała go, jak idzie Main Street i stoi na trawniku przed kościołem w swoich szatach liturgicznych... Teraz wiedział, jak musi się czuć Violet.

Uważał, że to niesłuchanie uprzejme z jej strony, że w żaden sposób nie skomentowała niczego dziwnego w jego wyglądzie, chociaż był pewien, że raz czy dwa zauważył, jak mu się przygląda, raz z otwartymi ustami.

Nalał ostatnią lampkę szampana.

— To jest jak... jak randka! — zawołała, podekscytowana i szczęśliwa.

— Na które nigdy nie chodziliśmy, z wyjątkiem tego filmu, kiedy zjadłaś wszystkie moje iryski.

— Nie cierpię chodzić na randki! — żaliła się. — Uważam, że powinny być zarezerwowane dla par małżeńskich.

— Amen!

Podał gruszki w zalewie, tak jak podczas ich pierwszej wspólnej kolacji, ozdabiając jej porcję polewą czekoladową.

— Najdroższy — zwróciła się do niego, gdy rozsiedli się wygodnie na sofie w salonie — jest coś, o czym chciałam ci powiedzieć...

No to już po mnie, pomyślał przygnębiony.

— Nie wyglądasz za dobrze. Wydaje mi się... że jesteś jakby blady. Martwię się o ciebie, Timothy.

— Aha.

Słono zapłacił, żeby wyglądać o piętnaście lat młodziej, a wyszło na to, że jest chory i słaby. Jego noga już nigdy więcej nie postanie w salonie Fancy Skinner, nie za jego życia, i co z tego, że jazda samochodem do Memphis, tam i z powrotem, zajęłaby mu bite osiemnaście godzin?

— Całe to zamieszanie z twoją emeryturą i troska o Fernbank, i jakiś ten nowy, pilny projekt dla pani burmistrz... myślę, że nadszedł czas na chwilę wytchnienia.

Jego żona, prawdę powiedziawszy, specjalizowała się w domowych chwilach wytchnienia. Były one dla zapracowanego duchownego tym, czym bieźnikowanie jest dla opon. Raz byli na pikniku w parku Baxter, raz na pikniku w miejscu, z którego roztaczał się widok na krainę misternego patchworku, a raz zaprosiła go do małego, żółtego domku, gdzie leżeli wygodnie na jej bardzo dużym łóżku, niczym dwoje rozpustnych Rzymian, popijając lemoniadę i słuchając deszczu.

— Dobrze — zgodził się. — Chwila wytchnienia. Spojrzała na niego ponownie, marszcząc brwi.

— Zdecydowanie tak! — powtórzyła wyraźnie zatroskana.

Kiedy oni świętowali w salonie, Barnaba stanął przy kuchennej ladzie jak mężczyzna i wyjadł to, co zostało z baraniny. Nie wzgardził również dwoma bułkami z kolacji, połową kostki masła, miską dzikiego ryżu i całą miętową galaretką jaką udało mu się zlizać z łyżki w zmywarce.

O drugiej nad ranem pastor poczuł dużą łapę na ramieniu. Pani burmistrz, bez wątpienia.

Pośpiesznie naciągnął spodnie i koszulę, wsunął nogi w półbuty i zbiegł po schodach za swoim zdesperowanym psem.

Ledwie zdążył zapiąć mu smycz, gdy Barnabą wybiegł przez tylne drzwi i pośpieszył do żywopłotu.

Barnaba powąchał trawę. Oposy, szopy, jeże, wiewiórki i koty przebiegały tędy, nie wspominając o krecie — tym ze wszystkich stworzeń dużych i małych najmniej ulubionym gryzoniu pastora. Miejsce stanowiło swojego rodzaju eksplozję zapachów, sprawiając najwyraźniej, że jego pies całkowicie zapomniał, dlaczego wypadł z domu w środku nocy, ciągnąc za sobą swojego pana jak kulę u nogi.

— Rozumiem, że to coś z naszego stulecia, przyjacielu. Jeszcze więcej obwąchiwania.

Nagle Barnaba poczuł potrzebę, aby obiec dookoła dom... następnie przebiegł przez podwórko... potem wybiegł na chodnik... a w końcu popędził w górę ulicy.

— Tylko nie pomnik! — jęknął ojciec Tim. Barnaba ciągnął go do przodu z siłą i uporem pary zaprzęzonych w jarzmo mułów. Biegli pod pomnik.

Starął się dotrzymać kroku swojemu psu, a jednocześnie nie mógł się nadziwić ciszy, jaka panowała w ich miasteczku, gdy na ulicy nie było samochodów. Wydawało mu się, że w blasku ulicznych świateł i przepełnionych kwiatami koszach na każdej lampie dostrzega dzisiaj wieczorem wyjątkową dystynkcję.

Życie w Mitford było cudowne, bez wątplenia. Turyści często zachwycali się jego urokiem i prostotą, marząc o czymś takim dla siebie, dostrzegając w tym — być może — życie, które kiedyś wiedli albo którego los ich na zawsze pozbawił.

Takie miasteczka były jednak wszędzie. Mieszkał w nich, głosił w nich Ewangelię, one wciąż tam były, z dala od zgiełku, nadal miały w sobie coś z niewinności i snu, coś z przeszłości, z czego inne miasta tak łatwo zrezygnowały albo czego dały się pozbawić.

Jak długo jeszcze mogli trwać burmistrzowie formatu Esther Cunningham? Jak długo jeszcze zwykli, przyzwoity, serdeczny szacunek mógł opierać się całkowitej pogardzie?

Podobnie jak każdy z nas, myślał pastor, pani burmistrz może mieć swoje słabe strony, ale rzuciłbym się za nią w ogień.

Nieomal zapomniał, po co tu przyszedł; kroczył jak we śnie. Potem, dzięki Bogu, jego pies znalazł miejsce za żywopłotem rosnącym wokół pomnika.

Stał tam, podczas gdy Barnaba załatwiał swoje potrzeby, i patrzył w letnie niebo. Kasjopeja... Orion... Niedźwiedzica...

Niewiele brakowało, a nie zauważyłby samochodu, który okrążył pomnik i skręcił w Lilac Road.

Lincoln. Nowy. Czarny. Bezszelestny.

Ogarnął go niepokój, chociaż nie potrafił powiedzieć dlaczego. Samochód zdawał się przypominać mu o czymś, o kimś...

Przyszła mu do głowy dziwna myśl, że samochód nie powinien się poruszać tak cicho — wywoływało to ciarki na plecach.

— I jak? — zapytał Scotta Murphy'ego.

— To ciekawe. Nie mogę tego do końca zrozumieć. Gdy przychodzą do Bezdomego w środę wieczorem, nie mają wiele do powiedzenia, ale zdają się wyczuwać w tej bliskości coś szczególnego, jakby... na coś czekali.

Tak właśnie jest, pomyślał nagle poruszony. Tak właśnie jest.

— Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć — zaczął, spoglądając na swoją żonę, gdy plewili grządkę z bylinami obok garażu.

Festyn miejski miał się odbyć już jutro i całe Mitford uwijało się, aby wyglądać czysto i atrakcyjnie. On z pewnością wyglądał bardziej atrakcyjnie. Jego cera całkowicie straciła zielony odcień.

Zapadła długa chwila ciszy, gdy wrywał rdest spośród naparstnicy.

— Tak? Wyduś to z siebie, Timothy!

— Wykonałem kilka prostych działań matematycznych...

— I?

— ...i wczoraj skończyłem sześćdziesiąt cztery lata.

— Nie!

— Tak!

— Wydawało mi się, że masz sześćdziesiąt trzy! To znaczy, że ja mam pięćdziesiąt osiem, nie pięćdziesiąt siedem. Och, nie!

Jej jęk mógł się odbić rykoszetem od dachu muzeum miejskiego, oddalonego o dwie przecznice.

— Sąsiedzi... — przestrzegł ją.

— Nie mamy żadnych sąsiadów, nie pamiętasz? Odkąd wprowadziłam się do ciebie, nie mamy żadnych sąsiadów, co oznacza, że mogę zawodzić tak głośno, jak mi się podoba.

— Dobrze myślisz, Kavanagh.

Sześćdziesiąt cztery! Sam miał ochotę zacząć jęczeć.

— Napięcie spadło do dziesięciu — wyjaśnił Harley, wycierając ręce w gałganek. — Kończył mu się akumulator. Może wyprowadzi go ojciec i zrobi kółko, podregulowałem go troszkę przy okazji.

— Dziękujemy ci, Harley. To cudownie.

— Powinien iść jak burza.

Pastor otworzył drzwi, a Barnaba wskoczył na siedzenie pasażera. Wsiadł i wycofał z garażu mazdę swojej żony.

Co za dzień!, myślał, jadąc w górę Main Street, zadowolony z widocznych przejawów kupieckiej aktywności. W czasach centrów handlowych przy drogach szybkiego ruchu nie każde miasto mogło się pochwalić ruchliwym centrum biznesowym.

Zauważył Dooleya w kasku, wyjeżdżającego na swoim rowerze z drogi dojazdowej do Sklepu. Chłopiec wiózł koszyk z zamówieniem. Przycisnął klakson. Dooley uśmiechnął się i pomachał do niego.

Była tam też Winnie, wykładająca pełną tacę czegoś zakazanego na wystawę cukierni Sweet Stuff. Ponownie przycisnął klakson, ale zanim zdążyła podnieść głowę, już go nie było.

Gdy zbliżał się do pomnika, ujrzał wujaszka Billy'ego i pannę Rose, siedzących wygodnie na swoich krzesłach z chromowanego metalu na trawniku przed muzeum miejskim. Zebrały się tam całe tłumy, aby postawić namioty, stoiska, flagi, stoły, parasole i ręcznie pisane szyldy oraz jakże potrzebną przenośną toaletę, która tego roku, zauważył, zdawała się przechylać na prawo, a nie na lewo.

Zatrąbił i pomachał ręką. Wujaszek Billy pomachał do niego w odpowiedzi, natomiast panna Rose rzuciła mu wyniosłe spojrzenie.

Nie potrafił wyjść z podziwu, jak u diaska może mieszkać w tym mieście przez z górą piętnaście lat i nadal znajdować frajdę w przejażdżce Main Street. Lubił też życie w swojej małej parafii nad morzem, ale główna ulica nie była zbyt ciekawa i często w porze huraganów nieliczne wystawy sklepowe pozostawały zasłonięte deskami.

Dziękuj Bogu za to, co masz, powtarzała mu często babcia. Dziękuj Bogu za to, co masz, mówiła też jego mama.

Okrążył pomnik i pojechał na zachód, na Lilac Road.

Czy ktokolwiek jeszcze potrafił dziękować Bogu za to, co ma? Zgodnie z tym, co twierdził świat, nie było czasu na wąchanie róż, nie było czasu na dziękowanie Bogu za jego dary. Ale ile czasu on sam potrzebował, aby zrozumieć, że w istocie prowadzi właśnie jeden z nich? Czyż dzięki Harleyowi Welchowi nie zaoszczędzili właśnie stu dolarów, i to nie wychodząc z domu?

— Ach, Barnaba — westchnął, sięgając, by podrapać za uchem swojego psa.

Barnaba patrzył wprost przed siebie, uznając to zachowanie za jedynie słuszne w czasie jazdy samochodem.

Włączył radio i usłyszał Mozarta usiłującego przebić się przez góry, z wieży w Ashville. Przez chwilę bawił się pokrętem, aż udało mu się trafić na prognozę pogody. Słońce na cały weekend. Alleluja!

Zdał sobie sprawę, że uśmiecha się od ucha do ucha.

Jak często czuł się tak, jakby nie miał żadnych trosk? Nieczęsto. Został obdarzony naturą, która sprawiała, że łatwo popadał w melancholię, jeśli się nie pilnował.

— Nad wyraz poważny! — ocenił go sąsiad, gdy był dzieckiem, zakładając okulary, aby lepiej przyjrzeć się chudemu urwisowi, który stał przed nim, z grubą książką pod pachą.

Pomyślał o ostatniej nocy, o swojej pełnej życia i nieustraszonej żonie, która siedziała w łóżku i czytała mu na głos, wiedząc, jak bardzo ceni ten prosty akt poświęcenia i czułości. Oparł głowę na jej kolanach i wyciągnął dłoń, kładąc ją na jej ciepłej łydce i czując każdą cząstką ciała, jak bardzo jest szczęśliwy.

Słyszał, jak Dooley wbiega po schodach, punktualnie o wyznaczonej porze, a potem dochodzący z holu odgłos chrapania swojego psa...

Przypomniawszy sobie starą wyszywaną makatkę, wykonaną przez jego babcie, oprawioną i wiszącą w jego kuchni. Tak często przechodził obok niej przez te wszystkie lata, że przestał ją zauważać. Staranny

haft, ozdobiony splewiałymi różami stulistnymi, przytaczał werset z sześćdziesiątego ósmego psalmu: „Pan niech będzie przez wszystkie dni błogosławiony — głosił — ciężary nasze dźwiga Bóg!”

— Ciężary nasze dźwiga! — zawołał na głos. — Przez wszystkie dni!

Silnik samochodu pracował nienagannie dzięki jego domowemu mechanikowi, ale on nie chciał zakręcić i wracać do domu. Nagle poczuł ochotę, aby obejrzeć późnoczerwcowy krajobraz. Może mała przejażdżka do oddalonego o sześć kilometrów Farmer, a potem powrót, aby pomóc Cynthii przy wypiekach na kościelne stoisko, na jutro?

A w czasie przejażdżki do Farmer zrobi pozornie dziecinną rzecz — postara się policzyć, jeśli to możliwe, wszystkie dary, jakie otrzymał.

Bardzo możliwe, że mógłby kontynuować ich wyliczanie aż do środy, ponieważ znał się co nieco na darach i wiedział, że ich bogactwo, nawet w najgorszych chwilach, jest nieprzebrane.

Przyszło mu do głowy, że Patrick Henry Reardon wspominał o czymś takim pośrednio. Zapisał to w swoim zeszycie z notatkami do kazań zaledwie kilka dni temu.

— „Wyobraźmy sobie — pisał Reardon — że Bóg zacząłby zabierać nam te liczne dary, za które zapomnieliśmy mu podziękować. Które z naszych kończyn i umiejętności by nam pozostały? Czy miałbym nadal głowę i rozum? A co z naszymi bliskimi? Gdyby Bóg miał pozbawić mnie wszystkich tych osób i rzeczy, za które nie podziękowałem, to kto albo co by mi pozostało?”

Co, w istocie, pozostałoby ze mnie?, zastanawiał się. Sama myśl o tym poraziła go z mocą, której nie czuł, gdy przepisywał to zdanie do notatnika.

Położył dłoń na głowie swojego psa i cichym, lekko łamiącym się głosem rozpoczął swoją listę:

— Barnaba.

Zobaczył ją, jak stoi na rogu Main Street i Wisteria Lane, spoglądając w stronę jego domu. Nie widział jej nigdy wcześniej, ale wiedział dokładnie, bez cienia wątpliwości, kim jest.

Natychmiast poczuł do niej ogromną miłość, gdy wyciągnęła do niego ręce, uśmiechnęła się i zaczęła biec. On też usiłował do niej biec, by ją przywitać, ale odkrył, że porusza się tak, jakby tkwił w piasku albo w głębokiej wodzie. Był tym zupełnie zaskoczony i nie potrafił wymówić jej imienia.

Jego żona szarpała go za ramię.

— Obudź się, najdroższy!

— Co... co...?

— Coś ci się śniło. Usiadł z bijącym sercem.

— Musimy znaleźć Jessie — powiedział.

# Rozdział ósmy

## PIKNIK WYBORCZY

Na ulicy wrzało. Już o siódmej trzydzieści rano w dniu, w którym miał się odbyć festyn, nie mógł przejść z jednego końca ulicy na drugi bez zebrania po drodze całej garści nowin.

Dora Pugh, która wykladała tace ogórecznika, szczypiorku i rozmarynu przed drzwiami do sklepu z artykułami żelaznymi, zapytała, czy widział billboardy na autostradzie. Twierdziła, że musiały zostać ustawione w środku nocy, ponieważ gdy jechała wczoraj do domu, z pewnością nie widziała odrażającej gęby Macka Stroupe'a na trzech nowych reklamach — od sklepu Hattie Cloer aż po Shoe Barn.

— To — prychnęła — dla mnie o trzy razy za dużo tego pączuszka.

Dora mieszkała kiedyś w Georgii, gdzie „pączuszek”\* oznaczało coś całkiem innego niż rodzaj poczęstunku na przyjęciu.

\* W oryginale *cracker*. Włącznie z Florydą, Georgia zwana była kiedyś Cracker State. Przydomek ten stanowił pejoratywne określenie używane w odniesieniu do imigrantów — zwanych *crackers* — pochodzących z gór Wirginii i Karoliny Północnej. Nie cieszyli się mianem idealnych obywateli.

Przed cukiernią Sweet Stuff zawołała go do środka Winnie Ivey.

— Postanowiłam przeprowadzić eksperyment — wyjaśniła, wsuwając kosmyk siwiejących włosów pod opaskę. — Moja licencja mówi, że klienci mogą siedzieć, pomyślałam więc, że powinnam spróbować tak to urządzić, żeby nie musieli stać przy półce.

Biegąca wzdłuż ściany półka została zastąpiona plakatami z górskimi widokami, a od dawna puste miejsce przed witrynami zajmowały teraz trzy stoliki i dwanaście krzeseł.

— Staram się robić wszystko, co w mojej mocy, aby rozwijać interes. Jeśli mam go komuś sprzedać, to chcę, żeby moje księgi rachunkowe dobrze wyglądały — dodała.

— Jestem z ciebie dumny, Winnie! I tylko pomyśleć, że wszystko to zrobiłaś sama!

— Muszę sobie radzić, ojciec. Oczywiście, to nadal tylko ciasta i kawa, jak zwykle, tyle że teraz można sobie usiąść — ale może w następnym tygodniu dodam kanapki. I zupę zimą. Co ojciec myśli?

— Myślę, że powinnaś! Jej twarz rozjaśnił uśmiech.

— Tak dobrze mieć kogoś, kto doradzi. — Jakbym sam tego nie wiedział!

Czyż jego parafianie nie służyli mu radą na każdym kroku?

— Mój mąż, Johnny, zazwyczaj wiedział, co robić w każdej sytuacji, ale zmarł tak wiele lat temu, że nie potrafię nawet sobie przypomnieć, jak wyglądał. Czy uważa ojciec, że to źle?

Bardzo rzadko był w stanie przypomnieć sobie, jak wyglądał jego ojciec.

— Nie — zaprzeczył — może się tak zdarzyć...

— Wie ojciec, czasami... Winnie zarumieniła się.

— Czasami...

— Nie powie ojciec nikomu?

— Masz moje słowo.

— Czasami myślę o mężczyźnie stojącym obok mnie tam, z tyłu, w kuchni. Nie wiem, kim jest, ponieważ nie widzę wyraźnie jego twarzy, ale wydaje mi się, że jest wysoki i ma ciemne włosy, i mogę powiedzieć, że ma ogromne serce. — Przerwała zawstydzona. — Piecze wszystkie ciasta i cały czas się śmieje, i mówi miłe rzeczy, na przykład, jakie pyszne są moje rożki z kremem i jak ładnie posmarowałam glazurą ciasto z owocami.

Pokiwał głową.

— Zawsze ma na fartuchu mąkę.

— To zrozumiałe.

— Byłoby miło... — westchnęła, spoglądając na niego.

— Wiem — przyznał, patrząc na nią.

— Może to niewłaściwe modlić się o coś takiego...

— Myślę, że byłoby źle, gdybyśmy tego nie robili — zaprzeczył.

Cały świat kupiecki był wyraźnie zwarty i gotowy już na dwie godziny przed otwarciem festynu miejskiego.

Właściciel Collar Button zamiatał chodnik, a zraszcz spryskiwał malutki skrawek ogrodu przed jego sklepem.

— Dzień dobry, ojcze! Jak podoba się ojcu marynarka, którą wybrała ojcu na urodziny żona?

— Niesamowicie! Podkreśla błękit jej oczu. Jak idzie interes?

— Doskonale! — zawołał radośnie właściciel Collar Button, zamiatając energicznie.

Gdy dotarł do baru Grill, zatrzymał się, wdychając balsamiczne powietrze. Powiew wiatru przyniósł ze sobą zapach pieczonej wieprzowiny z okolic biura wyborczego Macka Stroupe'a, niedaleko pomnika.

Wtedy spojrział, mrużąc oczy, w niebo. Błękitne. Gdźieniedzie pierzasta chmurka. Idealnie.

Wsunął się do boksu z kubkiem kawy.

— Gdzie jest J.C.?

— Poszedł na górę, wyciągnąć filmy z lodówki — wyjaśnił Mule.

— Dopóki nie ożenił się z Adele, nie trzymał tam nic innego. Co z tobą?

— Czuję się, jakby mnie ktoś przepuścił przez wyżymaczkę. Nie jestem w stanie zasnąć, dopóki Fancy nie położy się do łóżka, a ona pracowała na pełnych obrotach do drugiej nad ranem.

— Co takiego robiła?

— Fryzury.

— Kto, u licha, ma ochotę robić sobie fryzurę do drugiej nad ranem?

— Zdziwiłbyś się.

— To prawda.

— Jak twój nowy lokator? — zapytał pośrednik handlu nieruchomościami.

— Pracuje nad moim buickiem. Ja płacę za części, on upiera się przy robociźnie. Siedział pod maską dzisiaj o siódmej rano.

J.C. rzucił w kąt swoją teczkę i wsunął się do boksu.

— Wyrzależ przez okno na górze i niech mnie licho, jeśli na ulicy nie wrze jak w ulu.

Wydawca energicznie zatarł ręce. To był materiał na pierwszą stronę — od lam i pikniku wyborczego poczynając, na turnieju tańca w chodakach i morzu turystów kończąc.

— Niech no zgadnę — zaczęła Velma, podchodząc do tylnego boksu w wyjątkowo radosnym nastroju. — W szklance dla karnodziei, jajecznicza dla pośrednika handlu nieruchomościami...

— Smażone dla wydawcy — dokończył J.C. — Tylko nie przynoś mi żadnego jogurtu i płatków z otrębami.

Velma spojrzała na niego z pogardą.

— Znowu przybierasz na wadze.

— Zdarzały mi się większe nieszczęścia — odciął się J.C. Mule zamieszał kawę.

— Dla mnie suchy tost.

— Bez kaszy? — dopytywała się Velma, osobiście urażona.

— Nie dzisiaj.

— Co ci się nie podoba w kaszy Percy'ego?

— No dobrze. Ale bez masła.

— Kasza bez masła? Co się dzieje z tymi ludźmi?

— Boże, litości — jęknął Mule. — Przynieś mi cokolwiek.

— Ja chcę wszystkie dodatki — zażyczył sobie J.C., który ostatnio zupełnie zapomniał o ostrożności. — Paszteciki, kaszę, kielbasę, bekon i daj mi też odrobinę musztardy na talerzu.

— Ja poproszę to, co zwykle — dodał ojciec Tim. Mule spojrzał z aprobatą.

— Tego mi właśnie potrzeba — zdecydować się na jedno i tego się trzymać. Codziennie rano to samo i nie trzeba już zawracać sobie tym głowy.

— Zgadza się — przyznał mu rację pastor.

— Widzieliście nowe billboardy Macka? — zapytał J.C. Nie widzieli.

— Rymują się jak te napisy z Burma-Shave\*. Pierwszy mówi: „Gospodarka Mitford ruszy”, drugi: „jeśli pociągniemy ją za uszy”. Ostatni natomiast: „Mack dla Mitford, fotel burmistrza dla Macka”.

\* Burma-Shave — najstarszy amerykański producent kremu do golenia, do którego nie trzeba było używać pędzla. W latach trzydziestych rozpoczął kampanię reklamową tablicach stawianych wzdłuż drogi, które stały się początkiem współczesnych billboardów. Cykl czterech do pięciu tablic zawierał po jednym zabawnym rymowanym zdaniu, ostatnia tablica stanowiła rodzaj pointy, a ponadto umieszczona tam była nazwa producenta — Burma-Shave.

— Niedobrze mi — rzucił Mule.



— Esther Cunningham powinna ruszyć swój tyłek, bo czy to jej się podoba czy nie, Mack Stroupe dmucha jej w kaszę. Mitręży czas, jakby te wybory były jakimś piknikiem. Jesteście tak cholernie zapatrzeni w panią burmistrz — J.C. zwrócił się do pastora — powinniście powiedzieć jej brutalną prawdę, a brutalna prawda brzmi, że już po niej.

— Aha. Wydawało mi się, że uzgodniliśmy, że nie będziemy rozmawiać o polityce.

— Zgadza się — poparł go Mule.

Ciśnienie podskoczyło mu tak gwałtownie, że zrobił się na twarzy czerwony jak burak.

J.C. nagle zaczął wyglądać na znudzonego.

— Co jeszcze słyhać? Niech się zastanowię, byłem pod muzeum miejskim do północy i przyglądałem się, jak te indory przygotowują się do festynu. Omer Cunningham upinał flagę na budce Esther, spadł z drabiny i złamał sobie nogę.

— Złamał sobie nogę? — wyrwało się pastorowi. — Dobry Boże! Czy może latać?

— Czy może latać? Nie wydaje mi się, że złamaną nogą. Mule zachichotał.

— Na pewno nie może latać jeszcze bardziej po wariacku niż wtedy, gdy miał całą nogę.

— Tost! — zawołała Velma, stawiając na stole dwa zamówienia.

Pastor poczuł nagły skurcz żołądka.

— Paszteciki! — oznajmiła Velma, podając talerz J.C.

— Czy mogę skorzystać z telefonu? — poprosił ojciec Tim.

— Oczywiście, jeśli nie będzie ojciec przeszkadzał Percy'emu. Wie ojciec, gdzie jest?

Podszedł do czerwonego telefonu wiszącego na ścianie i wybrał numer, który znał na pamięć. Czyż nie robił tego kilkanaście razy w ciągu ostatnich kilku dni?

Nikt nie odbiera.

Odłożył słuchawkę i stał w pobliżu grilla oniemiały, czując w ustach przerażającą suchość.

— Właśnie rozbiłem żółtko w jednym z twoich jajek — poskarżył się Percy, który nie cierpiał przyrządzać jajek w szklance.

I cóż z tego? Złamane nogi, rozbite żółtka, zniweczone plany. Bardzo możliwe, że czekał go najgorszy dzień w życiu.

Miał wilgotne dłonie — coś, co nigdy nie podobało mu się u duchownych. Również koloratka zdawała się go uwierać, mimo że przykleił rzep najluźniej jak to możliwe.

Gdy razem z Cynthią zjawili się na trawniku muzeum miejskiego o dziewiątej trzydzieści pięć, musieli przepychać się do stoiska Lord's Chapel, które w tym roku było usytuowane dokładnie na przeciwko lam i zoo ze zwierzętami do głaskania.

— Wspaniałe położenie! — zachwyciła się jego żona, o której wszyscy wiedzieli, że zwierzęta pełnią istotną rolę w jej życiu.

Postawili z trudem tekturowe pudło, wypełnione rezultatami wielkiego pieczenia w kuchni pastora poprzedniego wieczoru. Trzy ochotniczki z Lord's Chapel w fartuchach z napisem: „Czy uściskałeś już

dzisiaj członka Kościoła episkopalnego?" energicznie zabrały się do rozpakowywania jego zawartości i wykładania jej do witryny chłodzonej przez agregat, który szumiał na tyłach namiotu.

Mimo że festyn rozpoczynał się oficjalnie o dziesiątej, podwórko Porter Place — posiadłości Porterów i jednocześnie muzeum miejskiego — pełne było mieszkańców miasteczka, turystów oraz pasażerów trzech autobusów z sąsiednich miejscowości. Z tyłu kościelnego minibusu z Tennessee widniał napis: „Mitford albo spadaj”.

Orkiestra dęta prezbiterian była już w pełnej gotowości, a szósta klasa szkoły w Mitford maszerowała dookoła pomnika Willarda Portera — budowniczego imponującego wiktoriańskiego domu — z tamburynami, bębenkami i grzechotkami w szkolnych barwach.

Dlaczego był zdziwiony, widząc plakaty na każdym słupie i drzewie, reklamujące otwarty grill przed biurem wyborczym Macka Stroupe'a, na końcu ulicy?

W tłumie szukał wzrokiem pani burmistrz, która mówiła, że w tym roku będzie pod więzłem, tym, który cudownie ocalał.

— Zaraz wracam — obiecał Cynthii, która przyglądała mu się z z troską.

Zważywszy na rozwój wypadków, będzie potrzebował czegoś więcej niż chwili wytchnienia, a mianowicie trupy tragarzy do niesienia trumny.

Zobaczył wujaszka Billy'ego obok bzu, jak siedzi na krześle z wysokim oparciem. Przed nim stało krzesło bez siedzenia, a przy stopach wiadro wody.

— Zapraszam! Będę wyplatał krzesła, wie ojciec, to będzie pokaz dawnych zwyczajów, wystawiłem na sprzedaż kilka swoich karmników.

— Jak wujaszka artretyzm? — zapytał z troską pastor.

— No cóż, proszę ojca. W nocy dałem mu kuksańca i powiedziałem: „Wynocha stąd, nie chcę mieć z tobą nie wspólnego!” I moje dłonie mają się dzisiaj jakby lepiej, nie wie ojciec.

Poruszył kilkoma palcami na dowód.

— Gdzie panna Rose?

— Nie wyjdzie w tym roku, mówi, że nie podoba się jej, jak takie tłumy chodzą po jej posesji.

— Zatrzymaj dla mnie ten zielony karmnik, wróć tu!

Dojrzał Esther i jej męża, Raya, jak witają się z gośćmi pod budką udekorowaną amerykańską flagą i bannerem z odręcznie napisanym, wieloletnim hasłem politycznym pani burmistrz.

— Pani burmistrz! Gdzie jest Omer?

— Gdzie jest Omer? Wydawało mi się, że to ty powinieneś wiedzieć, gdzie jest Omer.

— Co z jego nogą?

— Złamana w dwóch miejscach.

— Tak, ale co z... czy może latać?

Spojrzała na niego tak gniewnie, że Emma Newland nagle wydała mu się westalką.

— To twój problem — odparła i odwróciła się do osób, z którymi wymieniała uściski dłoni.

Z bijącym sercem pośpieszył do stoiska Lord's Chapel. Bał się pokazać żonie swoją twarz, ponieważ ona najwyraźniej czytała w niej jak w otwartej książce — ale gdzie indziej mógł pójść?

Dooley! Oczywiście! „Smak Ameryki”!

Skreślił ostro w lewo, w stronę namiotu Avisy, przecinając kolejkę do ciężarówki, z której sprzedawano watę cukrową, i wpadł wprost na Omera Cunninghama idącego o kuli.

— Dobry Boże! Omer!

Otoczył ramionami postawnego szwagra Esther Cunningham, gotów ucałować z radości nie tylko jego policzek, ale również gips.

Kilka głów odwróciło się w ich stronę. Ludzie przyglądali im się badawczo. Pożałował, że ma na sobie koloratkę.

W swoim ogromnym uśmiechu Omer prezentował zęby wielkości klawiszy szpinetu.

— Malujemy — obwieścił, unosząc do góry kciuk w geście zwycięstwa.

Pastor, w przypływie radosnej ulgi, opadł na składane krzesło obok przygotowanej przez baptystów wystawy ścierek, fartuchów i łapek do piekarnika.

— Ojcze!

To Andrew Gregory, wysoki, przystojny właściciel Oksfordzkich Antyków, wołał do niego ze swojego stoiska obok pomnika Willarda Portera.

Pastor mógł przyznać uczciwie, że darzył dużą sympatią mężczyznę, który kiedyś starał się o względy Cynthii, wożąc ją tu i tam swoim szarym mercedesem, podczas gdy ojciec Tim sterczał smętnie w oknie na piętrze w swoim domu. Andrew mógł mieć swoje metr dziewięćdziesiąt trzy i garderobę pełną kaszmirowych marynarek, ale czyż to nie wiejski pastor, ze swoim metr siedemdziesiąt pięć, zdobył Cynthię? Na Jowisza!

Czuł się lekko jak piórko, podchodząc do budki i ściskając dłoń sprzedawcy antyków, który wyglądał bardzo elegancko w lnianych spodniach i koszuli.

— Wspaniale cię widzieć, przyjacielu!

— Jak to jest — zastanawiał się Andrew — że tak rzadko się spotykamy, chociaż nasze drzwi są zaledwie po przeciwnych stronach ulicy?

— Zastanawialiśmy się już nad tym w przeszłości — zgodził się pastor — i zawsze bez efektu. Tęskniłem za tobą. Co słychać?

— Wyjeżdżam za tydzień do Włoch, do małego miasteczka o nazwie Lucera. Właśnie tam urodziła się moja mama.

— Często odwiedzałem Włochy...

— Naprawdę?

— W wyobraźni — wyznał pastor. Andrew uśmiechnął się.

— Obawiam się, że pielęgnując swoje angielskie więzy rodzinne ze strony ojca, bardzo zaniedbałem włoskich przodków. Zrobię to, co ty zrobiłeś kilka lat temu — wyruszę w poszukiwaniu swoich korzeni, skosztuję lokalnych win, odwiedzę kuzynów.

— To dobre dla duszy! Widzę, że sprzedajesz swój wyśmienity olejek cytrynowy.

— Ma takie cudowne działanie. Spójrz na tę osiemnastowieczną komodę.

Jedna strona późnogeorgiańskiej komody z orzecha wydawała się ciemna i ponura. Druga strona błyszczała, pokazując, że drewno żyje.

— Wezmę trzy butelki! — oświadczył pastor.

— Zastanawiałem się — zaczął Andrew, pakując olejek cytrynowy — czy mógłbym ci złożyć jakąś ofertę na część zawartości Fernbank. Gdybyś był tym zainteresowany, chciałbym się temu przyglądnąć, zanim wyruszę do starego kraju.

— Cóż! To jest myśl. Pozwól, że przedstawię to radzie parafialnej.

Z pewnością zwlekał z opróżnieniem domu panny Sadie przed możliwą sprzedażą Miami Development. Dlaczego usiłował wyrzucić z myśli całą kwestię domu Fernbank, podczas gdy ona najwyraźniej domagała się załatwienia — i to szybko?

Oddalając się z paczką pod pachą, zastanawiał się również, dlaczego u licha kupił trzy butelki olejku cytrynowego, skoro prawie nie miał kawałka mebla, który by do niego należał. Mieszkanie od dwudziestego ósmego roku życia w częściowo umeblowanych domach, będących własnością parafii, miało swoje dobre strony, ale z pewnością nie było tak cudowne, jak się powszechnie uważało.

— Ojcie Timie!

To Margaret Ann Larkin z pięcioletnią Amy machała do niego spod zoo ze zwierzętami do głaskania. Przepisnęła się przez tłum.

— Ojcie, rozglądałyśmy się za ojcem. Amy chciałyby pogłaskać zwierzęta, ale się boi. Zastanawiała się, czy... wiem, że to dziwna prośba, ale chciałyby, żeby ojciec zrobił to za nią.

— Aha.

Margaret Ann spojrzała na niego błagalnie.

— Nie chce, żebym ja to zrobiła. Amy wręczyła mu dolara.

— Ty pogłaskaj — powiedziała poważnie. Klęknął obok niej, ściskając swoją paczkę.

— Mogłabyś wejść razem ze mną za ogrodzenie.

— Ty pogłaskaj — powtórzyła.

Podał swój olejek cytrynowy Margaret Ann i wszedł przez bramę, oddając dolara Jake'owi Greerowi, farmerowi, z doliny.

— Najpierw pogłaskaj kozę — zażyczyła sobie Amy, spoglądając przez ogrodzenie.

— Proszę — poprawiła ją Margaret Ann.

— Proszę! — nalegała Amy.

Pogłaskał kozę, która następnie powędrowała na drugi koniec zagrody wyraźnie urażona.

— Teraz pogłaskaj owieczkę, proszę.

Pogłaskał owieczkę. Jaki czarny nos! Jakie smutne oczy!

— Teraz pogłaskaj kurczaki.

Kogut rasy Dominecker oraz dwie kury rasy Leghorn zagdakały i rozpierzchły się.

Odwrócił się i uśmiechnął do Amy.

— A teraz co?

— Pogłaskaj kucyka!

Pogłaskał kucyka, który trącił go nosem w ramię, obnażył zęby i prychnął nozdrzami, dając mu poczucie, że dobrze zainwestował pieniądze. Gdy już pogłaskał całą gromadkę, włącznie z małą świnką o imieniu Barney, uśmiechnięty wycofał się przez bramę.

— To dopiero była... zabawa — stwierdził całkiem szczerze.

— Bałeś się? — chciała wiedzieć Amy.

— Ani trochę. To było bardzo przyjemne.

— Czy owieczka była miękka?

— Bardzo miękka.

— Amy, kochanie, co się mówi? Amy uśmiechnęła się czarująco.

— Dziękuję! — zawołała i pogłaskała go po nodze.

Jego żona ponownie na niego spojrzała w ten dziwny sposób.

— Wyglądasz, jakbyś się świetnie bawił!

— To znaczy, że ty nie bawisz się świetnie? — zapytał.

— Nie, odkąd Gene stanął na ciasto Esther.

— Nie!

— Przyszła i postawiła pudełko za stołem, a gdy wszedł Gene, potknął się o nie...

— Och.

— ...a potem się na nie wywrócił.

— Dobry Boże.

— Całkowicie zgniecione — jęknęła.

— Pomarańczowe?

— Masz absolutną rację.

— Jak się ma Gene? — zapytał, a jego głos zabrzmiał tak, jakby był przedsiębiorcą pogrzebowym.

— Nic mu się nie stało, ale jest przerażony.

— Jak się ma Esther?

— Zgadnij.

— To ciasto warte było niezłe pieniądze dla Domu Dziecka.

— Wydaje mi się, że nadal możemy je zlicytować.

— Całkowicie zgniecione możemy zlicytować?

— Pudełko było przykryte, gdy się na nie wyrócił. Jest to przecież nadal ciasto pomarańczowe Esther — niektórzy byliby zachwyceni, gdyby mogli je wyjść z pudełka łyżeczką.

— Jeśli ty je zlicytujesz, ja podam cenę wyjściową — zaproponował, czując, że jest bardzo wspaniałomyślny.

Zatrzymał się, aby przywitać się z lamami, które spojrzały na niego spokojnie przez woal powłóczyстых rżęs.

Kupił ścierkę u baptystów, torbę sfatygowanych tomów na stoisku z używanymi, książkami, książkę kucharską u prezbiterian i wybierał się zobaczyć Dooleya Barlowe'a w akcji.

Przystanął, aby się przyjrzeć. Gdy schylał głowę, żeby spojrzeć na zegarek, dostrzegł je przez kolejkę po prażoną kukurydżę, którą przeciął, idąc w ich stronę.

Olivia pocałowała go w policzek. Lace stała, wpatrując się w tłum.

Otoczył ręką ramiona Lace, która jednak stała sztywno.

— Wyglądacie, moje panie, cudownie. Prawdziwa ozdoba miasta!

Lace niepewnie skinęła głową.

— Muszę tam podejść na chwilę.

— Idź — zgodziła się Olivia. — Spotkamy się przy lamach za pół godziny.

Usiedli na jednej z ławek należących do muzeum miejskiego.

— Ojcie, miałam czas to przemyśleć i chciałam powiedzieć, że podziwiam Dooleya za sposób, w jaki poradził sobie z wybuchem Lace. Mógł... stłuc ją na kwaśne jabłko, gdy go zaatakowała.

— Prosił się o to.

— Bardzo pięknie złożył przeprosiny. Ma charakter, ojca chłopiec.

— Tak jak Lace. Ale często potrzeba dużo czasu, aby prawdziwy charakter się ujawnił. Obydwoje pochodzą ze środowisk, gdzie byli zaniedbani i gdzie dominowała przemoc. Dobrana para. Jak sobie radzisz?

— Lepiej, wydaje mi się. Nadal co tydzień odwiedzamy jej matkę, ale to nigdy nie jest przyjemna wizyta — matka jest wymagająca i zimna, a jej stan zdrowia cały czas się pogarsza. Hoppy starał się dowiedzieć czegoś więcej; niestety, sprawy nie wyglądają za dobrze.

— Modlimy się za was nieustająco. Wszyscy robimy to na wycucie.

Kto by kiedykolwiek pomyślał, że będzie wychowywał chłopca? Wyzwanie, jakie się z tym wiązało, było wręcz porażające.

— Czytałam o tym, jak Lindbergh często latał z oszronioną szybą. To bardzo podobne uczucie, nie uważa ojciec?

— Rzeczywiście. Czy ma jakichś przyjaciół?

— Dzieci w Mitford zawsze słyszały ostrzeżenia, że nie wolno im się przyjaźnić z nikim z Creek, więc to działa bardzo na jej niekorzyść. Na dodatek jest bardzo bystra i ładna. Niektórym nie podoba się i to. Naprawdę nie wiedzą co o niej myśleć.

— Niech cię Bóg błogosławi.

— I ojca.

Gdy oddalali się od siebie, odwrócił się i zawołał:

— Olivia! List do Filipian, cztery, siedemnaście, na litość boską!

Pomachała do niego, uśmiechając się na wspomnienie wersetu z Pisma Świętego, który — jak twierdziła — był kluczowy w jej życiu.

Dobrze mieć sojusznika, pomyślał, idąc w stronę „Smaku Ameryki”.

Stoisko Avis Packarda przeżywało prawdziwe oblężenie kupujących — chętnych, by taszczyć do domu całe torby przetworów, miodu, ciast i chleba z doliny, nie wspominając o truskawkach z Kalifornii, kukurydzy z Georgii i syropie z Vermontu.

Avis wyszedł na chwilę z budki, aby odpocząć, podczas gdy Tommy i Dooley pakowali zakupy i wydawali resztę.

— Cierpię na lekką klęskę urodzaju — wyznał, zapalając papierosa marki Salem. — Czekam jeszcze na dostawę młodych ziemniaków z Georgii i skrzynkę szparagów z Florydy. Problem w tym, że nie wyobrażam sobie, aby mogła tu dojechać ciężarówka.

— Nie wiedziałem, że palisz — zauważył pastor, sprawdzając godzinę.

Avis zaciągnął się głęboko.

— Nie palę. Rzuciłem dwa albo trzy lata temu. Ktoś mnie poczęstował.

Importowane truskawki sprzedawały się w szybkim tempie i Avis wszedł do budki, wynosząc stamtąd garść owoców.

— Proszę spróbować — zachęcał z dumą, jakby pochodziły z jego własnego ogródka. — Wie ojciec, że niektóre smakiem bardziej przypominają siano niż owoce? Cóż, proszę ojca, są najlepsze spośród tych, które kiedykolwiek miał ojciec w ustach. Soczyste, słodkie, pełne słońca. Miałby ojciec ochotę je zjeść, zostawiając jedynie szypułki, albo pokroić je w plasterki i zamarynować w odrobinie cukru i brandy — oczywiście nic pośledniego — i podać ze śmietaną z doliny, ubitą ze szczyptą świeżego imbiru.

Avis Packard był prawdziwym piewcą spożywczego rzemiosła.

— Prawo tego nie zabrania? — upewniał się pastor. Przyglądał się, jak Dooley podaje klientowi przez stół torbę.

— Mam nadzieję, że będą panu smakować te truskawki!

Był zachwycony, widząc, jak Dooley Barlowe jest zafascynowany swoją pracą. Jego piegi, które — jak stwierdzili z Cynthią — zniknęły, na powrót zaznaczyły swoją obecność, i to ze zdwojoną mocą.

Avis roześmiał się.

— Czyż nie jest wspaniały?

— Czy dobrze pracuje?

— Doskonale!

Zauważył, że Jenny i jej mama stoją w kolejce do „Smaku Ameryki”, i zobaczył, jak Dooley na nie spogląda. Och. Ten wyraz twarzy Dooleya...

Czy było to coś, o czym powinien z nim porozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną? Już na samą myśl poczuł, jak bije mu serce.

Ben Sawyer przeszedł obok nich, niosąc w każdej ręce worek kukurydzy z wąsami.

— Ma ojciec wspaniałego chłopca!

Poczuł, jak na twarz wypływa mu głupi uśmiech, i nie usiłował go powstrzymać.

Zauważył, że tłum powoli zaczął się przersedzać, idąc za zapachem politycznego pikniku.

Oczami wyobraźni widział je na talerzu, pokrojone w grube plastry i podane z porcją ostrego sosu, ułożone delikatnie obok wzdórka surówki z białej kapusty i kilku gorących, chrupiących placków kukurydzianych...

Otrząsnął się i zjadł cztery rodzynki, które nosił w kieszeni od czasu ostatniego spotkania na temat ewangelizacji.

O jedenastej czterdzieści pięć Ray i Esther Cunningham podeszli do budki Lord's Chapel w towarzystwie wszystkich swoich pięciu pięknych córek, które zasiliły połowę Mitford nauczycielami szkoły niedzielnej, diakonami, policjantami, śmieciarzami, doradcami podatkowymi, sekretarkami, ekspedientkami i kierowcami UPS.

— I? — zapytała Esther.

Pastor pomyślał, że świetnie nadawałaby się na ojca chrzestnego mafii.

— Zaraz się zaczniesz! — zawołał, sprawdzając zegarek. Wyglądał przy tym bardzo blado.

Cynthia po raz kolejny przyjrzała mu się uważnie. Huśtawka nastrojów, pomyślała. To prawdziwy winowajca! Domowa chwila wytchnienia — zdecydowanie, i to bardzo szybko.

A ponieważ całe miasteczko zdawało się mieć tyle oczekiwań w stosunku do jej męża — zdecydowanie nie w Mitford.

Nikt nie zwracał większej uwagi na samolot, dopóki nie zaczął zostawiać za sobą smugi dymu.

— Patrz! — ktoś krzyknął. — Samolot!

Siedział na kamiennym murku, gdy obok niego ciężko usiadł Omer.

— W samą porę! — wykrzyknął szwagier pani burmistrz. — Wszyscy moi latający przyjaciele z bliska i daleka skrzyknęli się, żeby mi pomóc.

Pastorowi wydawało się, że na uśmiechu Omera, który sięgał mu od ucha do ucha, można byłoby zagrać *Sonatę Księżycową*.

— No dobrze, to ojca zasadniczy Steerman, kryje w sobie silnik o mocy czterdziestu pięciu koni mechanicznych. Leci nim Luke Tester, jest prawdziwym mistrzem, teraz proszę uważać...

Niebiesko-pomarańczowy samolot uniósł się z hukiem wprost w bezkresne błękitne niebo, zostawiając za sobą smugę dymu. Następnie skręcił ostro i zanurkował w dół, po skosie.

— Ooo! — zawołał ktoś, zapominając zamknąć usta.



Samolot po raz kolejny wspiął się w błękit.

Omer dał mu łokciem kuksańca w żebra.

— Ma zbiornik, który pompuje do jego układu paliwowo-wydechowego ropę Corvisa\*... Czyż nie jest śliczny?

— Wygląda jak N! — stwierdził chłopiec, któremu czekoladowy lód na patyku kapał na ramię.

\* Ropa Corvisa - ropa używana podczas pokazów lotniczych do wytworzenia dymu.

Samolot ponownie zanurkował w kierunku dachów, a za nim z rury wydechowej wydostawał się dym.

— M! — zawołali jak jeden mąż wszyscy uczestnicy festynu. Do Esther, Raya i ich córek dołączył cały orszak wnucząt, prawnucząt i szwagrów, którzy tworzyli nieprzebrany tłum przed kościelną budką.

Gene Bolick nadszedł od strony lam w chwili, gdy nad nimi ukazało się idealne I.

— M...I! — zawołał tłum.

— Spójrzcie tylko! — wykrzyknął Omer, opierając kulę o kamienny murek. — A niech mnie!

Niebiesko-pomarańczowa sylwetka wystrzeliła wprost do góry, zostawiając po sobie pionowy ślad, następnie odcięła wydostające się spaliny, skrzyła ostro w prawo i przemknęła z hukiem poziomo nad śladem, tworząc prostą i zdecydowaną smugę dymu.

— M...I...T!

M powoli znikало, I nadal było widoczne, a T idealnie jaśniało na szafirowym niebie.

Tłum ponownie zgęstniał, nadciągając z okolic biura politycznego Macka Stroupe'a, które w znacznej części przysłonięte było drzewami, śpiesząc teraz z powrotem na teren muzeum miejskiego, gdzie była otwarta przestrzeń i nic nie zasłaniało zapierającego dech w piersiach widoku, gdzie działo się coś więcej niż party z grillem.

— Nie wrócą zbyt prędko do Macka — zawyrokował Omer. — Cały tłum Macka zjadł tylko i uciekł.

— F! — przeczytali zgodnie, a potem — ...O...R...D! Nawet turyści wiwatowali.

J.C. Hogan runął na ziemię, przewrócił się na plecy, skierował swojego nikoną w stronę nieba i zużył całą rolkę filmu Tri-X. M i I rozplywały się szybko.

Wujaszek Billy przykuśtykał do nich i splunął w krzaki.

— Idę o zakład, że chłopaki są zadowoleni, że to miasto nie nazywa się Minneapolis.

— Patrzcie teraz — poinstruował Omer, klepiąc się w kolano.

Powoli, ale skutecznie smuga dymu wydostająca się z układu wydechowego Steermana utworzyła kolejne słowo. Brzmiało ono: D...B...A.

Okrzyki radości. Pohukiwania. Gwizdy.

— Boże, szyja mi wysiada — żalił się wujaszek Billy.

— Ja sobie już prawie złamałem — rzucił ktoś stojący obok. O...

— Mitford dba o swoich! — zawołało całe miasteczko. Szóstoklasiści obeszlą dookoła pomnik, uderzając w tamburyny, potrząsając grzechotkami i skandując słowa, które znali od pierwszej klasy.

„Mitford dba o swoich, dba o swoich, Mitford dba o swoich!”

Nad dachami miasteczka samolot napisał resztę przesłania: S...W...O...I...C...H...

DBA wkrótce zamieniło się w obłoczki dymu, które wyglądały jak pojedyncze letnie chmurki. O powoli zniknęło, ale SWOICH dumnie widniało na niebie, jakby nie chciało się za szybko rozpuścić.

— To bije wszystko na głowę! — wykrzyknęła kobieta z Tennessee, która przez cały czas stała w jednym miejscu, opierając na biodrze śpiące dziecko.

Psy szczekały i kurczęta gdakały, podczas gdy ludzie klaskali i powoli się rozchodzili.

Właśnie wtedy kilku uczestników festynu zauważyło, jak nadlatują. W ich skrzydłach odbijały się promienie słońca.

Nadciągnęły od wschodu, w szyku, dwójkami.

Czerwony i żółty. Zielony i niebieski.

— Cztery małe, zbudowane w prywatnej wytwórni, unikatowe samolociki typu Pitts Special\* — wyjaśnił Omer z taką dumą, jakby sam je zbudował. — Dwa z Fayetteville, jeden ściągnąłem z Roanoke, a czwarty z Albany, z Nowego Jorku. Niewiele mocy w tych małych samolocikach ze skrzydłami z brezentu, ale za to są ładne i lekkie, około stu osiemdziesięciu koni mechanicznych, prowadzi się je jak marzenie.

\* Pitts Special - samolot z 1944 roku, do akrobacji.

Spojrzał na niebo, jakby przedstawiało najpiękniejszy widok, jaki kiedykolwiek ukazał się jego oczom, i pastor zrobił to samo.

— Miałem ich prowadzić, ale nie można latać ze złamaną nogą.

Tłum zaczął kłaść się na trawie. Ludzie kładli się wzdłuż kamiennego murku. Wspięli się na pomnik Willarda Portera zafascynowani, a młody ojciec posadził niemowlaka na lewym kolanie Willarda.

Inni wynosili krzesła ze swoich stoisk i siadali, spoglądając do góry. Cały handel ustał.

Mały żółty Pitts zrobił beczkę i zanurkował, kierując się wprost na pomnik.

— Aaaaaa! — jęknął tłum.

Kiedy żółty samolot wyprostował lot i zaczął się unosić, niebieski samolot zanurkował i zrobił beczkę.

— Są jak małe, bawiące się dzieci — zawyrokował oczarowany wujaszek Billy.

Panna Rose wyszła na zewnątrz i stanęła na tylnym ganku w swoim sfatygowanym wojskowym płaszczu. Spojrzała w górę, a po policzkach popłynęły jej łzy smutku po jej dawno zmarłym bracie, kapitanie Willardzie Porterze, który latał samolotem i zginął w czasie wojny we Francji, i tam został

pochowany. Do domu przysłano jedynie jego medale i złoty pierścień z inicjałami SEB oraz kilka wyblakłych zdjęć z jego kieszeni.

Małe samoloty baraszkowały, robiły becзки, pięły się do góry i ślizgały jak kolorowe kredki na błękitnej palecie, a potem zniknęły, oddalając się na zachód. W ich skrzydłach znowu odbijały się promienie słońca.

Tu i tam jakiś pojedynczy uczestnik festynu bezskutecznie usiłował podnieść się z trawy, krzesła czy też murku. Wszyscy byli zahipnotyzowani, oszołomieni.

— Rzuceni na kolana! — ktoś zawołał.

— W porządku, kolego, no to się zaczyna — szepnął Omer.

Usłyszeli warkot ciężkich silników dobiegający z oddali i od razu wiedzieli, że zanoszą się na coś poważnego, że będzie to coś, na co wszyscy czekają, nie zdając sobie nawet z tego sprawy.

Córki Cunninghamów tuliły swoje dzieci, całowały mamę i tatę, płakały bezwstydnie, pohukiwały i wiwatowały jak zmory nocne, ale żywa dusza nie spojrzała w ich stronę, ponieważ cały tłum był zdecydowany nie przegapić ani sekundy, zobaczyć wszystko i zawieźć ze sobą całą opowieść, słowo po słowie, do Johnson City, Elizabethton, Wesley, Holding, Aho, Farmer, Price, Todd, Hemingway i Morristown...

— Nadciąga nasz as — poinformował dumnie Omer.

Pastor czuł, że szwagier pani burmistrz drży jak osika z czystej ekscytacji.

— Mieliśmy już wstępne napisy z dymu, akrobacje, a teraz nadchodzi hasło reklamowe!

Czerwony Piper Super Cub nadleciał z hukiem od strony autostrady i przemknął nad wierzchołkami drzew, przebijając się przez chmury na swojej drodze, wprawiając w drżenie zamykające się za nim niebiosa i ciągnąc za sobą transparent, który powiewał na bezkresnym niebie:

**ESTHER... DOBRY WYBÓR DLA MITFORD, DOBRY WYBÓR NA BURMISTRZA**

Orkiestra dęta prezbiterian zagrała z całej mocy na trąbkach, aż szyby w rezydencji Porterów drżały i dzwoniły.

Gdy samolot przelatywał, fala adrenaliny przetoczyła się przez uczestników festynu, elektryzując wszystkich, i w odpowiedzi zebrani, prawie co do jednego, zerwali się na równe nogi i zaczęli krzyczeć, wiwatować, gwizdać, szaleć i bić brawo.

Kilka osób machało też i podskakiwało, a prawie wszyscy przypomnieli sobie, co przez te minione lata zrobiła Esther. Jak pokryła dachem dom starego Muellera i zamieniła rozpadający się, drewniany most na Mitford Creek na bezpieczny i ładny; i jak posyłała Raya w samochodzie turystycznym, żeby zabierał starszych ludzi do sklepu spożywczego; i jak upiękusiła dom Sophii i pomagała jej dzieciom; i jak dbała o to, żeby mieli przyzwoite szkolne autobusy, które woziły ich własne dzieci w złą pogodę; i jak wprowadziła to rozwiązanie w szpitalu, że można było tam pójść i przytulić nowo narodzone dziecko, gdy jego mama z Creek była pod wpływem narkotyków; i jak ani razu nie podniosła podatków; i jak zawsze mogli na nią liczyć, gdy byli w potrzebie; i jak zawsze ich słuchała, gdy się skarżyli, i...

...i jak o nich dbała.

Niektórzy z tych, co zamierzali głosować na Macka Stroupe'a, zmienili zdanie, podeszli i uścisnęli dłoń Esther, a orkiestra dęta przechodziła samą siebie, usiłując przebić wrzawę, która zapanowała.

„Dobry wybór!”, w tym właśnie tkwi sedno. Esther była dobrym wyborem dla Mitford. Mack Stroupe może popierać zmiany, ale Esther zawsze będzie popierać to, co ma prawdziwą wartość.

Ponadto — a usilnie próbowali wyrzucić to z pamięci — czyż nie było powszechnie wiadomo, że Mack Stroupe bije swoją żonę, która jest cicha jak myszka i zupełnie na to nie zasługuje, i czyż nie wymykał się od lat do tej kobiety z Wesley jak zwykły, podły niktzemnik?

— Ojej, czy wy wszyscy głosujecie latem? — zastanawiał się turysta. — My głosujemy gdzieś na jesieni. Nie pamiętam, kiedy dokładnie, ale nieomal zawsze muszę wkładać płaszcz, gdy idę na wybory.

Omer spojrzał na pastora. Pastor spojrzał na Omera. Podali sobie dłonie. Sprawa była załatwiona.

## Rozdział dziewiąty

### BEZ WYTCHNIENIA

— Zainstalowałem po prostu pod ojca maską dodatkowe trzydzieści koni mechanicznych.

— Czy ja potrzebuję trzydziestu dodatkowych koni mechanicznych?

Musiał przyznać, że próba zwiększenia prędkości w jego samochodzie nie była zbyt ekscytująca, gdyż pedał przyśpieszenia wchodził jak w masło. Z drugiej jednak strony...

Harley spojrzał na niego filozoficznie, mając w tym względzie spore doświadczenie.

— Wielebny, nie chciałbym dopuścić do sytuacji, w której by ich ojciec potrzebował i nie miał.

Cóż mógł odpowiedzieć?

W poniedziałek rano popędził z hukiem do kancelarii, zahamował z piskiem na skrzyżowaniu z Old Church Lane, gdzie przepuścił pojazdy kierujące się na północ, następnie skręcił w lewo i nieomal katapultował się na parking.

Dobry Boże! Czy Harley zainstalował w jego buicku silnik jaguara?

Przepelniony ciekawością wysiadł i zajrzał pod maskę, ale zdał sobie sprawę, że nie odróżniłby silnika jaguara od alternatora mazdy.

— Czy możesz w to uwierzyć? — rzuciła Emma przez zaciśnięte usta.

Wiedział dokładnie, o co jej chodzi.

— Nie bardzo.

Przez chwilę myślał, że stracili głos jego sekretarki na rzecz konkurencji Esther Cunningham. Ostatni tydzień jednak spowodował zwrot w sytuacji; Emma dowiedziała się, że Mack Stroupe kupił dwa małe domki na obrzeżach miasta i podniósł czynsz wdowie oraz matce samotnie wychowującej dziecko.

— Siedział w kościele, jakby był u siebie w domu, słyszałam. Że też dach nie zawalił się wam wszystkim na głowę!

— Uhm.

— W kościele! — prychnęła. — Czy chodzenie do kościoła to jakiś nowy trick wyborczy?

Wydawało mu się, że ta właśnie strategia znalazła już zastosowanie — raz czy dwa — w przeszłości, ale nie zdobył się na komentarz.

— Tylko patrzeć, jak będzie chciał wstąpić do Kościoła. Na twoim miejscu skopałabym mu tyłek, stąd do prezbiterian.

Roześmiał się.

— Emma, jesteś piękna, gdy się złościysz. Rozpromieniła się.

— Naprawdę?

— No cóż...

— Więc jak się zachowywał? Klęczał? Stał? Śpiewał? Czy możesz sobie wyobrazić takiego nędznika jak Mack Stroupe śpiewającego pieśni sprzed pięciuset, a może nawet tysiąca lat? Boże, ja ledwie byłam w stanie to robić, co było jednym z powodów, dla których zdecydowałam się wrócić do baptystów.

Wściekła uruchomiła komputer.

— Słyszałam, że była z nim Lucy, jakżeby inaczej, ale oni zawsze tak robią, ciągną za sobą rodzinę, żeby cały świat ich widział. Czy nadal jest blondynką? Co miała na sobie? Esther Bolick mówiła, że było na co popatrzeć, jak cały tłum zbiegł się pod muzeum, żeby oglądać akrobacje lotnicze, a poczęstunek z grilla stygł na drugim końcu ulicy.

Spojrzała uważnie na ekran komputera.

— No cóż — zawyrokowała, klikając myszą — czyżbyś stracił język w gębie? Powiedz mi coś, cokolwiek! Zamurowało cię, jak się pokazał w Lord's Chapel, czy nie?

— Tak. Oczywiście zawsze istnieje taka możliwość, że zechce zmienić swoje życie...

— Tak — przytaknęła, unosząc do góry brew — a Elvis mieszka w hotelu w Wesley.

Mimo że bardzo lubił pocztę i miłe niespodzianki, które często sprawiała, pozwolił, aby stos korespondencji czekał nietknięty na biurku Emmy aż do jej powrotu z lunchu.

— Niemożliwe! Nie wierzę własnym oczom! — Uniosła do góry kopertę, uśmiechając się z dumą. — Albert Wilcox. — Otworzyła list. — Posłuchaj! „Moi Drodzy, list od Was, po tak wielu latach, jest dla mnie prawdziwą przyjemnością. Modlitewnik mojej babci, który sprawił nam tyle bólu — i radości — leży na moim biurku w chwili, gdy piszę do Was. Czeka na przekazanie do muzeum w Seattle, niedaleko mojego domu w Oak Harbor...”.

Przeczytała cały list, który zawierał również wiele informacji o operacji kolana, której poddał się Albert, oraz jego gratulacje dla pastora z okazji zawarcia małżeństwa.

— Czy przysłoby ci to kiedykolwiek do głowy? I wszystko dzięki nowoczesnej technologii! No dobrze, jak tylko otworzę tę drugą kopertę, będę miała dla ciebie małą niespodziankę. Zamknij oczy.

Zamknął oczy.

— Odwróć się twarzą do półek! — poleciła. Odwrócił się twarzą do półek.

Usłyszał odgłosy rozpakowywania i kliknięcie. Potem usłyszał Beethovena.

Początkowe dźwięki *Symfonii Pastoralnej* nieomal porwały go z krzesła.

— No dobrze! Możesz się odwrócić!

Nie zauważył niczego niezwykłego, ale porwała go muzyka, która zdawała się brać znikąd, przeobrażając pokój.

— CD-ROM! — obwieściła jego osobista ekspertka komputerowa, jakby właśnie wstrzymała słońce.

Poszedł do domu i pohaustał Sassy oraz potrzyzymał Sissy, żeby jej się odbiło, a Puny w tym czasie zbierała cały ocean zabawek i akcesoria do czegoś, co wielkością przypominało torbę na zakupy z supermarketu.

Po szybkiej przeprawie przez żywopłot, żeby się przywitać z ciężko pracującą żoną, razem z Dooleyem przebrali się w stare ubrania. Zamierzali rozebrać starą szopę Betty Craig i ułożyć drewno z rozbiórki. Czuł się gotów zrobić wszystko.

— Przyjrzyjmy się tym muskułom — zawołał wesoło do Dooleya, który napiął mięśnie ramienia. — Doskonale!

Pożałował, że sam nie ma się czym pochwalić, ale rozważania intelektualne i głoszenie Słowa Bożego nigdy nie były dobrym sposobem na wykształcenie mięśni.

Musiał przyznać, że dobra praca, mnóstwo słońca i rozsądne dawki domowego jedzenia sprawiały, że Dooley Barlowe wyglądał naprawdę dobrze. Prawdę powiedziawszy, rozmyślał, Dooley Barlowe robił się najnormalniej w świecie przystojny, i wysoki, na dodatek.

Dooley oparł się o framugę drzwi, podczas gdy pastor zaznaczył, dokąd sięga, a następnie zmierzył jego wzrost. Wielkie nieba!

— Niech mnie kule biją jeśli nie masz więcej o stopę! — wykrzyknął, posługując się językiem wujaszka Billy'ego.

Już niedługo będzie zadzierał głowę, patrząc na chłopca, który przyszedł do niego w brudnych spodniach na szelkach, rozglądając się za „ustronnym miejscem”.

Na podwórku powitał ich Russell Jacks i młodszy brat Dooleya.

— Czekając na was, przyniosłem drabinę i oparłem ją o szopę — oświadczył Russell.

— No to połowa roboty za nami!

Pastor był szczęśliwy, widząc swojego starego kościelnego. Poo Barlowe spojrział na niego.

— Hej!

— Hej! — odwzajemnił powitanie chłopca, mierzwiąc jego rude włosy. — Gdzie byłeś w sobotę?

Brakowało nam ciebie na festynie miejskim.

— Mama wzięła mnie ze sobą żeby kupić mi trochę nowych ubrań.

Chłopiec spojrział na swoje nowe tenisówki z nadzieją, że pastor je zauważy.

— No nie! Spójrzcie tylko na te buty! Jakby stworzone, żeby przeskakiwać wysokie budynki.

Poo uśmiechnął się.

— Chcesz nam pomóc rozebrać tę szopę?

— Nie ma co jej rozbierać — zawyrokował Poo — bo sama niedługo się zawali.

— Nie mów: sie — polecił straszy brat.

— Dlaczego?

— Bo tak sie nie mówi!

Zdając sobie sprawę z tego, co właśnie powiedział, Dooley oblał się gwałtownym rumieńcem.

Ojciec Tim roześmiał się. Poprawiał Dooleya od trzech długich lat.

— Mówisz zupełnie jak ja, przyjacielu. Spróbuj się poprawić. Betty Craig zbiegła po tylnych schodach.

— Ojczy! Ojej, jak to miło z ojca strony. Stałam w swoim kuchennym oknie już od lat, patrząc, jak ta stara szopa przechyla się na południe. Tak bardzo mnie to smuciło!

— Być może wystarczy jedno kopnięcie.

— Pauline wróci do domu trochę później, dzwoniła, żeby powiedzieć, że będzie już wkrótce. Czy mogę podać ojcu i Dooleyowi trochę lemoniady? Jest gorąco jak w sierpniu.

— Poczekamy, aż skończymy pracę.

— No to zabierajmy się do roboty — rzucił Dooley.

Ojciec Tim otworzył pudło z narzędziami i wyciągnął z niego młotek z pazurem, po czym włożył grube robocze rękawice. Nigdy przedtem nie robił niczego takiego. Natychmiast poczuł się bojowo i męsko, a zaraz potem — zupełnie bezradny, gdyż nie miał pojęcia, jak zacząć.

— Co będziemy robić? — zapytał Dooley, wciągając swoje rękawice.

Spojrział na szopę. Do licha, jeśli nie była większa, niż mu się wydawało.

— Zaczniemy od góry — stwierdził, jakby wiedział, o czym mówi.

Usunął pofałdowaną papę, posługując się młotkiem z pazurem, ściągnął rusztowanie dachu, zdemontował krokwie, z pomocą Dooleya oderwał deski ścian, a następnie wyrwał gwoździe z rogów przegniłej konstrukcji i zepchnął to, co pozostało, na trawę.

Ociekając potem, na zmianę z Dooleyem wrywali zardzewiałe gwoździe z każdego kawałka drewna i deski, żeby można je było wykorzystać jako opał w zimie.

Dooley wrzucał gwoździe do wiadra.

— Nie chciałbym nadepnąć na jednego z nich — stwierdził Russell, który nadzorował ich pracę.

Zrobili sobie tylko krótką przerwę, aby usiąść na ganku i pochłonąć parujący kawałek zapiekanki z kurczakiem, prosto z piekarnika Betty, i wypić łączywie ćwierć litra herbaty, która była wystarczająco słodka, by wyprawić go na pogotowie.

Betty przeprosiła.

— Przy takim upale powinniście dostać na kolację coś zimnego, na przykład sałatkę z kurczakiem, ale pracujecie tak ciężko, że musiałam wam dać do zjedzenia coś bardziej treściwego.

— Amen!

— Chcę, żeby ojciec przychodził i brał sobie podpałkę z tej sterty drewna przez całą zimę, słyszy ojciec?

— Obiecuję, że tak będę robił.

Gdy już zjedli, w trójkę z Dooleym i Poo nosili i układali, i podnosili, i wyciągali, aż zrobiła się prawie dziewiąta i zaczął zapadać zmierzch.

— Prawie zupełnie mnie ojciec wykończył — narzekał Dooley.

— Spłynęło ze mnie chyba całe wiadro potu — rzucił Poo.

— A ja zmęczyłem się od samego patrzenia — westchnął Russell.

Pastor natomiast czuł się dziwnie wyzwolony. Całe to podciąganie, odrywanie, zrywanie i przerzucanie wyszło mu w jakiś dziwny sposób na dobre, wywołując zmęczenie zupełnie inne niż to, które przez całe życie towarzyszyło mu w pracy duchownego.

A cóż mogło być lepszą nagrodą niż ta chwila, gdy siedział w zapadającym zmierzchu i spoglądał na podwórko ze stertą drewna równo ułożoną pod ogrodzeniem, w towarzystwie dwóch chłopców, którzy pomogli mu to zrobić?

Dooley robił przegląd nowego, chociaż używanego roweru Poo, Russell udał się na nocny spoczynek, a Betty poszła oglądać telewizję. Siedział sam z Pauline.

Nie widział powodu, żeby owijać w bawełnę.

— Musimy porozmawiać o Jessie. Zapadła długa chwila ciszy.

— Jestem gotowa — zgodziła się.

— Muszę poznać wszystko, co możesz mi powiedzieć, włącznie z nazwiskiem kuzynki, która ją zabrała, i gdzie ci się wydaje, że mogą być, i nazwiska wszystkich krewnych twojej kuzynki — wszystko.

Usłyszał absolutną stanowczość w swoim głosie i wiedział, że właśnie tak powinien brzmieć.

Gdy mówiła, notował wszystko na kartce papieru, którą następnie złożył i umieścił w kieszeni koszuli. Potem usiadł wygodnie w bujanym fotelu.

— Jeśli uda się nam znaleźć Jessie, czy będziesz mogła się nią zaopiekować?

— Tak! — zawołała i teraz stanowczość usłyszał w jej głosie. — Cały czas myślę o tym, że chciałabym wynająć mały domek i urządzić Boże Narodzenie z choinką. Nigdy nie mieliśmy choinki na Boże Narodzenie... może raz.

Natychmiast przypomniały mu się wszystkie te meble, które pokrywały się kurzem w Fernbank. Razem z Dooleym załadowaliby ciężarówkę i... Ale uprzedzał bieg wydarzeń.

— Jest coś, co musimy rozważyć, Pauline.

— Czy chodzi ojcu o alkohol?

— Tak.



— Już go nie potrzebuję.

— Alkohol jest dużym wyzwaniem. Bardzo trudnym. Czy potrzebna ci pomoc?

— Nie — odparła. — Chcę sobie z tym poradzić sama. Z Bożą pomocą.

— Gdybyś kiedykolwiek chciała lub potrzebowała pomocy, musisz mieć odwagę o nią poprosić.

Dla twojego dobra, dla dobra dzieci. Możesz to zrobić?

Betty włączyła światło na ganku i zobaczył twarz Pauline, gdy się odwróciła i spojrzała na niego. — Tak — obiecała.

— Nie chciałam, żebyście siedzieli po ciemku — wyjaśniła Betty, wracając do swojego pokoju.

Znowu milczeli. Dobiegł ich śmiech Poo i ledwie słyszalne dźwięki muzyki i aplauzu z telewizora Betty.

— Jest coś, co powinien ojciec wiedzieć — wyznała. Czekał.

— Nie będę sprawiała żadnych kłopotów, nie będę próbowała nakłonić Dooleya, żeby zamieszkał z nami. Tak świetnie sobie radzi... tak dużo ojciec zrobił... Jeśli będzie chciał, może zatrzymać się u nas, jak tylko będzie w domu, ale chcę, żeby to ojciec był tym... tym, który nad nim czuwa.

Po raz kolejny oddawała swojego chłopca. Ale tym razem, modlił się i miał żarliwą nadzieję — dla jego dobra.

Pocałował ją w policzek, gdy wszedł do sypialni.

— Kavanagh... — szepnął wykończony.

— Dobry wieczór, najdroższy — przywitała go, wyglądając na zmęczoną.

Gdy wziął prysznic, wślizgnęli się do łóżka, każde po swojej stronie, i przed dziesiątą chrapali zgodnie w tandemie.

— Emma, ten program w twoim komputerze, to, co pomogło ci odnaleźć Alberta Wilcoxa...

— Tak, co takiego?

— Chciałbym, żebyś sprawdziła te nazwiska. Zapisalem też nazwy stanów, w których, jak mi się wydaje, powinni mieszkać.

— Ha! — wykrzyknęła z zadowoleniem. — Wiedzialam, że prędzej czy później polubisz komputery.

Czasami po prostu zdarzały się takie dni. Telefon za telefonem. Bez przerwy.

— Ojczy? Emil Kettner. Poznaliśmy się, gdy Buck Leeper...

— Oczywiście, Emil. Miło słyszeć twój głos.

Emil Kettner był właścicielem firmy budowlanej, która zatrudniała Bucka Leepera jako swojego sztandarowego nadzorcę budowlanego.

— Sądzę, że mam dla ojca dobre wiadomości — jeśli terminy będą odpowiadać Lord's Chapel.

— Strzelaj.

— Nic nie wyszło z tego dużego zlecenia, które — jak nam się wydawało — mieliśmy w kieszeni, i prawdę powiedziawszy, myślę, że tak będzie lepiej, jeśli chodzi o Bucka. Musi odpocząć, ale mimo to chce pracować. Zastanawiałem się, czy moglibyśmy go wysłać do ojca, żeby się zajął przebudową strychu.

Zaniemówił. Nie przypominał sobie, kiedy ostatnio usłyszał taką dobrą wiadomość...

— Z tego, co mówił, wygląda to na jakieś sześć miesięcy pracy najwyżej. Bardzo niechętnie powierzam mu takie proste zadanie, wiem, że ojciec to zrozumie, ale jest to rodzaj pracy, która podziałałaby na niego... ożywczo, chociaż nigdy by się do tego nie przyznał.

— Bylibyśmy zachwyceni, gdyby Buck zjawił się w Mitford. Będziemy o niego dbać, obiecuję.

— Już kiedyś zaopiekowaliście się nim i zdziałaliście prawdziwe cuda. Bardzo się zmienił, ale nadal pracuje za ciężko, za szybko i za dużo. Niewielu szefów by na to narzekało.

Roześmiali się.

— Pieniądze są przygotowane, jeśli uda się nam nie przekroczyć budżetu.

— Właśnie taki jest Buck, jeśli ojciec pamięta.

— Pamiętam! No cóż, muszę przyznać, że zadzwoniłeś w doskonałym momencie. Zapisy do naszej szkoły niedzielnej mnożą się jak grzyby po deszczu, miałem trzy chrzty w tym miesiącu, a jeszcze dobrze przecież się nie zaczął. Kiedy możemy się spodziewać Bucka?

— Za tydzień, może za dziesięć dni. I nie możemy dać mu zbyt dużego wsparcia przy tym projekcie, do tego zadania będzie wykorzystywał miejscowych. Co ojciec o tym myśli?

— Wspaniale. Rzeźbione profile drewniane w Domu Nadziei są dziełem lokalnego artysty. Mamy tu w okolicy dobrych fachowców.

— W takim razie, ojcze, będę nadzorował projekt tak jak poprzednim razem. Do zobaczenia więc.

— Dziękuję, Emil.

Poprosił, żeby Buck Leeper zajął się projektem przebudowy strychu, choć do końca nie wierzył, że to możliwe, miał jedynie taką nadzieję.

I — strzał w dziesiątkę.

— Ojcze? Buck Leeper.

— Buck!

Usłyszał, jak Buck zaciąga się papierosem.

— Rozmawiał ojciec z Emilem.

— Tak i jesteśmy zachwyceni.

— Czy myśli ojciec, że mógłbym wynająć ten sam dom?

Ten ciemny, ponury dom pod lasem, gdzie najlepszy nadzorca budowlany na Wschodnim Wybrzeżu rzucał meblami o ścianę i rozbijał butelki wódki o kominek? Raczej nie.

— Pozwól, że się rozglądnę. Zajmiemy się tobą.

— Dziękuję — odparł Buck, a jego głos zabrzmiał szorstko.

A jednak w tym głosie było jeszcze coś innego, coś, co pastor wyczuwał, znał i rozumiał. Był to rodzaj nadziei.

— Ojcie. Ingrid Swenson.

Do licha, i to właśnie w chwili, gdy wszystko układało się tak świetnie.

— Ingrid.

— Zbliżamy się już do końca. Piętnastego chciałabym osobiście przedstawić ojcu i komitetowi kościelnemu propozycję. Jestem pewna, że termin będzie odpowiedni dla Lord's Chapel.

Nie był szczególnie zachwycony jej wszechmocną pewnością siebie co do stosowności terminu.

— Pozwól, że się z tobą skontaktuję — obiecał.

— Ojcie, mówi Esther.

Nie mógł poznać Esther Bolick.

— To najgorsza rzecz, w jaką się kiedykolwiek wpakowałam...

— Co masz na myśli?

— W całym swoim życiu nie słyszałam takiego narzekania, wrzeszczenia, przygadywania i awanturowania się. Mam dość współpracy z kobietami, a już szczególnie z kobietami z Kościoła!

— Aha.

— Nie wiem, dlaczego powiedziałam, że to zrobię. Wenta dobroczynna! Ze wszystkich rzeczy, których można się podjąć, i to z sześćdziesiątym siódmym krzyżykiem na karku, czy może w to ojciec uwierzyć? — Westchnęła głęboko. — Powinni mnie wysłać do Broughton.

— Nie bądź dla siebie taka surowa!

— Nie muszę, cała zgraja tak zwanych pracowników kościelnych jest zachwycona, że może to robić za mnie!

— Miałybyś ochotę zaglądnąć na filiżankę kawy? Emma jest dzisiaj w pracy. Bardzo chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej.

— Nie mam czasu, żeby przyjść na filiżankę kawy, nie mam czasu, żeby się wysiusiać, za przeproszeniem, a Gene nie jadł ciepłego posiłku nie pamiętam już od kiedy!

Wydawało mu się, że Esther Bolick jest bliska płaczu.

— Więc nawet jeśli nie mogę przyjść na filiżankę kawy, to chciałabym, żeby ojciec zrobił dzisiaj jeden dobry uczynek i pomodlił się za mnie...

— Pomodłę się. I tak modłę się za ciebie.

— Naprawdę?

— Oczywiście. Wenta jest kluczowym wydarzeniem dla Lord's Chapel i podjęłaś się dużego zadania. Ale jesteś obdarzona nieprzeciętnym duchem i potrafisz to zrobić, Esther. Wiem, że łatwo mi się to mówi, ale może mogłabyś przestać obejmować wzrokiem całość, co zawsze jest przytłaczające, i podejść do tego krok po kroku.

— Mnie krok po kroku sprawia trudność. Nieomal codziennie ktoś zostawia coś w naszym garażu i najczęściej są to najgorsze stare ubrania oraz buty tak stęchłe, jakie może sobie ojciec wyobrazić! Mitch Lewis przyjechał ciężarówką pod garaż, wyrzucił wszystko, co miał na pace, i odjechał. Gene zapytał mnie: „Esther, co ta podejrzana sterta robi w naszym garażu?” Nie byliśmy nawet w stanie stwierdzić, co to jest. Potrzebujemy tosterów, oprawionych w ramki reprodukcji, lamp stojących, kwietników i tym podobnych! Ta wyprzedaż ma dobrą renomę, której nie może stracić, ale jak do tej pory, w całym swoim życiu nie widziałam tyle poliestru. Wygląda na to, że nigdy nie pozbędziemy się poliestru, nie chcą go przyjąć nawet na wysypisku!

Żałował, że nie może zaoferować nieco zawartości Fernbank, ale panna Sadie nie chciała, aby jej dobra wystawiane były na widok publiczny. Jednego był pewien — nie przekaże na wentę tych stęchłych półbutów, które stoją upchnięte gdzieś w jego garderobie...

— Wiesz, że dobre rzeczy zawsze się pojawiają — pocieszał ją starając się, by jego głos zabrzmiał optymistycznie. — Wiesz, że to nigdy nie zawodzi.

— Kiedyś musi być ten pierwszy raz! — odparła posępnie.

— Chciałbym cię zapytać — czy modlisz się o to, żeby napływały dobre towary i żeby starczyło ci sił?

— Mam nadzieję, że nie myśli ojciec, iż Bóg chciałby się mieszać do wenty dobroczynnej?

— Mam nadzieję, że nie myślisz, iż tego by nie zrobił! Powiedz mi jeszcze raz, na co zostaną przekazane fundusze z wenty.

— Na misje, jak ojciec doskonale wie, nie wyłączając kilku na naszym własnym podwórku.

— No właśnie! Część pieniędzy sfinansuje lotniczą dostawę środków medycznych do wioski, gdzie ludzie umierają na cholereę. Jak ci się wydaje, czy Bóg chciałby się mieszać do czegoś takiego?

— No cóż...

— Jest też jeszcze ta karetka z napędem na cztery koła, której potrzebują w Landon — mówił dalej.

— Pamiętasz tę burzę śnieżną, którą mieliśmy trzy lata temu?

— To było wtedy, gdy musiałam wezwać karetkę do Gene'a, który nieomal się zabił, odgarniając śnieg! Krzyczałam z radości, gdy zobaczyłam ją na Zakręcie. Gdyby nie ta karetka...

— Tej zimy dwoje dzieci zmarło wskutek poparzeń, ponieważ nikt nie był w stanie dojechać samochodem do tych wąwozów wokół Landon.

— Wydaje mi się, że wiem, do czego ojciec zmierza — przyznała.

— Nie wierzę, że Esther Bolick zawiedzie ani że pozwoli, aby wenta dobroczynna się nie udała.

— Może mogłabym poprosić Hessie Mayhew, żeby mi pomogła, choć należy do prezbiterian!

To była Esther, którą znał.

— Jestem pewien, że to będzie najlepsza wenta, jaka kiedykolwiek się odbyła. Teraz co do twoich wolontariuszy — wydaje mi się, że utyskują i jęczą, ponieważ potrzeba im doskonałego przywódcy, i to

właśnie dlatego wybrali ciebie! Słuchaj — zaproponował — mam pomysł. Może pomodłę się za ciebie? W tej chwili.

— Przez telefon?

— To tak samo dobre miejsce, jak każde inne. Spróbuj wziąć głęboki oddech.

— Ostatnio nie potrafię zrobić niczego innego.

— Rozumiem.

— Naprawdę?

— Tak.

— Nie miałam pojęcia, że mężczyźni miewają problemy z nabraniem oddechu.

— Siedzisz?

— Stoję przy kuchennym telefonie, czyli w miejscu, z którego się nie ruszam, odkąd pozwoliłam się do tego zaprząć.

— Mogłabyś przynieść sobie krzesło?

Usłyszał, jak ciągnie krzesło od kuchennego stołu i siada.

— No dobrze — powiedziała weselszym głosem. — Ale proszę się streszczać.

— Fernbank albo spadaj! — zawołała Cynthia, idąc w górę Old Church Lane i posapując.

— Zajęło nam to tylko jeden rok.

— I wszystko tam czeka, dokładnie tak jak zostawiłeś.

Zrozumiał, dlaczego tak długo to odkładał. Zaglądał do Fernbank kilkakrotnie, żeby sprawdzić przeciekający dach, i zaraz uciekał, jakby go ktoś gonił. Widok tych pustych, cichych pokoi znaczył, że odeszła, całkowicie i nieodwracalnie, i nawet teraz nie mógł tego znieść.

— To musi być trudny okres dla Louelli, rocznica...

— Zobaczę się z nią jutro — obiecał, też posapując. — Zaprośmy ją na obiad.

— Doskonały pomysł. Może w następnym tygodniu? Och, ile bym dała za smak jej kurczaka!

— Będzie nam musiał wystarczyć smak mojej pieczeni pastora...

Znajdowali się już na grzbiecie wzgórza i skręcali na podjazd, nad którym rosła gęstwina zdziczałych winogron. Mimo że Fernbank nie był pielęgnowany już od lat czterdziestych, za życia panny Sadie nadal wyglądał dumnie i imponująco. Teraz...

Kiedy zobaczył dom otoczony zaniedbanym trawnikiem, serce zabiło mu głucho.

— Kupmy go! — zawołał łamiącym się głosem. Dobry Boże! Co też powiedział? Wyglądała na kompletnie zaskoczona.

— Timothy, ty nie potrzebujesz domowej chwili wytchnienia, ty potrzebujesz telefonu 911. Jak w ogóle mogło ci przyjść do głowy coś takiego?

A dlaczego nie mogło mu przyjść do głowy coś takiego? Czy człowiek nie ma już prawa do własnych myśli?

Poczuł się nagle poirytowany i niezadowolony i miał ochotę się odwrócić i pobiec do domu, ale przypomniał sobie, że Andrew Gregory miał się z nimi spotkać na ganku za dziesięć minut.

Andrew stał na środku salonu i spoglądał w górę.

Wszyscy tak robili, pomyślał pastor — gapili się na zacieki, jakby były jakimiś złowieszczymi chmurami nad ich głowami. Dlaczego ludzie nie potrafili dostrzec ząbkowanych sztukaterii, drewnianych profili...

— Piękne profile! — zachwycił się Andrew. — Byłem tu tylko jeden raz, w dniu przyjęcia weselnego. Oczarowała mnie dbałość o najmniejszy szczegół. To zaszczyt móc zobaczyć Fernbank ponownie.

— Chciałbyś go obejrzyć, z góry na dół?

— Z góry na dół! — zgodził się z entuzjazmem Andrew.

Dwie godziny później byli bliscy dopięcia interesu.

— Firma developerska poprosiła niestety o kilka najcenniejszych przedmiotów — zawyrokował Andrew.

Spojrzał do notatek, które robił pośpiesznie podczas zwiedzania domu.

— Niemniej jednak byłbym zainteresowany dwuosobową kanapką z okresu wojny secesyjnej z sypialni panny Sadie, georgiańską komodą z przebieralni, trzema skórzanymi kuframi ze strychu, szezlongiem ze schowka, który — jak mi się wydaje — pochodzi z okresu Ludwika XIV, angielską serwantką i wszystkimi łózkami w domu, które są z wyjątkowej jakości orzecha... następnie, zastanówmy się... sześć obrazów olejnych w ramach, o których mówiliśmy i które wyglądają na francuskie... i sosnowy wiejski stół z tej cudownej kuchni! Musiał zostać zrobiony przez lokalnego rzemieślnika mniej więcej w początkach wieku.

— Coś jeszcze? — zapytał pastor, czując się jak zdrajca, jak złodziej okradający cmentarze.

— Prawdę powiedziawszy, chciałbym komplet z jadalni, ale jest z epoki wiktoriańskiej, a ja nie mam szczęścia do wiktoriańskich antyków. Na półpiętrze są jednak dwa krzesła — nie jestem pewien ich pochodzenia, ale są urocze. Wezmę te krzesła dla równego rachunku... i, o tak, zawartość szuflad z bielizną pościelową i stołową. Mam klienta w Richmond, który ma słabość do takich adamszkowych wyrobów.

— Prawie w ogóle nie używana! — zawołał ojciec Tim, wiedząc, że panna Sadie z pewnością nie wyciągała ich dla niego.

Cynthia buszowała po domu jak wiewiórka na poddaszu, podczas gdy on przechodził przez straszną mękę likwidowania czyjegoś życia, czyjejś historii.

Długi list panny Sadie, który dostarczono mu tuż po jej śmierci, dawał wyraźne instrukcje: „Proszę nie wystawiać niczego na widok publiczny na jakiejś wyprzedaży ani nie pozwalać ludziom szperać w tym, co zostało. Wiem, że ojciec mnie zrozumie”.

Czy Andrew szperał w tym, co zostało? Nie wydawało mu się, do całej tej sprawy podszedł jak prawdziwy dżentelmen. Poza tym należało coś zrobić z zawartością dwudziestu dwóch pokoi i pozostałościami po blisko pełnym stuleciu.

— A co ze srebrnymi platerami? — zachęcał pastor.

Czuł się jak Avis Packard, który po sprzedaniu i zapakowaniu kilkunastu kolb kukurydzy usiłuje się pozbyć brokułów z poprzedniego tygodnia.

— To może chociaż serwisy stołowe? — nie dawał za wygraną.

— Dlaczego nie? — zgodził się Andrew z zawadiacką miną. — Jakie to ma znaczenie, że na wszystkim znajduje się monogram B? Wydaje mi się, że zatrzymam je dla siebie!

Pastor wziął głęboki oddech. Nie było to takie trudne.

— Dywany! Co powiesz na dywany?

Każdy cent, jaki uda mu się zdobyć, pójdzie przecież do kasy Domu Nadziei...

Andrew uśmiechnął się miękko.

— Nie wydaje mi się, żeby dywany były najlepszą inwestycją taty panny Sadie.

Zrobił jeszcze kilka zapisków i zaproponował cenę, która nieomal powaliła pastora na kolana.

— Umowa stoi! — wykrzyknął.

Czując ogromną ulgę, nadzwyczaj energicznie uścisnął dłoń Andrew.

— W czasie gdy ty i Andrew polowaliście jak grube ryby, przyglądając się wielkim rzeczom, ja buszowałam w drobiazgach. Zobacz, co znalazłam!

Twarcz jego żony wyraźnie promieniała.

— Sztalugi! Ręcznie rzeźbione! Czyż nie są cudowne? A spójrz na to — starodawne drewniane pudło akwareli, całe dwa przedziały pełne! Farby oczywiście wyschły i popękały, ale wrócą do życia w jednej sekundzie pod wpływem — zgadnij czego? — wody!

Nawet Boże Narodzenie nie sprawiło jej takiej radości.

— I spójrz! Pudełko haftowanych na kanwie poduszek na krzesła — w róże, hortensje i bratki — w moich ulubionych kolorach! Idealne do naszej jadalni! Ach, Timothy, jak mogliśmy zaniedbywać taką wyspę skarbów przez cały rok? To tak, jakbyśmy się trzymali z daleka od kopalni złota, zadowoleni z wydobywania rudy!

Pokazała mu poduszkę na krzesło, żeby mógł zobaczyć, jaka jest piękna.

— Teraz ty musisz znaleźć coś dla siebie, tak jak prosiła panna Sadie. Powiedziała: „Zabierzcie wszystko, co się wam podoba”, to były jej własne słowa.

Stał znieruchomiał, czując się nagle tak, jakby za chwilę miał wybuchnąć łzami.

Cynthia odłożyła cicho poduszkę na krzesło, podeszła i przytuliła go.

Znalazł go na mrocznym strychu.

Mimo że pudełko nie wyglądało ani trochę wyjątkowo, czuł, jak coś go do niego przyciąga. Uklęknął, aby zdjąć pokrywę i odpakować ciężki przedmiot, który się w nim znajdował.

Figura była ciężka jak kamień, ale sama sylwetka miała pewną lekkość. Całość wspierała się na znacznym kawałku marmuru.

Gdy znalazł się w domu, postawił anioła z brązu na półce nad kominkiem w salonie i stał, przyglądając mu się.

To mu wystarczy. Nie chce niczego więcej.

— Mule! Potrzebny jest mały dom do wynajęcia. Jakie masz obecnie oferty, może dwie sypialnie, coś jasnego i słonecznego, coś przestronnego i otwartego — i, ach, tak, niedrogiego w utrzymaniu, w ładnej części Mitford, może z kominkiem i pralką, nie za dużo pieniędzy, i...

— Poczekaj! — zawołał Mule. — Żartujesz sobie? Mówisz jak szaleniec. Zastanów się nad tym. Gdybym miał coś takiego, czy byłoby to nadal osiągalne?

Zastanowił się.

— Przypuszczam, że nie — zgodził się.

Entuzjazm Cynthii był coraz większy.

— Zaprośmy Pauline i Poo!

Siedzieli w kuchni, planując przyjęcie z kolacją podczas gdy ich własna kolacja piekła się w piekarniku.

— Wspaniały pomysł. Louella, Pauline, Dooley, Poo, Harley, ty i ja. Pieczeń pastora dla siedmiu!

— Lepiej przygotujmy się na dziesięć. Dooley ma apetyt drużyny piłkarskiej.

— Zgadza się! Wobec tego dla dziesięciu.

— Zrobię lemoniadę, herbatę i upiekę ciasto z owocami.

— Umowa stoi.

— Tymczasem, najdroższy, zaplanowałam naszą chwilę wytchnienia.

— Naprawdę?

— Naprawdę. W następnym tygodniu zabieram cię na dwa dni.

— Ale, Cynthia, nie mogę wyjechać na dwa dni, mam tyle rzeczy do zrobienia.

— Kochanie, właśnie dlatego cię zabieram!

— Czeka mnie ważne spotkanie rady parafialnej i...

— Co tam spotkanie rady parafialnej. Od kiedy to pastor musi uczestniczyć w każdym spotkaniu rady parafialnej, jakby to był sobór nicejski?

— Cynthia, Cynthia...

— Timothy, Timothy. Pozwól, że przypomnę ci, czym się ostatnio zajmowałeś — trzy chrzty, zmarły w szpitalu, pracujesz nad tym projektem z biskupem, który sprawia, że wisicie na telefonie jak dwie nastolatki, odprawiasz dwa nabożeństwa w każdą niedzielę, Eucharystię w każdą środę, nie wspominając o cotygodniowych rozważaniach Pisma Świętego. Plus...



— Nie ma takiej możliwości...

— Plus twoje wizyty w szpitalu każdego ranka i doprowadzenie do finału tego dużego przedsięwzięcia dla pani burmistrz, zbieranie funduszy na rzecz Szpitala Dziecięcego, rozebranie szopy Betty — nie wspominając o tym, że w dniu swoich urodzin przygotowałeś dla mnie ten cudowny wieczór.

Wzięła głęboki oddech.

— Plus... Nie znowu.

— Ale widzisz...

— Plus nadal uważasz, że nie zrobiłeś jeszcze dość. Ile to jest dość? Nigdy nie był w stanie tego stwierdzić.

— Cóż, najdroższy, widzę, że nie masz zamiaru posłuchać zdrowego rozsądku, więc... będę zmuszona zrobić to, co kobiety były zmuszone robić od tysiącleci.

Obeszła zdecydowanym krokiem stół kuchenny i usiadła mężowi na kolanach. Następnie zmierzwiła mu resztkę włosów i pocałowała w czubek głowy. A potem pocałowała go przeciągle w usta, odpięła mu koloratkę i szepnęła coś do ucha.

Zarumienił się.

— No dobrze — skapitulował. — Pojadę.

Kiedy Cynthia zgarniała resztki jedzenia i układała naczynia, siedział w kuchni, czekając na swoją kolejkę, aby pozmywać, i czytał „Muse”.

Violet przysiadła pod gloksynią, mrużąc; Barnaba leżał pod stołem, chrapiąc.

„Czterech skazanych w wyniku rozpicia gangu narkotykowego w Wesley”.

Zaniósł się śmiechem. To świetnie nadawało się dla jego kuzyna Waltera! Wstał, wyjął nożyczki z kuchennej szuflady i wyciął artykuł. Walterowi nic nie sprawiało takiej przyjemności jak kilka co przedniejszych nagłówek z druku J.C. Hogana.

— Kto odkrył Amerykę? — Usłyszał dobiegający z dołu schodów, przez otwarte drzwi sutereny, głos Lace Turner.

— Krzysztof Kolumb! — odpowiedział Harley.

— Na pamiątkę kogo została nazwana Ameryka?

— Ameriga Vespucciego! Wydaje mi się, że powinna zostać nazwana na pamiątkę pana Kolumba, nie uważasz? Ale widzisz, tak to już jest na tym świecie: odkryjesz coś, a nikt nawet ci za to nie podziękuje.

Cynthia szepnęła:

— Przychodzi i uczy go już od kilku dni, byłeś zbyt zajęty, żeby to zauważyć.

— Kto był królem Anglii w czasie, gdy Karolina Północna została kolonią brytyjską? — Głos Lace Turner zabrzmiał dobitnie.

— Jerzy II.

— Kiedy była wojna francusko-angielska\*?

— Na Boga, Lace, w całym moim życiu nigdy mi się nie zdarzyło, żeby ktoś do mnie podszedł i zapytał: „Harley, kiedy była wojna francusko-angielska?”

— Harley...

— To mi się na nic nie przyda, mówiłem ci przecież, kto odkrył Amerykę.

— Kto pobił George'a Washingtona pod Great Meadows?

— Przeklęci Francuzi.

— Który stan pierwszy domagał się niepodległości od Wielkiej Brytanii?

\* Wojna francusko-angielska — French and Indian War (1754-1760), wojna w Ameryce, w czasie której Francja i jej indiańscy sojusznicy walczyli z Anglią, zakończona podpisaniem traktatu pokojowego w 1763 roku.

— Karolina Północna! — Głos Harleya zabrzmiał dumnie.

— Widzisz, uczysz się bardzo szybko. Tylko udajesz, że nie.

— Ale nie uczysz mnie niczego, co warto wiedzieć. Jeśli już musimy się tak męczyć, to może przeczytałabyś mi jedną z zagadek z twojej książki z liczbami?

— Dobrze, ale słuchaj uważnie, Harley, to jest naprawdę trudne. Pożyczasz pięćset dolarów na rok. Oprocentowanie wynosi dwadzieścia procent w stosunku rocznym. Ile będziesz musiał zapłacić na koniec roku?

W suterенach zapadła długa chwila ciszy.

Pastor otoczył ramieniem żonę, która przyszła, żeby usiąść obok niego na ostatnim stopniu schodów do sutereny. Spojrzeli na siebie bez słowa.

— Sześćset dolarów! — wykrzyknął Harley.

— Naprawdę dobrze!

— Zrobiłem to w głowie.

— No dobrze, w takim razie następne...

— Już więcej nie robię. Wracaj do domu i sama łam sobie nad tym głowę.

Nie ustępowała.

— Przepis mówi, że kilogram do półtora kilograma kurczaka starcza dla czterech osób. Karen kupiła cztery kilogramy trzydzieści. Czy to wystarczy dla dwunastu osób?

— Mówiłem ci, że nie zamierzam tego robić — bronił się Harley. — Niech Karen sama sobie pomyśli!

Pastor spojrział na Cynthię, która wstała i uciekła ze schodów, trzęsąc się ze śmiechu.

Sam poszedł do salonu, wyjął pióro i kartkę papieru z szuflady biurka. Zastanówmy się, pomyślał, jeśli przepis mówi o kilogramie do półtora kilograma kurczaka dla czterech osób...

## Rozdział dziesiąty

## CI, KTÓRZY MOGĄ

Przebierał koszulę na spotkanie o siódmej wieczorem, gdy usłyszał, jak ciężarówka Harleya wjeżdża na podjazd. Nieomal w tym samym momencie usłyszał, jak ciężarówka Harleya rusza z podjazdu.

Harley musiał czegoś zapomnieć, pomyślał, zapinając mankiet.

Gdy po raz kolejny usłyszał, jak ciężarówka wtacza się na podjazd, wyrzwał przez okno w łazience i zobaczył, że znowu wycofuje się na ulicę. Z tego miejsca widział również przednią szybę.

Wyraźnie to nie Harley prowadził ciężarówkę Harleya.

To Dooley.

Stał w oknie łazienki, zapinając drugi mankiet i obserwując. Tam i z powrotem, tam i z powrotem.

Nie ma pięciu wolnych minut, żeby się tym zająć; już teraz zaczyna się robić późno, ponieważ to on jest prelegentem. Będzie musiał porozmawiać o tym z Dooleyem i Harleyem.

Do licha, pomyślał. Ma zwariowanego na punkcie samochodów chłopca na drugim końcu korytarza i wyścigowego mechanika w suterenach. Czy to dobra kombinacją? Raczej nie...

Emma spojrzała znad komputera, na którym sporządzała kopię nowego biuletynu.

— Wiem, że jestem baptystką i że to nie moja sprawa... O tak, i tu masz rację, pomyślał.

— ...ale wydaje mi się, że ludzie, którzy nie mogą stać, nie powinni być do tego zmuszani.

— O co ci chodzi?

— Chodzi mi o tych ludzi, którzy przychodzą latem i którzy nie odróżniliby mszy w kościele episkopalnym od mszy w każdym innym kościele, i którzy są przekonani, że muszą robić wszystko, co mówi im kościelny biuletyn. Niektórzy z nich są naprawdę starzy, a co mówi biuletyn? Wstań, uklęknij, usiądź, pochyl głowę, wstań, uklęknij i tak dalej! To jak poranna gimnastyka.

— Masz rację.

— Więc dlaczego nie mielibyśmy zrobić tego, co zrobili w tym kościele prezbiteriańskim, o którym słyszałam?

— A co takiego zrobili?

Zauważył, że mówi przez zaciśnięte zęby.

— Dodali na dole biuletynu linijkę, która mówi: „Ci, którzy mogą, proszę wstać”.

Kto potrzebuje pomocy asystenta czy diakona, skoro ma Emmę Newland, która potrafi znaleźć rozwiązanie dla wszystkich trudnych kwestii, jakie stoją przed współczesnym kościołem?

Gdy wychodził z kancelarii do Mitford Blossoms, Andrew Gregory zawołał go do swojego sklepu po przeciwnej stronie ulicy.

— Czasami mijają trzy miesiące i się nie widzimy — zauważył szarmancki Andrew — a teraz dwa razy z rzędu!

— Taki układ bardziej mi odpowiada.

— Zanim wyruszę do Włoch, mam coś na waszą wentę dobroczynną. Wracam już za miesiąc, ale usiłując zrobić miejsce na przedmioty z Fernbank, zauważyłem, że muszę pozbyć się kilku rzeczy. Czy nie przeszkadzałyby ojcu, gdybym dar od siebie przekazał trochę wcześniej?

— Czy nie przeszkadzałyby mi? Oczywiście, że nie. Raczej byłbym zachwycony.

Już widział twarz Esther Bolick, gdy usłyszy, że dostanie antyki od Andrew Gregory'ego.

To dopiero odpowiedź na modlitwę.

Wspiął się na wzgórze lekko zdyszany, trzymając w ręce purpurową gloksynię, i stał przez chwilę, wpatrując się w imponujący budynek, który nazwali Domem Nadziei.

Gdyby nie hojność Sadie Baxter, byłoby to zaledwie opuszczone miejsce, gdzie kiedyś stała pierwsza Lord's Chapel, która dawno temu doszczętnie spłonęła. Teraz, gdy odeszła panna Sadie, on jest jedyną osobą która wie, co się stało w nocy, gdy wybuchł ten straszny pożar.

No cóż. Mógł rozmyślać ponuro nad pożarem albo mógł spojrzeć na to, co powstało z jego popiołów. Czyż to nie stanowiło w istocie sensu życia — dokonywanie codziennych wyborów pomiędzy ogniem a feniksem?

Louella siedziała przy swoim słonecznym oknie, którego szeroki parapet wypełniony był gloksyniami, begoniami, filodendronem, bluszczem i jeszcze kilkunastoma innymi kwiatami, nie wyłączając oszołomionego amarylisu ze świąt Bożego Narodzenia.

Ubrana jak spod igły, rozłożyła swoje brązowe ramiona na jego powitanie.

— Ojej, słonko! Wygląda ojciec w tej błękitnej marynarce jak ktoś z telewizji.

Chętnie zanurzył się w jej ciepłym uścisku i odwzajemnił go własnym.

— Czy masz miejsce na jeszcze jedną gloksynię?

— To razem trzy gloksynię od ojca!

Zawsze właśnie to zanosił w prezencie, nic nie mógł na to poradzić.

— Ale jeszcze nigdy nie dostałam purpurowej, czyż nie jest piękna! Jesteś dobry jak złoto i to święta prawda!

Postawił ją na parapecie i opadł na podnózek przy jej fotelu. — Jak się masz? Czy nadal dobrze cię traktują?

— Czy mnie dobrze traktują? O mało nie zameczą mnie tym swoim dobrym traktowaniem. Proszę się poczęstować cukierkiem, proszę wziąć sobie trochę lodów do szarlotki, proszę pozwolić podwinąć prześcieradło, proszę nałożyć te skarpetki, żeby stopy się ogrzały...

Potrząsnęła głową i roześmiała się tym głębokim ciepłym głosem, który znaczył tak wiele dla śpiewu w Lord's Chapel.

— Przepadłaś w takim razie z kretesem — zawołał, uśmiechając się.

— Przepadłam, słonko, bez dwu zdań. Ten mały kapelan również. Jest na co popatrzeć, gdy tak biega z tymi psami dookoła.

— Czy nadal co tydzień dostajesz Taco?

— Taco dostał świerzbę na biodrze i próbują coś z tym zrobić.

— Mogłabyś wziąć kota albo coś innego, dopóki nie wyleczą Taco.

— Kota? Nikt nigdy nie widział, żeby Louella zadawała się z kotem.

— Pracujesz w nowym ogrodzie?

— Nikt nigdy nie widział mnie również z motyką. Nie, proszę ojca, ja już zrobiłam co do mnie należy, teraz siedzę sobie tutaj, oglądam telewizję i zachowuję się jak ktoś.

— Cóż, mam pytanie... — zaczął.

Louella, której włosy koloru pieprzu i soli zrobiły się śnieżnobiałe w ciągu ostatniego roku, spojrzała na niego uważnie.

— Czy przyjdiesz do nas na obiad w następny czwartek? Powiedz tak!

— Mówi ojciec o obiedzie czy kolacji?

— O obiedzie! — odparł. — Wieczorem.

Pamiętał, że Louella nazywa lunch „obiadem”, a posiłek wieczorny „kolacją”.

— Nie jestem pewna, czy powinnam wychodzić w nocy — odparła zakłopotana. — I to z moim drugim kolaniem, które wymaga operacji.

— Dobrze się tobą zaopiekujemy — zapewniał ją, pragnąc, aby przyjęła zaproszenie.

— Sama nie wiem, słonko... — Proszę — nie ustępował.

— Niech *Zadziwiająca laska* będzie jedną z pieśni na nabożeństwie w najbliższą niedzielę i ja ją zaśpiewam — powiedziała w końcu, uśmiechając się. — Nie śpiewaliśmy jej już od niepamiętnych czasów, a przecież napisał ją kaznodzieja z Kościoła episkopalnego!

— Załatwione! — przystał ochoczo, czując ulgę i radość.

W towarzystwie panny Sadie i Louelli zawsze czuł się jak dziesięcioletek.

Wszedł po schodach na drugie piętro, żeby zobaczyć się z Lidą Willis.

Nie musiał jej mówić, dlaczego przyszedł.

Lida zastukała długopisem w biurko, nadal spoglądając surowo.

— Radzi sobie dobrze. Bardzo dobrze. Trudno byłoby o kogoś lepszego.

— Miło mi to słyszeć — odparł z przekonaniem.

Znalazł Pauline w jadalni, rozstawiającą na stołach naczynia, na które panna Sadie kazała nanieść monogram DN. Zagorzały skąpiec tam, gdzie chodziło o jej własne potrzeby, nie szczydziła żadnych wydatków na Dom Nadziei.

— Pauline, wyglądasz... cudownie — przywitał ją. — To nowy fartuch.

— Wydaje mi się, że to nowa Pauline.

Roześmiała się. Wydawało mu się, że nigdy wcześniej nie słyszał, żeby się śmiała.

— Mam propozycję. Uśmiechnęła się do niego, słuchając.

— Czy przyjdiesz do nas na kolację w najbliższy czwartek wieczorem i przyprowadzisz ze sobą Poo? Dooley będzie z nami i Harley, i Louella.

Widział, że zaproszenie sprawiło jej przyjemność, ale dostrzegł też wahanie przed przyjęciem go.

— Zgódź się, proszę — nalegał. — To tylko rodzina, nic zobowiązującego, i wszyscy będziemy w swobodnych strojach.

— Tak, wobec tego. Tak! Dziękuję...

— Wspaniale! — zawołał. — Cudownie!

Słyszał, jak ludzie czasami zadają takie pytanie: „Gdybyś mógł zaprosić na kolację dowolną osobę, żyjącą lub nie, kogo byś wybrał?” Zazwyczaj natychmiast padało nazwisko Szekspira; słyszał też, jak ludzie wymieniali Matkę Teresę, Papieża, świętego Augustyna, Thomasa Jeffersona, Pavarottiego, Bacha, Charlesa Schultza...

Za nic w świecie nie przychodził mu do głowy nikt, kogo chciałby zaprosić na kolację bardziej niż tych, którzy już przyjęli jego zaproszenie.

Scotta Murphy'ego znalazł w schronisku dla psów.

— To Harry — powiedział Scott, wskazując na smutnego psa rasy beagle. — Jest nowy.

— Przypomina mi mojego starego biskupa.

— Tam jest Taco.

— Jak jego świerzb?

— Wie ojciec wszystko!

— Chciałbym.

— Zastanawiałem się... — zaczął kapelan. — Chciałbym zabrać gdzieś stąd moją zgraję, zabrać ich na... nie wiem, mecz baseballu, softballu, coś na świeżym powietrzu, gdzie będą mogli się wykrzyczeć i wyszaleć...

— Spróbować hot dogów!

— Zgadza się!

— Wspaniały pomysł. Nie wiem, kto grywa obecnie w okolicy...

— Może moglibyśmy razem zorganizować własny mecz? Gdzieś w sierpniu?

— Ależ oczywiście! Zanim Dooley wróci do szkoły.

— Zacznę rozglądać się za graczami.

— Ja też — zgodził się pastor. Mecz softballu.

Miał ochotę wyrzucić kapelusz w powietrze. Gdyby miał kapelusz.

— Strzał w dziesiątkę! — oświadczyła Emma, wręczając mu wydruk z komputera z nazwiskami i adresami.

Rada parafialna powiedziała dokładnie to, czego się spodziewał, i to niemal jednym głosem:

— Działajmy!

Tak, chcieli, żeby Ingrid Swenson i jej ludzie przyjechali piętnastego. Te słowa nie padły, ale przesłanie było jasne — pozbądźmy się tego strupa, zanim zawali się dach i będziemy musieli brać pożyczkę z banku, żeby zapłacić za naprawę.

Poprosił Rona Malcolma, aby zadzwonił do niej natychmiast po spotkaniu.

Zgodnie z tym, co mówił wydruk, w stanie Floryda mieszka kilka osób o nazwisku R. Davis, ale Lakeland jest jedynym miasteczkiem czy miastem z Rhody Davis. „Zaczyna się na L” — mówił Russell Jacks, usiłując sobie przypomnieć, gdzie na Florydzie może przebywać Rhody.

Był rozczarowany, ale niezbyt zdziwiony, że Rhody Davis ma zastrzeżony numer telefonu. Zadzwonił do Stuarta Cullena.

— Kogo znasz w Lakeland na Florydzie? Najlepiej z duchownych.

— Pozwól, że oddzwonię.

Przed południem rozmawiał z pastorem kościoła w ubogiej części śródmieścia Lakeland. Była to dziwna prośba, zgadza się, ale pastor obiecał, że znajdzie kogoś, kto to zrobi.

Następnego dnia rano otrzymał raport.

— Nasz młodszy kościelny przejechał tamtędy o dziewiątej rano i przed domem stał zaparkowany samochód. To samo o trzeciej po południu i znowu o ósmej wieczorem. Wieczorem w środku świeciło się światło, ale nie było widać żadnych innych oznak życia. Może to będzie pomocne — na podwórku stał rowerek na trzech kółkach. Użyłem wszelkich wpływów, jakie gwarantowała moja koloratka, ale nie udało mi się zdobyć numeru telefonu.

— Czy bywa pastor czasami w naszych górach? — zapytał ojciec Tim,

— Nie, ale chcieliśmy się tam wybrać z żoną. Kilku moich parafian jeździ tam regularnie.

— Mamy pokój gościnny. Zapraszamy, jeśli zdecyduje się pastor przyjechać w te strony.

Było to bardzo ryzykowne, ale wiedział, co należy zrobić.

— Nie chciałbym ojca martwić, to ostatnie, czego bym chciał, ale chłopiec męczył mnie tym do znudzenia i zrobiłem tak, jakby ojciec sobie tego życzył, i powiedziałem mu, że nie, a potem — do licha — zostawiłem kluczyki w stacyjce, a ponieważ on jedynie wycofywał i wjeżdżał z powrotem, mam nadzieję, że nie złoży mu ojciec za to skóry, tak właśnie zachowują się chłopcy w jego wieku, to naturalne...

Harley wyglądał na zrozpaczonego, a pastor poczuł się jak ostatnia szuja.

— Może powinien mi ojciec pozwolić zabrać go gdzieś za miasto i dać mu usiąść za kierownicą. Za dwa lata i tak będzie jeździł samochodem z góry na dół, to byłby dobry trening. Nie spuszczałbym z niego oka, wielebny, nie znajdzie ojciec lepszego nauczyciela niż ten stary przewoźnik alkoholu.

— Nie jestem pewien, Harley. Pozwól, że się zastanowię.

— W czym rzecz? — żalił się do żony, wzdychając.

— To hormony! — wykrzyknęła.

Doszedł do wniosku, że Mitford staje się prawdziwą eksplozją słów i sloganów reklamowych, gdziekolwiek spojrzeć.

Obecna pani burmistrz i jej przeciwnik z pewnością znacznie przyczynili się do zaśmiecenia reklamami frontowych trawników i słupów telefonicznych, podczas gdy Kobiety Kościoła Episkopalnego

umieściły odręcznie napisane tabliczki na kościelnym dziedzińcu oraz plakaty na każdej sklepowej wystawie.

Nawet Library Ladies uznały za stosowne dołożyć swoje trzy grosze.

*14 Doroczna wyprzedaż biblioteczna*

*10<sup>00</sup>-16<sup>00</sup> - 4, 28 lipca Już dzisiaj kup bilet!*

*Nie potrzebujesz już tego? My tak! 34 doroczna wenta dobroczynna*

*MACK STROUPE Mack dla Mitford, fotel burmistrza dla Macka*

*Esther Cunningham:*

*Dobry wybór dla Mitford, dobry wybór na burmistrza*

*Cunningham dba. Wybierz Esther Cunningham na burmistrza*

**TWOJE PRZEKLEŃSTWO JEST NASZYM BŁOGOSŁAWIENSTWEM**

Lord's Chapel, 4 października

*Mack Stroupe:* Sprawię, że to, co dobre, będzie jeszcze lepsze

Miał wrażenie, że widoku twarzy Macka Stroupe'a starczy mu na całe życie, ponieważ naklejona była nieomal wszędzie, gdzie spojrzął. Co gorsza, toczył wewnętrzną walkę z samym sobą reagując na widok twarzy Macka pośród swojej kongregacji w każdą niedzielę rano.

Gdy zaglądnął do jej biura o siódmej, pani burmistrz spożywała właśnie swoją zwyczajową bułkę z parówką. To nie był przyjemny widok.

Maksimum trzy kęsy i po parówce nie było już ani śladu. Ale kim był, żeby prawić kazania albo pouczać? Czyż nie spałaszował kawałka sernika wczoraj wieczorem, oglądając się przez ramię jak pospolity złodziejasek, żeby nie przyłapała go na gorącym uczynku żona?

No cóż, umrzyjmy młodo i wyglądamy dobrze w trumnie, zwykł mawiać jego przyjaciel, Tommy Noles.

— Jeśli Mack Stroupe finansuje swoją kampanię z nielegalnego źródła — zaczął — czy nie ma jakiegoś sposobu...

— Jak to — jeśli? On finansuje swoją kampanię z nielegalnego źródła. Sprawdziłam, ile kosztowałoby ustawienie tych billboardów, i — tylko mnie posłuchaj — cztery tysiące dolców. Zadzwo- niłam do tej firmy z Wesley, która zajmuje się organizacją przyjęć z grillem i która pomaga mu w popelnianiu tych grzeszków w każdą sobotę po południu — sześćset zielonych, żeby tu przyjechali, rozłożyli się i smażyli od jedenastej do trzeciej. Dorzuc do tego nową ciężarówkę za dwadzieścia pięć tysięcy, zważywszy na to, że ma odtwarzacz płyt kompaktowych i skórzane siedzenia, i jak ci się wydaje, co tu jest grane?

— Czy on nie musi wypełnić zeznania, w którym poda, skąd pochodzą dotacje na jego kampanię? Ktoś mówił, że nawet media mogą zażądać przedstawienia takiego rozliczenia.

Zmiała opakowanie po bułce z parówką i cisnęła nim do kosza.



— Wiesz, co zawsze powtarzam Rayowi? Księża to najbardziej niewinne istoty, jakie znam! Czy myślisz, że ta nędzna szumowina przyzna się do nielegalnego finansowania swojej kampanii?

— Może naprawdę otrzymuje wystarczająco dużo legalnych dotacji na kilkutyśne kwoty, żeby to razem jakoś powiązać. Nie zaszkodziłoby zapytać.

Podrapała płamę na szyi i pochyliła się w jego stronę.

— Kto zapyta?

— Ja nie — odmówił zdecydowanie.

Drzwi z siatką do baru Grill zatrzęsły się za nim.

— Co słyhać? — zapytał pastor Percy'ego.

— Jeszcze mi tylko tego potrzeba do szczęścia, żeby wiadomość o tym rozeszła się po mieście.

— W czym problem?

— Velma.

— Aha.

— Chce mnie wyciągnąć na kolejny rejs. Mówię, że już byliśmy na rejsie i jeśli widziało się jeden, widziało się wszystkie napić się czegoś z małą parasolką, odtańczyć taniec hula-hula, zrobić z siebie wariata i wrócić do domu. Nie zamierzam robić tego po raz drugi. Ale powtarza mi to tyle razy, że chyba płuca sobie wypluję.

— Że chyba ona sobie płuca wypluje.

— Wszystko jedno.

Velma, która wszystko słyszała, podeszła do nich wyraźnie zdeglustowana.

— Mam nadzieję, że powiedziałeś ojcu, że za rejs, na który mnie zabrałeś, zapłaciły nasze dzieci, i mam nadzieję, że wspomniałeś, iż były to jedyne wakacje, na których byłam, odkąd wyszłam za ciebie za mąż czterdzieści trzy lata temu, z wyjątkiem tej przejażdżki samochodem do Wilkes County, podczas której cały czas wymiotowałam, ponieważ byłam w ciąży. — Velma wzięła głęboki oddech i przypuściła kolejny atak. — A czy mówiłeś ojcu o tych żylakach, których dostałam od chodzenia po barze, odkąd Teddy Roosevelt został prezydentem? Weź na ten przykład ojca. Jestem pewna, że zabrał swoją żonę na kilka ładnych wycieczek, odkąd się pobrali.

Velma cisnęła swój notes z zamówieniami na ladę i oddaliła się dumnym krokiem do toalety, trzaskając za sobą drzwiami. Percy wyglądał na cierpiącego. Pastor wyglądał na cierpiącego. Gdyby Velma tylko wiedziała.

Będzie zawiedziona, myślał, a może nawet zła — i będzie miała zupełną rację. Bardzo się przecież starała, żeby zaplanować coś wyjątkowego.

— Posłuchaj mnie, proszę — zaczął. — Nie mogę się wybrać na naszą chwilę wytchnienia.

Patrzyła na niego spokojnie, rozumiejąc, że mówi absolutną prawdę.

— Muszę jechać znaleźć Jessie Barlowe.

— Pojadę z tobą — powiedziała.

Cynthia leżała w łóżku, oparta na poduszkach, i czytała książkę. Usiadł ciężko obok niej.

— To na Florydzie, daleko stąd, i nie wiem, co nas tam czeka. Musi też ze mną pojechać Pauline. Ponieważ ona jest matką i nie zostały podpisane żadne oficjalne dokumenty stwierdzające, że Jessie ma mieszkać z Rhody Davis, Pauline ma prawo do opieki. Może zabrać Jessie zgodnie z prawem.

— Czy będzie ci potrzebna... policja, żeby wejść z tobą do domu? Pracownik opieki społecznej?

— Nie jest to konieczne. Tylko gdyby sytuacja wyglądała naprawdę źle.

— Czy wygląda źle?

— Nie wiem. Nie mam skąd się dowiedzieć.

— Czy nie sądzisz, że powinienes przeprowadzić dodatkowe śledztwo, to znaczy...

— Czuję, że powinniśmy działać teraz.

— Czy wrócimy na naszą kolację w następny czwartek?

— Tak — odparł.

Oparła się o niego i siedzieli razem, milcząc przez dłuższą chwilę.

— Musimy odmówić tę modlitwę, która nigdy nie zawodzi.

— Tak — powtórzył.

Przedstawił prośbę Pauline Lidzie Willis, która dała swojemu kierownikowi jadalni dwa dni wolnego.

— Odpracuje ten czas w Święto Dziękczynienia — stwierdziła Lida.

Wtedy właśnie rodziny pensjonariuszy Domu Nadziei zjadą się tłumnie do Mitford, wykorzystując wszystkie rezerwy jadalni.

Nie wtajemniczał Dooleya w szczegóły tego, co zamierzał, i nic nie powiedział Emmie. Nie chciał, aby ktokolwiek robił sobie nadzieję. Oficjalna wersja brzmiała, że zabiera swoją żonę na małą wycieczkę, a Pauline jedzie z nimi do Karoliny Południowej, żeby odwiedzić cioteczną babkę. Żałował, że w ogóle padło słowo Floryda.

— Floryda w lipcu? — dopytywała się jego sekretarka ze zdumieniem.

— Boże, a cała ta sól, którą tam mają! — pomstował Harley. —

Wyżre ojcu dziury w błotnikach. Wezmę tylko swoje rzeczy i porządnie nawoskuje te błotniki.

— Nie musisz tego robić, Harley. Poza tym, wyjeżdżamy wcześniej rano.

— Już się do tego zabieram, wielebny, proszę się o nic nie martwić. I dobrze też go posprzątam.

Wszystko działo się tak szybko, że aż kręciło mu się w głowie.

— Opiekuj się Dooleyem — poprosił swojego osobistego mechanika, gdy pakowali samochód — i schowaj swoje kluczyki do ciężarówki. Dooley będzie wychodził na spacer i karmił Barnabę, Puny przyjdzie jutro, poczęstuj się sałatką z makaronem, która jest w lodówce, samochód wygląda świetnie, stokrotne dzięki, coś ci przywieziemy.

Harley uśmiechnął się.

— Coś z Myszką Miki, wielebny! Byłbym bardzo wdzięczny.

Gorąco. Nie pamiętał już, kiedy było mu tak gorąco, na pewno nie od czasów jego parafii nad morzem.

I kolory w tej części świata — takie żywe, takie jasne, takie... inne. W górach, tam gdzie były jego wysokie, zielone wzgórza, czuł się otulony, bezpieczny — jakby otoczony czułą opieką.

Tutaj była jedynie otwarta przestrzeń i niebieskie niebo, i płaski teren, i palmy. Nigdy nie przestało go zadziwiać drzewo palmowe, które stanowiło trzon biblijnego krajobrazu. Jak to możliwe, żeby jeden i ten sam On, który zaprojektował potężny dąb i wątłą mimozę, wpadł na tak absolutnie fantastyczny pomysł drzewa palmowego? Zadziwiające!

Zachichotał.

— Z czego się śmiejesz, najdroższy?

— Śmieję się z palm.

Znowu ujrzał te zmarszczone brwi i zatroskane spojrzenie. Niedługo naprawdę będzie musiał udać się ze swoją żoną na chwilę wytchnienia i udawać zrelaksowanego, żeby przestała na niego patrzeć w ten sposób.

— Pędzisz jak odrzutowiec — obwieściła Cynthia, wyciągając szyję, żeby zobaczyć prędkościomierz.

Dobry Boże! Dziewięćdziesiąt! Przyjadą do Lakeland w połowie przewidzianego czasu.

Czuł, jak ogarnia go zmęczenie wywołane pokonaniem drogi, która w jedną stronę wynosiła ponad tysiąc kilometrów. Przemknęli właśnie obok Daytony i zjechali pętlą, kierując się na Orlando.

Silnik mógł chodzić jak brzytwa, a warstwa wosku błyszczeć, jakby jego samochód wyjechał prosto z salonu, ale klimatyzacja działała jedynie odrobinę lepiej niż kościelny wiatraczek na spotkaniu pod namiotem. Nie zauważył tego w domu, gdzie mieszkali na wysokości dumnych tysiąca pięciuset metrów nad poziomem morza, ale tutaj, gdzie słońce paliło bezlitośnie, wszyscy niestety odczuwali nieskuteczne wysiłki klimatyzacji.

Spojrzał we wsteczne lusterko, sprawdzając, jak się ma Pauline. Jechała przez wiele godzin, wyglądając przez okno.

Pozwoli Cynthii prowadzić, gdy dojadą do miejsca postoju w Providence, a kiedy dotrą do Lakeland, znajdą motel i odpoczną, zanim zaczną szukać Rhody Davis na Palm Court Way. Aby dowieźć Pauline z powrotem na czas do Lidy Willis, będą mieli zaledwie kilka krótkich godzin na znalezienie Jessie, zanim wyruszą w kolejną dziesięciogodzinną drogę powrotną do Mitford.

Być może był nierozsądny, kładąc tak wiele na szali tej jednej wyczerpującej podróży.

Ale jeśli nie teraz, to kiedy?

Zaparkował samochód pod drzewem przy chodniku, gdzie we wczesnym cieniu poranka utrzymywały się jeszcze ulotne resztki chłodniejszej temperatury, którą przyniosła ze sobą noc.

— Ten samochód na podjeździe należy do Rhody — zauważyła Pauline.

— Siedźcie tutaj — polecił — a ja sprawdzę, co słyhać. Zostawię włączony silnik, żeby było wam chłodno.

— Chłodno! — zawołała jego żona. — Ha, ha! Czy mogę pójść z tobą, Timothy?

— Nie — odparł.

Nałożył koloratkę, ale dopiero po namyśle. Zawsze nosił koloratkę, rozumował — więc dlaczego miałby jej nie nałożyć? Szybko ocenił sytuację.

Małe podwórko było prawie zupełnie pozbawione trawy. Plastikowe torby po zakupach tkwiły w liściach juki, która rosła po obydwu stronach nie osłoniętego niczym ganku. Samochód miał prawdopodobnie około dwudziestu lat, był ogromny. Jego dach nieomal zupełnie wypłowiał i stracił oryginalny kolor. Obok schodów leżał zniszczony plastikowy rowerek na trzech kółkach. W oknach nie było firanek.

Przycisnął dzwonek, ale nie usłyszał dźwięku, który powinien rozlec się w środku, więc zapukał głośno w ramę drzwi z siatką.

Nic nie słysząc, znowu zapukał, tym razem głośniej niż przedtem.

Pod koszulą zaczął mu spływać cienką strużką pot. Czuł się jak opiekany w grillu kawałek płastugi, a nie było jeszcze dziewiątej.

Czyżby przejechali taki ogromny kawał drogi, żeby nie zastać nikogo w domu?

Patrzył ponownie na nie zasłonięte okna i zobaczył jej twarz przyciśniętą do szyby.

Serce zabiło mu mocno; miał ochotę podskoczyć z radości. Spojrzała na niego poważnie, a on spojrzał na nią, dostrzegając jej wilgotne złotorude włosy przyklejone do policzków, jakby pływała. Nie miał wątpliwości, że to była pięcioletnia Jessie Barlowe; podobieństwo do braci było uderzające.

Ponieważ nic innego nie przychodziło mu do głowy, pomachał ręką.

Uniosła małą dłoń i również do niego pomachała, przyglądając mu się uważnie. Wskazał na drzwi.

— Czy mogę wejść? — zapytał, poruszając wargami. Zniknęła z okna i słyszał, jak biegnie po gołej podłodze. Zapukał ponownie.

Tym razem pojawiła się w oknie po lewej stronie drzwi. Przycisnęła nos do szyby i patrzyła na niego. Może jest tam sama, pomyślał z pewnym niepokojem. Zniknęła z okna.

Nagle drzwi z siatką otworzyły się na kilka centymetrów i spojrzała na niego przez tę szparę.

— Kto tam? — zapytała, marszcząc brwi.

Miała bose stopy, a na sobie parę brudnych szortów. Jej paznokcie u stóp były pomalowane na jaskraworóżowy kolor.

— Timothy Kavanagh.

— Rhody nie może podejść! — zawołała, zamykając gwałtownie drzwi.

Czuł, że się piecze, smaży i skwierczy.

Otarł twarz chusteczką i spojrzał na ulicę, widząc jedynie tył swojego buicka, stojącego w zanikającej smudze cienia.

— Jessie! — zawołał, pukając ponownie. — Jessie! Usłyszał, jak biegnie korytarzem.

Otworzyła ponownie drzwi, tym razem szerzej.

— Rhody nie może podejść! — oznajmiła surowo. Spróbował otworzyć drzwi z siatką. Nie były zamknięte. Otworzył je szybko i stanął za progiem, czując się jak kryminalista, który kieruje się własną potrzebą.

Uderzyło go intensywne i duszące ciepło małego domku. I ten zapach. Dobry Boże! Poczł nagły skurcz żołądka.

Zobaczył nieomal pusty pokój dzienny, prowadzący do aneksu jadalnego, przypadkowo zapełniony na wpół otwartymi pudełkami i ubraniami porzucanymi po podłodze.

— Nie wolno ci wchodzić do środka — ostrzegła, cofając się. — Nie wolno mi rozmawiać z obcymi.

— Gdzie jest Rhody?

— Ma ranną stopę, stanęła na gwoźdźcu.

Otarła pot z twarzy brudną rączką i włożyła kciuk do ust.

— Jest tutaj?

Jessie spojrzała w dół korytarza.

— Chciałbym z nią porozmawiać, jeśli mogę.

— Rhody mówi brednie.

— Możesz mnie do niej zabrać?

Spojrzała na niego tym poważnym wzrokiem, odwróciła się i ruszyła w głąb korytarza.

— Chodź! — zawołała go.

Ten zapach. Co to takiego? Nasilał się w miarę, jak szedł za dziewczynką długim, ciemnym korytarzem, aż do łóżka, gdzie leżała Rhody Davis w nieomal pustym pokoju. Pod oknem stało łóżeczko dziecięce, w którym znajdował się materac i pogniecione prześcieradło. Po całej podłodze rozrzucone było morze śmieci.

Kobieta była mniej więcej w jego wieku, naga do pasa, słusznej tuszy, z rzadkimi, rozwichrzonymi włosami i przerażonym wzrokiem. Natychmiast zauważył, co wywołuje taki nieprzyjemny zapach. Jej prawa stopa, która była prawie czarna, spuchła nienaturalnie, a po nalanej nodze szły do góry czerwone pręgi. Ciecz z ropni na stopie sączyła się swobodnie na pościel.

Obróciła w jego stronę głowę opartą na poduszce.

— Tato? Tato, czy to ty?

Pot błyszczał na jej ciele i spływał na przemoczoną pościel.

— Rhody...

— Nie przychodź tutaj i nie szukaj Thelmy.

— Co...

— Thelmy już dawno tu nie ma, tato, już dawno.

Jęknęła i przeklęła, poruszyła gwałtownie głową i spojrzała na niego błagalnie.

— Dlaczego przyprowadzasz tutaj tego psa? Zabierz go stąd, pogryzie dziecko...

Usiłowała się podnieść, ale szybko opadła z powrotem na przemoczoną poduszkę.

— Czy macie telefon? — zapytał Jessie. Robiło mu się słabo z gorąca, odoru i cierpienia. Jessie włożyła kciuk do ust, a potem pokazała aparat.

Leżał na podłodze obok pustego pudełka po słonych krakersach i szklanki zepsutego mleka. Spróbował otworzyć okna w pokoju, ale zauważył, że są zabite gwoździami.

Następnie wybrał numer, który każdy w swoim życiu uczył się wybierać, i poddał się bolesnemu procesowi podawania nazwiska, numeru telefonu, nazwy ulicy i numeru domu oraz opisu zaistniałego rodzaju nieszczęścia.

— Gangrena — powiedział, nie mając wątpliwości.

W szpitalu otrzymał nagrodę za to, że nałożył koloratkę. Lekarz pogotowia nie tylko znalazł czas, aby zbadać Rhody w niecałą godzinę po jej przyjeździe, ale również chętnie porozmawiał z pastorem na temat tego, co ustalił.

— Z pewnością nastąpiło przebicie podeszwy stopy. Zatrucie krwi wywołało szeroką infekcję, a to doprowadziło do gangreny.

— Wnioski? — chciał wiedzieć pastor.

— Może zajść potrzeba amputacji — jeszcze nie wiemy. Tymczasem podajemy jej dużą dawkę antybiotyków.

— Co potem?

— Zważywszy na to, co mi ojciec powiedział, nasz wydział opieki społecznej włączy ją do swojego systemu.

— Zostanie otoczona opieką? — upewniała się Cynthia. Miły lekarz zachichotał.

— Nasz wydział opieki społecznej uwielbia trudne sprawy. Ta wygląda na taką, która świetnie spełnia wszystkie wymagania, bez dwu zdań.

— Sprawdzę, co u niej — oznajmiła Cynthia. — Jestem jego diakonem.

Powinien czuć się wyczerpany, mając za sobą jedną długą podróż i następną przed sobą. Nie był jednak wyczerpany, rozpierała go energia. Wszyscy tak się czuli.

Cynthia szczebiotała, wachlując się jedną z książek do kolorowania, które zabrała, kierując się wrodzonym optymizmem. Pauline mówiła nieco swobodniej, opowiadając im różne historie o pannie Pattie z Domu Nadziei i trzymając Jessie na kolanach.

Jessie na przemian to jadła ciasteczka, to otwierała pudełko nowych kredek, to zadawała pytania. Co to jest ta biała rzecz, którą ma na szyi? Jak ma na imię ich pies? Gdzie jadą? Co się stało Rhody? Czy mogliby kupić frytki? Czy do kufra z rowerkiem włożyli jej małąkę? Dlaczego Cynthia nie maluje sobie paznokci u stóp? Dlaczego skóra na ramieniu Pauline wygląda tak dziwnie? Czy mogą się zatrzymać, żeby znowu mogła zrobić siusiu?

Siedząc za kierownicą podczas pierwszego odcinka podróży, często spoglądał we wsteczne lustro.

Widział, jak Jessie dotyka twarzy swojej matki, chociaż idea posiadania matki nie była dla niej jasna.

— Jesteś ładna — stwierdziło dziecko.

— Dziękuję.

— Nie masz jednego ucha.

— ... spaliło się.

— Jak się spaliło? Płakałaś?

— Opowiem ci o tym pewnego dnia. To dlatego moje ramię wygląda dziwnie. Też się spaliło.

— Czy wrócimy po Rhody? Czy jesteś znajomą Rhody?

— Jestem twoją mamą.

Tego się trzymaj, myślał, czując ból, jakby był częścią niego. Spojrzał na żonę. Wiedział, kiedy się modli, ponieważ wtedy bezszelestnie poruszała ustami, jak dziecko pochłonięte czytaniem książki.

Gdy dojechali do Daytony, wszyscy grali z entuzjazmem w krowiego pokera, używając do gry zajazdów dla kierowców ciężarówek w miejsce nieomal nieobecnych krów.

Czuł się tak, jakby przejechał po nim samochód, ale dzięki Bogu nic takiego się nie stało.

Dotarli do Mitford o północy, zawieźli Pauline i Jessie do Betty Craig, a potem pojechali do domu. Tam czekała na nich wiadomość od Dooleya, że został na noc u Tommy'ego. Gdy pastor wsunął się do łóżka równo o pierwszej, nie mógł się już doczekać, kiedy zaśnie, a tu jeszcze Cynthia powiedziała mu, że poprosiła Pauline, aby zostawiła u nich Jessie w drodze do pracy. Betty Craig wyjątkowo wyjechała na jeden dzień do siostry, więc jaki sens ma zostawianie Jessie z jej starszym dziadkiem, który jest jej zupełnie obcy?

Spał do siódmej, gdy usłyszał, jak Jessie wchodzi do domu i piszczy z zachwytu lub przerażenia na widok Barnaby. Obudził się ponownie o ósmej, kiedy usłyszał Puny, Sissy, Sassy i wypełniony po brzegi czerwony wózek, przetaczający się przez próg i brzęczący podczas jazdy korytarzem jak polowa artyleria.

Zakopał się w pościel, zżerany poczuciem winy, że leży w łóżku, podczas gdy cały dom pod nim eksploduje energią.

Ktoś biegł na górę po schodach, i to na pewno nie była jego żona.

— Proszę się obudzić, panie Timie!

Jessie Barlowe, świeżo umyta, z włosami związanymi w koński ogon, wbiegła do pokoju. Gdy otworzył oczy, wspięła się na łóżko i spojrzała na niego.

— Czas nałożyć koloratkę i wyjąć mój rowerek z samochodu!

Prawdę powiedziawszy, czuł się raczej tak, jakby zaliczył kilka rund z Mike'em Tysonem.

Stojąc bezbrinnie przy dzbanku z kawą, padł ofiarą Puny, która poprosiła go, aby „przypilnował” bliźniaczki, podczas gdy ona poodkurza podłogi na górze. Cynthia i Jessie poszły do domku obok, zo-

stawiając cały ten rozgardiasz, a on pił oto mocną kawę w salonie za zamkniętymi drzwiami, podczas gdy Sassy biegła tam i z powrotem pomiędzy jego biblioteczką a biurkiem, śmiejąc się histerycznie, a Sissy krążyła wokół sofy ze sznurem kwaczących kaczek, od czasu do czasu upadając i płacząc. Barnaba wczuł się pod skórzany fotel z wysokim oparciem, rozpaczliwie usiłując się ukryć.

— Ba! — zawołała Sissy, porzucając kaczki i skupiając swoje zainteresowanie na nim. — Ba!

— Ba! — rzucił w odpowiedzi.

Z odkurzaczem warczącym nad jego głową na gołej podłodze i Sissy bijącą grzechotką w jego kolano, czytał Oswalda Chambersa.

— „Wszystko, co ci się bezpośrednio przytrafia, jest dziełem Boga — pisał Chambers — więc nigdy nie dziw się temu, co ci się bezpośrednio przytrafia”.

Fakt, że ta mądrość była najzwyczajszą prawdą pod słońcem, nie powstrzymał go przed wybuchem śmiechu.

## Rozdział jedenasty

### ZADZIWIAJĄCA ŁASKA

Pauline i Jessie siedziały przy kuchennym stole, kiedy on przygotowywał kolację.

Usłyszeli kroki Dooleya w holu.

— To Dooley — wyjaśniła Pauline, delikatnie popychając Jessie w stronę jej brata, gdy pojawił się w drzwiach kuchni.

Dooley zbladł nagle pod swoją letnią opalenizną.

— Jess?

Minęły trzy lata, pomyślał pastor, a dla pięcioletniego dziecka trzy lata to bardzo długi okres.

— Jess? — powtórzył Dooley, klękając na kuchennej podłodze. Dziewczynka spojrzała na niego poważnie. Potem, stojąc zaledwie kilka kroków dalej, uniosła powoli dłoń i pomachała do swojego brata.

— Hej, Jess.

— Hej — szepnęła, a na jej usta powoli zaczął wypływać uśmiech.

Przyszło mu to do głowy w nocy.

O siódmej rano w niedzielę zadzwonił do Domu Nadziei. Wiedział, że będzie siedziała przy oknie, gotowa do wyjścia do kościoła, czytając Pismo Święte.

— Zrobisz to? — zapytał.

— Boże, miej litość... — odparła, rozważając jego prośbę.

— Dla panny Sadie? Dla nas wszystkich? Louella wciągnęła głęboko powietrze.

— Zrobię to dla Jezusa! — oświadczyła.



Harley Welch miał na sobie granatową marynarkę i spodnie, elegancką koszulę, którą Cynthia wybrała z rzeczy na wentę dobroczynną, wyprała i wyprasowała, oraz własny krawat. Był to, prawdę powiedziawszy, jego jedyny krawat, który miał na pogrzebie swojej żony trzynaście lat temu, a nigdy potem już go nie nałożył.

— Wyglądasz wspaniale! — zachwycła się Cynthia.

— Tak! — przytaknął Dooley.

— Proszę! — powiedział pastor.

Harley wziął pudełko i otworzył zakupiony w pośpiechu na postoju w Karolinie Południowej upominek.

— Niech mnie kule biją, jeśli to nie zegarek z Myszka Miki! Zawsze marzyłem o zegarku z Myszka Miki! Wielebny, jest ojciec nie do pobicia!

Wszyscy ujrzeli uśmiech Harleya...

Wioząc swoją gromadkę do Lord's Chapel, rozmyślał, jak to Harley jest nie do pobicia. Harley Welch wystrojony do kościoła, z zegarkiem z Myszka Miki na ręce był kolejną zadziwiającą łaską z ciągle bijącego źródła.

Stał na ambonie i wymówił proste, ale jakże głębokie słowa, którymi zawsze rozpoczynał kazanie:

— W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

Następnie przeszedł i usiadł na krześle obok uchwyty na kielich, pozostawiając kongregację w osłupieniu. Dzisiaj rano ktoś inny wygłosi zasadniczą część kazania — angielski duchowny, nieżyjący już od dawna, i jedna z jego parafianek, jak najbardziej żywa.

Pośrodku nawy, po lewej stronie kościoła, Louella Baxter Marshall stanęła w ławce i odmawiając cichą modlitwę błagalną, uniosła dłonie do nieba, a potem zaczęła śpiewać, sama i bez akompaniamentu:

*Zadziwiająca łaska! Przesłodka głos,*

*Takiego jak ja nędznika zbawiła...*

*Kiedyś zblądziłem, ale odmienił się mój los,*

*Byłem ślepy, ona mi oczy otworzyła...*

Moc jej miedzianego głosu niosła pieśń wielebnego Johna Newtona, nawróconego handlarza niewolników, aż do krokwi sklepienia.

*To łaska w mym sercu strach zasiała*

*I od mych obaw mnie uwolniła...*

*Jakże cenną łaska ta się stała,*

*Gdy wiary godzina wybiła...*

*Dobro przez Pana mego obiecał*

*Mą nadzieją jest słowo Jego...*

*On tarczą mą i przeznaczeniem się stanie,*

*Póki trwają dni życia mego...*

Słowa wypełniały i jakby powiększały nawę niczym ciasto drożdżowe rosnące w ciepłym miejscu. W niejednej ławce serca uniosły się radością, słysząc przesłanie, które wszyscy od dawna znali, ale jakoś o nim zapomnieli.

Ci, którzy go nie znali, poczuli tęsknotę, by je poznać, nieodparte, dotkliwe pragnienie, by domagać się tarczy i przeznaczenia dla ich własnego życia oraz odmiany losu na lepszy.

Pastor błędził wzrokiem po kongregacji. To dla ciebie, Dooley. I dla ciebie, Poo i Jessie, i dla ciebie, Pauline, którą ścigały i zdobyły niebiosy. To dla ciebie, Harley, i dla ciebie, Lace Turner, i nawet dla ciebie, Cynthia, którą tak późno otrzymałem, a jednak w samą porę...

*Niebezpieczeństw, trudu i życiowej troski —*

*Surowy los nie szczędził mi jej...*

*Wszak jestem tu za sprawą Twojej łaski,*

*I dom swój odnajdę dzięki niej...\**

\* Tłumaczyła Beata Kuźniar.

Oto nadszedł ten dzień. Był gotowy.

Ron Malcolm, który wycenił Fernbank na trzysta pięćdziesiąt tysięcy, zaproponował, aby przyjęli ofertę na kwotę nie niższą niż dwieście dziewięćdziesiąt pięć. Fernbank był nie tylko architektonicznie cenną budowlą, nawet ze swoimi brakami, ale należały do niego znaczne tereny, głównie płaskie i doskonale nadające się pod zabudowę. Przy cenie dwustu dziewięćdziesięciu pięciu tysięcy, z tolerancją kilku dolarów, byłby to zarówno korzystny zakup, jak i korzystna sprzedaż.

W drodze do baru Grill pastor spojrział w stronę posiadłości Fernbank. Nie widział domu, ale był w stanie dostrzec górną część porośniętego paprocią stoku i ogromny zagajnik.

Farma piękności?

Żadną miarą nie potrafił sobie tego wyobrazić.

— Softball? — dopytywał z niedowierzaniem Percy. — Żartujesz sobie ze mnie?

— Nie żartuję sobie z ciebie. Dziesiątego sierpnia. Musisz się tam stawić żywy albo umarły.

— Razem z Velmą przygotujemy hot dogi, ale nie zamierzam biegać do żadnych baz, mam dość baz do obstawienia w gastronomii.

— Dobrze. Jesteś przyjęty. Przygotuj się na dwadzieścia pięć osób z Domu Nadziei, około dwudziestu graczy... i kto wie ilu jeszcze na trybunach?

Percy notował na odwrocie notesu z zamówieniami.

— To sto pięćdziesiąt hot dogów z wołowiną, maksimum, plus wszystkie dodatki, włącznie z chili wyrobu Velmy...

— Mylisz się! — rzuciła Velma. — Nie zamierzam już stać nad gorącą kuchenką i mieszać chili ani jednego dnia dłużej! Postanowiłam od tej pory używać chili w puszkach.

— Chili w puszkach? — nie mógł uwierzyć Percy.

— A kiedy to ostatnio obierałaś ziemniaki na frytki? Całe lata temu. Przychodzą do nas zamrożone na kość, tak jak do wszystkich innych miejsc, gdzie ludzie nie chcą się zapracować na śmierć.

— Tak, ale mrożone frytki to jedno, a chili z puszki to drugie.

— Może dla ciebie. Ale nie dla mnie.

Velma oddaliła się dumnym krokiem. Percy westchnął głęboko. Pastor milczał, ale cholernie dobrze wiedział, że ta rozmowa wcale nie dotyczyła chili. Była o rejsie.

Wstąpił do Księgarni Szczęśliwych Zakończeń, żeby sprawdzić, czy poszukiwania rzadkich książek zaowocowały może tomem Johna Buchana.

Hope Winchester pokręciła głową.

— Jak do tej pory, zupełnie nieosiągalna.

— Nie szkodzi — podziękował. — Och, czy znasz kogoś, kto gra w softball?

Ingrid Swenson była, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej opalona. Miał wrażenie, że w całym życiu nie widział takiej ilości złotej biżuterii na jednej osobie, jako że jego zamożni sezonowi parafianie raczej ubierali się dość niezobowiązująco na wakacjach w Mitford.

Odczytała ofertę kupna, jakby będąc dziećmi, nie byli w stanie przeczytać jej samodzielnie. Każde słowo zdawało się naznaczone jakimś fatum, którego nie rozumiał, chociaż zauważył, jak szczęśliwa — a nawet zachwycona — była jego rada parafialna.

— Miami Development, jako Kupujący, niniejszym proponuje kupno, a Kaplica Naszego Pana i Zbawiciela, jako Sprzedający, po przyjęciu wspomnianej oferty zgadza się sprzedać i przekazać — w całości czy jako sumę części całą opisaną poniżej parcelę...

Podczas gdy niektórzy zdawali się delektować każdym słowem niczym pierwszym daniem prowadzącym do dania głównego, on chciał przejść od razu do ceny i warunków.

Tymczasem omówili i po raz kolejny uzgodnili, które przedmioty osobistego użytku obejmie umowa.

— Cena zakupu — powiedziała w końcu, spoglądając dookoła stołu — wynosi sto dziewięćdziesiąt osiem tysięcy dolarów i zostanie zapłacona w następujący sposób — dwadzieścia tysięcy zaliczką...

— Przepraszam — przerwał. Podniosła wzrok.

— Wydaje mi się, że nie dosłyszałem...

— Sto dziewięćdziesiąt osiem tysięcy dolarów. Wyczuł zrozumiałą nutę zniecierpliwienia w jej głosie.

— Dziękuję — odparł, zdradzając własne zniecierpliwienie.

Buddy Benfield zrobił kawę i wszyscy przeszli do kuchni, by się jej napić. Ron przyniósł dla Ingrid Swenson porcelanową filiżankę, a nie plastikowy kubek.

— Zdają sobie państwo sprawę — poinformowała ich z uśmiechem — że instalacja elektryczna narusza wszystkie stanowe i miejscowe rozporządzenia.

Czy zdawali sobie z tego sprawę? Wyjęła plik kartek z teczki.

— Przyjrzyjmy się cyfrom, które zawsze są źródłem cennych informacji. Nowy dach, jak państwo wiecie, będzie nas kosztował około czterdziestu pięciu tysięcy. Obecna instalacja wodno-kanalizacyjna to skorodowane żeliwne rury, które muszą zostać usunięte i zastąpione miedzianymi. — Wypiła łyk kawy. — Dwadzieścia tysięcy, minimum. Następnie, oczywiście, jest też wymiana instalacji ściekowej i podłączenie do wodociągów miejskich i kanalizacji ściekowej, a to koszt ponad stu tysięcy. Jeśli chodzi o centralne ogrzewanie, jest to, jak państwo wiedzą piec olejowy zainstalowany kilkadziesiąt lat temu. Nasza kontrola wskazuje, że skrzynia paleniskowa jest przepalona. — Oparła się wygodnie. — Jestem pewna, że nie muszę państwu przypominać, jak bardzo może to być niebezpieczne. Szacunkowy koszt zainstalowania systemu ogrzewania ciepłym powietrzem z obiegiem zwrotnym i przewodami wentylacyjnymi przekroczy dziesięć tysięcy.

Czy to się nigdy nie skończy?

— Teraz, zanim przejdziemy do zdecydowanie bardziej optymistycznych kwestii, przyglądnijmy się ponownie instalacji elektrycznej.

Dał się słyszeć ogólny szmer przesuwania się na krzesłach, któremu towarzyszyło dyskretne pokaszliwanie.

— Jak sobie bez wątpienia zdajecie sprawę, proszę pana — zwróciła się do Rona Malcolma — ojciec, strych posiada równoległą instalację elektryczną, której nie odebrałaby żadna kontrola nie tylko dlatego, że jest niebezpieczna, ale również dlatego, że jest... — agentka Miami Development powiodła wzrokiem dookoła stołu — niezgodna z prawem. W całym budynku poprowadzone są nagie przewody elektryczne, nie osłonięte rurką izolacyjną. Wszystko to razem, krótko mówiąc, wystarcza, aby budynek przeznaczyć do rozbiórki.

Serce zabiło mu mocno. Do rozbiórki.

Ron Malcolm pochylił się do przodu.

— Pani Swenson, czy to cała pani oferta?

— Nie do końca, proszę pana. Na zakończenie mam jeszcze dwie uwagi. Pierwsza, że wszystkie prace, o których mówiłam, będą kosztowały kupca ponad dwieście dwadzieścia tysięcy dolarów. Mając to na uwadze, ufam, że uznają państwo za rozsądną sprzedaż tej... podupadłej posiadłości... po bardzo uczciwej cenie, jaką oferujemy.

— Teraz przejdźmy do bardziej optymistycznych tematów. Proponowana przez nas inwestycja pociągnie za sobą znaczny rozwój ekonomiczny Mitford. Umocni waszą bazę podatkową, między innymi podnosząc wartość każdej nieruchomości w waszym miasteczku. Wydaje mi się, że pan, na przykład — ponownie zwróciła się do Rona Malcolma — mieszka na terenie bezpośrednio sąsiadującym z Fernbank. Nie muszę panu mówić, jaką ogromną korzyścią będzie to dla pana prywatnego stanu posiadania. Z pewnością wszyscy państwo zdają sobie sprawę, że nikt w Mitford nie byłby w stanie uwolnić państwa od tej nie nadającej się do zamieszkania posiadłości, i wiem, jak bardzo wdzięczni muszą być państwo

jednemu ze swoich współmieszkańców, panu Stroupe'owi, za skojarzenie obydwu stron. Wobec braku środków na odkupienie posiadłości, czyż nie byłoby tragiczne takie bezsilne przyglądanie się, jak Fernbank, ozdoba waszego miasteczka, na zawsze znika z jego krajobrazu?

Ból, który odczuwał, był nieomal nie do zniesienia. Rozpaczliwie zapragnął cofnąć czas i żeby wszystko było jak kiedyś. Pokonał nieodpartą chęć, by uciec od duszącej atmosfery tego koszmarnego spotkania i wybiec na ulicę.

— Zatem podsumowując — powiedziała, spoglądając na każdego spośród zgromadzonych — prosimy, aby ustosunkowali się państwo dzisiaj, albo w przeciągu maksimum siedmiu dni, do naszej oferty, oferta, która została opracowana tak, aby w równym stopniu mieć na uwadze dobro Mitford, jak również interesy Miami Development.

Pastor wstał, słysząc, jak nogi jego krzesła zgrzytają po nagiej podłodze, i przerywając porażające milczenie członków rady parafialnej.

— Odpowiemy na państwa ofertę po trzydziestu dniach — stwierdził spokojnie.

Zamilkła, ale wykazała opanowanie.

— Trzydzieści dni, ojciec? Zakładam, że rozumie ojciec, że na tak wrażliwym rynku, jakim są nieruchomości, siedem dni to bardzo dobra oferta.

Widział zaskoczenie i zaniepokojenie swojej rady parafialnej, że przejął kontrolę nad tak delikatną kwestią. Jednak to on, rozumowali w milczeniu, jest osobą, która utrzymywała kontakty z panną Sadie przez te wszystkie lata. Prawdopodobnie w ogóle nie mieliby tej posiadłości, gdyby nie ojciec.

— I zdaje sobie ojciec sprawę — kontynuowała Ingrid Swenson — że przewidywana prawem możliwość wycofania naszej oferty z uwagi na takie opóźnienie naraża sprzedaż państwa nieruchomości na znaczne ryzyko.

Odpowiedział jej słowami, których użyła w stosunku do niego zaledwie kilka tygodni temu.

— Ryzyko, proszę pani, czyni nasze życie bardziej fascynującym.

Ucałowała czule jego twarz — obydwie policzki, czoło, skronie i czubek nosa.

— Proszę — powiedziała w końcu i poszła po kieliszek sherry dla niego.

Nie przypominał sobie, kiedy ostatnio czuł się tak zmęczony. Przemierzone na Florydę i z powrotem kilometry wciąż dawały o sobie znać, a spotkanie... wydawało mu się, że było ciosem zadany w istotę jego istnienia.

Ron Malcolm argumentował, że Miami Development kładło zbyt duży nacisk na wady budynku, a zdecydowanie zbyt mały na wartościowy i wyjątkowy fragment ziemi, który był częścią transakcji. Mimo że Ron przedstawił swoje stanowisko w bardzo przekonujący — a nawet można powiedzieć, porywający — sposób, Ingrid Swenson nie tylko pozostała niewzruszona, ale śpieszyła się, by jak najszybciej się od nich wydostać.

Pastor nie mógł się oprzeć pewnemu intuicyjnemu przekonaniu, że cała ta sprawa jest... nie potrafił dokładnie określić czym. Za każdym razem jednak, gdy nie słuchał swojej intuicji, zaczynały się kłopoty.

Nie skończył sześćdziesięciu trzech lat — a może sześćdziesięciu czterech? — bez nauczenia się kilku rzeczy, a słuchanie własnej intuicji było jedną z nich.

Ale jak, na zdrowy rozsądek, ma prawo przekonywać do zatrzymania posiadłości, która rzeczywiście może ostatecznie paść łupem buldożerów? Jego rada parafialna nie marnowała czasu na zbędne słowa, ale wszyscy chcieli mieć całą tę uciążliwą sprawę za sobą — pieniądze zainkasowane, i po kłopotcie.

Wsunął jedną z haftowanych na kanwie poduszek pod głowę i położył się na sofie w salonie. Jego pies wyciągnął się na chodniku obok niego i polizał go w rękę.

Dobry Boże! Gdyby nie to ukojenie, które znajdował w domu i wszystkim, co obecnie ten dom ze sobą niósł, gdzie albo kim byłby?

Zaczepiałby ludzi na ulicy, byłby najzwyczajszym szaleńcem...

— Teraz, gdy odpocząłeś, najdroższy...

Znał to spojrzenie. Znał to spojrzenie jak widok własnej twarzy w lustrze.

Przechyliła głowę na bok w sposób, któremu nigdy nie potrafił się oprzeć.

— Odpocząłeś, prawda?

— Cóż...

Nie był pewien, jaką linię przyjąć.

— Więc oto mój pomysł. Wiesz, jak oficjalna jest nasza jadalnia.

— Oficjalna?

Jadalnia, którą pomalowała na ten szalony, nierozważny kolor dyni.

— Chodzi mi o tę rzeźbioną orzechową szyfonierkę w stylu Jerzego któregoś i te dostojne krzesła z poduszkami z tkaniny brokatowej ...

— Wyduś to z siebie, Kavanagh.

— Chcę przenieść stół z jadalni do kuchni.

— Oszalałaś? — wypalił.

— Tylko na czwartkowy wieczór — wyjaśniła ze stoickim spokojem. — Widzisz, Pauline i Harley nie są przyzwyczajeni do jedzenia w jadalni, podobnie Louella. W takim otoczeniu czuliby się bardzo sztywno. Znają naszą kuchnię, jest dla nich jak dom, jak...

Nie wierzył własnym uszom.

— ...musimy to zrobić — stwierdziła, patrząc mu prosto w oczy. — Pomijając ściany w kolorze dyni, atmosfera naszej jadalni jest prześlaknięta obecnością... starych biskupów!

No tak, miał już tego wszystkiego dość.

Dooleya Barlowe'a nigdzie nie można było znaleźć, a mocne strony Harleya dotyczyły zupełnie innych dziedzin życia. Nie mieli wyboru.

Ustawili mahoniowy stół na boku, ostrożnie nim manewrując. Zdołali przetransportować go przez drzwi do kuchni, nie ścinając przy tym znajdującej się w środku intarsji w kształcie medalionu.

Był pewien, że to sen; prawdę powiedziawszy, nie miał co do tego wątpliwości.

Nie było dla niego zaskoczeniem, że po ustawieniu stołu w kuchni nie było prawie w ogóle miejsca, żeby stanąć przy kuchence i gotować. Czy zdoła otworzyć drzwiczki do piekarnika?

— Idealnie! — oceniła, najwyraźniej zachwycona. — Położymy ten adamaszkowy obrus w kratę twojej mamy.

— Ten stary obrus jest już niemal zupełnie poprzecierany. Zdecydowanie nieodpowiedni — krytykował, czując się jak ostatni zrzęda.

— Kocham stare obrusy! — wykrzyknęła z radością. Westchnął.

— A czego ty nie kochasz?

— Kaszy bez masła. Kurzu oblepiającego wiatraki pod sufitem. Zrzędlivych mężów.

— Aha — zgodził się, opadając na czworaka, aby wsunąć pudełko zapalek pod jedną z nóg stołu.

W czasie śniadania następnego ranka doszedł do wniosku, że dużo większy stół ze starym obrusem wygląda cudownie w świetle, które sączyło się przez otwarte okna. Cynthia napełniła koszyk różami z bocznego ogrodu i owinęła go łądygami bluszczu. W jej lampkach w żurawinowym kolorze, już przygotowanych na wieczorny posiłek, odbijało się światło, kładąc się wstęgami ciepłego koloru na adamaszku.

Cudownie!, zachwycił się, bardzo przy tym uważając, żeby nie powiedzieć tego na głos.

Znalezienie Jessie było zadziwiająco łatwe, myślał, idąc do kancelarii z Barnabą na czerwonej smyczy. Nieustannie dziękował za ten cud. Poszukiwania mogły przecież zaprowadzić ich gdziekolwiek — albo nigdzie. Dojechali jednak prosto pod drzwi i zapukali, a ona odpowiedziała.

Podziękuje Emmie Newland z całego serca, zrobi dla niej coś wyjątkowego — ale co? Emma uwielbia kolczyki — im większe, tym lepsze. Kupi jej parę kolczyków, które przebiją wszystkie inne! Nie będzie to wystarczająca nagroda za to, co zrobiła, niemniej jednak dowód ich uznania za jej natchniony i twórczy sposób myślenia.

Otworzył zamasyście drzwi, a Snickers dokładnie w tej chwili przemknął obok niego, warknął okropnie prosto w nos jego psa, zaszczekał oktawą, która była w stanie rozsadzić bębunki w uszach, i obsikał schody — robiąc to wszystko najwyraźniej jednocześnie.

Barnaba stanął sztywno i zaszczekał w odpowiedzi, ciężko obrażony i całkowicie zaskoczony. Znad biurka Emma zawołała, usiłując przekrzyczeć hałas:

— Na twoim miejscu nie przyprowadzałabym go tutaj!

Pastor zorientował się, że nakłanianie jego psa, aby wszedł do środka, może zakończyć się ostrą potyczką z tym żałośnie utrapionym stworzeniem, potyczką w której ktoś — bardzo możliwe, że nawet on sam — może odnieść rany.

Wściekły obrócił się na pięcie i ruszył w stronę baru Grill, ciągnąc swojego jeszcze bardziej wściekłego psa za sobą.

Przemknął obok wystawy Irish Wollen Shop w chwili, gdy Minnie Lomax kończyła ubierać manekina, którego ręce wiele lat temu zostały przez pomyłkę wyrzucone razem ze śmieciami.

— Nie mogę nawet wejść do własnej kancelarii! — parsknął. — Kolczyki, rzeczywiście!

— Znowu to samo — westchnęła Minnie, przyglądając się, jak znika z jej pola widzenia.

Gdy przechodził obok Collar Button, zatrzymał go jeden z parafian, któremu ani trochę nie podobała się wiadomość, że udaje się do Kanaanu czy też gdziekolwiek indziej.

— Ojcze! Wspaniale ojciec wygląda!

Wszystko wracało do normy, dzięki Bogu. Po całej tej wrzawie większość osób jakby już zapomniiała, że przechodzi na emeryturę, i wszystko toczyło się dawnym rytmem.

Zobaczył Dooleya, jak wyjeżdża z alejki po drugiej stronie ulicy i zatrzymuje się, rozglądając na obydwie strony. Gdy spojrział w stronę pomnika, Jenny zbiegła po schodach z biblioteki, niosąc plecak. Zauważyła Dooleya i pomachała do niego, a on podjechał do niej.

Nie chciał tam stać i patrzeć, ale nie mógł się odwrócić. Mimo że Dooley stał plecami do niego, widział bardzo wyraźnie twarz Jenny.

Wpatrywała się w wakacyjną pomoc w Sklepie jak w obraz.

— Przeżywa boom — informował Mule J.C., podczas gdy pastor wsuwał się do boksu.

— Co takiego? — chciał wiedzieć.

— Rynek nieruchomości w tym mieście. Mamy Lord's Chapel z tą fantastyczną firmą usiłującą złapać Fernbank, Shoe Barn Edith Mallory właśnie poszedł pod młotek i dowiedziałem się ostatnio, że jakiś duży inwestor rozważa zakup Cukierni Sweet Stuff.

— Co to za duży inwestor?

— Nie wiem, Winnie usiłuje ją sprzedać samodzielnie, żeby nie płacić za pośrednictwo, więc nie mam pojęcia, kto jest potencjalnym nabywcą. Tymczasem jakiś pośrednik — Bóg raczy wiedzieć skąd — zajmuje się Shoe Barn, Ron Malcolm bawi się w agenta dla Lord's Chapel, natomiast ja nie mogę się w tym wszystkim połapać, a co dopiero, uzyskać informacje.

— Wszyscy tylko mielią jęzorami i nic z tego nie wynika — stwierdził J.C., pałaszując zestaw warzyw ze stekiem po farmersku.

— Skoro mowa o Shoe Barn, to co się stało z tą czarownicą na miotle? — dopytywał się Mule.

Pastor poczuł nagły skurcz żołądka na wspomnienie Edith Mallory, właścicielki lokalu, w którym mieścił się sklep Shoe Barn. Jej konsekwentne i doskonale zaplanowane zabiegi, by go usidlić, zanim poślubił Cynthię, były czymś, co w końcu udało mu się zapomnieć.

— Psujesz apetyt ojcu — zwrócił mu uwagę Percy, przysuwając stół.

Percy stoczył własną bitwę z tą kobietą która była również właścicielką lokalu, w którym właśnie siedzieli — usiłowała podnieść jego czynsz i wyrzucić go stąd, zanim upłynął oficjalny termin dzierżawy. Właśnie wtedy pastor zauważył, że belki sklepienia baru Grill są przegniłe i grożą zawaleniem całego budynku. Koniec końców, Percy'emu udało się przedłużyć wynajem, i to na swoich warunkach, nie jej.



Percy uśmiechnął się do pastora.

— O rany! Ale ją załatwiłeś, w białych rękawiczkach.

— Uważaj, co mówisz — zwróciła mu uwagę Velma, mijając ich z tacą kanapek z szynką.

— I od tamtej pory nikt jej nie widział! O nie, wszelki słuch po niej zaginął! Nie miała odwagi zjawić się w tym mieście, od kiedy pokazałeś jej, gdzie jest jej miejsce.

J.C. posłużył się swoim ulubionym epitetem w stosunku do klientki Percy'ego.

— Kiedy w takim razie finalizujecie umowę sprzedaży Fernbank? — dopytywał się Mule.

— Nie wiem, odpowiemy na ich ofertę po trzydziestu dniach. Mule spojrzał na niego zaskoczony.

— Chcecie siedzieć spokojnie przez trzydzieści dni i ryzykować, że nigdy nie pozbędziecie się tego kukułczego jaja?

Nagle ogarnął go gniew, gotów był wstać i wyjść. Uspokój się, powiedział sobie, korzystając z rady, której często udzielał Dooleyowi.

— Grasz w softball? — zmienił temat, zwracając się do wydawcy „Muse”, który był zajęty przeżuwaniami kolejnego kęsa.

— Oma nie przefiosem się na tamten świat, kty ras spróflowalem.

— Dobrze. A ty? — zapytał Mule'a. — Scott Murphy chce urządzić mecz dla pensjonariuszy Domu Nadziei. Dziesiątego sierpnia. Potrzebni są nam gracze.

— Całkiem niezłe chwytam.

— Bierzemy cię — ucieszył się pastor. — Percy, chętnie wezmę cheeseburgera ze wszystkimi dodatkami. I z frytkami!

Percy podrapał się w głowę.

— Niech mnie! Przez szesnaście lat może zdarzyło ci się zamówić cheeseburgera dwa razy. I to nigdy ze wszystkimi dodatkami.

— Życie jest krótkie — wyjaśnił, nadal trochę zły. — I dołóż do tego jeszcze plasterek bekonu.

— Jak leci, przyjacielu?

— Mam Tommy'ego i jego tatę, i Avisę. Avis cały czas powtarza, że może wybić piłkę z pola, a ona doleci aż do naszej bazy.

— Nie żartujesz? A co myślisz o Harleyu? Sądzisz, że nadawałby się do tego?

— Harley, nie ma... w ogóle zębów.

— Co mają wspólnego zęby z grą w softball? Dooley uśmiechnął się.

— Możemy się przekonać, czy będzie chciał.

Nakrywali do stołu, podczas gdy Cynthia zajęta była przy kuchence. Za pięć minut wyjeżdżał po Pauline i dzieci, a potem na wzgórze po Louellę.

Lubił nakrywać do stołu z Dooleyem. Kawałek po kawałku, krok po kroku, Dooley powoli stawał się wspaniałym, szczęśliwym nastolatkiem, coś jakby w nim stopniało. Swój duży udział miała w tym Pauline i Poo, a teraz Jessie. Każde z nich było po trochu lekarstwem, które uzdrawiało Dooleya.

Obserwował, jak chłopiec kładzie nóż po lewej stronie talerza, przygląda mu się przez chwilę, następnie podnosi go i kładzie po prawej stronie. Tak trzymać! Zauważył też uśmiech, który igrał w kącikach ust Dooleya, jakby myślał o czymś, co sprawia mu przyjemność.

Dooley podniósł wzrok i napotkał spojrzenie pastora.

— Czemu się ojciec tak przygląda?

— Tobie. Patrzę, jak urosłeś, i myślę, jak wspaniale pracujesz u Avisa — i jakie to cudowne uczucie mieć cię z powrotem w domu.

Dooley zarumienił się lekko. Myślał przez chwilę, a potem powiedział:

— To niech mi ojciec pozwoli poprowadzić w ten weekend samochód.

Do licha, jeśli nie wyrwało mu się to samo z ust:

— Masz to jak w banku!

— Niskokaloryczna pieczeń pastora, prosto z piekarnika! — obwieścił, stawiając skwierczący półmisek na stole.

Louella zmarszczyła nos.

— Niskokaloryczna? Podaj dalej, słonko, mnie możesz pominąć!

— Mnie proszę nie pomijać — zawołał Harley.

— Tylko żartował — wyjaśniła Cynthia. — W rzeczywistości zawiera wszystko, przed czym zawsze przestrzegali nas lekarze.

Pastor zauważył, że twarz Pauline jaśniejje i gości na niej czułość, gdy spogląda na swoje czyściutkie, piegowate dzieci. Dzięki Ci, Boże! Trójka z piątki...

Usiadł rozpierany uczuciem szczęścia i strzepnął jedną z lnianych serwetek, które zostawił — przypomniał sobie z rozbawieniem — pewien starszy biskup, który tu kiedyś mieszkał.

Począł, aż połączą się wszystkie dłonie, tworząc wianuszek jednoczący zebranych wokół stołu.

— Nasz Boże i nasz Ojczy, dziękujemy Ci! — zaczął.

— Dziękujemy Ci, Jezu! — dołączyła do niego z radością Louella.

— Dziękujemy Ci z całego serca za tę rodzinę, która zgromadziła się dziś wieczorem, i prosimy o Twoją łaskę i błogosławieństwo dla wszystkich tych, którzy łakną nie tylko pożywienia, ale również radości, pokoju i jedyne prawdziwego zbawienia, które Ty, przez Twojego Syna, szczerze ofiarujesz.

Zaledwie zdążyli powiedzieć: „Amen!”, gdy rozległ się dzwonek u drzwi.

— Już idę! I na litość boską nie czekajcie na mnie. Kto, u licha...

Cynthia ruszyła w głąb korytarza, kierując się w stronę drzwi.

Ojciec Tim podał półmisek Louelli i zaczynał właśnie częstowanie ziemniakami, gdy usłyszał, jak Cynthia wraca do kuchni, a tuż za nią słycać ciężkie kroki.

— Nigdy nie zgadniecie, kto przyjechał! — oznajmiła Cynthia. Buck Leeper stanął niezręcznie w drzwiach. W małej wypełnionej kuchni jego duża postać zdawała się dominować nad wszystkim.

Dobry Boże! Znalezienie mieszkania dla Bucka zupełnie wyleciało mu z głowy. Nie przypomniał sobie o tym ani razu od czasu telefonu do Mule'a. Tak mu było wstyd.

Wstał, nieomal przewracając swoje krzesło.

— Buck, w samą porę! Zaraz przyniesiemy jeszcze jedno nakrycie, jedzenia mamy pod dostatkiem. Dobrze cię widzieć!

Potrząsnął dużą, szorstką dłonią Bucka.

— Pamiętasz Louelle, przyjaciółkę i towarzyszkę panny Sadie. A to Dooley, pamiętasz Dooleya.

Buck skinął głową.

— Dooley...

— Hej.

— A to jest Harley Welch. Harley mieszka z nami, i jest też Pauline, mamą Dooleya — o ile sobie przypominam, przyniosłeś jej różę, gdy była w szpitalu.

Buck zarumienił się i spuścił wzrok. Do licha. Nie powinien tego mówić.

— To jest brat Dooleya, Poo, a to Jessie, jego siostra. Poobaw uśmiechnął się do Bucka.

— Jestem głodna! — wtrąciła Jessie.

— Kochani, to jest Buck Leeper, człowiek, który wybudował Dom Nadziei. Czy uwierzycie, że urodził się zaledwie kilka domów ode mnie, na tej samej ulicy w Missisipi? Podaj dalej ziemniaki, Dooley, tutaj jest sos. Och, widzę, że zapomnieliśmy wyłożyć masło do bułek! Buck, mam nadzieję, że jesteś głodny, moglibyśmy nakarmić tym całą armię. Proszę, usiądź na tym krześle, cieszymy się, że wróciłeś do Mitford! Louella, czy masz tam dość miejsca? Dooley, przysuń się do siostry...

Co za maraton. Był wykończony.

— Proszę, niech pan usiądzie — zaprosiła Bucka jego uśmiechnięta żona, przejmując obowiązki gospodarza.

Dooley zabrał Poo i Jessie do swojego pokoju, Cynthia, Louella i Pauline przygotowywały herbatę i kawę, a panowie przeszli do salonu.

— Chodzi o to — opowiadał Harley — że Junior wolał jeździć po polnych drogach bardziej niż po asfalcie, to dlatego mówili na niego Błotny Splawik\*. Jeden ze starszych chłopców opowiadał, jak to Juniora ścigało prawo, i mówił, że Junior przejechał przez pole kukurydzy pontiakem z pięćdziesiątego ósmego, z opuszczonymi szybami, przeorał jakieś cztery hektary, aż wyjechał na drugim końcu i rozejrzał się dokoła, i całe tylne siedzenie miał pełne dymiących kolb kukurydzy.

\* *Mud Dobber* — Błotny Splawik.

Buck roześmiał się na głos, a brzmienie jego śmiechu przypomniało pastorowi dźwięk gotującej się w czajniku wody.

— Harley, powinienesz opowiedzieć Buckowi o swoich umiejętnościach mechanika samochodowego. Przy pracach w Lord's Chapel zaangażowanych będzie wiele samochodów.

— Tak, proszę ojca, zajmuję się prawie wszystkim, co porusza się na kołach, ale nie tykam się sprzętu do robót ziemnych. Oczywiście, będę miał dość dużo pracy, robię porządki w suterrenach i w garażu pani, potem zaczynam na strychu tutaj.

Harley wskazał na sufit.

— Pozostał nietknięty od czasów, gdy mieszkał tu jeden ze starych biskupów.

Pauline pojawiła się w drzwiach do salonu. Jessie miała rację, pomyślał pastor, Pauline jest naprawdę ładna.

— Przepraszam...

— Czy już możemy przyjść? — zapytał. Uśmiechnęła się.

— Tak, proszę ojca. Cynthia zaprasza panów.

Buck podniósł się z krzesła z wysokim oparciem, wpatrując się w Pauline.

Ojciec Tim zauważył, że przez chwilę wydawał się tak podekscytowany i pełen nadziei jak chłopiec.

— Nie mogę tego zrobić — bronił się Buck.

— No cóż, widzisz... szczerze mówiąc, musisz. Szukałem dla ciebie jakiegoś miejsca, gdzie mógłbyś zamieszkać, ale niczego nie znalazłem, i no cóż, wyobraź sobie, że w końcu zapomniałem o szukaniu, i tak to wyszło, teraz musisz zostać u nas — pościel jest czysta, a toaleta sprawna.

Buck roześmiał się. Przynajmniej się śmieje...

— Ufam, że będzie ci tu wygodnie, i o nic się nie martw. Zanim się obejrzysz, coś ci znajdziemy, jakiś przyzwoity kąć.

— Jeśli jest ojciec pewien...

— Absolutnie! Ach, przy okazji — grasz w softball? Buck wyjął z ust wykałaczkę.

— Skopałem więcej tyłków na boisku do softballu niż w całej swojej pracy na placach budowy. Zanim zacząłem pracować dla Emila, byłem trenerem drużyny softballu firmy budowlanej z Tucson. Przez kilka ostatnich lat, które tam spędziłem, wygrywaliśmy każdy mecz przez dwa sezony z rzędu.

Dooley nagle pojawił się w drzwiach do pokoju gościnnego.

— Jestem w jego drużynie — stwierdził.

Buck zaproponował, że weźmie Pauline i dzieci, kiedy on zawiezie do Domu Nadziei Louellę.

— Świetnie się bawiłam — dziękowała mu Louella z lekko wilgotnymi oczami. — Ojciec i panna Cynthia to prawdziwa rodzina.

— I zawsze tak będzie — odparł szczerze.

Przed drzwiami pokoju numer jeden pocałował ją na dobranoc, z lubością wciągając cynamonowy zapach jej policzków, który przywodził na myśl dom.

Emma spojrzała na niego sponad swoich połówkowych okularów.

— Domyślam się, że jesteś wściekły z tego powodu, że kilka dni temu przegonił cię z kancelarii Snickers.

— Można tak powiedzieć.

— Skąd miałam wiedzieć, że przyrowadzisz do pracy Barnabę? Teraz nie zdarza ci się to już prawie nigdy. A poza tym, Snickers nie był tu więcej niż dwa razy, zasługiwał na kolejny raz...

— Uhm.

— Dzwoniła Emily Hastings, mówiła, że ma do ojca jakieś pretensje.

Mieć pretensje czy interes, co za różnica? — Dzwoniła też Esther Bolick, mówiła, że sprawy mają się lepiej, Hessie Mayhew jest jak wszyscy aniołowie Świętego Mikołaja.

— Świetnie.

— Dzwoniła Evie Adams, zgadnij, co tym razem zrobiła panna Pattie?

— Nie mam pojęcia — rzucił oschle, zdejmując pokrywę ze swojej ręcznej maszyny do pisania marki Royal.

— Chodzi tam i z powrotem po korytarzach Domu Nadziei i kradnie galaretki ze wszystkich tac.

— Musi mieć ich bardzo dużo.

— Nie przeszkadza ci to?

— Co?

— Że kradnie je starszym ludziom.

— Panna Pattie też jest starszym człowiekiem.

— Więc?

Miał nieodpartą ochotę zdzielić swoją sekretarkę w głowę.

— Więc obsługa Domu Nadziei liczy ponad czterdzieści osób, jestem pewien, że uda im się znaleźć jakiś sposób, by ukrócić jej zachowanie.

— Jakiś sposób, żeby co? Nie odpowiedział.

— Jak możesz używać jeszcze tego grata? — zapytała, spoglądając gniewnie na jego ręczną maszynę do pisania marki Royal.

Milczał konsekwentnie.

Zapadła długa chwila ciszy, podczas której ona wpatrywała się w monitor komputera, a on zakładał na rolkę maszyny do pisania kartkę papieru.

— Więc kiedy zamierzasz mi dać więcej nazwisk do odszukania? — zaproponowała w końcu, starając się go udobruchać.

## Rozdział dwunasty

CZEKAJĄC

— Zrobisz to? — poprosił swoją żonę.

— Oczywiście, że nie! To nie należy do mnie.

— Od diakonów oczekuje się — przypomniał jej — że będą wykonywać czarną robotę.

— Zadziwiasz mnie, Timothy. Grzebiesz zmarłych, pocieszasz zrozpaczonych i bez skrupułów wyciągasz najbardziej intymne szczegóły z życia innych, a gdy przychodzi do tego...

— Nie jestem w stanie tego zrobić.

— Musisz to zrobić.

Oczywiście, że musi to zrobić. Wiedział to od samego początku. Próbował tylko sprawdzić, jak wiele może na niej wymóc. Niewiele.

— Dooley...

Zdjął pojedynczy kłaczek ze spodni. Przez chwilę spoglądał na swój prawy mokasyn, który wyglądał, jakby oblizał go jego pies albo może bliźniaczki, a przecież wyczyścił go zaledwie wczoraj.

— Tak, proszę ojca?

Barnaba położył się ciężko u jego stóp i ziewnął szeroko, co wskazywało na jego ogromne znużenie. Niezbyt dobry znak.

— No cóż, Dooley...

Dooley spojrzał mu prosto w oczy.

— Chodzi o Jenny. To znaczy, nie o Jenny dosłownie. To bardziej pośrednio niż bezpośrednio o Jenny, chociaż moglibyśmy ją z tego całkiem wykluczyć...

— Co się stało z Jenny...?

— Jak mówiłem, nie chodzi dosłownie o Jenny. Raczej o...

— O co?

Czy widział to już kiedyś w filmie? W komiksie? Był już stary, przechodził na emeryturę, miał tego dość. Wstał z krzesła, a następnie zmusił się, aby usiąść ponownie.

— Chodzi o seks!

Dobry Boże, czyżby krzyknął?

— Seks?

Oczy Dooleya były najzupełniej niewinne. Jakby mówili o egiptologii.

— Seks. Tak. No wiesz.

Hal Owen zrobiłby to za niego, Hal wychował już jednego chłopca, dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej?

Dooley wyglądał tak, jakby za chwilę miał zasnąć na podnóżku, na którym siedział.

— Co takiego chce mi ojciec powiedzieć o seksie?

— Na początek, co o nim wiesz? Jeśli w ogóle wiesz cokolwiek, czy wiesz to, co ci jest potrzebne? I skąd będziesz wiedział, czy wiesz to, co ci jest potrzebne, to znaczy, nigdy nie wiadomo, czy się wie to, co jest potrzebne, dopóki...

Prawdę powiedziawszy, odczuł lekką ulgę, gdy Dooley wybuchnął mu śmiechem prosto w twarz. Chłopiec chwycił się pod boki, odrzucił do tyłu głowę i ryczał na cały głos. Następnie spadł z podnóżka na podłogę, gdzie zwinął się w kłębek, nadal trzymając się za boki, i chichotał jak hiena.

Ojciec Tim przez całe lata modlił się, żeby zobaczyć, jak Dooley Barlowe daje się w końcu ponieść emocjom i naprawdę się śmieje. To jednak było żalosne.

— Gdy już przejdzie ci ten atak hysterii — wtrącił — dokończymy naszą rozmowę.

Ponieważ nic lepszego nie przychodziło mu do głowy, przyjrzał się dokładnie swoim paznokciom i usiłował zachować resztki godności, jakie mu jeszcze zostały.

— Wielkie nieba, Timothy. Wyglądasz okropnie! Czy już to załatwiłeś?

— Tak, załatwiłem.

— Co mu powiedziałaś?

— To raczej... on mi powiedział.

— Naprawdę? — dopytywała się z rozbawieniem. — A co takiego ci powiedział?

— Wie o wszystkim.

— Większość nastolatków wie. Ogólnie mówiąc.

— I nie ma się czym martwić, nie ma nawet ochoty, żeby się całować z jakąś dziewczyną.

Cynthia uśmiechnęła się wyrozumiale.

— Tak, kochanie — zgodziła się.

Nie powie nikomu ani słowa o czeku na dwa tysiące dolarów, jaki dał na tacę w niedzielę Mack Stroupe. Miał tylko nadzieję, że Emma się nie wygada.

Przynajmniej pod tym względem można było na niej polegać, chociaż przecież to właśnie ona powiedziała mu o czeku. Od samego początku określił jej jasno, czego oczekuje: „Nie mów mi o pieniądzach, nie muszę o tym wiedzieć”. Jak często powtarzał, nie chciał patrzeć na twarze swoich parafian i widzieć banknotów dolarowych.

— Harley, czy grałeś kiedyś w softball?

— Nie, wielebny, nigdy nie zajmowałem się sportem.

— No cóż.

— Biegam tak, że nikt mnie nie dogoni, ale odbijanie i łapanie piłki nigdy nie było moją mocną stroną.

Pastor przyglądał się zbiornikowi nad toaletą Harleya, który ostatnio zaczął przeciekać.

— Dziękuję, że sprawdza pastor moją toaletę, nie daje mi spać w nocy, ponieważ jest po drugiej stronie ściany, tuż przy mojej głowie.

— Jest w wieku matuzalowym, ale myślę, że uda mi się ją naprawić.

— Chciałbym, żeby pozwolił mi ojciec teraz naprawić coś dla siebie, mam w tym względzie zaległości.

— Nie przychodzi mi do głowy nic, co wymagałoby naprawy — podziękował, wyjmując ze swojego pudełka z narzędziami klucz francuski.

— Może to nie jest coś, co wymaga naprawy, a jedynie opieki.

— No cóż.

Czy Dooley nie wolałby pobierać lekcji jazdy samochodem u prawdziwego mechanika, który zajmował się samochodami wyścigowymi, niż u księdza? Był pewien, że lekcje Harleya byłyby bardziej interesujące, a nawet mógłby przekazać Dooleyowi jakieś wskazówki odnośnie do bezpiecznej jazdy, prosto z toru wyścigowego. Poza tym, nawet biorąc pod uwagę nową przekładnię w buicku, ciężarówka Harleya będzie zdecydowanie bardziej pociągającym pojazdem dla czternastoletniego chłopca.

— Jest coś, co mógłbyś zrobić — zaczął — jeśli będziesz na miejscu w sobotę.

Nieomal czuł kształt i ciężar kija w ręce. Ile to lat minęło od czasu, gdy przerzucił piłkę przez ogrodzenie? Zbyt wiele! Musi koniecznie zadbać o formę, myślał, biegnąc w górę Old Church Lane w swoim stroju do joggingu, Barnaba towarzyszył mu dzielnie, biegnąc przed nim na czerwonej smyczy.

Chłodniej dzisiaj, ale wilgotno. Zachmurzone niebo, spodziewany deszcz. A czyż ogród właśnie go nie potrzebuje? Nałożył kurtkę z kapturem, na wszelki wypadek.

Żałował, że nie potrafi nakłonić żony, żeby z nim biegała. Była niewolnikiem swojego stołu do rysowania, co ostatnio szczególnie ujemnie odbijało się na jej wyglądzie. Nieoficjalna posada diakona, obowiązek czuwania nad ich pękającym w szwach domostwem oraz praca autorki i ilustratorki książek dla dzieci były dla niej dużym obciążeniem. I czy on sam nie przyczynił się do pomnożenia jej już i tak licznych obowiązków poprzez zainstalowanie Bucka w pokoju gościnnym?

Szczerze mówiąc, zupełnie nie wiedział, jak sobie poradzić ze znalezieniem mieszkania dla nadzorcy, a przy nabierających tempa pracach budowlanych na strychu Buck prawie w ogóle nie miał czasu, żeby zająć się tym samodzielnie. Może Scott Murphy przyjąłby do siebie lokatora.

Podbiegł do niskiego kamiennego murku, z którego roztaczał się widok na dolinę przypominającą misterny patchwork, i usiadł ciężko z Barnabą, dysząc.

Roztaczał się przed nim widok, który Louella i wszyscy pozostali pensjonariusze trochę dalej na wzgórzu mogli podziwiać każdego dnia swojego życia tuż po przebudzeniu. Prawdziwa uczta dla oczu! Nie przychodził tu często, ale gdy już to robił...

To właśnie tutaj, siedząc na tym murku, zrozumiał w końcu, że może ją poślubić, że musi ją poślubić, i poczuł ten straszny niepokój, gdy zdał sobie sprawę, że mógłby ją stracić. I to właśnie tutaj postanowili razem z Cynthią że chcą zostać w Mitford, gdy przejdzie na emeryturę.

Czy zjawiał się w porę, żeby zobaczyć pociąg? Spojrzał na zegarek. Jeszcze pięć minut. Może zaczeka. Czy całe życie jest tak cholernie pilne, że nie może znaleźć nawet pięciu minut, aby zobaczyć widok, który sprawia mu taką przyjemność i radość?



Znajdował się zupełnie sam w tym miejscu, do którego — pomimo jego niepowtarzalnego piękna — przychodziło tak niewielu ludzi. Położone było wysoko nad miasteczkiem, z dala od utartych ścieżek, z dala od...

Usłyszał w dole dźwięk samochodu jadącego po wysypanej żwirem drodze, która prowadziła wzdłuż wąwozu i była rzadko używana, jedynie przez kilku miejscowych farmerów.

Spojrzał w dół i zobaczył, jak czarny samochód zjeżdża na pobocze i zatrzymuje się. Mężczyzna otworzył drzwi kierowcy i wyjrzał na zewnątrz, rozglądając się dookoła, a potem zamknął je z powrotem. Miał na głowie kapelusz, a może jakąś czapkę.

Bardzo elegancki samochód jak na Tucker's Mill Road, pomyślał pastor, spoglądając na zegarek. Może pociąg przyjedzie wcześniej.

Półciężarówka nie poruszała się tak wolno. Ujrzał obłok kurzu przez drzewa, a następnie błękitną półciężarówkę, jak zatrzymuje się z piskiem opon obok czarnego samochodu. Wskoczył z niej mężczyzna, obszedł z przodu półciężarówkę i przez chwilę stał obok czarnego samochodu. Wyglądało tak, jakby ktoś podał mu coś przez okno samochodu.

Kierowca szybko wsiadł z powrotem do półciężarówki, zapalił silnik i odjechał, wzbijając obłok kurzu, który następnie spowił całą okolicę.

Przyglądał się, jak samochód wycofuje się w wąską zatoczkę zawraca i toczy się nieomal bezszelestnie Tucker's Mill.

Na Boga, oto i pociąg; usłyszał jego słaby gwizd w oddali. Pojawił się w końcu na torach, wyłaniając się z drzew obok czerwonego budynku gospodarczego...

Scena, której przed chwilą był świadkiem — czy było w niej coś dziwnie niepokojącego?

...potem przemknął wzdłuż pól uprawnych obok rzędu malutkich domków i zniknął za drzewami.

Widząc wszystko z tego miejsca, nie potrafił stwierdzić, jaki to był samochód, ale tak naprawdę, jakie to miało znaczenie?

— Wystarczy! — zawołał do swojego psa.

Zaczęli zbiegać ze stoku, kierując się w stronę parku Baxter, właśnie gdy z nieba zaczęła się sączyć delikatna mżawka.

Jednak zamiast biec do parku, postanowił zbiec do samego podnóża góry i zaglądnąć do Oksfordzkich Antyków. Zapyta o Andrew i rozglądnie się za prezentem na urodziny Cynthii. Miał już nóż na gardle, zważywszy na to, że do dwudziestego lipca zostały jeszcze zaledwie dwa dni.

Marcie Guthrie, teściowa Puny i jedna z pięciu atrakcyjnych postawnych córek pani burmistrz, czytała romans, siedząc za kasą.

— Ojczy! Proszę wprowadzić psa, ale zakazać mu machać ogonem!

Przywiązał Barnabę do nogi ciężkiego stołu.

— Marcie, podsuń mi, proszę, kilka pomysłów na prezent urodzinowy dla mojej żony, a będę ci dozgonnie wdzięczny.

— No cóż! Na Boga! Niech pomyślę.

Cynthia miała tak nieskomplikowane potrzeby jak on, dzięki Bogu. I zawsze wydawała się wzruszająco wdzięczna, gdy dawał jej prezent.

— To musi być coś... cudownego — poprosił.

— Mam! — wykrzyknęła. — Dokładnie to, czego ojciec szuka! Proszę pójść ze mną.

Poszedł za nią do ogromnego orzechowego sekretarzyka z drzwiczkami z fazowanego szkła.

— O nie. Jest zdecydowanie za duży!

— Nie sekretarzyk. W takim razie przenośne biurko!

No tak! Obok sekretarzyka, na georgiańskim kredensie wystawione było przenośne biurko idealnej wielkości. Właśnie tego szukał, dokładnie, zrozumiał to od razu. Małe przenośne biurko z szufladą na przybory do pisania, wbudowaną podstawką na kałamarz i blatem pokrytym skórą. Idealne!

Bał się zapytać.

— Czterysta siedemdziesiąt dziewięć dolarów! — poinformowała go. — Nie jest aż tak stare, zaledwie z przełomu wieków.

— Uhm.

— Ale dla ojca jedynie czterysta. Andrew powiedział, że zawsze, gdy ojciec przyjdzie coś kupić, mam dać ojcu specjalną zniżkę.

— Zgoda!

Decydując się na zakup, czuł jednocześnie ogromną ulgę, ekscytację z powodu takiego znaleziska i chwilowe poczucie winy, że lekką ręką wydaje czterysta dolarów.

— Przyniosę ci czek jutro rano. Czy możesz je zapakować?

— Oczywiście, i proszę spojrzeć na tę malutką szufladę. Wyłożona starą chińską bibułą a tutaj jest jedna z oryginalnych stalówek.

Poczucie winy opuściło go natychmiast.

— Czy wie ojciec, co słyhać u Andrew? — dopytywała się.

— Jak się ma, kiedy wraca do domu?

— Nie wie. To wszystko wydaje mi się jakieś tajemnicze. Zazwyczaj nigdy nie wyjeżdża na tak długo. Ale oczywiście, to miasto rodzinne jego mamy i prawdopodobnie odwiedza swoich kuzynów i tak dalej...

— Prawdopodobnie. Rzadko go widuję, ale gdy go tutaj nie ma, tęsknię za nim.

— Dzwonił dwa razy, żeby zapytać, jak interes. Był jakiś... inny.

— O? Jak to: inny?

— Wydaje mi się, że... no cóż, jakby szczęśliwy czy coś takiego.

— Kuzyni mogą tak działać — odparł, uśmiechając się.

Nagle uświadomił sobie, że i on tęskni za własnym kuzynem, jedynym krewnym, jakiego ma na tym świecie. Zadzwoi do Waltera dzisiaj wieczorem.

Naciągnął kaptur i pobiegł Main Street ze swoim psem. Równie dobrze może zaglądnąć w jeszcze jedno miejsce, a potem już skieruje kroki do domu.

— Winnie?

Zostawił Barnabę przy drzwiach i spojrzął na cukierniczą ladę.

— Idę! — zawołała, wyłaniając się zza kotary, za którą kryła się kuchnia. — Ojczy, jak miło ojca widzieć!

— Słyszę, że ryba chwyciła haczyk!

— Raczej delikatnie skubnęła, sama nie wiem.

— W czym rzecz?

— Cóż, ta agencja handlu nieruchomościami chce wiedzieć wszystko, więc wysłałam im wszystkie informacje, ale nikt się jeszcze nie pokazał, żeby oglądnąć moją cukiernię.

— Wspaniale!

Wcale nie uważał, że to wspaniale, ale cóż innego mógł powiedzieć?

— Co to za agencja?

— Niejaka H. Tide Realty z... nie pamiętam, może z Florydy. Znowu Floryda.

— A ty co o tym myślisz?

— Najpierw tak bardzo chciałam, żeby ktoś się nią zainteresował, a gdy w końcu tak się stało, to zrobiło mi się tak jakoś...

— Jak?

— Przykro.

— Rozumiem.

— Naprawdę?

— Oczywiście.

Spojrzała na niego niepewnie.

— Wiesz, że chcemy, żebyś została. Ale jeśli postanowisz wyjechać, pamiętaj, że też będziemy z tobą.

Winnie odetchnęła z ulgą.

— To dobrze! Nie wiem dlaczego, ale zawsze czuję się lepiej, gdy z ojcem porozmawiam.

— Może to moja koloratka.

— Proszę się poczęstować napoleonką! — nakłaniała go, jak zwykle serdeczna i gościnna.

— Daj mi spokój, zdecydowanie nie. Ale powiem ci coś — mam pełen dom ludzi, więc zapakuj mi dwanaście paczków, Dooley będzie zachwycony, i Harley też, i co jeszcze, dwanaście owsianych ciastek...

— Niskokalorycznych! — zawołała.

— Wspaniale. A co to za ciasto tam po prawej stronie? To z kruszonką na wierzchu?

— Czereśniowe!

— Moje ulubione. Zapakuj mi je!

Wydanie czterystu dolarów tak bardzo poprawiło mu samopoczucie, że próbował to zrobić jeszcze raz.

Rhody Davis miała dzisiaj zostać poddana zabiegowi amputacji nogi.

Modlił się za nią o świat, tuż po lekturze Blaise'a Pascala\*. Młody mężczyzna, który żył w siedemnastym wieku, wiedział to, czego Rhody Davis i kilku innych na jego obecnej liście modlitw potrzebowali bardziej niż czegokolwiek innego.

\* Blaise Pascal (1623-1662) — francuski matematyk, fizyk, filozof i pisarz; obrońca jansenizmu, krytyk moralności jezuickiej.

„W sercu każdego człowieka jest pustka w kształcie Boga — napisał Pascal. — I nigdy nie wypełni jej nic, co zostało stworzone. Wypełnić może ją jedynie Bóg, przez Jezusa Chrystusa”.

Pascal olśnił Europę swoimi naukowymi równaniami matematycznymi, gdy miał zaledwie szesnaście lat, i napisał o pustce w kształcie Boga, gdy był niewiele starszy.

Nieomal każdego dnia swojej posługi duszpasterskiej ojciec Tim widział, co się dzieje, gdy ludzie usiłują wypełnić to puste miejsce czymś, co zostało stworzone. Pauline próbowała wypełnić je alkoholem. Rhody Davis próbowała wypełnić je cudzym dzieckiem...

Zamknął oczy i modlił się za tych, którzy szukają rozwiązania w stworzonych rzeczach, oczekując tak wiele i nie otrzymując nic.

Całe miasto mówiło o tym, że oferta kupna posiadłości Fernbank jest zasługą Macka Stroupe'a i że stanie się źródłem cudów dla gospodarki Mitford. Takie przedsięwzięcie nie dość, że przyciągnie ludzi z innych części kraju, a może nawet świata, to jeszcze zdecydowaną większość personelu będzie stanowić miejscowa ludność. Całe to projektowanie ogrodów, wszystkie naprawy i konserwacja, cała ta wymiana dachu i nowe instalacje wodno-kanalizacyjne — i wszystkie te pieniądze, które będą płynąć do kieszeni obywateli Mitford.

Według niektórych, Fernbank już był sprzedany, transakcja została sfinalizowana.

Mack Stroupe mógł się czuć zadowolony.

Zadzwoił do biura pani burmistrz.

— Nie ma jej — poinformowała go przeraźliwie nieśmiała Ernestine Ivory, która pomagała pani burmistrz przez dwa dni w tygodniu.

— Mogę zapytać, gdzie jest?

— Pojechała do szkoły. Realizuje pewien specjalny program dla dzieci.

— Dzieci nie mogą głosować — zauważył.

— Tak, ojcze, to prawda. Ale rodzice mogą. Strzał w dziesiątkę.

— Proszę jej przekazać, że dzwoniłem.

Harley pokiwał głową z poważną miną.

— Nie pozwól mu namówić się do niczego, co uznałbyś za niewłaściwe...

— Tak, proszę ojca.

— ... albo niebezpieczne. Szczególnie niebezpieczne!

— Nie, proszę ojca. Nigdy bym się na to nie zgodził.

Pastor westchnął i przysunął się do pracującego wiatraczka Harleya.

— Nie, proszę się nie obawiać, wielebny. Będę na niego uważał jak na własnego syna.

— Wiem o tym.

— Dostanie niezły wycisk.

— Tak.

— Skoro już mam w swoim towarzystwie wykształconego człowieka, byłbym wdzięczny, gdyby mógł mi ojciec pomóc trochę w moim zadaniu domowym.

— Twoim zadaniu domowym?

— Lace wbiła sobie do głowy, że musi mnie wykształcić, i za dzień czy dwa robi mi test.

— Jak się z tym czujesz?

— Chętnie bym zrezygnował, ale ona uparła się, żeby mnie czegoś nauczyć. Lace często było ciężko w życiu i nie chciałbym jej zawieść.

— To prawda. Jak mogę ci pomóc?

— Cóż, proszę tu spojrzeć. Sześćdziesięciu uczniów z siódmej klasy zwiedzało Statuę Wolności w Nowym Jorku. Dwie trzecie z nich wspięło się do połowy, a jednej czwartej udało się wejść na samą górę. Reszta grupy została na dole, u podnóża cokółu, tak tu jest napisane. Ilu studentów nie weszło po schodach? Za żadne skarby świata nie mogę tego wyliczyć.

Pastor otarł czoło.

— Ojej.

— Tutaj jest jeszcze jedno i to jest łatwiejsze. Odległość pomiędzy pochodnią Statuy Wolności a dołem podstawy wynosi dziewięćdziesiąt dwa metry. Jeśli cokół, na którym stoi statua, jest wysoki na dwadzieścia siedem metrów, to jak wysoka jest podstawa?

— Pozwól, że pójde się napić wody, a potem wrócę i zobaczę, co mogę zrobić.

Kiedy pił szklankę wody przy zlewozmywaku w kuchni Harleya, słyszał, jak szepcze w swoim pokoju:

— Elton myje okna w biurowcu. Niektóre biura mają cztery okna, niektóre sześć...

Jak on się w ogóle w to wpakował?

Ucałował jej kark, tuż pod końskim ogonem, jaki ostatnio zaczęła nosić.

— Czy jest coś specjalnego, co chciałabyś zrobić w swoje urodziny?

Błagam, Boże, nie pozwól jej, żeby powiedziała — domowa chwila wytchnienia. Ja nie mam czasu, ona nie ma czasu, to nie ma szans na powodzenie.

Westchnęła.

— Obydwoje jesteście wyczerpani, najdroższy. Nie planujemy żadnych wymyślnych kolacji ani tanga, kupmy coś na wynos z chińskiej restauracji w Wesley, zamknijmy drzwi do sypialni i odpocznijmy.

A co ich tętniący życiem dom powie na takie rozwiązanie? No cóż.

— Zajmę się tym — obiecał, przyciągając ją do siebie.

— Ron, czy kiedykolwiek odbyła się dyskusja z Miami Development na temat należącego do Fernbank sadu? Są tam sto sześćdziesiąt dwa drzewa i wszystkie nadal owocują.

— Mówiła o sadzie za pierwszym razem, gdy tu była. Wykarczują go. Właśnie tam stanie większość domów.

Drobiazg, ale bardzo go to zabolalo. Te drzewa upuszczały swoje owoce do ręki każdego, kto obok nich przechodził, przez wiele lat. Napelniały zamrażarki Mitford szarlotkami i ciastami z kruszonką i tłoczyły się na niezliczonej liczbie półek w spiżarniach pod postacią konfitur i innych przetworów.

I coś jeszcze mniej ważnego, ale jednak zauważył, że Ron powiedział: „stanie większość domów”.

Nowy program opieki dziennej dla dzieci ruszał w Lord's Chapel dokładnie w chwili, gdy brygada Bucka Leepera rozpoczęła swoją inwazję na strych.

Zważywszy na to, że jedyne wejście na strych prowadziło przez właz nad amboną, już samo dostanie się tam stanowiło odrębny projekt.

Pod nadzorem Bucka brygada usunęła kamienie ze wschodniej ściany, wycięła otwór w słupach, płytach i ociepleniu, zainstalowała nadproże i próg, i stworzyła w ten sposób wejście z podwójnymi drzwiami. Do chwili, gdy będzie można zbudować zewnętrzne schody, drabiny i rusztowanie umożliwiły brygadzie wciąganie na górę drewna na ściany działowe do klas i toalety.

Wszystko posuwało się do przodu dokładnie tak, jak tego oczekiwał; jego włosy — a raczej to, co z nich pozostało — pokryte były mialkim pyłem, tak samo jak ławki i wszystko, co znajdowało się poniżej. Klęczniki też podzieliły ten los, więc gdy parafianie ubrani na czarno podnosili się z kolan, przody ich spódnic i spodni nosiły wyraźne oznaki pobożności.

Każdy inny, myślał, przeszedłby na emeryturę i zostawił przebudowę strychu kolejnemu nieszczęśnikowi, ale on odprawiał msze i głosił kazania pod tym ogromnym pustym poddaszem przez szesnaście lat, marząc o dniu, w którym będą mogli zapelnic je dziećmi.

Tak, nad głowami jego kongregacji rozlegnie się tupot małych nóżek, chociaż podjęte zostaną działania, aby znacznie wytłumić hałas. Będzie to jednak dźwięk, który chętnie usłyszysz.

Puny spotkała go w drzwiach wejściowych, opierając Sissy na jednym biodrze, a Sassy na drugim.

— Ojciec, wydaje mi się, że nie powinnam przynosić do pracy dziewczynek, chociaż wiem, jak wiele znaczy dla ojca ich obecność.

Wyglądała na bardzo zmartwioną.

Wziął Sissy i szedł korytarzem za swoją pomocą domową.

— Ba! — zawołała wesoło dziewczynka, uderzając go w głowę plastikową patelnią. — Ba!

— Tak ojca nazywa, wiedział ojciec o tym?

— Naprawdę?

— To ojca imię. Gdy pokazuję jej ojca zdjęcie ze ślubu, zawsze mówi: „Ba!”

Czuł się zaszczycony. Ba! Nigdy wcześniej nie miał żadnego innego imienia — z wyjątkiem „ojciec”.

Usiadł przy kuchennym stole, posadził bliźnięta na obydwu kolanach i natychmiast zaczął je na nich podrzucać.

— Wiem, że trudno ci pracować z tymi dwoma maleństwami

— Nie jestem już w stanie prawie niczego zrobić, ale tak bardzo nie chciałam oddawać ich pod opiekę w ciągu dnia, są dziećmi tylko raz i nie chciałam...

Puny była bliska łez.

— Nie chciałam tego stracić!

— Oczywiście! Wiem, że to dla ciebie bardzo duży wysiłek, ale postaramy się jakoś ci pomóc. Jesteśmy bardzo zadowoleni ze wszystkiego, co robisz, Puny. Jesteś najlepsza i zawsze byłaś.

Rozchmurzyła się. Uwielbiał widok rudowłosej i piegowatej Puny Guthrie, która była dla niego jak krewna, nieomal jak córka, której nigdy nie miał. Poza tym, kto inny czyściłby mu buty z pleśni, odkurzał ściany pod obrazami, naprawiał koszule, piekł zasługujący na medal chleb kukurydziany i utrzymywał w jego garderobie taki porządek jak na wieszakach w sklepie z ubraniami. Nikt inny nie zrobiłby tego wszystkiego, co ona potrafiła zrobić nawet przy dwóch raczkujących maluchach, był tego pewien.

— W następnym tygodniu rusza dzienna opieka organizowana przez Kościół. Poczekaj jeszcze trochę i gdybyś chciała je oddać na dzień czy dwa, żeby zobaczyć, jak się będą miały sprawy...

— Dziękuję, ojcze! Jest ojciec cudownym dziadkiem. Czy mógłby je ojciec przez chwilę potrzymać, a ja pobiegnę na górę i zniosę pranie?

— Mama! Mama! — zawołała Sassy.

— Ba! — westchnęła Sissy, tuląc się do niego.

Zanurzył nos w zmierzwionych włosach dwóch główek i pomyślał, że wzięwszy wszystko razem, ma w życiu bardzo dużo szczęścia. Potrzebował wyzwania... Ale chwileczkę, czy potrzebował tej ciepłej, mokrej, coraz większej plamy, która robiła się na jego lewym kolanie?

Wziął prysznic, ona wykapała się w wannie z dużą ilością pachnącej piany; wyłożyła dla niego czysty szlafrok, on poklepał poduszki pod jej głową; pochłonęli kurczaka z migdałami, krewetki z sosem z homarów i dwie sajgonki.

— I jaka jest twoja wróżba? — chciała wiedzieć, wyraźnie niezadowolona z własnej.

— Czeka mnie niespodzianka i duże uznanie.

— Też mi coś, kochanie, zawsze spotykasz się z dużym uznaniem. Wszyscy cię kochają, to tak jakbym była żoną papieża. Posłuchaj mojej. „Czeka cię ogromne zwycięstwo!” Kto to pisze?

— Teraz — poprosił.

— OK!

— Zamknij oczy.

— Ubóstwiam ten moment — wyznała, zasłaniając dłońmi oczy. — Nie chcesz, żebym zgadywała?

— Zdecydowanie nie. Od razu przechodzimy do puenty.

Podszedł do garderoby, wyjął pudełko, które Marcie zapakowała w ekskluzywny brązowy papier pakunkowy Oksfordzkich Antyków, i położył je na łóżku obok żony.

— OK. Możesz spojrzeć.

— Pudełko! Uwielbiam pudełka!

— Zabieraj się do dzieła, Kavanagh.

Zerwała kokardę z rafii i papier, a potem oderwała taśmę na wierzchu pudełka.

Pomógł wyjąć przenośne biurko i położył je na jej kolanach.

— Timothy! — szepnęła z niedowierzaniem.

— Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, moja kochana. Bez wątpienia trafił w dziesiątkę.

Leżeli w łóżku, trzymając się w objęciach, a ciepła poświata, jaką rzuciła jej nocna lampka, zdawała się ogrzewać pokój.

— Jesteś wspaniała! — powiedział z przekonaniem. Uśmiechnęła się.

— Ale jestem stara!

— Stara? Ty? Nigdy!

— Spójrz tylko na te kurze łapki...

— Nie widzę żadnych kurzych łapek — zaprzeczył, całując jej kurze łapki.

— Ojczy, mówi Lottie Greer.

Lottie Greer — niezamężna siostra Absaloma Greera, starszego księdza nauczającego w duchu odnowy religijnej, który kochał Sadie Baxter...

— Chodzi o Absaloma. Usłyszał strach w jej głosie.

— Co się stało?

— Zapalenie płuc. Chce, żeby się ojciec modlił.

— Będę, panno Lottie, i inni razem ze mną. Czy mam przyjechać?

— Prosił tylko, żeby się ojciec modlił. Ma wodę w płucach.

Zapewnił ją, że cały czas jest do dyspozycji, że powinna dać mu znać, co mógłby zrobić. Następnie zadzwonił do Cynthii i do wszystkich członków kościelnego łańcuszka modlitewnego.

Pokochał Absaloma Greera. Elokwentny, niewykształcony kaznodzieja odcisnął piętno na jego życiu, podobnie jak na życiu niezliczonej liczby innych, nie wyłączając Pauline i Lace. Był jednym spośród ginącego gatunku starych wojowników, którzy nieustraszenie stawali twarzą w twarz z grzechem, głosili żal za grzech i zbawienie i nie owijali niczego w bawełnę, gdy przychodziło do Ewangelii Jezusa Chrystusa.

Koniec kropka, starszy mężczyzna był jego bratem. Pojedzie do niego w niedzielę.

Na co czeka?



Pytanie pozostawało niewypowiedziane, ale za każdym razem, gdy spotykał któregoś członka rady parafialnej, czuł jego brzemień. Trzydzieści dni? Po co? Ingrid Swenson nie wygląda na kogoś, kogo można wywieść w pole i nakłonić do wyłożenia dwustu dziewięćdziesięciu pięciu po tym, jak ona zaoferowała sto dziewięćdziesiąt osiem. Sęk jednak w tym, że nieruchomości jest z całą pewnością warta dwieście dziewięćdziesiąt pięć i jego zdaniem, Miami Development usiłuje ją ukraść. Pozwolenie, aby to ktoś wywiódł ich w pole, nie było łatwą do zniesienia zniewagą.

Odpowiedź brzmiała, że nie wie, na co czeka. Wiedział tylko, że sprzedaż Fernbank Miami Development jest krokiem, który nie wydaje mu się właściwy. Być może będzie zdawał się właściwy później — ale z kolei później może być za późno.

Ależ był z tego niezadowolony, okropnie niezadowolony.

Udawał, że nie robi to na nim większego wrażenia, i krzątał się po bocznym ogrodzie, podczas gdy oni wyjeżdżali z podjazdu na drogę. Dooley promieniał jak centrum Holding w Boże Narodzenie, a sam Harley też generował kilka kilowatów.

Podniósł wzrok i pomachał im, a oni pomachali do niego.

Czwarta trzydzieści. Dooley wyszedł z pracy pół godziny wcześniej i obiecali, że będą z powrotem w domu około szóstej.

Spojrzał ponad żywopłotem na mały żółty domek. Skrzynka na kwiaty wymagała naprawy, śruba się obluźowała i skrzynka pod oknem pracowni wisiała pod zawadiackim kątem.

Jaka szkoda, że tak rzadko korzystali z małego domku. Ale pewnego dnia...

Powinien w końcu się tym zająć i poprosić Bucka, żeby przyjrzał się domkowi, powiedział im, co powinni zrobić, pomógł im ruszyć z rozbudową i remontem. Obecność Bucka Leepera była najlepszą okazją, aby skorzystać z rady najwyższej klasy fachowca.

Odwrócił się, żeby wejść do środka, ale po chwili zatrzymał się i spojrzał ponownie na żółty domek.

Na Jowisza!

— Ale nigdy nie będziecie tam jednocześnie, ponieważ gdy ty będziesz pracować, on będzie w pracy.

— Ten wielki mężczyzna w roboczych butach i drelichowych spodniach, chodzący i dłubiący w zębach? Po moim domu? Na litość, Timothy...

— Jego firma będzie płaciła czynsz.

— Naprawdę uważasz, że tak będzie dobrze?

— Oczywiście, że tak będzie dobrze. Jeśli Buck tam zamieszka, zobaczy dokładnie, czego będziemy potrzebować i jak to wszystko zrobić, i nie będziemy musieli zatrudniać architekta, może to sam narysować — i zatrudnić brygadę.

Zmarszczyła czoło.

— Sama nie wiem...

— To wspaniała okazja.

— W takim razie, załatwione — odparła, cytując swojego księdza.

Za kwadrans szosta stał we frontowych drzwiach, przyglądając się ulicy. Następnie wyszedł i usiadł na najwyższym stopniu frontowych schodów.

— Usiądź ze mną — zawołał Cynthię.

Wyszła i usiadła obok niego, biorąc go za rękę.

— Zastanawiałam się... — zaczęła.

— Och.

— Chcę wziąć udział w meczu softballu.

— Naprawdę?

— Tak. Umiem odbijać piłkę. Umiem biegać. Umiem...

— Umiesz gwizdać.

Włożyła palce do ust i zagwizdała tak, że na chwilę stracił słuch.

— Jesteś świetna, Kavanagh.

— Więc weź mnie do gry.

— Będziesz jedyną kobietą.

— Jak na razie — wtrąciła. — Słyszałam, że Adele Hogan chce grać.

— Funkcjonariusz policji? Żona J.C.?

— Jest najgorszym graczem softballu pod słońcem. Przynajmniej sama tak twierdzi.

— J.C. nic o tym nie wspominał.

— Może uważał, że to gra dla mężczyzn.

— No cóż — zauważył — tak było...

O siódmej wieczorem był gotów rozpocząć poszukiwania w Farmer. Razem z Harleyem stwierdzili, że to idealne miejsce na lekcje jazdy samochodem.

Może jednak najpierw powinien zadzwonić do szpitala. Poszedł do salonu, szukając telefonu bezprzewodowego.

Cynthia wcale się nie martwiła.

— Daj im jeszcze piętnaście minut. Jest piękny letni wieczór...

— Tak, ale Harley wiedział, o której mają wrócić do domu, nie zrobiłby tego. Dzwonię na policję.

Barnaba zaszczekał przeciągle. Biegnąc do frontowego holu, pastor zobaczył stojącego na ganku Harleya. Wyglądał tak, jakby siłował się z niedźwiedziem.

— Tak, wielebny, nie chciałbym ojca martwić... Otworzył pchnięciem drzwi z siatki.

— Gdzie jest Dooley? Co się stało?

— Ostatnia rzecz, jakiej bym chciał, to przysporzyć zmartwienia ojcu i pani...

— Powiedz mi, Harley.

— Nie, proszę ojca, nigdy nie chciałbym być powodem zmartwienia w tym d o m u . . . .

— Do licha, Harley, jestem zmartwiony i będę, dopóki nie powiesz mi, co na Boga się stało?!

— Cóż, proszę ojca, chłopiec jest bezpieczny.

— Dzięki Ci, Boże.

— Rozbiliśmy moją ciężarówkę.

— Nie!

— Tak!

— Kto to zrobił?

— Proszę ojca, nie chciałbym ojca martwić...

— Harley...

— Ojca chłopiec.

— Dobry Boże!

— Ale to była moja wina.

— Jesteś pewien, że nic mu się nie stało? Gdzie on jest?

— Nie, proszę ojca, jemu nic się nie stało, ucierpiała tylko moja ciężarówka.

— Jak bardzo?

— Ma rozbity cały przód i tak dalej.

— A silnik?

— Jak nowy.

— Jak dostaliście się do domu?

— To znaczy po tym, jak wyciągnęliśmy ją z rowu?

— Tak.

— To znaczy po tym, jak wyciągnęliśmy ją z rowu i pomogliśmy farmerowi zapędzić krowę z powrotem na pastwisko?

— Jąką krowę?

— Tę, która wybiegła na drogę i sprawiła, że chłopiec musiał gwałtownie zahamować i wylądował w rowie.

— Rozumiem.

Pastor spojrział na podjazd i zobaczył Dooleya spoglądającego na niego zza krzewu.

— Tak bardzo nie chciałbym, żeby się ojciec martwił...

Ha. Martwienie się stało się jego drugą naturą — i tak zostanie, przynajmniej dopóki Dooley Barlowe nie wróci do szkoły, gdzie ktoś inny będzie się mógł martwić za niego.

## Rozdział trzynasty

POLA BIELEJĄ NA ŻNIWO

Przekręcił klucz w zamku i wszedł do kancelarii, nie mogąc się oprzeć złemu przeczuciu, gdy otwierał okna, a później włączył wiatraczek. Dzisiejsza temperatura była bliska temu, z czym musieli sobie radzić na Florydzie.

Usłyszał skrzypienie zawiasów w drzwiach do łazienki i odwrócił się. Stała tam Edith Mallory w czymś, co przypominało szlafrok.

— Edith...

Uśmiechnęła się i ruszyła w jego stronę, pachnąc mocnymi papierosami, które paliła, odwiązując pasek... — Timothy!

Otworzył oczy i ujrzał nad sobą zaniepokojoną twarz żony.

— Dzięki Bogu! — zawołał, siadając.

— Te koszmary, które ostatnio ci się śnią... Zaczynam się tego bać. Co ci się śniło tym razem?

— Nie pamiętam — skłamał.

Złany potem sięgnął do nocnego stolika i włączył wiatraczek.

— Tak lepiej — uspokajała go. — Czy na pewno dobrze się czujesz?

— Tak. Przepraszam, że cię obudziłem.

— Nic nie szkodzi. Pamiętam czasy, gdy mnie w nocy budziły koszmary, a nie było nikogo, kto mógłby mnie pocieszyć.

Wyłączyła swoją lampkę nocną i przysunęła się do niego, ujmując jego dłoń.

Wkrótce znowu zasnęła, on jednak nie.

To nie pierwszy sen, jaki przyśnił mu się ostatnio o Edith Mallory. Wyraźnie pamiętał ten, w którym był zamknięty razem z nią w garderobie w świetlicy parafialnej, bijąc rozpaczliwie do drzwi, aby ktoś przyszedł mu z pomocą.

W czasie gdy kilka lat temu był w Irlandii, jej mąż, Pat, zmarł na atak serca. Gdy pastor wrócił do domu, uciekała się do wszelkich możliwych podstępów, aby go uwieść i zdobyć nad nim władzę. Nieustannie kusiła go, zawsze patrzyła na niego w sposób, który sprawiał, że miał ochotę uciekać gdzie pieprz rośnie, a raz nawet zatrzymała go wbrew jego woli na noc w Clear Day, swoim domu na najwyższym paśmie gór nad Mitford.

Przypomniał sobie wizytę w Szpitalu Dziecięcym, gdzie podarowała piętnaście tysięcy dolarów tak władczo, jakby to było ćwierć miliona, a potem jak dał się uwięzić na tylnym siedzeniu jej samochodu, podczas gdy ona głaskała go po nodze. Zażądał, aby Ed Coffey, jej szofer, zatrzymał samochód i wyskoczył z lincolna, choć był jeszcze w ruchu.

Po żalonym pojedynku, jaki stoczyli o bar Grill, który haniebnie przegrała, wyjechała do Hiszpanii i — o ile się orientował — nie wróciła, nie przysyła też swoich dorocznych datków na Lord's Chapel. I dobrze. Niech tak będzie. Nie chce tych pieniędzy, chociaż skarbnik na pewno się tym niepokoi.

Umiał zupełnie wyrzucić ją z pamięci, ale do chwili, gdy ktoś w barze Grill o niej nie wspomniał.

Nagle poczuł na nowo cały ten niesmak, który odczuwał przez lata, gdy błdził po nim jej wzrok, kiedy stał na ambonie...

Do licha.

Przewrócił się na bok i usiłował sobie wyobrazić, że bryza docierająca do niego od wiatraczka jest pasatem wiejącym na wyspie gdzieś na Oceanie Indyjskim.

— W domu mojej żony nie pali się papierosów. Czy będzie to dla ciebie problemem?

Buck Leeper słynął z tego, że dziennie wypala dwie paczki lucky strike'ów bez filtra.

— Nie ma sprawy. I tak znacznie ograniczyłem palenie.

Weszli do kuchni Cynthii, gdzie delikatny wiaterek wpadał do środka przez otwarte okno.

— Dom jest mały, ale...

— Jest coś, co chciałbym ojcu powiedzieć... — zaczął nadzorca budowlany.

Nastąpiła krótka chwila ciszy, podczas której Buck spojrzął na swoje buty robocze, a następnie na ojca Tima.

— Jestem wdzięczny za to, co ojciec dla mnie zrobił. Pastor pokiwał w milczeniu głową.

— Mogłem ojca zabić, gdy rzucałem tymi meblami.

Przypomniał sobie szalę pijanego Bucka w Tanner Cottage podczas budowy Domu Nadziei. Niezdolny do ucieczki siedział, modląc się, w czasie gdy gniew Bucka szalał przez długie godziny niczym wzburzony ocean.

— Przepraszam — powiedział Buck łamiącym się z emocji głosem.

— Nie ma o czym mówić.

Nie oczekiwał przeprosin za ten dawno miniony wieczór, ale usłyszawszy je, poczuł się lepiej. Instynktownie wyczuwał, że Buck nie chce nic więcej mówić.

— Cóż... widzisz, jak zatłoczony jest ten dom. Wybudowany rzeczywiście dla jednej osoby.

— Co chcielibyście zrobić?

— Chcielibyśmy wyburzyć tę tylną ścianę i dodać dużą pracownię z rzędem okien, może z oszklonymi drzwiami prowadzącymi na taras, który mógłby stanowić połączenie z garażem na dwa samochody i dodatkowym pomieszczeniem pełniącym rolę schowka. Wiem, że mógłbyś nam pomóc to zaplanować. Myśleliśmy też, że dobrze będzie wybudować w tej części kominek, najlepiej z okolicznego kamienia, z półkami po obydwu stronach. Och, i podłogi z desek, oczywiście, z jeszcze jedną łazienką obok pracowni. Jedyne łazienka znajduje się na górze, co przypomina mi...

To było ekscytujące. Nabierał na to coraz większej ochoty.

— ...zastanawialiśmy się nad poszerzeniem schodów, jeśli to możliwe, i wybudowaniem schowków na półpiętrze, ale wybiegam zbyt daleko. Skoro jesteśmy w kuchni, co myślisz o odrębnym stanowisku do gotowania i oknach wykuszowych wychodzących na żywopłot?

Buck wyjął z ust wykałaczkę i rozglądnał się po małym pomieszczeniu.

— Chcecie tu mieszkać za rok?

— Zgadza się!

— No to nie macie ani chwili do stracenia — stwierdził.

*Mack Stroupe już podejmuje wysiłki, by wesprzeć gospodarke Mitford*

— Nie zamierzam czekać, aż zostanę wybrany, aby pracować ciężko dla Mitford — mówi kandydat na burmistrza Mack Stroupe ze swojego biura wyborczego w centrum miasta. — Już teraz ciężko pracuję, aby przyciągnąć nowe inwestycje i rozwój. Poleciałem na przykład doskonałą nieruchomość Sweet Stuff pewnej firmie z branży nieruchomości i udało mi się znaleźć inną agencję handlu nieruchomościami, która zainteresowała się posiadłością Fernbank. Gdy transakcja dotycząca Fernbank zostanie sfinalizowana, wszyscy skorzystają na tym finansowo.

Stroupe startuje w wyborach jako kontrkandydat urzędującego burmistrza, Esther Cunningham, która piastowała tę funkcję przez osiem kadencji, z czego trzy razy jako jedyny kandydat.

Sobotnie przyjęcia z grillem Stroupe'a, na które wstęp jest wolny, będą wydawane aż do tygodnia, w którym odbędą się wybory, na terenie jego biura wyborczego przy Main Street.

W najbliższą sobotę czeka nas koncert muzyki country w wykonaniu lubianej przez wszystkich Wesley Washtub Band. Wszyscy są zaproszeni;

Nie uszła jego uwagi terminologia Macka: „gdy transakcja dotycząca Fernbank zostanie sfinalizowana...”.

Część listu panny Sadie kołatała mu się cały czas po głowie jak powtarzający się refren.

„Zostawiam Fernbank, aby zaspokoił wszystkie przyszłe potrzeby Domu Nadziei” — napisała. „Proszę robić z moim domem wszystko, co uzna ojciec za stosowne, ale proszę go traktować z sercem”.

Proszę go traktować z sercem.

Czy sprzedaż domu za połowę jego wartości jest traktowaniem go z sercem? Przez całe dorosłe życie Sadie Baxter żyła skromnie, aby pieniądze jej mamy i taty mogły zostać mądrze zainwestowane. Czy jej ubóstwo i zapobiegliwe gospodarowanie nie dostarczyły pięciomilionowego budżetu Domowi Nadziei i nie zapewniły domu czterdziestu osobom, które tak go potrzebowały?

Kim był, aby przełykać arogancką ofertę, która okrada kasę godnej instytucji?

W takim razie jednak jaka jest alternatywa?

Tam i z powrotem, tam i z powrotem — zawsze to samo pytanie i nigdy odpowiedzi. Przynajmniej nie w jego przypadku.

Nie umiał już sam sobie z tym dłużej radzić.

Wstał z sofy i ukląkł przy biurku w pogrążonym w ciszy salonie.

— Panie, dom panny Sadie należy do Ciebie, powiedziała mi to kilka razy. Wiesz, że mam z tym prawdziwy problem. — Przerwał. — Prawdę powiedziawszy, to Ty go masz, ponieważ powierzam Ci go

teraz, całkowicie i zupełnie. Zrobię to, co do mnie należy, pokaż mi tylko, co to takiego. W imię Jezusa, amen.

— Jajka w szklance, chleb pełnoziarnisty, bez kaszy — poprosił Velmę, idąc do tylnego boksu.

— J.C., mam dla ciebie pomysł na artykuł.

— Tylko nie sprzedawaj mi żadnego małomiasteczkowego, przyjemnego tematu — warknął wydawca. — Mam tego po dziurki w nosie.

— Słyszałem, że kandydaci w wyborach politycznych muszą wypełnić deklarację, w której ujawniają wysokość środków na finansowanie kampanii wyborczej, jak również to, z jakiego źródła pochodzą. Dowiedziałem się też, że każdy, włącznie z mediami, może zażądać przedstawienia takiej deklaracji.

Widział, że J.C. rozumie, co chce powiedzieć, ale jednocześnie wcale nie był z tego zadowolony.

— Więc dlaczego nie poprosisz Macka Stroupe'a, żeby ci ją pokazał? — zapytał.

— A dlaczego ty tego nie zrobisz? — zapytał pastor.

— Ojcze?

Dzwoniła Lottie Greer. Lata doświadczenia powiedziały mu wszystko, co musiał wiedzieć.

— Już jadę — obiecał.

Zaparkował na końcu długiego sznura samochodów i półciężarówek stojących przy wiejskiej drodze i poszedł do sklepu Greera.

Mężczyźni, w spodniach na szelkach i roboczych ubraniach, zebrali się na ganku; wielu z nich paliło i wszyscy mówili półszepem.

Skinęli mu na powitanie, gdy wchodził po schodach. Usłyszał słaby śpiew w środku.

— Jak się czuje? — zwrócił się z pytaniem do starszego mężczyzny siedzącego na ławce.

— Niedobrze, proszę kaznodziei.

Otworzył wysłużone drzwi z siatką, które zamykały się za nim przy szczęśliwszych okazjach, i wszedł do sklepu, który przypominał wewnątrz z płótna Rembrandta. Stare podłogi i wypolerowane drewno, słabe żarówki, zachodzące popołudniowe słońce, które wpadało przez okna — wszystko to było piękne; jakby święte, bardziej przypominało kościół niż sklep. Ale czy Absalom Greer nie głosił dobrej nowiny w tym właśnie miejscu przez prawie siedemdziesiąt lat?

Kilka kobiet siedziało wokół wystudzonego letniego pieca, rozmawiając szepem. Jedna z nich śpiewała miękko z chórem, który znajdował się wewnątrz.

— „...który przywołujesz mnie ze świata trosk i zapraszasz przed tron Ojca, spraw, by poznał moje potrzeby i pragnienia...”

Trzej mężczyźni w niezbyt dobrze leżących ciemnych garniturach przywitali się z nim przy drzwiach mieszkania, w którym Absalom mieszkał ze swoją siostrą Lottie. Wszyscy trzymali w rękach Pismo Święte i wszyscy albo zwracali się do niego, albo kiwali głową, jakby go znali.

Lottie Greer siedziała na fotelu przy kominku, który zawsze mu oferowała, gdy ich odwiedzał.

— Panno Lottie...

Podniosła wzrok, wychudzona i przerażająco wątła. Na jej kolanach spoczywała laska.

— Powiedział wczoraj, że chce się z ojcem zobaczyć. Chciał odejść w domu, tak jak w dawnych czasach.

Oparł dłoń na jej ramieniu.

— Trzyma się jeszcze przy życiu — szepnęła, opuszczając głowę. — To bardzo trudne.

— Tak — odparł. Rozumiem.

I taka była prawda. Jego mama też trzymała się przy życiu, staczając godną walkę.

Siedmiu czy ośmiu mężczyzn zgromadziło się pod otwartymi drzwiami do sypialni Absaloma i cicho, ale z mocą śpiewało starą pieśń, którą znał od dziecka.

— Chciał, żebyśmy śpiewali jego ulubione — wyjaśnił jeden z mężczyzn z Pismem Świętym. — Proszę do nas dołączyć, jeśli ma ojciec ochotę. Jest z nim teraz lekarz, wygląda na to, że co jakiś czas traci świadomość.

— Lena, przynieś coś dla ojca — poprosiła Lottie.

— Właśnie nalałam szklankę herbaty, panno Lottie. Mam nadzieję, że lubi ojciec słodką — dodała, umieszczając w jego dłoni lodowatą szklankę.

— O tak. Dziękuję.

— I ciasto. Na pewno chętnie poczęstuje się ojciec ciastem. — Starła się jak najlepiej podjąć gościa.

— Dziękuję, nie teraz.

— W takim razie proszę się poczęstować, jak tylko będzie miał ojciec ochotę — zaprosiła go, wskazując na kuchenny stół pełen żywności. — To wszystko do zjedzenia, nie do wyrzucenia.

Zarumieniła się lekko i dygnęła ledwie zauważalnie.

— Mam nadzieję, że spróbuje ojciec mojego odwróconego ciasta ananasowego, jest obok zlewozmywaka.

— Głośniej! — zachęcała jedna z osób z chóru. — Brat Greer lubi głośny śpiew.

— *Jezu, Ty kochasz duszę mą...* — zaczęli, powtarzając słowa Charlesa Wesleya.

Dołączył do nich.

*Jezu, Ty kochasz duszę mą... Pozwól mi wznieść się do Ciebie, Wodom na przekór, co wartko płyną. Mój Zbawicielu, ukryj mnie... Na przekór burzom, co wciąż grzmią, Zanim znój życia przeminie, Przyjmij do siebie duszę mą, Prowadź ją ku niebiańskiej krainie...*

*Nie mam ratunku innego; Ufność mojej duszy w Tobie; Nie zostawiaj mnie samego Wspieraj i pocieszaj wciąż mnie...\**

\* Tłumaczyła Beata Kuźniar.



Poczuł się tak, jakby znowu był dzieckiem, w kościółku baptystów jego mamy, gdzie kiedyś nauczał jego własny dziadek. Wzbierał w nim rodzaj radości, ale jak mogło być inaczej? Absalom Greer odejdzie wkrótce bezpiecznie do nieba...

Ktoś, kto wyglądał na lekarza, wyszedł z pokoju Absaloma.

— Proszę wejść, ojcie — zaprosił go. — Pytał o ojca.

Łóżko po przeciwległej stronie spartańskiego pokoju wydawało się bardzo oddalone. Miał wrażenie, że musi przejść przez szeroką wodę, by do niego dotrzeć.

Usłyszał głęboki świst dobywający się z piersi Absaloma.

— Bracie Timothy, czy to brat?

Zamglone spojrzenie błękitnych oczu starszego mężczyzny utkwione było w suficie.

— Tak, to ja.

— Czekałem na ciebie.

Przez te wszystkie lata widział to nie raz — gdy zbliżała się śmierć, skóra jakby zlewała się z kośćmi, tworząc coś w rodzaju zimnego marmuru, który był jednocześnie straszny i piękny.

— Pan dał mi dla Ciebie prawdę — wyznał Absalom.

Miał wrażenie, że każde słowo zostało delikatnie uformowane, aby mogło przedrzeć się przez labirynt świstu i wydostać na zewnątrz, pełne i wyraźne.

Ojciec Tim pochylił się.

— Słucham, mój bracie.

— Pola bieleją na żniwo...

Jezus zwrócił się tymi słowami do swoich uczniów... Potem Absalom odwrócił głowę i spojrzał obok niego, a jego twarz powoli zaczął spowijać szczególny blask radości.

— Chwała, chwała... oto i są... wiedziałem, że znowu przyjdą... Serce pastora nagle porwało gorące uczucie — zrozumiał od razu, że Absalom Greer widzi anioły, anioły, które widział kiedyś jako młody chłopiec, otaczające tłumnie jego mamę i małą siostrę, w sąsiednim pokoju.

Stary kaznodzieja uniósł drżące ręce ponad nakrycie, wypowiadając ostatnie duszpasterskie przesłanie.

Mężczyźni przestali śpiewać. Rozmowy w kuchni ustały.

Lottie weszła do pokoju, opierając się na lasce.

— Czy to jego anioły? — szepnęła.

— Tak myślę — odparł.

Jechał bocznymi drogami, pragnąc zobaczyć pastwiska i szczerze pola, pragnąc pasma ciszy pomiędzy śmiercią i życiem.

Być może Sadie Baxter była jedną z pierwszych, którzy powitali Absaloma Greera, którzy zgotowali niebiańskie powitanie temu, do którego Bóg z pewnością powie: „Dobrze, sługo dobry i wierny”.

Będzie mu brakowało Absaloma Greera. Znajomość z nim poczytywał sobie za przywilej. Był ostatnim z tych, którzy tak jak święty Paweł byli gotowi poświęcić swe życie dla Chrystusa.

Na polach wiązówka królowała nad nawłocią, a przymiotno nad tojeścią i chabrem. Piękne, ale suche. Potrzebowali deszczu. Załował, że nie ma przy sobie swojego psa, który oblizywałby bez końca szyby.

Skręcił na publiczną autostradę i wypowiedział te słowa na głos:

— Pola bieleją na żniwo...

„Podnieście oczy i popatrzcie na pola — powiedział Jezus do swoich uczniów — jak bieleją na żniwo”.

Stojące pola były zastępami ludzi, którzy nie wypełnili swojej boskiej pustki Tym, który narodził się po to, by ją wypełnić; stojące pola były tymi, którzy czekali, aby ktoś wyszedł do nich i zdradził im prawdę, i powiedział im, jak mogą zostać zbawieni.

Przyjął wiadomość Absaloma jako przypomnienie, i nie potraktował go lekko.

Spojrzał na wskaźnik paliwa. Prawie pusty.

Niedaleko przy drodze znajdował się mały sklep spożywczy i stacja. Zatrzymał się tam kiedyś, żeby kupić paczkę Nabs i Cheerwine.

Był już bliżej, niż przypuszczał. Zjechał z drogi i zaparkował przy budynku, następnie wziął klucz od właściciela sklepu, obszedł dookoła i otworzył drzwi do toalety. Wszystko po kolei.

Gdy wychodził z toalety, zauważył czarnego lincolna, jak zjeżdża z drogi i przejeżdża obok dystrybutorów.

Cofnął się instynktownie i obserwował, jak Ed Coffey wysiada z lincolna i wchodzi do budynku stacji.

Ed Coffey. Szofer Edith Mallory. Ten, który prowadził, gdy wyskoczył z poruszającego się samochodu na parkingu Shoe Barn. ten, który odwiózł go do domu po tej koszmarnej, tonącej w strugach deszczu nocy w Clear Day.

Ed nie miał na sobie uniformu. Pastorowi zdawało się, że od śmierci Pata Mallory'ego nigdy nie widział Eda bez uniformu.

Stał pod budynkiem i zastanawiał się, dlaczego nie podszedł, żeby porozmawiać z nim — z mieszkańcem Mitford, który zawsze robił wrażenie przyzwoitego człowieka, chociaż wyraźnie pozostawał pod wpływem dyskretnego uroku pieniędzy państwa Mallorych. Czyż Ed nie spojrzał na niego kilka razy, jakby zamierzał powiedzieć: nie chcę tego robić, wiem, że nie powinienem, ale jest już za późno?

Ed wyszedł z budynku stacji z pękatą papierową torbą, którą włożył do bagażnika. Następnie wsiadł do samochodu i cicho wyjechał na drogę, kierując się na południe.

Nowy lincoln, bez wątplenia, nie stary model, którego używała Edith po śmierci Pata. I ten miał przyciemniane szyby. Nie cierpiał przyciemnianych szyb w samochodzie...

Edith wróciła więc do Mitford. Prawdopodobnie mógł się spodziewać, że zobaczy ją w Lord's Chapel. Edith po lewej stronie, Mack Stroupe po prawej.

Co się dzieje, gdy duchowni kierują wzrok na swoją kongregację i widzą jedynie coraz większą liczbę ludzi, których motywacje wydają im się podejrzane i których dusze sprawiają, że ich własne ogarnia niepokój i zwątpienie.

Zauważył, że w przydomowych ogródkach wyrosła nowa bateria tablic, potęgując jedynie ogólny bałagan.

*Jesteśmy z Esther*

BILL I ARLENE

*Jesteśmy z Esther*

*Ralph i Fay Lewis*

NASZA WENTA TWOIM BŁOGOSŁAWIENSTWEM

*Najlepsza do tej pory!*

*4 października, od 10.00 kolacja po pracy 18.00*

MACK TO PIENIĄDZE W KUFRACH MITFORD

\$Mack na Burmistrza\$

GŁOSUJ NA WARTOŚCI

*Esther na burmistrza*

*Piłka do gry!*

*Każdy z Was i wszyscy razem Baxter Field, 10 sierpnia*

HOT DOGI 1\$

— Siedemdziesiąt pięć docłów z fabryki rękawiczek, tysiąc z Leeland Mining Company — co nie powinno być zaskoczeniem, to jego daleki kuzyn. Pięćset z fabryki konserw, która również byłaby zainteresowana rozwojem w tej okolicy, dziesięć docłów od kuzyna Lew Boyda, piętnaście od Henry'ego Wattsa i tak dalej, i tak dalej — dokładnie to, czego można się było spodziewać.

J.C. wyglądał na zadowolonego z siebie.

— Możesz spuścić z tonu, kolego. Po co to drażnić?

— Powiedz mi w takim razie, czy widziałeś ostatnio w okolicy Eda Coffeya?

— Eda Coffeya? Jeśli on tu jest, to znaczy, że wróciła twoja dawna dziewczyna.

Poczuł się tak, jakby ktoś wylał na niego kubel zimnej wody.

— Bądź uprzejmy starannie dobierać słowa — odparł.

— Jesteś bardzo drażliwy — prychnął wydawca.

— Po tobie — zripostował.

Lace Turner była z wizytą u Harleya i przyszła na górę do kuchni, żeby zjeść z Cynthią kawałek ciasta. Wyjmował właśnie dzbanek z herbatą z lodówki, gdy usłyszeli delikatne pukanie do drzwi.

Jenny stała na zewnątrz, zaglądając przez drzwi z siatką.

— Dzień dobry! Czy jest Dooley? Barnaba wpadł do kuchni, szcękając.

— Nie ma go! — zawołała Lace.

— Ależ skąd, Lace! — zaprzeczyła Cynthia. — Jest. Może wejdiesz, Jenny?

— Nie, proszę pani. Ja tylko przyniosłam to dla niego. Cynthia otworzyła drzwi z siatką i wzięła paczkę.

— Jemy właśnie ciasto, czekoladowe...

— Nie, proszę pani. Nie mogę. Dziękuję.

Zbiegła po schodach, a potem przebiegła przez podwórko. Cynthia spojrzała na Lace.

— Dlaczego skłamałaś?

— Nie wiedziałam, że jest w domu.

— Ależ wiedziałaś. Widziałaś, jak wchodził dziesięć minut temu. To razem dwa kłamstwa.

Jego żona nigdy nie owijała w bawełnę. Lace wzruszyła ramionami.

— Nie zamierzam głosić ci kazania — stwierdziła Cynthia — ale chcę, żebyś coś wiedziała. Jestem rozczarowana, że okłamałaś ją i mnie. Stać cię na więcej.

Lace wpatrywała się w do połowy zjedzony kawałek ciasta na talerzu.

— Nie cierpię tej dziewczyny. — Dlaczego?

— Wydaje się jej, że jest taka mądra, taka ładna, taka... doskonała.

Lace wypowiedziała ostatnie słowo z prawdziwą pogardą.

— Lace, spójrz na mnie, proszę. Lace popatrzyła na nią.

— Jesteś mądra. Jesteś ładna. Jesteś...

— Nie jestem! Wcale taka nie jestem!

Zerwała się od stołu, płacząc, i zbiegła po schodach do sutereny.

— No tak — zauważyła jego żona ponuro. — Płacze. Olivia tak bardzo na to czekała.

— To dobra wiadomość — pocieszył ją i otoczył ramieniem. Uśmiechnęła się słabo.

— Tak, ale czasami nawet dobra wiadomość nie cieszy.

Esther Bolick podniosła słuchawkę po pierwszym sygnale.

— A zatem, Esther, jak się mają sprawy?

— Nigdy ojciec nie uwierzy — mamy szafę Marie Sanders! Gdyby to od niego zależało, Esther miałyby dwie szafy.

— A jak ci się przydaje pomoc Hessie?

— To prawdziwy anioł, Hessie jest aniołem. Zajmuje się wyprzedażą po pracy, włącznie z kolacją.

— Świetnie.

— Czy wie ojciec, że nosimy z Hessie pagery? Czuję się jak Dick Tracy.

— O wszystkim słyszałem.

— Oczywiście, cały czas napływa też poliester i podwójnie tkana dzianina.

— Znajdź dla mnie pomarańczowy sportowy garnitur z ozdobnym stębnowaniem na klapach, a zapłacę za niego duże pieniądze.

— Za późno, Mule Skinner już go sobie zarezerwował.

— No cóż.

— Ale jakoś wyraźnie się podnosi, właśnie dostaliśmy odkurzacz Hoovera i cały zestaw figurek Hummela\*. Ach, i kurtkę z norek, dziura jest w zupełnie niewidocznym miejscu.

— Jak się ma Gene?

— Grozi rozwodem.

— Mogło być gorzej — zażartował.

\* Figurki Hummela — powszechnie kolekcjonowane już od lat trzydziestych porcelanowe figurki.

Esther roześmiała się swobodnie. Jak miło słyszeć śmiech przewodniczącej wenty dobroczynnej. Prawdziwy cud!

Odkładał słuchawkę na widelki, gdy nagle poraziła go myśl.

Misterny patchwork. Czarny samochód, błękitna półciężarówka.

To niemożliwe...

I czarny samochód, który ostrożnie okrążał pomnik o drugiej nad ranem, i to tak cicho, że ledwie było słychać pracę silnika... Ale to było wiele tygodni temu. To był jego wieczór urodzinowy, dobrze ponad miesiąc temu, może pięć albo sześć tygodni. Jeśli Edith jest na miejscu, dlaczego jej nie widział?

Czy Ed trzyma się z daleka od Mitford, robiąc zakupy w wiejskich sklepikach, jeżdżąc polnymi drogami i nie nosząc uniformu, żeby nie zwracać na siebie uwagi?

Wybierze się samochodem w okolice Clear Day i sprawdzi, co się dzieje. Nie ma jednak sposobu, żeby zobaczyć dom, ponieważ znajduje się on prawie kilometr w głębi, za elektronicznie zamykaną bramą. Brama była zamknięta nawet w te wieczory, gdy Edith zapraszała do siebie na spotkanie radę parafialną. Goście musieli wprowadzić specjalne hasło do czarnej skrzynki przy wjeździe.

Poczuł nieprzyjemny skurcz żołądka.

Ponieważ nic innego nie przychodziło mu do głowy, poszedł do toalety w kancelarii i włożył palec do glukometru. Uważał, że glukometr jest zdecydowanym krokiem naprzód w stosunku do konieczności siusiania na papierek, żeby sprawdzić poziom cukru.

Sto dwadzieścia cztery. Nieźle.

Zadzwoił z kancelarii, nadal pamiętając numer, po czym poszedł do domu i zdjął z półki w garderobie swój stary kapelusz, którego używał do prac w ogrodzie.

Przetrzęsając komodę, znalazł okulary przeciwsłoneczne, które rzadko nosił, ponieważ ktoś stwierdził, że wygląda w nich jak bąk.

Nałożył kapelusz i okulary, schodząc po schodach i planując, że sprawdzi, jak wygląda, w lustrze w kuchni.

— Dobry Boże! — krzyknęła Puni, stojąc jak wryta u podnóża schodów. — Wystraszył mnie ojciec na śmierć!

Słyszając przerażenie mamy, dwójka dzieci w kuchni podniosła rozdzierający bębenki w uszach krzyk.

Próbował huścić je w ich fotelikach samochodowych, zapiszczeć gumową kaczką zrobić zabawną minę i zaszczekać jak pies, ale nic nie było w stanie ich uspokoić, wobec czego wziął nogi za pas.

— Ta cessna 152 nie robi tyle hałasu, ile mój mały samolocik z zadartym ogonem! — krzyczał Omer.

Pastor trzymał się całkiem nieźle, zważywszy na okoliczności. Zrezygnował z lunchu, wiedząc, że będzie latał, przejechał czterdzieści kilometrów, żeby się dostać na pas startowy, i oto szybował nad wierzchołkami drzew ze szwagrem pani burmistrz, w zniszczonym ogrodowym kapeluszu i czarnych okularach.

Ojciec Roland, który pisywał do niego od czasu do czasu z kanadyjskiej głuszy, całkowicie się mylił, sądząc, że tylko on świetnie się bawi, odprawiając Eucharystię w prymitywnych, leśnych chatkach i uciekając przed samcem łosia. Mitford też oferowało wielką przygodę. Trzeba ją było jedynie znaleźć...

— Do licha, Omer!

Omer błysnął garniturem zębów przypominających klawisze fortepianu, uśmiechając się do pastora, który jedynie przez krótką chwilę zawisł do góry nogami.

— A to się nazywa manewr z jednym g.

— Raz mi wystarczy, dziękuję!

W ciągu ostatnich kilku tygodni jego twarz zrobiła się zieloną aż dwa razy.

— W porządku, będę leciał równo! — krzyknął jego pilot. — Jak nisko będzie chciał ojciec zejść?

— Tak nisko, żeby zobaczyć, co się dzieje.

— Mogę zejść na sześćdziesiąt metrów, czy to ojcu odpowiada? Przełknął z trudem.

— Jak najbardziej.

— Zupełnie nie jest ojciec podobny do siebie w tym stroju — zawołał Omer.

— To dobrze! — krzyknął w odpowiedzi.

Zobaczyli, jak przed nimi zarysowuje się grzbiet wzgórza, grzbiet, na którym wznosi się Clear Day, dostarczając widoku na całą okolicę, a jednocześnie nie zdradzając swojego istnienia.

— Oto i jest! — obwieścił Omer.

Ojciec Tim naciągnął rondo kapelusza i poprawił okulary.

Spośród drzew wyłonił się skrawek ziemi, który mógłby pełnić funkcję niewielkiego pasa startowego. Będąca tematem licznych rozmów posiadłość o powierzchni mieszkalnej przekraczającej siedemset metrów kwadratowych kryta była gontem, na lewo ciągnęła się okazała połać drogi dojazdowej i parkingu.

Strzał w dziesiątkę.

Błękitna półciężarówka zaparkowana była obok czarnego samochodu. A tam, na odkrytym tarasie, w pobliżu pasiastych parasoli stały dwie osoby.

— Zrób jeszcze jedno kółko! — zawołał do swojego pilota.

Chciał mieć absolutną pewność.

Omer zawrócił i przeleciał tuż nad domem. Mężczyzna i kobieta na tarasie spojrzeli ze złością w górę, akurat w chwili, gdy on spoglądał w dół.

Następnie błękitna cessna przeleciała z warkotem nad drżącymi wierzchołkami drzew i ponad wąwozem. Omer spojrzął na niego i mrugnął.

Edith Mallory nie podróżowała po Hiszpanii, Francji czy Malezji ani żadnym innym z ulubionych miejsc i nie mieszkała też w swojej przepastnej rezydencji na Florydzie.

Mieszkała w Mitford, w Clear Day, i kierowała karierą polityczną Macka Stroupe'a.

T  
L  
R

# Rozdział czternasty

## PIŁKA DO GRY

Rano w dniu, w którym miał zostać rozegrany mecz na Baxter Field, Velma Mosely ugięła się i zaczęła siekać cebulę.

Obiecała sobie, że będzie to absolutnie i nieodwołalnie jej ostatni garnek chili domowej roboty.

— Słuchajcie!

Buck Leeper wyglądał, jakby miał trzy metry, stojąc w boksie przed drużyną Mitford Reds.

— Nie przyszliśmy tu dzisiaj, żeby się obijać — wyjaśniał menedżer drużyny — przyszliśmy tu, żeby wygrać. Rozumiecie?

— Rozumiemy! — zawołali jego gracze, ubrani w ufarbowane na czerwono T-shirty i czapki z daszkiem reklamujące Sklep.

Do rozpoczęcia gry pozostało jeszcze dwadzieścia minut i pastor czuł, jak poziom adrenaliny podnosi mu się gwałtownie.

— Ojcie, jest ojciec kapitanem drużyny i oczekuję, że będzie ojciec również trenerem na boisku. Proszę zagrzewać ich do gry i służyć radą gdy będą tego potrzebować. Ojca zadaniem jest wszystkim kierować. — Buck spojrział mu prosto w oczy. — Wiem, że może to ojciec zrobić.

Czy mógł to zrobić? Modlił się o ten mecz softballu, jakby to była kwestia życia i śmierci, a nie beztroska zabawa w sobotnie popołudnie. Z pewnością te trzy próbne mecze, które poszły całkiem nieźle, będą miały jakieś znaczenie.

Buck wyjął jeden papieros Lucky Strike z kieszeni koszuli i chodził tam i z powrotem przed nimi.

— Dooley, jesteś moim pierwszym pałkarzem. Obserwowałem cię, jak ćwicyłeś przed dzisiejszym meczem, i zawsze jesteś w ruchu, zawsze zwinny. Chcę, żebyś się dobrze przykładał do swoich rzutów, zrozumiałeś?

— Zrozumiałem — odparł Dooley.

— Chcemy, żebyś stał na tej bazie.

— Tak, proszę pana.

— Adele, jesteś bardzo szybka i masz pewną rękę, ty będziesz grała na pierwszej bazie. Obstawiam cię na drugiej pozycji. Gdy Dooley zacznie, za wszelką cenę kontynuuj bieg. Musimy zdobyć punkt.

Adele wbiła prawą pięść w rękawicę.

Buck zaśmiał się swym charakterystycznym śmiechem przypominającym dźwięk gotującej się w czajniku wody.

— Chcemy przyprzeć tych chłystków do muru. Zgadza się?

— Zgadza się! — zawołała jednomyślnie jego drużyna.



— Avis, jesteś moim pierwszym miotaczem. Chcę, żebyś rzucał nią aż do samego Wesley. Ojciec, jest ojciec moim zamykającym pałkarzem — niech ojciec będzie silny i szybki i proszę pamiętać o tym, żeby się ojciec prosto trzymał.

Można by pomyśleć, że Buck dowodzi brygadą operatorów koparek w głębokim na tysiąc metrów wykopie.

— Proszę pani...

— Cynthia — poprawiła go.

— Cynthia, ty odbijasz na moim polu numer pięć. Chcę, żebyś się przyłożyła i rozniosła tę piłkę. Jako chwytaacz, chcę, żebyś obstawiała nasze pola — przyglądała się, jak stoją, sprawdzała ich stopy. Podsumowując, musisz być czujna cały czas.

— Masz to jak w banku, trenerze.

Buck zamknął skład drużyny, dodając Hala Owena jako gracza na drugiej bazie oraz Mule'a Skinnera, Jenę Ivey, Pauline Barlowe i Lew Boyda na zapolu.

— Przyglądałem się drugiej drużynie — powiedział Buck — i jesteśmy od nich lepsi. Potrafimy to zrobić. Chcę, żebyście dali z siebie wszystko, rozumiecie? Nie dużo, nie prawie wszystko — ale wszystko.

Spojrzał na każdą wyczekującą twarz, obracając w palcach nie zapalony papieros.

— Ojciec, czy chce ojciec się pomodlić?

— Chce! — zawołał Dooley.

Po modlitwie podnieśli się z kolan i przeszli obok specjalnie na tę okazję otwartego stoiska. Dokładnie w tym momencie pastor był pewien, że miał przebłysk nadprzyrodzonej wizji. Ujrzał ich drużynę, jak wybiega na boisko, a w samym środku on w — niech go Bóg ma w swojej opiece — zielonych zielonoświątkowych szatach.

— A niech mnie! — zawołał z uznaniem Dooley. Trybuny były pełne, kibice siedzieli na trawie, a zapach hot dogów i chili unosił się w wilgotnym letnim powietrzu.

Tato Tommy'ego, który był sędzią na bazie domowej, spojrzał na monetę, którą właśnie podrzucił. Mitford Reds zaczynali.

Pastor przyjrzał się pobieżnie tłumowi, tak jak czynił to zawsze w Lord's Chapel.

Pensjonariusze Domu Nadziei siedzieli rzędem w swoich wózkach inwalidzkich oraz na przednich odkrytych trybunach, nie mogąc się już doczekać meczu.

Był tam Mack Stroupe, opierający się jedną nogą na trybunie, i trzymający papierosa w zębach, a na prawo Harley i Lace. Zauważył Fancy Skinner i wujaszka Billy'ego, i pannę Rose, i Coota, i Omera, i mniej więcej w połowie Tommy'ego, który zranił się w nogę i nie mógł grać. Zauważył, że kilka osób miało w ustach truskawkowe lizaki — dowód, że pani burmistrz zaczęła rozdawać swoje zwyczajowe wyborcze upominki.

Z pierwszego rzędu, gdzie siedział Russell Jacks i Betty Craig, Jessie machała do nich obydwoma rękami.

— Panie i panowie — obwieścił miejski radny Linder Hayes — z ogromną przyjemnością przedstawiam Esther Cunningham, naszą ukochaną panią burmistrz, która przez szesnaście lat i osiem wspaniałych kadencji wytrwale pomagała Mitford, by dbało o swoich! Pani burmistrz, niniejszym zwracamy się z oficjalną prośbą o... rzucenie pierwszej piłki.

— Dołoż im, Esther! — krzyknął ktoś. Sędzia przeciwnej drużyny podbiegł z piłką do pani burmistrz, która stała dumnie w sektorze dla gości specjalnych, ramię w ramię z szeryfem okręgowym.

Widząc to, wydawca „Muse” pośpieszył spod stoiska pod trybuny i zatrzymał się gwałtownie niecały metr przed panią burmistrz. Upadł na kolana i skierował swojego nikonu do góry.

— Do licha — syknęła pani burmistrz — nie rób mi zdjęć z dołu, wyglądam wtedy, jakbym miała trzy podwójne podbródki!

— A za bazą domową — obwieszczał donośnym głosem Linder Hayes — nasz wielce szacowny szef policji i czujny stróż prawa i porządku, pan Rodney Underwood!

Brawa. Pohukiwania. Gwizdy. Rodney poprawił pas z bronią i pomachał do tłumu dłonią w rękawiczce.

— Hej, Esther, ciśnij ją tutaj!

Pani burmistrz odrzuciła do tyłu głowę, niczym śmigło myśliwca P-51 zatoczyła ramieniem koło i wypuściła piłkę.

— Pierwszy punkt\*! — zawołał sędzia.

— No nie — jęknęła Cynthia, która była spocona rozgrzewką na boisku.

— Co się stało? — szepnął pastor.

— Muszę skorzystać z przenośnej toalety.

— To nerwy — ocenił jej mąż, który robił wrażenie dobrze zorientowanego.

— Drużyna na boisko! — krzyknął Buck.

Gracze wybiegli na swoje pozycje. Następnie sędzia na bazie domowej wziął głęboki oddech, wskazał na miotacza i donośnym głosem wypowiedział słowa, na które wszyscy czekali.

— Piłka do gry\*\*!

\* *Strike* — piłka nie trafiona przez pałkarza.

\*\* *Play ball* — oficjalna komenda rozpoczynająca mecz softballu.

Pomocnik drużyny Redsów, Poo Barlowe, podał swojemu bratu kij, który własnoręcznie ozdobił napisem „Dools” oraz zygzakiem pioruna. Wykonał ten osobisty znak identyfikacyjny za pomocą czerwonego długopisu, mocno naciskając i powtarzając tę sama czynność kilka razy, aż zdawało się, że jest wryty w drewnie.

Dooley zamachnął się kijem kilka razy na rozgrzewkę, następnie wszedł na pozycję pałkarza. Chwytał mocno kij, ustawił stopy i czekał na piłkę.

Wysoka, lecąca łukiem piłka nieomal wyleciała poza strefę odbijania\*.

— Pierwsza piłka\*\*!

Druga piłka znajdowała się na wysokości klatki piersiowej, gdy Dooley mocniej ścisnął kij, wziął silny zamach i uderzyła. Trzask! Była to pierwsza piłka dla nowo utworzonej drużyny Mitford Reds, która uderzyła w kij; dźwięk zdał się nieść echem po trybunach.

— Ruszaj, kolego! Dooley przemknął do pierwszej bazy, błyskawicznie przemierzając odległość swoimi długimi nogami, i minął ją, dobiegając do drugiej, a tłum wiwatował. Wbiegł na nią na sekundę wcześniej, zanim piłka wylądowała w rękawicy Scotta Murphy'ego.

— Trzymaj się, kowboju! — zawołała śpiewnie panna Pattie, której wydawało się, że jest na rodeo.

Gra zdecydowanie rozpoczęła się bardzo dobrze.

\* Strefa *strike'u* — pałkarz powinien uderzyć piłkę, jeśli znajduje się ona w tzw. strefie *strike'u* (korytarz powietrzny szerokości bazy domowej i wysokości od kolana do pachy pałkarza).

\*\* *Ball* — w przypadku, gdy rzucona piłka mieści się w strefie, a pałkarz nie próbował jej odbić, sędzia ogłasza *ball* (pierwsza piłka).

— Mamo!

Fancy Skinner pomachała do swojej mamy, która osłaniała dłonią oczy i spoglądała na trybuny.

— Tutaj jestem!

Fancy miała na sobie przeraźliwie różowe rajstopy i takiego samego koloru tunikę. Tak bardzo wyróżniała się z tłumu, że jej mama natychmiast ją rozpoznała i zaczęła wdrapywać się do piątego rzędu, niosąc torbę na robótki z rozpoczętym szalem wełnianym.

— Naprawdę — zauważyła Fancy — w ogóle nie mogłam cię poznać, czyż nie jest ci wręcz cudownie z jasnymi włosami, a nie mówiłam, że tak będzie o stokroć lepiej? To znaczy, spójrz tylko na siebie, między ludźmi, na meczu softballu, a nie w domu, oglądając *Wheel* czy coś innego. I och, na Boga, co ty masz na sobie, nie mogę wręcz uwierzyć, T-shirt Dale'a Jarretta, jak ta lala, wyglądasz o sto lat młodziej!

Teraz mogłabyś pomyśleć o zgubieniu kilku kilogramów, wybaczone, że mówię tak bez ogródek, jakieś osiemnaście kilogramów byłoby wskazane, dobrze zrobiłoby twojemu sercu. Boże, miej litość, spójrz tylko, przyparł prawego atakującego do samego ogrodzenia.

Hej, sędzio, otwórz oczy, wydawało mi się, że tylko konie zasypiają na stojąco!

Ojej, zapomniałam, że twój aparat słuchowy jest taki wrażliwy, czy to przeze mnie się włączył? Ma taki dźwięk jak alarm antywłamaniowy, ten poprzedni wydawał mi się lepszy, proszę, poczęstuj się gumą, jest bez cukru. Spójrz! Tam, widzisz go? To Mule. Ten w trawie, czyż nie jest słodki?

Mule, kochanie, tutaj jesteśmy, spójrz tutaj, mój słodki.

O, na litość, piłka nieomal urwała mu głowę.

Uważaj, co robisz, Mule!

Mamo, chcesz hot doga? Kupię nam po jednym po piątej rundzie, Velma robiła chili. Nie mówiłam, że jest zimno, mówiłam Velma — mamo, czy jesteś pewna, że ten aparat słuchowy dobrze działa, wydaje mi się, że ten poprzedni był lepszy, a pomyśl tylko, ile za niego zapłaciłaś, całą fortunę, chcesz sos warzywny? Ja nie mogę go jeść, mam po nim zgagę.

Nie mogę pojąć, jak na Boga, możesz robić na drutach i oglądać mecz, ja muszę się skoncentrować. Widzisz, tam jest ten kaznodzieja, z którym Mule przesiaduje w barze Grill, ten, któremu zrobiłam maseczkę, kiedy ty miałaś robioną trwałą pamiętasz, sama nie wiem, czy próbuje uderzyć piłkę, czy też wbić ją w ziemię. Tam na trzeciej bazie jest jego żona, myślę, że rozjaśnia sobie włosy, używając czepka, nigdy nie słyszałam, żeby żony duchownych grały w softball, czasy zmieniły się zdecydowanie, żona naszego księdza prowadzi chór i czasami pomaga jako wolontariusz w szpitalu.

Daj im wycisk, Avis! Wyrzuć ją do samego nieba!

Zastanawiam się, dlaczego Avis się nie ożenił, wydaje mi się, że od kobiet woli młode kabaczki, ale to bardzo ważne, żeby lubić swoją pracę. Boże, ależ wybił tę piłkę! Spójrz, mamo, tam, widzisz tego mężczyznę, który tak ci się przygląda? No i co z tego, że jest młodszy, to bardzo modne w dzisiejszych czasach, mówiłam ci, że blondynkom żyje się weselej. O, widziałaś, mrugnął do ciebie, cóż, może coś wpadło mu do oka.

Hej, sędzio, miotacz wypadł z bazy, może masz za słabe okulary?

Ten rudowłosy dzieciak to Dooley, jest jakby chłopcem kaznodziei, ma siłę i umie też biegać. Czy to była mokra piłka\*, mamo, czy tobie się nie wydawało, że to mokra piłka?

\* *Spitball* — rzut, obecnie niezgodny z prawem, po krzywej, osiągnięty poprzez zmoczenie piłki śliną bądź potem.

Mokra piłka! Mokra piłka!

Co to w ogóle za sędzia, jest ślepy jak kret i głuchy jak pień. No nic, lepiej już zejść na dół i zajmę kolejkę, czy mówiłaś, mamo, że chcesz z sosem warzywnym?

Benowi Isaacowi Bermanowi, którego rodzina przywiozła tutaj aż z samego Decatur w stanie Illinois, ta gra podobała się bardziej niż wszystkie inne zajęcia od czasu, gdy przyjechał do Mitford na początku lipca.

Podobało mu się świeże powietrze, krzyki, wrzawa — nawet upał zdawał się ożywczy — chociaż nie był zadowolony z tego, że jego hot dog wylądował mu na kolanach. W efekcie dwóch opiekunów Domu Nadziei musiało doprowadzić jego ubranie do porządku. Nie mógł natomiast zrozumieć, w jaki sposób chili dostało się do jednego z mankietów jego spodni.

Czuł się jak ostatnia łajza, nie potrafiąc lepiej panować nad swoimi kończynami. Ale tuż obok niego siedziała przecież panna

Pattie, która nie była w stanie zapanować nad jedną myślą, która rodziła się w jej głowie, niech Bóg broni, żeby jego spotkało coś takiego.

Podobała mu się również ta gra, ponieważ przypominała chłopięce lata, które były tak żywe w jego pamięci, jakby wydarzyły się zaledwie tydzień temu.

Na przykład ten chłopiec na drugiej bazie, ten rudowłosy dzieciak, szybki jak wiatr. Kiedyś on sam był dokładnie taki, nawet teraz — głęboko w środku, tam, gdzie nikt nigdy nie zaglądał i nigdy nie zagładnie, nawet jego świętej pamięci żona — jest dokładnie taki jak on. Nawet on zapomniał o tym chłopcu, który w nim żyje, dopóki nie przyjechał obejrzeć tego meczu i nie poczuł górskiego powietrza, i nie usłyszał trzasku kija — wtedy właśnie poczuł, jak ożywają jego własne nogi, wbiegają do baz i ryją ziemię, gdy wślizguje się do bazy domowej.

Pod koniec siódmej rundy wynik był 10:10.

— Kij jest nasz i mamy trzy odbicia — podsumował pastor. — Nie chcemy żadnych dodatkowych rund, więc skończmy teraz i wracajmy do domu jako zwycięzcy.

Koszula kleiła się do niego. Czuł się tak, jakby przejechał po nim walec — jak zwykł mawiać Tommy Noles.

Obserwował, jak Mule Skinner podchodzi do kija. Piłką była wysoka.

— Pierwsza piłka!

Mule odbił kijem drugą piłkę i przerzucił ją nad drugą bazą, do środkowego pola. Pastor nie mógł się nadziwić szybkości Mule'a, gdy biegł do pierwszej bazy. Ta gra dostarczy tematu do rozmów stałym klientom baru Grill po wszystkie czasy.

Gdy Jena Ivey wykonała pierwsze odbicie rundy, przyszła kolej na Pauline, by przejęła kij.

Wygląda pewnie, pomyślał. Prawdę powiedziawszy, radzi sobie bardzo dobrze przez całe popołudnie, gra jednak trochę nierówno — w jednej chwili jest silna, a w drugiej siła ją opuszcza.

Wzięła kilka zamachów i odbiła piłkę do drugiej bazy. Do licha, podwójne pominięcie\*! Jednak gracz na drugiej bazie odbił piłkę i wszyscy gracze byli bezpieczni.

— Czas się skończył! — zawołał Buck, wkraczając na boisko.

— OK, serwujesz — powiedział do Lew Boyda. — Przez cały dzień byłeś gwiazdą obrony, chcę, żebyś wziął ten kij i odbił naprawdę mocno. Albo wybij piłkę wysoko w powietrze, aż na zapole, żeby gracze posunęli się do przodu.

— To będzie najlepsza bezołowiowa. Pierwsze uderzenie spadło w połowie.

— Pierwsze odbicie!

\* *Double play* — zagranie, w którym dochodzi do dwóch wyautowań (pałkarza lub biegacza).

Lew wybił kolejną piłkę do prawego pola, gdzie przechwycił ją gracz zapola i odbił do trzeciej bazy. Biegacze dali sobie radę. Dwa odbicia.

Dooley pośpieszył na pozycję odbijającego i wyłobił stopami wgłębienia w ziemi, żeby stanąć pewniej. Buck krzyknął:

— Musisz dostać się do bazy! Dasz sobie radę?!

— Dam!

Poobaw Barlowe zacisnął oczy i modlił się: „Jezu, Boże i wszyscy...”.

Pastor wstrzymał oddech. Dooley dobiegał do bazy za każdym razem, gdy dostawał do ręki kij. Widział zdeterminowany wyraz twarzy chłopca czekającego na piłkę.

Zauważywszy, że puchną jej nogi, Fancy Skinner zdjęła buty na wysokich obcasach i włożyła je do torby na robótki swojej mamy.

Coot Hendrick miał nadzieję, na litość boską że nie przegra dwudziestu pięciu dolarów, które postawił na Redsów. Pożyczył je z cukierniczki, zostawiając zaledwie kilka saszetek słodziku i kilka dziesięciocentówek. Aż zwijał się z niepokoju. Jego mama może i jest stara, ale nadal potrafi zdzielić w głowę. — Trzask!

Dooley uderzył w piłkę wyrzuconą w linii prostej na zapole, która została uderzona tak zdecydowanie, że ojciec Tim zatrzymał Mule'a dopiero na trzeciej bazie.

— Mnóstwo czasu na przejście, przyjacielu, mnóstwo czasu, żeby to zrobić, doskonała robota! — zawołał.

Dooley wyrzucił pięść w powietrze i opuścił ją, a następnie podniósł kilka razy, podczas gdy tłum wiwatował i wznosił okrzyki.

Po dwóch odbiciach i z zawodnikami na dwóch bazach, przyszła kolej, aby to Adele przejęła kij.

— OK, Adele, dołożmy im, ruszaj, dasz sobie radę!

Na jutrzejszych nabożeństwach będzie skrzeczał jak ropucha.

— Pierwsza piłka!

Druga piłka wyleciała na zapole. — Druga piłka! Dwie piłki, dwa odbicia. Zamachnęła się na kolejne uderzenie.

— Pierwsze odbicie! Szał na trybunach.

— Hej, sędzio! — ktoś krzyknął. — Obudź się, omija cię wspaniała gra!

Druga piłka spadła w połowie.

— Drugie odbicie!

Dwie piłki, dwa odbicia. Adele pochyliła się, wzięła do ręki trochę ziemi i roztarła ją na dłoniach, a następnie wzięła kij i chwyciła go mocno. Pastorowi wydawało się, że widzi białe kostki, gdy zawodniczka kołysała się delikatnie na nogach i obserwowała boisko.

Przyjęła piłkę na wewnętrzną stronę kija, z daleka od ciężkiej strony, i wybiła ją na początek lewego pola środkowego.

Nikt nie wybiegł po piłkę.

Gracze stojący na zapole ruszyli wszyscy jednocześnie, zderzyli się i potykali o siebie w chwili, gdy piłka wpadała do środka. Adele Hogan pobiegła ile sił w nogach i dosięgła pierwszej bazy, gdy Mule doliczył punkt.

Gra była zakończona.

Tłum szalał.

Wynik był 11:10.

Ray Cunningham pośpieszył na pole z piłką pani burmistrz i poprosił Adele, żeby ją podpisała. Nie mogąc się powstrzymać, poklepał ją po plecach i uścisnął mocno, zastanawiając się, jak to u licha możliwe, że J.C. tak się poszczęściło.

Ben Isaac Berman wstał, wspierając się na swoim aluminiowym balkoniku, i pomachał do rudowłosego chłopca na boisku. Zmrużył oczy przed słońcem nieomal pewien, że chłopiec też do niego pomachał.

Wydawca „Muse”, który siedział pod dającym cień drzewem, podbiegł zdyszany do pierwszej bazy i wystrzelał rolkę filmu Tri-X. Wszystkie klatki przedstawiały jego żonę, która — tak uważał — wyglądała piorunująco, nawet ze strugami potu zalewającymi jej twarz. Zastanawiał się nad czymś, co nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy; zastanawiał się nad tym, jak to możliwe, że tak mu się poszczęściło, i postanowił, że musi jej to powiedzieć — dzisiaj wieczorem.

No cóż, może jutro.

Ale w każdym razie już wkrótce.

## Rozdział piętnasty

### DZIEŃ W NOC

— Wiesz, że szanuję twoje zdanie, nieczęsto ci się sprzeciwiam.

— To prawda, nieczęsto.

Ron Malcolm przyszedł do niego do domu i schronili się za zamkniętymi drzwiami salonu.

Jego starszy kościelny wyglądał na zasmuconego, ale głos miał stanowczy.

— Skończył się już czas na zastanawianie się nad tą sprawą. Musimy podjąć decyzję, a jedyną słuszną decyzją jest sprzedaż domu Miami Development. Ty wiesz dlaczego, ja wiem dlaczego. Nie możemy sobie pozwolić na nic innego.

Ojciec Tim oparł się wygodnie na krześle. Był wyczerpany rozterkami, które się z tym wiązały, konfliktem pomiędzy brutalną rzeczywistością a jego własną intuicją, jakkolwiek niejasną. Modlił się, czekał, mocował się, miał nadzieję — wykorzystał wszystkie sposoby dostępne większości śmiertelników — i czy mu się to podobało czy nie, nie pozostało mu już nic innego.

— W porządku — zgodził się.

Przy drzwiach wejściowych uścisnęli sobie dłonie na znak zgody i Ron poszedł chodnikiem do samochodu.

Pastor stał przez chwilę, spoglądając przez drzwi z siatką na zapadający zmierzch. Proszę go traktować z sercem...

— Tak, panno Sadie — powiedział na głos — proszę nie grozić mi swoją łaską. Zrobiłem, co tylko było w mojej mocy.

Był już spóźniony na spotkanie, ponieważ przed chwilą, opuścił to nadal trwające w kościele baptystów. Zatrzymał się przy wodotrysku w korytarzu w świetlicy parafialnej.

Za rogiem po prawej stronie usłyszał kroki na posadzce i odgłosy rozmowy.

— Ta starsza kobieta miała szczęście, że umarła śmiercią naturalną, mogła wylecieć w powietrze przez ten piec w norze.

Ingrid Swenson. Następnie usłyszał szept zgody jej obgryzającego paznokcie kumpla i ich wspólny śmiech, gdy znaleźli się w drzwiach do świetlicy parafialnej.

Wokół stołu rozlegał się szmer głosów. Usiłował ich słuchać, ale nie potrafił się skoncentrować. Wszystko zostało już załatwione, czekało jeszcze tylko podpisanie umowy. Jego obecność tutaj była już w zasadzie zbędna.

Ogarnął wzrokiem zgromadzonych. Buddy Benfield uśmiechał się od ucha do ucha. Ron Malcolm wygrywał z Ingrid Swenson w ostatnim starciu woli odnośnie do kruszących się płytek na podjeździe do Fernbank. Mamie Gordon, która właśnie zaczynała nową pracę w Collar Button, spoglądała niespokojnie na zegarek. Sandra Harris starała się obmyślić, jak wyjść na zewnątrz na papierosa. Clarence Daly wchodził właśnie z tacą filiżanek i dzbankiem kawy.

W kuchni zadzwonił telefon, ale nikt się nie ruszył, żeby go odebrać.

Sandra niecierpliwie bębniła palcami w stół.

— Cieszymy się na myśl, że Fernbank zostanie przekształcony w farmę piękności — zwróciła się do Ingrid — ale mam nadzieję, że nie będziecie próbowali wcisnąć nam okładów z błota. Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek stąd dał się do tego przekonać.

Telefon dzwonił nadal.

— A zatem — zaczął Ron — mimo że nasi prawnicy przejrzeliby umowę bardzo dokładnie, spójrzmy na nią po raz ostatni, zanim ją podpiszemy, dla dobra wszystkich zainteresowanych.

— Nie mogę zrozumieć, czemu to ma służyć. Ron uśmiechnął się.

— To zajmie tylko kilka minut. Telefon nie przestawał dzwonić.

— Proszę bardzo — zaprosił Clarence, stawiając filiżanki przed Ingrid i jej współpracownikiem. — Świeżo parzona.

— O, na litość boską — zniecierpliwiała się Sandra — dlaczego ktoś nie odbierze telefonu?

Nikt się nie ruszył.



— Co to za zwyczaj, żeby nie odebrać dzwoniącego telefonu? Zagniewana pomaszerowała do kuchni.

Ron spojrział na Ingrid.

— Przekreśliłem i podpisałem inicjałami pani klauzulę o tym, że naprawa podjazdu będzie obowiązkiem Lord's Chapel.

Obrzuciła go chłodnym spojrzeniem i odsunęła kawę.

— Ojczy! To Andrew Gregory!

— Powiedz mu...

— Dzwoni z samych Włoch. Mówi, że to ważne!

— Przepraszam — powiedział, wstając od stołu.

Sandra podała mu słuchawkę telefonu, na nowo zainteresowana zdarzeniami dzisiejszego ranka. Najbardziej egzotyczna rozmowa telefoniczna, jaką kiedykolwiek odebrała, to ktoś dzwoniący z Billings z Montany.

— Andrew?

— Ojczy, Emma powiedziała mi, że znajdę ojca w świetlicy parafialnej. Przepraszam, że przeszkadzam, ale właśnie stało się coś... strasznie ważnego. Czy posiadłość Fernbank jest nadal na sprzedaż?

— No cóż...

Jeszcze przez maksimum pięć minut.

— Chciałbym złożyć ofertę. Natychmiast prześlę zaliczkę. Czy dobrze usłyszał? Czy to mu się śni?

— Dwieście dziewięćdziesiąt pięć tysięcy, ojczy. — Andrew wziął głęboki oddech. — Zgodnie z ofertą.

Poczuł, jak jego ciało ogrania nagle, intensywne ciepło, jakby topniał podczas wiosennej odwilży.

— Andrew?

— Tak?

— Umowa stoi!

Postanowił, że nigdy nie wyzna nikomu, nawet swojej żonie, jaki był szczęśliwy, widząc wyraz twarzy Ingrid Swenson.

Nie. Zachwycony — to było właściwe słowo. Musiał się powstrzymać, aby nie skakać w górę, nie trzaskać obcasami i nie krzyżeć z radości.

Gdy Ingrid Swenson dowiedziała się, że Fernbank rzeczywiście zostanie sprzedany, ale nie firmie Miami Development, posłużyła się językiem, który — o ile się orientował — nigdy wcześniej nie był używany na terenie Lord's Chapel. Mamie Gordon zakryła nawet dłońmi uszy, a jej usta utworzyły idealne O.

Gdy zobaczy Andrew, ucałuje jego sygnet, mankiety jego spodni! Wyczyści mu komin, umyje mu okna, da mu pierwsze miejsce w bożonarodzeniowej paradzie w złotym kabriolecie Tommy'ego Ledbettera... sposoby na podziękowanie Andrew Gregory'emu były niezliczone.

Alleluja!

— Jestem zazdrosna — oświadczyła jego żona, ciesząc się razem z nim.

— O co?

— Nie byłeś taki szczęśliwy w dniu naszego ślubu!

— Jak szybko zapominasz. Zatańczmy!

— Ale nie ma muzyki.

— Nic nie szkodzi! — stwierdził, stawiając pierwszy krok. — Będę nucił!

Księgarnia Szczęśliwych Zakończeń ogłosiła dwudziestoprocentową zniżkę na wszystkie książki, których tytuł zaczyna się na literę A.

— A Jane Austen, czy dostanę dwudziestoprocentową zniżkę? — chciała wiedzieć Hessie Mayhew, która przede wszystkim nie miała czasu na czytanie książek.

— Przykro mi, zniżka nie obejmuje autorów zaczynających się na A, a jedynie tytuły książek — wyjaśniła Hope Winchester.

Z trudem doszedł do lady, dźwigając: *A Guide to Fragrance in the Garden*, *Andersonville: Men and Myth* (bożonarodzeniowy prezent Waltera), *A Reunion of Trees*, *A Grief Observed*, *Alone* Admirała Byrda, *Anchor Book of Latin Quotations* i *A Child's Garden of Verses*.

— Bardzo wnikliwy wybór! — oceniła Hope.

— Dziękuję. Moja żona nie będzie jednak zachwycona, ponieważ nie mamy na nie miejsca.

— Jeśli tylko macie trochę wolnego miejsca na podłodze, macie miejsce na książki! Wystarczy ułożyć dwa stosy książek takiej samej wysokości, umieścić je w odległości około metra od siebie, położyć na nich deskę i powtórzyć to samo. *Viola!* Półki na książki!

— Niech mnie kule biją.

Nieomal zawsze dowiadywał się czegoś nowego na Main Street.

Nawa kościoła Lord's Chapel stała się głębokim światłocieniem, kiedy Mitford ogarniał zmierzch. Na parapetach witrażowych okien płonęły świece, oświetlając drogę pozostałym, którzy śpieszyli na wieczorne nabożeństwo w czwartek, niespodziewanie zwołane przez pastora.

Winnie Ivey przekazała tarty i ciasteczka na poczęstunek po nabożeństwie, a żona pastora przygotowała dzbanki lemoniady własnej roboty, nie mrożonej. Słyszając to, wujaszek Billy i panna Rose Watson, nie przyzwyczajeni, by wychodzić z domu po zmierzchu, przybyli do kościoła w dobrych nastrojach.

Esther Bolick, mimo że bolały ją wszystkie kości, przeszła wolnym krokiem z Gene'em do znajdującej się po lewej stronie kościoła ławki, która już od dawna należała do ich rodziny. Kilku pracujących na rzecz wenty wolontariuszy, już odczuwających otepiający efekt wysiłku, jakim było

zorganizowanie przedsięwzięcia pozwalającego na zebranie największych funduszy w diecezji, wśliznęło się cicho, ciesząc się spokojem, słodyczą każdego cienia i znajomą mieszaniną zapachu kwiatów, wosku cytrynowego i palących się knotów świec.

Stawiła się większość członków rady parafialnej — niektórzy nadal zżerani niepokojem, że pozbawili Mitford doskonale prosperującego biznesu, inni całkowicie usatysfakcjonowani dobrze spełnionym zadaniem.

Hope Winchester, zaproszona przez pastora i głęboko uradowana faktem, że obniżka na literę A okazała się takim sukcesem, stała w drzwiach i rozglądała się dookoła zakłopotana. Czuła się onieśmielona obecnością w kościele, ponieważ nie została wychowana w wierze, ale ojciec Tim był jednym z ich dobrych klientów i nigdy nie narzucał się z Bogiem, więc stwierdziła, że nie ma nic do stracenia.

Wśliznęła się do tylnej ławki, na wypadek gdyby musiała szybko wyjść, i od razu spuściła głowę. To był idealny moment, żeby pomyśleć o wyprzedazy na literę S we wrześniu i o tym, że powinna ona uwzględnić *Sea of Grass* Conrada Richtera, o którym najwyraźniej nikt nie słyszał, co należało zmienić.

Wydawca „Muse” i jego żona Adele wśliznęli się do tylnej ławki po drugiej stronie nawy i zastanawiali się, co zrobią gdy wszyscy uklękną. Obydwoje wywodzili się z Kościoła baptystów i wierzyli głęboko, że klękanie publicznie, nawet w kościele, jest zbyt ostentacyjne, podobnie jak głośna modlitwa — żeby słyszeli ją wszyscy obecni w świątyni.

Sophia Burton, która widziała pastora dzisiaj rano na ulicy, cieszyła się, że przyszła i że przyprowadziła ze sobą Lizę. Cieszyła się, że wyszła na chwilę z małego domku z telewizorem, który planowała od czasu do czasu wyłączyć, ale jakoś nigdy jej się to nie udawało. Cieszyła się, że na chwilę oderwie myśli od swojej pracy w fabryce konserw i przełożonego, który każe jej robić rzeczy, których nikt inny nie musi wykonywać. Ponieważ nie chciała, aby jej własny Kościół, Kościół baptystów, pomyślał, że zdradza swoją religię, zaprosiła uczęszczającą do tej samej klasy w szkole niedzielnej znajomą, aby wyglądało to bardziej na okazję towarzyską niż coś o charakterze religijnym.

Bliżej ołtarza, po lewej stronie, siedziała Lace Turner z Olivią i Hoppym Harperami oraz siostrą Kennedy, która pracowała w szpitalu znacznie wcześniej, zanim pojawił się tam doktor Harper, i jak wszyscy twierdzili, scalała tę instytucję.

A, tam, zauważył pastor, gdy stał, czekając na końcu nawy, była jego rodzina — Cynthia i Dooley, a obok nich Pauline i Jessie, i Poo, i... nie do wiary! Buck Leeper.

Pastor chętnie przyszedłby do kościoła sam i dziękował Bogu na kolanach w pustej nawie. Z ogromną jednak radością zapraszał wszystkich i każdego z osobna na nabożeństwo, które będzie jego własnym, prywatnym podziękowaniem — za to, jak potoczyła się sprzedaż Fernbank, za Jessie, za jego życie, za tak wiele innych spraw.

— „Łaska wam i pokój od Boga, Ojca naszego, i Pana Jezusa Chrystusa” — rozpoczął słowami Listu do Filipian. — „Błogosławię Pana, który dał mi rozsądek — powtórzył za psalmistą — bo nawet nocami upomina mnie serce. Stawiam sobie zawsze Pana przed oczy, nic mnie nie zachwieje, bo On jest po

mojej prawicy". — Wymówił pradawne słowa pasterza owiec, Amosa: — „Szukajcie Pana... To Ten, który uczynił Plejady i Oriona, który przemienia ciemność w poranek, a dzień w noc zaciemnia, Ten, który wzywa wody morskie i rozlewa je po powierzchni ziemi — Pan jest imię Jego".

Oto jest, uśmiech żony, na który tak bardzo czekał. I o, nie jeden, ale dwa, ponieważ Dooley też się uśmiecha.

— Drodzy przyjaciele w Chrystusie, zebrani tutaj w obecności Boga Wszechmogącego, uklęknijmy w ciszy, i z cierpliwymi oraz posłusznymi sercami wyznajmy nasze grzechy, abyśmy uzyskali przebaczenie w Jego nieskończonej dobroci i łasce.

No to się zaczyna, pomyślała Adele Hogan, która — sama zaskoczona tym faktem — zsunęła się ze starej, wyżłobionej drewnianej ławki wprost na klęcznik.

Hope Winchester nie była w stanie tego zrobić; siedziała nieruchomo jak posąg i czuła, że serce bije jej głucho, jakby wypła hektolitry kawy. Miała też sucho w ustach. Może wyjdzie, i tak nikt nie zauważy, skoro wszyscy pochyłili głowy, problem jednak w tym, że zawsze jest ktoś, kto prawdopodobnie nie zamknął oczu, i zobaczy ją, jak ucieka niczym zbiegły więzień...

— Miłosierny Boże — modliła się z modlitewnika na głos razem z innymi Esther Bolick — wyznajemy, iż zgrzeszyliśmy przeciwko Tobie myślą, mową, uczynkiem...

Czuła, jak słowa przenikają jej zmęczone kości niczym balsam.

— ...i zaniedbaniem — modlił się Gene.

— Nie kochaliśmy Cię całym sercem — intonował wujaszek Billy, mrużąc oczy, by dojrzeć przez szkło powiększające tekst w modlitewniku — nie kochaliśmy naszych sąsiadów jak siebie samych.

Słowa modlitwy wydawały mu się piękne. Sprawiały, że wstępowała w niego nadzieja i czuł się bliżej Pana, i może to jest prawda, że nie zawsze traktował dobrze swoich sąsiadów, ale spróbuje się poprawić, zacznie to, zanim wyjdzie na ulicę dzisiejszego wieczoru. Szybko złożył nieme podziękowanie za kogoś, kto zechciałby ich podwieźć do domu, ponieważ na zewnątrz panują egipskie ciemności, a na dodatek jest gorąco jak w piekle.

— Szczerze żałujemy i obiecujemy poprawę — modliła się Pauline Barlowe, nie będąc w stanie powstrzymać łez i za wszelką cenę nie chcąc spojrzeć na dużego, silnego mężczyznę obok niej. Chociaż czuł się tu wyraźnie nieswojo, niemniej jednak trzymał za rękę jej córkę, która ssała kciuk i obserwowała, jak obracają się wiatraki na suficie.

— Przez wzgląd na Swojego Syna Jezusa Chrystusa, miej dla nas litość i wybacz nam — modliła się Cynthia Kavanagh, po raz kolejny nie mogąc się nadziwić, jak to się stało, że tutaj klęczy, i mając nadzieję, że stres, który ostatnio widziała u swojego męża, już minął i że to nabożeństwo zapoczątkuje odrodzenie i odnowę.

— ...abyśmy mogli znajdować radość w spełnianiu Twojej woli i abyśmy chodzili Twoimi ścieżkami — modliła się Sophia Burton, pragnąc całym swoim sercem robić to każdego dnia, naprawdę to

robić, a nie tylko się modlić, ale może rzeczywiście będzie umiała, zaczynała czuć, że rzeczywiście będzie umiała... może.

— ...na chwałę Twojego Imienia! — modlił się pastor, czując, jak ogarnia go ciepłe uczucie do wszystkich zgromadzonych w tym miejscu.

— Amen! — odpowiedzieli zgodnie.

To nieprawda, że go to nie martwiło; w rzeczywistości doprowadzało go to nieomal do szału za każdym razem, gdy ta myśl przychodziła mu do głowy. Ale co mógł zrobić? Co mógł udowodnić?

Nie wolno mu było rozpowiadać o tym po całym mieście — wyglądałoby to na najgorszy gatunek plotkarstwa i mieszania się do polityki; z pewnością nie powie o tym w barze Grill, jak również nie uważał za wskazane mówić o tym żonie. Nowa książka o Violet jest dla niej dużym obciążeniem i po co zaprzętać jej głowę czymś, co wygląda na bardzo nieprzyjemną sprawę?

Omer przyrzekał, że dochowa tajemnicy, przynajmniej na razie. Zresztą co takie gadanie mogłoby dać, chyba przyprawić o zawał jego szwagierkę? A poza tym, co mógł udowodnić?

Pastor znajdował pewne pocieszenie w fakcie, że do dnia wyborów zostało jeszcze kilka miesięcy. Z pewnością do tego czasu Mack zdradzi się ze swoimi planami, ktoś się potknie, coś...

Prace na strychu stanowiły pewną formę aktualnej miejscowej rozrywki dla tych, którzy nie mieli nic lepszego do roboty. Wujaszek Billy przychodził z trudem, opierając się na lasce, a następnie udzielał wszelkich możliwych porad brygadzie, od czasu do czasu częstując się ich lunchem, który przywozili zapakowany z domu bądź z Hardee's na autostradzie. Jak na razie, udało mu się naciągnąć na frytki dwóch kamieniarzy i stolarza.

Coot Hendrick codziennie około jedenastej podjeżdżał swoim rdzewiejącym pick-upem do chodnika, przesiadał się na miejsce pasażera, opuszczał szybę i przyglądał się całemu widowisku, ciesząc się prywatnością i wygodą własnego samochodu. W czasie gdy brygada mieszała zaprawę murarską, cięła tarcicę i ogółem rzecz ujmując, rujnowała ogromne połacie trawy i dwie rabaty z bylinami, on zajadał Nabs, łuskał orzeszki ziemne i pił Cheerwine, aż do godziny trzeciej. Następnie jechał do ESSO Lew Boyda, gdzie grał w warcaby do piątej, po czym udawał się do domu, do swojej starszej mamy i przygotowywał jej kolację — zazwyczaj niedużą porcję chleba kukurydzianego oraz miskę sałaty i cebuli, które skrapiał odrobiną skwierczącego tłuszczu z bekonu oraz octu winnego.

Pod strychem pełną parą ruszał jeszcze jeden kościelny projekt.

Podczas gdy ludzie z klasy przygotowawczej tchnęli życie w dawne kwatery kościelne, przedszkole umiejscowiło się w największej z sal szkoły niedzielnej, skąd dawały się słyszeć dochodzące przez ściany odgłosy wszelkiego rodzaju popiskiwanego, chichotania, kwilenia i zawodzenia.

Pastor uwielbiał wchodzić do sali, która była zupełnie obca światu dorosłych — wypełniona pękatymi, plastikowymi rowerkami trójkołowymi i ogromnymi winylowymi piłkami, które można było odbijać dookoła bez rozbijania okien. Szczególnie podobały mu się konie na biegunach, które podczas

każdej wizyty bujały się z szaloną prędkością a zaskoczone dzieci siedziały w siodłach, trzymając się kurczowo grzyw.

Sissy i Sassy poczuły się w tym harmiderze jak ryby w wodzie. Po całym dniu płaczu za swoją mamą zajęły się nowym życiem i prawie już nie zauważały zżeranej wyrzutami sumienia Puny, gdy przychodził z nią czasami, żeby je zobaczyć w porze lunchu.

— Sassy, to mama, przyjdź do mamy, proszę!

Sassy odwróciła główkę i żuła sznurek gumowych klaunów. Przed chwilą żuło je inne maleństwo, które wylało sobie na głowę kubek soku.

Sissy wstała, opierając się na drewnianym stole, i chwiejąc się, pędziła w jego stronę.

— Ba! — zawołała. — Ba!

— Ba! — zawołał do niej.

Upadł na kolana i wyciągnął ręce.

— Chodź do swojego dziadka, ty mały punkowcu!

— Nie wiedziałam, że jest dziadkiem — zauważyła Marsha Hunt, która zarządzała tym chaosem.

Puny nagle się rozweseliła.

— Ależ tak! — stwierdziła. — I to najlepsze, co mu się do tej pory w życiu przytrafiło!

Po mszy o jedenastej Mack Stroupe stanął kilka metrów na lewo od pastora i entuzjastycznie ścisnął wszystkim dłonie, podczas gdy tłum płynął przez drzwi. Dla kogoś przejeżdżającego ulicą, pomyślał pastor Tim, nie byłoby jasne, kto jest księdzem, gdyby jeden z nich nie miał na sobie szat liturgicznych.

Księgując zbiórkę na tacę w poniedziałek rano, Emma nie mogła się doczekać, żeby mu oznajmić: Mack Stroupe dał na tacę tysiąc dolarów.

Deszcz. Strugi deszczu. Deszcz, który splukiwał podjazdy, niszczył to, co pozostało z ogrodów, i przedostawał się przez dachy w całym Mitford. W małym żółtym domku pojawił się pierwszy w historii przeciek. Naprawił go Buck, wychodząc na łupkowy dach podczas późnopołudniowej ulewy.

Pastor pojechał, żeby sprawdzić, jak wygląda sprawa przecieku w Fernbank, i przybył w samą porę. Brytfanna do pieczenia indyka i wszystkie pozostałe naczynia kuchenne były już wypełnione po brzegi. Pieczołowicie opróżnił zawartość każdego z nich do toalety, zapewniając w ten sposób posiadłości Fernbank jedno bezpłatne splukanie wodą — ekonomiczne rozwiązanie, które często stosowała panna Sadie.

Usiłował być całkowicie szczery z Andrew w rozmowie, która nastąpiła po jego telefonie z ofertą, wyznając mu jeżąca włos na głowie prawdę o wszystkim, od dachu po piec. Co dziwne, Andrew robił wrażenie zachwyconego rysującą się perspektywą.

Przekaz z zaliczką dotarł do banku i został złożony w depozycie, stosowne dokumenty były przygotowywane i wszystko posuwało się do przodu. Andrew wróci do Mitford za kilka tygodni, ponieważ bardzo zależy mu na rozpoczęciu prac w domu przed zimą.

Ojciec Tim stał w rozległej pustej kuchni, przyglądając się strugom deszczu smagającym okna. Nawet ta przygnębiająca pogoda nie była w stanie popsuć jego dobrego nastroju spowodowanego dobrym losem Fernbank — nastroju, który nie towarzyszył mu już od bardzo dawna.

Gdziekolwiek się zjawiał, dawał do zrozumienia, że jest po stronie obecnie urzędującego burmistrza, i miał nadzieję, że czynił to bez zbytniego natręctwa. Polityka lokalna była niczym chodzenie po linie dla każdego — a co dopiero dla duchowieństwa.

Cóż jeszcze mógł zrobić?

— Już zrobiłeś! — uspokajała go Cynthia. — Pokaz lotniczy z transparentami i kręceniem beczek!

— Wczorajsze beczki nie mogą konkurować z dzisiejszym grillem.

— Nie można ci odmówić racji — zgodziła się.

Przyglądał się, jak jego żona zmarszczyła czoło i sprawiała wrażenie zamyślanej. Może jej coś przyjdzie do głowy.

— Powiedz mi, jak się wszystko układa, Betty. Wyszedł, żeby usiąść na ganku z Betty Craig, która westchnęła głęboko, słysząc to pytanie.

— Cóż, ojciec, Jessie moczy się w nocy i ma bardzo złe sny.

— Przykro mi, ale nie jestem zdziwiony.

— I biedna Pauline stara się na wszystkie sposoby być dobrą matką, ale wydaje mi się, że nikt jej nigdy nie pokazał, jak się to robi.

— Mam nadzieję, że klasa przygotowawcza jej pomoże. Wątpię, żeby do tej pory miała okazję przebywać z innymi dziećmi.

— Przyszła wczoraj do domu, wypłakując oczy i twierdząc, że nie chce już tam iść. Dzisiaj rano jednak wyglądało na to, że wszystko jest w porządku, gdy zabrałam ją do przedszkola w Lord's Chapel. Ja ją odprowadzam, wie ojciec, ponieważ Pauline wychodzi do pracy tak wcześnie.

— Czy jesteś w stanie poradzić sobie z całym tym tłumem w domu?

— O, tak! Dobrze jest mieć tłum, ale nie wydaje mi się, że mogłabym pomieścić jeszcze jedną osobę, chyba że będzie spać na stojąco. Nie zamierza ojciec... nikogo więcej przysyłać?

— Wydaje mi się, że Pauline rozglądnie się wkrótce za nowym domem.

Betty milczała, huśtając się.

— Wie ojciec, że pan Leeper do nas zagląda.

— Co o tym myślisz? — zapytał, ceniąc jej zdanie.

— Och, lubię pana Leepera i jest też dobry dla dzieci. Ale przy jej wysiłkach, aby trzymać się z daleka od alkoholu... a słyszę, że on sam od niego nie stroni... nie wiem, czy to najlepsze rozwiązanie.

Też tak myślał, ale sam przed sobą nie chciał się do tego przyznawać.

— Chciałbym zobaczyć — poprosił ją nieśmiało jak uczeń.

— Jesteś pewien? — upewniła się.

— Oczywiście! Chciałem cię o to poprosić już kilka tygodni temu.

Poszli przez żywoplot do jej pracowni, gdzie pokazała mu rosnący stos ilustracji do książki *Violet wraca do szkoły*. Usiadł na jej malutkiej dwuosobowej kanapce, a ona pokazała mu efekt swojej pracy, zdradzając przy tym własną nieśmiałość.

Był oczarowany talentem swojej żony. To, co zobaczył, sprawiło, że na chwilę zupełnie oniemiał.

— To cudowne, absolutnie cudowne! Zdecydowanie najlepsze do tej pory!

— Dziękuję! To tak wiele dla mnie znaczy!

— I Violet... na tym rysunku wygląda tak... jak to powiedzieć? Wygląda na tak szczęśliwą!

— Tak! Widzisz, Violet lubi chodzić do szkoły.

— Aha.

— Co przypomina mi... chciałam ci coś powiedzieć, najdroższy.

— Powiedz! — zachęcał ją, zachwycony niepokojem, z jakim na niego spoglądała, w opasce na włosach i dżinsowej bluzie.

— Przez kilka tygodni po wydaniu książki będę podróżować, odwiedzając szkoły i czytelnie. Wiem, jak tego nie lubisz.

Prawdę powiedziawszy, nie cierpiał tego. Pamiętał, jak beznadziejnie opuszczony czuł się, gdy wyjeżdżała kilka razy w ubiegłym roku. Co gorsza, przychodziły mu do głowy najbardziej dziwaczne myśli — że może nie wjechać na most i spadnie do rzeki albo że ktoś ją napadnie na szkolnym parkingu, albo że z silnika jej samochodu wycieka olej. A co, jeśli będzie musiała zatrzymać się na poboczu? Czy zdaje sobie sprawę, że w takich okolicznościach ludzie padają czasem ofiarą morderstw?

Powiedział to, co zawsze.

— Musisz to robić?

Ona też powiedziała to, co zawsze.

— Tak.

Ron zdjął czapkę i kurtkę, a potem strzepnął krople deszczu na chodnik w kancelarii.

— Głód albo klęska urodzaju — zaczął. — Susza albo powódź.

— Mówisz o życiu czy o pogodzie? — zażartował ojciec Tim.

— O życiu i o pogodzie — odparł Ron. — Obserwujemy obecnie prawdziwą lawinę aktywności na rynku nieruchomości.

— Co znowu? — Miał już naprawdę dość aktywności na rynku nieruchomości.

— Mamy potencjalnego kupca na twój dom. Poczul nagły chłód.

— Już?

Ron usiadł na ławce dla gości.

— Są bardzo zainteresowani i powiedzieli, że chcieliby go zobaczyć w następnym tygodniu.

— Jacy oni?

Dlaczego był tak niezadowolony, a nawet zły?

— H. Tide. Z Orlando.



— Ta sama firma jest zainteresowana cukiernią Sweet Stuff.

A jeśli to ta sama firma, która jest zainteresowana cukiernią Sweet Stuff, to macza w tym palce Mack Stroupe. Czyż Mack nie przypisał sobie oficjalnie na łamach gazety zasługi za skierowanie do Winnie pośrednika handlu nieruchomościami, którym — rzeczywiście — była niejaka H. Tide.

Nigdy nie umiał zachować negatywnego efektu złej wiadomości w umyśle; odczuwał go natychmiast swoim ciałem — czuł go w piersiach, w żołądku, w gardle.

— Przepraszam — dodał pośpiesznie Ron, widząc wyraz jego twarzy. — Jeśli będą go chcieli od razu, zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby pomóc ci znaleźć dom, jakiego będziesz potrzebował. Ale najlepiej spróbujemy znaleźć sposób na to, abyś mógł pozostać w obecnym domu, dopóki nie przejdziesz na emeryturę.

— Spróbujecie znaleźć sposób?

— No cóż...

Ron wyglądał na zawstydzonego i zbitego z tropu.

— Daj mi znać, jak będzie wiadomo coś nowego — odparł, słysząc lodowaty gniew w swoim głosie.

Nie chciał, żeby to tak zabrzmiało, ale nic nie mógł na to poradzić, nie potrafił tego ukryć.

Czuł się dziwnie przestraszony i samotny.

W drodze do domu doszedł do wniosku, że nie powie o tym Cynthii, przynajmniej do czasu, gdy nie będzie to konieczne. Nic przecież nie zostało jeszcze postanowione.

Oto jeszcze jedna okoliczność, którą będzie ukrywał przed żoną, i wiedział instynktownie, że to nie jest dobra taktyka — wyczytałby to w najprostszym poradniku.

Rozbijając domowe ognisko... gdzie się podzieją? Buck zaplanował rozpoczęcie prac przez brygadę w sąsiednim domu na wrzesień, za zaledwie kilka tygodni, i Cynthia przeniesie wtedy swój stół do rysowania i bibliotekę do jego salonu. Nigdy nie lubił zmian, a oto stał przed największą zmianą w swoim życiu, połączoną z możliwą zmianą adresu w najbardziej niedogodnym, niemożliwym do wyobrażenia momencie.

Jego przejście na emeryturę zdawało się tak gładkie, tak łatwe, tak... ożywcze, gdy podejmował tę decyzję rok temu. Teraz wyglądało na to, że może zostać wyrzucony na ulicę jak zupełnie niepotrzebna rzecz.

Wyrokował jednak zbyt pochopnie. Przedwcześnie. Reagował zbyt gwałtownie.

Zaczerpnął duży łyk świeżego powietrza i skręcił w Wisteria Lane. Obawiał się spotkania z Cynthią Kavanagh, która potrafiła spojrzeć mu w oczy i natychmiast wiedziała, że coś jest nie tak.

Oddałby wszystko, by móc teraz wsiąść do samochodu i jechać, nie oglądając się za siebie.

# Rozdział szesnasty

## PODPÓRKI NA KSIĄŻKI

Śpiesząc do baru Grill, spotkali wujaszka Billy'ego, który wracał wolno do domu z placu budowy w Lord's Chapel.

— Niech mnie kule biją, jeśli ojca chłopiec nie ma więcej o stopę!

Dooley zachichotał, spoglądając na swoje stopy.

— A gdzie ona jest?

Pastor zauważył, że Dooley zaczynał ponownie używać języka, który wyniósł z domu rodzinnego i którego — szczerze mówiąc — bardzo mu brakowało. Każde istotne odstępstwo od wersji poprawnej zostanie oczywiście skorygowane już za dziesięć dni. Do licha, jakże niechętnie myślał o tym, że będzie musiał zawieźć Dooleya do Wirginii i zostawić go w tamtym miejscu, nawet jeśli dzięki temu zdobywał wiedzę i poszerzał swoje horyzonty.

Percy odwrócił się od grilla i uśmiechnął szeroko.

— Spójrzcie, oto i nasz mistrz. Powinniśmy sprzedać cię jankesom, bez dwu zdań.

— Dodgersom — poprawił go Dooley, śmiejąc się.

Nigdy przedtem pastor nie widywał tak często uśmiechu na twarzy swojego chłopca. To lato było pod tym względem wyjątkowe. I dlaczego nie? Dostawał regularnie wypłatę, miał dziewczynę, która szalała na jego punkcie, przyjaciela, rodzinę, która powoli się scalała, i — ogółem rzecz biorąc — całą chmurę ludzi, którzy go kochali. Nie wspominając oczywiście o edukacji, której roczny koszt równał się cenie nowego samochodu — ze skórą i poduszkami powietrznymi.

— Cześć, kolego — przywitał się J.C., przywołując na usta jeden ze swych niezmiernie rzadkich uśmiechów.

— Hej — odwzajemnił powitanie Dooley, wślizgując się do tylnego boksu.

Pierwszy raz zadawał się z tymi starszymi facetami i nie bardzo wiedział, jak się zachować. Mógł w tej chwili pałaszować pizzę z Tommym nieopodał na autostradzie.

— Hej, siłaczu! — zawołał Mule. — Niech no spojrzę na to ramię! Dooley napiął biceps na prawym ramieniu i każdy po kolei próbował go ścisnąć.

— Kamień! — ocenił z aprobatą J.C. Mule skinął z powagą.

— Niepokonany! — zawołał pastor. J.C. wyciągnął chusteczkę i otarł twarz.

— Ja stawiam!

— No i znowu to samo — poskarżył się Mule. — Znowu mam wrażenie, że źle słyszę.

— Chciałem powiedzieć, że stawiam Dooleyowi, nie całemu cholernemu boksowi.

— Powinieneś mieć zasobną kiesę, jeśli chcesz żywić Dooleya Barlowe'a — przestrzegął ojciec Tim, dumny jakby chłopiec miał apetyt na Arystotelesa.

— Wezmę podwójną coca-colę, duże frytki i dwa hot dogi ze wszystkimi dodatkami.

— Ze wszystkimi dodatkami? — Mule uniósł brwi do góry. — Myślałem, że masz dziewczynę, więc lepiej nie jedz cebuli.

— Nie słuchaj tych bęcwałów — tłumaczył J.C. — próbowali układać mi... mi, ach... moje sprawy z Adele i omal nie zrujnowali mi życia. Jak chcesz się dowiedzieć czegoś o kobietach, to przyjdź z tym do mnie.

Mule nieomal wypadł z boksu, śmiejąc się.

— Co się tutaj dzieje? — zapytała Velma, która nie znosiła, gdy ktoś się śmiał, a ona nie wiedziała z czego.

— Wolałabym tego nie wiedzieć — usiłował załagodzić sytuację ojciec Tim.

— Ależ oczywiście, że chcę!

Oparła ręce na biodrach i spojrzała na nich sponad okularów, mrużąc oczy.

— A niech to! — narzekał Mule. — Czy paru facetów nie może już sobie pożartować, żeby od razu kobiety nie chciały wiedzieć, o co chodzi?

— Nie — powtórzyła Velma. — Więc o co chodzi?

— Uświadamiamy Dooleya co do płci przeciwnej — wyjaśnił Mule.

— O Panie Boże, ratuj!

Velma wyglądała na kompletnie zde gustowaną.

— Chciałbym, żebyście wszyscy przestali — poprosił Dooley. — Nie potrzebuję niczego wiedzieć o dziewczynach, ja już wszystko wiem.

— Widzicie! — rzuciła Velma. — Zostawcie go w spokoju. Dooley, gdybyś kiedykolwiek chciał się dowiedzieć czegoś o płci przeciwnej, przyjdź z tym do mnie albo do Percy'ego, rozumiesz? Powiemy ci szczerą prawdę.

— Do licha!

— Będzie się cieszył z powrotu do szkoły, jak się nasłucha tych wszystkich bredni... — Mule zakrył twarz dłońmi.

— Zgadza się! — przyznał mu rację Dooley.

Ron Malcolm zadzwonił, żeby powiedzieć, że będzie w domu pastora w środę w południe. Będą mu towarzyszyć ludzie z H. Tide.

Ojciec Tim postanowił, że weźmie nogi za pas i postara się być jak najdalej od tego żalosego zdarzenia.

Kiedy w końcu zdobył się na odwagę, żeby powiedzieć Cynthii, spojrzała na niego z niedowierzaniem.

— Dlaczego chcą pokazać nasz dom teraz, skoro nie zamierzają go sprzedać, dopóki się nie wyprowadzimy?

— Prawdę powiedziawszy, jeśli dostaną interesującą ofertę i kupiec będzie chciał się wprowadzić od razu, sprzedadzą go teraz, a nam znajdą coś...

Sam nie wierzył własnym uszom.

— Znajdą nam coś...? Odwrócił wzrok.

— Rynek nieruchomości w Mitford, jak wiesz, jest już historycznie zły. Rada parafialna jest zdania, że nie może sobie pozwolić na zrezygnowanie z oferty, jeśli będzie atrakcyjna. Ludzie wiedzieli od dwóch czy trzech lat, że dom będzie na sprzedaż, a nikt się nim nie zainteresował.

— Rynek nieruchomości w Mitford jest historycznie zły, ponieważ rozwój w Mitford posuwa się w ślimaczym tempie.

Odwrócił się i zauważył, że drga jej policzek.

— Jak słyszę takie rzeczy, to mam ochotę głosować na Macka Stroupe'a.

— Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałaś.

— Żartowałam tylko, na litość boską, nie musisz mi od razu skakać do gardła.

— Nie skoczyłam ci do gardła.

— Ależ oczywiście, że tak. A poza tym stałeś się ostatnio bardzo drażliwy. Dźwigasz na barkach całe Mitford, a na własne sprawy nie wystarcza ci już energii. A teraz mówisz mi, że możemy zostać wyrzuceni z domu dzięki parafii, której służyłeś wiernie przez szesnaście lat? Jeśli tak myśli twoja rada parafialna, Timothy, to w takim razie poprosiłabym cię, żebyś wyświadczył mi przysługę i ustawił ich przedemną w szeregu, a następnie kazał im się pochylić. Przejdę wtedy wzdłuż szeregu i dam każdemu wybitnemu członkowi rady dokładnie to, na co zasłużył, to znaczy — czy muszę ci to mówić — porządnego kopniaka!

Obróciła się i wyszła z salonu. Słyszał, jak biegnie po schodach na górę. Drzwi do ich sypialni, które rzadko były zamykane, trzasnęły za nią.

Poczuł się tak, jakby ktoś wylał na niego kubel zimnej wody. Wszystkie przykre doznania, z którymi ostatnio musiał sobie radzić, ciężar na sercu, pulsowanie krwi w skroniach, skurcze żołądka... wszystkie jednocześnie dały znać o sobie, tyle że ze zdwojoną siłą.

Zrozpaczony usiadł przy kuchennym stole. Nigdy wcześniej tak się nie kłócili. Obydwoje byli przepracowani, żyli w dużym stresie, a kto chciałby się dowiedzieć, że może zostać wyrzucony na bruk?

Był zasmucony już samym faktem, że takie rozwiązanie przeszło przez myśl jego współpracownikom.

Czuł się również zawstydzony zachowaniem Rona Malcolma, jednego z najwspanialszych ludzi, jakich znał, a na dodatek osobistego przyjaciela. Ron Malcolm zachowywał się jak Ed Coffey, gotowy zrobić wszystko dla pieniędzy.

Pieniądze!

Cieszył się, że nie posiada prawdziwie dużych pieniędzy, cieszył się, że w tym ulotnym życiu pozbył się większości z nich. Dobry Boże, gdy widział, co niektórzy ludzie są skłonni zrobić za dolara, miał

ochotę zadzwonić do swojego brokera i poprosić go o przelanie całości funduszy na konto Szpitala Dziecięcego.

A tak w ogóle, jaka kwota pozostała z majątku jego matki? Około stu czterdziestu tysięcy, od których procent rósł przez wiele lat. Chociaż często do nich sięgał, i to po znaczne sumy za każdym razem, gdy potrzebował ich Szpital Dziecięcy, mądre inwestycje sprawiły, że zachowała się większość z początkowych dwustu tysięcy.

Szczerze mówiąc, to nie były mądre inwestycje, to były bezpieczne inwestycje. Był bojaźliwy jak zając, gdy przychodziło do szastania zasobami finansowymi. Żałował, że nie poradził się panny Sadie w kwestii jej strategii finansowych. Po jej śmierci przyszły mu do głowy setki spraw, o które nie zapytał, a teraz było już za późno, aby się dowiedzieć, jak zdołała odłożyć milion dolarów dla Dooleya, po wyłożeniu pięciu milionów na Dom Nadziei.

Czy powinien pójść na górę i porozmawiać z Cynthią? Co mógłby jej powiedzieć?

Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek wcześniej czuł się tak zmęczony, tak... Szukał słowa, które wyraziłoby to, jak się teraz czuje, ale nie potrafił go znaleźć.

Nie miał dość sił, żeby ją przeprosić. Prawdę powiedziawszy, wcale nie był pewien, czy chce ją przeprosić. Cóż takiego w końcu powiedział? Nie pamiętał, ale to wszystko miało coś wspólnego z Mackiem Stroupe'em.

Niech go piekło pochłonie! Miał serdecznie dość Macka Stroupe'a.

I co z tego, że nie powinien zjeść napoleonici? Czy nie czekał ponad dekadę, żeby kilka dni temu zjeść nędznego cheeseburgera?

Nie był ascetą mieszkającym na pustyni, tylko zapracowanym, aktywnym duchownym, który musiał właściwie się odżywiać.

Sprawdził poziom cukru i pomaszerował do Winnie Ivey, mijając pośpiesznie kilka osób, które mu się ukłoniły, ale do których uniósł zaledwie rękę w niemym geście powitania. Przyglądali mu się z niedowierzaniem. Nigdy nie widzieli, aby miejscowy ksiądz był taki zagniewany. To było zupełnie do niego niepodobne.

Dzwonek na drzwiach do cukierni Sweet Stuff zadzwonił i na jego dźwięk obróciły się głowy czterech klientów siedzących przy stoliku. Byli to nauczyciele piątej i szóstej klasy ze szkoły w Mitford, którzy pili herbatę. Natychmiast zauważył, że chcą porozmawiać, więc obrócił się, żeby wyjść.

— Ojciec? — zwróciła się do niego Winnie, wyłaniając się zza kotary za ladą z ciastkami. — Czy może ojciec zatrzymać się na minutkę?

Wielkie nieba, Winnie Ivey wyglądała tak posępnie i robiła wrażenie tak przypartej do muru, jak on sam.

Podawała kolejny dzbanek z gorącą wodą nauczycielom, którzy przyglądali mu się dziwnie, i złapała go za rękaw.

— Muszę z ojcem porozmawiać — poprosiła go szeptem.

Poszli do kuchni, która jak zawsze pachniała niczym dziecięca wersja raj — cynamonem, rosnącym drożdżowym ciastem i pieczonymi ciasteczkami. Ten zapach powinien być dostępny w sprayu. Był tak kojący, że natychmiast poczuł się zrelaksowany.

— Wygląda ojciec strasznie — zauważyła.

— No cóż.

Jeśli nie Winnie Ivey, to z pewnością powiedziałały mu o tym Emma Newland, a na pewno nie omieszkałyby mu o tym wspomnieć też wielu innych.

— Ojczy, coś okropnego...

Ostatnimi czasy zdarzały się tylko okropne rzeczy.

— Ta agencja handlu nieruchomościami chce kupić moją cukiernię.

— Naprawdę?

— A ja zupełnie nie mogę sobie znaleźć miejsca. Po tym, jak zamieściłam tyle ogłoszeń i modliłam się jak oszalała, przyszła moja wielka szansa, a ja jestem zrozpaczona.

— Jeśli się modliłaś, a nie jesteś w stanie podjąć słusznej decyzji, to powinnaś poczekać. To zasada, której się trzymam.

— Ale oni chcą kupić od razu.

— Czy zapłacą ci tyle, ile chciałaś?

— Nie całkiem. Pan Skinner uważa, że cukiernia warta jest siedemdziesiąt pięć tysięcy, ja chciałam sześćdziesiąt, a oni chcą mi dać czterdzieści pięć.

— Czterdzieści pięć tysięcy za dwadzieścia lat pracy — zastanawiał się na głos. — To niewiele ponad dwa tysiące za rok.

— Och! — westchnęła zasmucona.

Z minuty na minutę czuł się coraz gorzej. Zupełnie przeszła mu ochota na napoleonkę.

— Bardzo chciałabym, żeby mi ojciec doradził. Cenię ojca zdanie.

Nie chciał być niczyją Opatrznością ale Winnie poprosiła go o pomoc, więc postara się stanąć na wysokości zadania. Dał jej tę samą radę, której udzielał ostatnio we wszystkich kwestiach związanych z rynkiem nieruchomości i z której zaczynał słynąć.

— Powiedz im, że chciałyby się zastanowić przez trzydzieści dni.

Wyglądała na zaniepokojoną.

— Nie wydaje mi się, żeby byli z tego zadowoleni.

— Prawdopodobnie nie będą, to prawda.

— A ja mogę nie dostać kolejnej oferty.

— To też prawda. Zastanów się jednak nad tym: jesteś jedyną kandydatką w mieście. Na dziś nie został wystawiony na sprzedaż żaden inny sklep na Main Street, a to jest bardzo atrakcyjna nieruchomość. Wydaje mi się, że to ty trzymasz asa w rękawie.

Złożyła ręce i zmarszczyła czoło.

— No cóż, mogłabym tak zrobić. Ale... to ryzykowne.

Nie powie jej, że ryzyko czyni nasze życie bardziej fascynującym.

Czyż nie miał biskupa? Sprzymierzeńca? Nie tkwił przecież w próżni, zupełnie sam. Stuart Cullen wstawi się za nim. To właśnie od tego są biskupi, prawda?

Stuart jednak wyjechał i nie będzie go przez dwa długie tygodnie, ponieważ jego żona — jak mówiła sekretarka Stuarta — zmusiła biskupa, żeby wyjechał. Nie była pewna gdzie, ale wydawało się jej, że gdzieś na południe Francji albo przynajmniej gdzieś, gdzie mówią innym językiem i gdzie ludzie noszą na plaży bikini.

Dooley, który zakończył wczoraj pracę, pokazał się w kancelarii z listem w ręku.

Usiadł na ławce dla gości i przyglądał się swoim tenisówkom, gwizdał, wymachiwał nogą i spoglądał przed siebie, podczas gdy pastor otworzył list i czytał.

„Mój Najdroższy Mężu,

żałuję, że nakrzyczałam na Ciebie dzisiaj rano. Ty powiedziałeś przykre słowa, ja powiedziałam przykre słowa, i po co? Gdy wychodziłeś, wyglądając na zranionego, chciałam za Tobą biec i Cię przytulić, ale nie mogłam się ruszyć. Stałam na górze, na półpiętrze, i sterczałam w oknie niczym uczennica, przyglądając się, jak idziesz chodnikiem.

Zobaczyłam, jak zatrzymujesz się na chwilę i rozglądasz dookoła, jakbyś chciał zawrócić. Wyglądałeś na tak zagubionego, a mnie ogarnął taki żal, gdy pomyślałam, że kiedykolwiek mogę zrobić coś, co sprawiłoby Ci przykrość. Mój drogi Timothy, który jesteś dla mnie całym światem — wybac mi.

To, co się zdarzyło, było tak nieistotne, dla wielu innych nie miałyby żadnego znaczenia — tak mi się wydaje. Jesteśmy obydwój bardzo wrażliwi, tak podobni do siebie pod względem tego małego miejsca w sercu, które boi się odrzucenia i jest niechętnie surowej ocenie.

Gdy spoglądałam na Ciebie z góry, nagle poczułam Twój ból jako własny, a zatem cierpiałam podwójnie przez te wszystkie godziny. Spiesz do domu, najdroższy mężu!

Wróć i pocałuj mnie, i przytulmy się w ten sposób, który Bóg zarezerwował tylko dla nas. Jesteś mi bardzo drogi, droższy niż życie.

Na zawsze Twoja, Cynthia  
(nadal Twoja podpórka na książki?)

PS. Wiem, że to żaloszny gest, ale przygotuję Ci jakąś pyszną pieczeń na kolację i upiekę Twoje ulubione ziemniaki w piekarniku. A więc pokój?"

Dooley spojrział na sufit, wstał, wyjrzał przez okno, usiadł znowu, potem znalazł gumę, która przykleiła mu się do podeszwy buta, i pedantycznie ją odkleił.

— Pokłóciliście się z Cynthią?

— Tak.

— Rozumiem.

— Naprawdę?

Te słowa wypowiedziane przez Dooleya Barlowe'a sprawiły mu ogromną radość. Rozumiem. Bardzo dojrzałe stwierdzenie w ustach każdego, a co dopiero czternastoletniego chłopca.

— Jenny i ja też się pokłóciliśmy. Miała do mnie pretensje o coś, czego nie zrobiłem.

— Aha.

— Powiedziała, że kiedyś poświęciłem Lace Turner za dużo czasu.

— Żartujesz...

— Niczego takiego nie zrobiłem.

— Oczywiście.

— Lace chciała porozmawiać o historii Stanów Zjednoczonych, to wszystko, a ja tylko odpowiadałem na jej pytania. — Wzruszył ramionami.

— Rozumiem. O czym rozmawialiście... to znaczy, na temat historii Stanów Zjednoczonych?

— O podróży na zachód wozem konnym. Chciałbym kiedyś tak pojechać. Lace powiedziała, że ona też by chciała. — Jego piegi zrobiły się bardzo widoczne. — To wszystko.

— Każdego dnia zadziwia mnie fakt — wyznał pastor — jak pomiędzy ludźmi tak często może dochodzić do nieporozumień w najprostszych sprawach.

— Lace pisze opowiadanie o wędrowce na zachód wozem konnym, ze Springfield w stanie Illinois, skąd wyruszyła Donner Party\*. W jej opowiadaniu ginie przywódca i musi go zastąpić kobieta.

— Ach.

— W zeszłym roku dostała najwyższe stopnie za swoje opowiadania.

— To wspaniale.

— Przestała nosić ten głupi kapelusz.

— Zauważyłem.

— No, tak. Proszę ojca, nie mam zbyt wiele czasu. Czy zamierza ojciec odpisać Cynthii?

— No pewnie.

— Muszę zobaczyć się z Poo i Jessie. Napisze ojciec na maszynie czy odręcznie?

— Na maszynie. Pośpieszę się.

\* Donner party — grupa imigrantów, później znana jako Donner Party, która wyruszyła w 1846 roku ze Springfield w stanie Illinois do Kalifornii, w ramach wielkiej migracji na zachód (Westward Migration).

„Droga Podpórko na Książki,

dooley przyniósł Twój list i czeka na odpowiedź, ja cierpiałem, ty cierpiałaś. Wystarczy!

Jesteś mi droga ponad miarę. Każdego dnia nie mogę wręcz uwierzyć, że Bóg obdarzył nas taką cudowną więzią/ »Chciałbym, o jasna gwiazdo, tak jak ty być stały«\*\* kochający, timothy — który, zaledwie



dwa lata temu, jak może sobie przypominasz, ślubował, że zawsze będzie Cię wielbił, bez względu na wszystko Pokój.

ps. chętnie pozmywam naczynia, a barnaba wytrze".

\*\* Fragment *Sonetu napisanego na pustej karcie w tomie wierszy Szekspira* Johna Keatsa w tłumaczeniu W. Lewika zaczerpnięto z książki *Poeci języka angielskiego*, PIW, Warszawa 1971.

Musi zrobić coś dla Esther.

Więcej billboardów na autostradzie tego nie załatwi. Kampania Esther wymagała osobistego kontaktu, wymagała zagładnięcia ludziom w oczy i powiedzenia o tym wszystkim, co zrobiła. Wymagała... kawy w czyimś domu.

Ale nie w jego domu. Nie, zdecydowanie nie. Dla księdza dmuchanie w kaszę pani burmistrz nie było politycznie poprawnym zachowaniem. Będzie musiał namówić kogoś innego, aby to zrobił.

Esther Bolick roześmiała mu się w twarz.

— Żartuje sobie ojciec ze mnie! — zawołała.

Co też mu przyszło do głowy, żeby do niej zadzwonić. Co za głupi pomysł, czuł się jak idiota. Dlaczego więc wziął słuchawkę do ręki i zadzwonił do Hessie?

— Musiał ojciec pomylić numer — stwierdziła Hessie Mayhew i odłożyła słuchawkę.

Zadzwonił do przewodniczącej Kobiet Kościoła Episkopalnego, myśląc, że może być zainteresowana wystąpieniem pani burmistrz na kolejnym comiesięcznym spotkaniu.

— Wystąpiła u nas rok temu — wyjaśniła Erlene Douglas — a nigdy nie zapraszamy dwa razy tego samego prelegenta, chyba że to biskup albo gruba ryba.

— Zamieść tablicę w oknie — usiłował nakłonić Percy'ego — jedną z tych w rodzaju: „Jesteśmy z Esther".

— Zdecydowanie nie — odmówił Percy. — Ja prowadzę interes. Nie będę agitował na rzecz nikogo. Niech sami sobie z tym poradzą, tak jak potrafią.

— Olivia — przemówił do niej swoim głosem kaznodziei — zastanawiałem się, czy...

Olivia jednak razem z Hoppym i Lace wybierali się na wybrzeże na ostatnie kilka dni przed rozpoczęciem roku szkolnego. Będą to pierwsze — z wyjątkiem ich miesiąca miodowego — wakacje Hoppy'ego od dziesięciu lat.

Siedział, wpatrując się w półki w kancelarii i bębniąc palcami po biurku. Może Esther mogłaby się wybrać na posterunek policji któregoś ranka i rozdawać paczki? Albo jeszcze lepiej, mogłaby rozdawać baloniki w sklepie Hattie Cloer's na autostradzie. Wiedział, że balansuje na linie.

Zadzwonił do Esther do biura. Natychmiast zauważył, że robi wrażenie przygnębionej.

— Sama nie wiem — westchnęła głęboko. — Komu potrzebna ta cała nieprzyjemna sprawa? Ten nędzny frajer agituje właściwie od świąt wielkanocnych. To dla mnie więcej polityki, niż jestem w stanie strawić.

— Ale nie możesz się teraz poddać!

— Kto tak powiedział? — zadała retoryczne pytanie pani burmistrz.

— Pan Tim!

Gdy jak zwykle przyszedł dostarczyć wątróbkę do Betty Craig, Jessie wyszła mu na spotkanie w drzwiach, niosąc książeczkę do kolorowania.

— Patrz! — zawołała, podnosząc ją, aby mógł się dokładnie przyjrzeć.

— Niesamowite! — zachwycił się, kucając obok niej.

— To wielbłądy. Wielbłądy magazynują wodę w garbach.

— Zgadza się. Zdziwiający!

— Czy mogę ci usiąść na kolanach?

— Koniecznie.

Odłożył torbę wątróbki i posunął się w stronę przykrytego pokrowcem fotela w salonie. Jessie wspięła mu się na kolana i przytuliła się do niego, ssąc kciuk.

— Wydawało mi się, że chciałeś przestać go ssać — zauważył, tuląc ją w ramionach.

— Betty posypała mi go pieprzem, ale ja wszystko zmyłam. Nie znał się za bardzo na ssaniu kciuków, ale znał lekarstwo. To samo lekarstwo leczyło każde inne zło na świecie, ale było go zdecydowanie za mało.

Po rozmowie z Pauline położył kolejną listę — jakkolwiek krótką — na biurku Emmy.

Tym razem jednak Emma nic nie znalazła. Zupełnie.

Pośrednik handlu nieruchomościami z Orlando złożył ofertę. Sto pięć tysięcy gotówką. Była to, co do centa, zaproponowana cena sprzedaży.

Nie słyszał, aby w ostatnich czasach ktoś zgodził się bez negocjacji na proponowaną cenę.

Gdy rozmawiał o tym z Ronem, miał wrażenie, że jego szczęki są zupełnie sztywne albo przynajmniej częściowo unieruchomione za pomocą drutu.

— Kiedy chcą zamieszkać?

— Piętnastego października.

— Kto jest kupcem?

— Nie powiedzieli dokładnie. Ktokolwiek to jest, może go tylko wynajmować.

— Chciałbym, żebyś z tym poczekał.

— Wyraźnie dali do zrozumienia, że nie chcą, by trwało to zbyt długo. Byli gotowi wyłożyć gotówkę już dzisiaj, ale niczego oczywiście nie podpiszę, dopóki nie uzgodnię tego z radą parafialną.

— Poproszę cię, żebyś coś dla mnie zrobił.

— Wie ojciec, że chcę pomóc. Czy rzeczywiście w to wierzył?

— Chcę, żebyś poczekał z podjęciem decyzji dziesięć dni. Nie rób niczego przez dziesięć dni.

Nie wydawało mu się, aby tym razem jego zwyczajowe trzydzieści dni mogło przejść, ale potrzebował trochę czasu, żeby się z tym oswoić. Myśl, że transakcja może zostać zamknięta natychmiast, sprawiała, że czuł się jak w pułapce, zupełnie bezradny.

Ron ujął brodę dłonią.

— Już powiedzieli, że chcą, abym się do nich odezwał pod koniec tygodnia. Jeśli każemy im czekać, mogą wycofać ofertę.

— Słuchaj. Jeśli wydaje ci się, że nie przeszkadza nam to, że mamy zostać wyrzuceni bez żadnego pardonu z naszego domu, to się mylisz. Muszę ci powiedzieć, że w ogóle mi się to nie podoba, i jeśli masz w planie jakąś wcześniejszą emeryturę, o której nic nie wiem, to wyłóż karty na stół.

Serce biło mu mocno, na czoło wystąpił pot. Był absolutnie opanowany.

Ron usiłował się uśmiechnąć, ale bezskutecznie.

— Wcześniejszą emeryturę? Ojczy, chcielibyśmy zatrzymać ojca na zawsze. Emerytura nie była naszym pomysłem, tylko ojca.

— I również moim pomysłem jest dziesięć dni, żeby to wszystko strawić. Po szesnastu latach w parafii zasłużyłem sobie na te dziesięć dni.

Koniec, kropka.

Nie przyjmował do wiadomości negatywnej odpowiedzi i Ron o tym wiedział.

— Ojczy! Proszę się zatrzymać! Proszę poczekać! — wołała Winnie Ivey, w fartuchu biegnąc za nim Main Street. — Widziałam, jak ojciec przechodzi, ale rozmawiałam przez telefon. Och, nie uwierzy ojciec! Nie uwierzy!

— Uwierzę! — zawołał, śmiejąc się z jej entuzjazmu.

— Wygrałam ten rejs! Wygrałam! Rejs po całym archipelagu wysp!

— Alleluja! — zawołał, ujmując jej dłonie, gdy podskakiwała z radości. Opaska zsunęła się jej z czoła, a siwiejące loki rozsypały się swobodnie.

— Nigdy niczego nie wygrałam, nawet misia na strzelnicy!

— Na wszystko w życiu przychodzi czas! — zawołał, ciesząc się razem z nią.

— Ludzie z Golden Band powiedzieli, że mogę jechać, kiedy tylko zechcę, poczynając od października! Byli tacy sympatyczni, mówili, że moje hasło było po prostu idealne, mówili, że trafiłam w samo sedno! Dziękuję ojcu za to, że pomógł mi ojciec to napisać, zapraszam ojca na napoleonkę w każdej chwili! Do licha, lepiej wróć, mam dwóch klientów, którzy jedzą pączki i piją kawę.

Przyglądał się, jak biegnie ulicą, i miał wrażenie, że zaraz odbije się od chodnika i uleci do góry.

W ciągu dwóch dni Harley wywiózł trzy taczki śmieci z garażu Cynthii, umył i nawoskował jej samochód, skosił trawę w obydwu ogródkach, usunął uschnięte i zwiędnięte pędy funkii i wyplewił wszystkie rabaty z kwiatkami.

— Harley, powinieś trochę zwolnić — poradził pastor, sam przystępując do plewienia.

— Nie, proszę ojca, nie zamierzam tego robić. Cieszę się, że pracuję, jeszcze nigdy w życiu nie było mi tak dobrze i dziękuję za to Panu Bogu.

Oto, pomyślał, jeszcze jeden orzech do zgryzienia. Jakiegokolwiek przejściowe rozwiązanie kwestii mieszkania, zaproponowane przez radę parafialną, może nie uwzględniać dachu nad głową dla Harleya Welcha.

Ojciec Tim przykucnął nad grządką z bylinami i obserwował grę migoczącego popołudniowego światła na trawie. On i Cynthia odmówili modlitwę, która nigdy nie zawodzi, a co innego poza tym mogli zrobić?

Zastanawiał się przez chwilę nad nagłym, nieoczekiwanym pomysłem, który przyszedł mu do głowy dzisiaj rano, gdy biegł. Pojawił się zupełnie niespodziewanie i sprawił, że aż zwolnił i przez chwilę szedł. Oczywiście, nigdy przedtem czegoś takiego nie robił. Ale czy to był powód, żeby nie zrobić tego teraz? Cynthia będzie знаła odpowiedź.

Najgorsze w całym tym zamieszaniu związanym z jego domem było to, że w którąkolwiek stronę się obrócił, stawał przed murem. Trzydzieści dni tutaj, dziesięć dni tam — miał wrażenie, że to się nigdy nie skończy.

Ale był jeden plus tego wszystkiego. Wyruszenie do Kanaanu już nie wydawało mu się takie przerażające. Zdawało się cholernie dobrym sposobem na wprowadzenie do jego życia odrobiny spokoju.

Myślał, że będą rozmawiać o tym do białego rana. Wyglądało jednak na to, że do konkluzji dojdą dość szybko.

— Sądzę, że powinniśmy to zrobić — powiedział swojej żonie.

— Ja też sądę, że powinniśmy to zrobić — odparła, wyglądając na podekscytowaną.

Sięgnęła w jego stronę, przyłożyła ciepłą dłoń do jego policzka i uśmiechnęła się.

— Rozwiązałyby to wszystkie problemy — stwierdziła.

## Rozdział siedemnasty

### PO GŁĘBOKIM BŁĘKITNYM MORZU

Następnego ranka znalazł się w kancelarii wcześniej niż zwykle, a na automatycznej sekretarce czekała na niego następująca wiadomość:

— Ojczy? Mówi Ron. Rozmawiałem z H. Tide i chcą zawrzeć tę transakcję teraz — albo nigdy. — Ron odchrząknął. — Och, mówili też, że nie będą chcieli go nam wynajmować, chcą go zająć piętnastego października.

Słysząc było jego nierówny oddech.

— Proszę się nie martwić, ojczy, zaopiekujemy się ojcem. W tle usłyszał głos Wilmy Malcolm.

— Dom Randallów!

— Wilma słyszała, że dom Randallów jest do wynajęcia, i jestem pewien, że coś uda nam się wymyślić. Cóż, wyjeżdżamy na kilka dni odwiedzić wnuki, skontaktuję się z ojcem po powrocie.

Automatyczna sekretarka kliknęła, zawarczała i znowu kliknęła.

Siedział przy biurku znieruchomiały. Przez wszystkie lata pracy duchownego... Nie poruszył się przez — jak mu się wydawało — dłuższą chwilę.

Potem wstał, wcisnął przycisk wymazywania i wyszedł.

Poszedł do domu, aby dopilnować, jak Dooley będzie się pakował przed wyjazdem do Wirginii następnego ranka.

Nie miał pojęcia, jak zdoła stanąć twarzą w twarz z kimkolwiek, a co dopiero Dooleyem Barlowe'em. Czy rozklei się i rozplacze jak dziecko? Albo, co gorsze, sięgnie po jakiś ciężki przedmiot i wyrzuci go przez okno?

Starał się przypomnieć sobie, jak Ron stanął w jego obronie tej nocy, gdy zmierzyli się z Edith Mallory. Zdarzyło się to kilka lat temu, w Clear Day.

Po poinformowaniu jej o zgniłych belkach stropu, które odkryli pod podłogą baru Grill, udało im się przekonać Edith do naprawienia szkód i przedłużenia dzierżawy Percy'emu na pięć lat, przy zaledwie części czynszu, którym go pierwotnie zaskoczyła — czynszu, który miał w rzeczywistości doprowadzić do wykluczenia baru Grill z biznesu.

Edith Mallory szczerze go nienawidziła, nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Pokazała mu swój gniew tej nocy w sposób, którego wolał sobie nie przypominać.

On i Ron Malcolm opuścili Clear Day, triumfując. Byli zachwyceni. Odnieśli zwycięstwo, które ich dodatkowo połączyło. A zwycięstwo to nie było ważne ze względu na to, że zwyciężyli, ale ze względu na to, że udało im się ocalić coś kluczowego dla istnienia i duszy miasteczka. Podczas gdy poczucie wspólnoty ginęło we wszystkich miasteczkach dookoła, on i Ron walczyli o coś istotnego i zwyciężyli.

Zanim pozwoli, aby ta przykra sprawa z jego domem całkowicie nim zaważnęła, powinien wybaczyć Ronowi Malcolmowi. Z Bożą łaską być może mu się to uda. I co z tego, że będzie musiał to robić od nowa co pięć minut?

Sęk w tym, aby zacząć.

— Jest ojciec w domu? — zawołał Dooley z półpiętra.

— Tak. Daj mi pół godziny.

Zatrzymał się w kuchni, aby wypić szklanek lodowatej wody.

Cynthia była na zakupach w Wesley, a Lace, która wyjeżdżała jutro nad morze, piekła ciasteczka w kuchni Harleya. Aromat wędrował po schodach jak sylf.

Poszedł do swojej sypialni z Barnabą u nogi i usiadł w fotelu z wysokim oparciem, biorąc kilka głębokich oddechów, aby uciszyć zamęt, który przeniósł się z jego głowy do serca.

Razem z Cynthią odmówili już modlitwę, która nigdy nie zawodzi, w sprawie ich domu, ale odczuwał potrzebę, żeby odmówić ją jeszcze raz.

Barnaba oparł głowę na stopach swojego pana.

— Ach, przyjacielu — westchnął, trącając głowę swojego dobrego psa czubkiem mokasy.

Dźwięk dobiegł go przez otwarte okno sypialni — straszliwy odgłos hamowania, głośnie uderzenie, nienaturalnie wysokie wycie psa. Dooley krzyczał.

Podbiegł do okna i wyjrzał na Wisteria Lane.

Dobry Boże! Barnaba leżał na ulicy, a nad nim pochylał się Dooley.

Nie pamiętał, jak zbiegał po schodach, ale wydawało mu się, że natychmiast znalazł się na ulicy razem z Dooleyem, kucając przy Barnabie i słysząc straszny dźwięk, który niczym długi jęk dobywał się z jego wnętrza.

Krew sączyła się z klatki piersiowej jego psa, plamiąc asfalt. Wyciągnął dłoń...

— Nie dotykaj go! — krzyknął Dooley. — Ugryzie. Musimy związać mu pysk! Zawołaj Lace! Zawołaj Lace!

Pastor natychmiast ruszył i biegł do domu, wołając, krzycząc.

— I przynieś mi ręczniki! — krzyczał Dooley. — Ma wgniecioną klatkę piersiową, muszę mieć ręczniki!

Serce waliło mu tak mocno, że czuł je aż w gardle. Dobry Boże, nie zabieraj mojego psa, nie zabieraj tego dobrego stworzenia, miej litość! Lace wybiegła.

— Pomóż Dooleyowi! — zawołał.

Pobiegł do łazienki przy pokoju gościnnym, skąd wziął całe naręczce ręczników, obrócił się i pobiegł korytarzem, a potem po schodach i na ulicę. Wszystkie sekundy tego koszmaru zdawały się trwać całą wieczność.

— Daj mi to, co masz na głowie — Dooley polecił Lace. — Pomóż mi go przytrzymać! Musimy mu związać pysk, bo inaczej nas pogryzie, patrz, zrób to w ten sposób, trzymaj go tutaj.

Ojciec Tim ledwie był w stanie znieść widok swojego psa cierpiącego, skowyczącego, poruszającego się ciężko na asfalcie, podczas gdy świeża krew sączyła się z jego piersi.

Dooley obwiązał opaską nos i pysk psa i zawiązał ją.

— W porządku — ocenił, zdejmując T-shirt. — Nie patrzcie, widzicie tutaj, jak pracują mu płuca.

Wcisnął zwiniętą koszulkę częściowo do otwartej rany; natychmiast ciemna plama krwi przeniknęła białą bawełnę.

— Daj mi ręcznik — polecił Dooley, zaciskając zęby.

Wziął ręcznik i obwiązał nim unoszącą się i opadającą klatkę piersiową psa, robiąc w ten sposób opatrunek.

— Jeszcze jeden — powiedział Dooley, pracując szybko. — I przynieście mi koc, musimy go zawieźć do doktora Owena. Może zdechnąć.

Oblany potem pastor wbiegł do domu, modląc się, i otworzył drzwi do schowka w holu. Pusto. Szafa! Może zdechnąć.

Chryste, miej litość. Wbiegł po schodach i otworzył szeroko drzwi do szafy, chwycił dwa koce i zbiegł ponownie, bez tchu, zżerany strachem.

Cynthia, wróć do domu... może zdechnąć.

— Rozłóż je tutaj — polecił pastоровi Dooley. — Pomóż mu — powiedział do Lace.

Rozłożyli koce, jeden na drugim, obok Barnaby w chwili, gdy przejeżdżający samochód zwolnił i zatrzymał się.

— Czy możemy pomóc? — zawołał ktoś.

— Możecie się pomodlić! — zawołała Lace, dając ręką znak, aby samochód odjechał.

Razem zdołali przenieść Barnabę na koce.

— Ostrożnie — ostrzegał Dooley — ostrożnie. Bardzo cierpi i ma złamaną nogę, ale teraz nic nie mogę na to poradzić, musimy się spieszyć. Gdzie jest Harley?

— Poszedł do miasta — wyjaśniła Lace. Jej twarz była biała jak płótno.

— Weź jego kluczyki, wiszą na gwoździu. Wyjedź tu jego ciężarówką, wsadzimy Barnabę z tyłu, a my usiądziemy obok.

Pobiegła do domu, a Dooley, nagi do pasa, pochylał się nad Barnabą i położył dłoń na głowie psa.

— Wszystko w porządku, kolego, wszystko w porządku, nic ci nie będzie.

— Dzięki Ci, Jezu, za to, że jesteś teraz z nami — modlił się pastor. — Zechciej położyć na nas swe uzdrawiające dłonie...

Usłyszeli, jak Lace uruchamia silnik ciężarówki i wyjeżdża na podjazd. Podjechała do nich i zahamowała z piskiem, zostawiając włączony silnik.

— Opuść tylną klapę — polecił Dooley.

Lace wyskoczyła z ciężarówki i opuściła klapę.

— Chwyć ten róg koca razem ze mną — powiedział do Lace. — Tato, chwyć ten koniec. Ostrożnie. Ostrożnie!

Ciężar psa wydawał się ogromny, gdy wynosili go na pakę ciężarówki.

— W porządku, kolego, kładziemy cię teraz.

Lace i Dooley weszli na pakę razem z Barnabą i delikatnie umieścili skowyczącego psa na środku paki. Potem Dooley zamknął klapę i spojrzał na pastora.

— Spiesz się — powiedział.

Przemknęli obok Harleya, który szedł do domu Main Street. Obrócił się za nimi zaskoczony.

Dwadzieścia pięć minut później Barnaba leżał na stole w Meadowgate, a Hal Owen i Blake Eddistoe pracowali.

— Lepiej nie wchodźcie — poradził Dooley, zamykając drzwi do gabinetu.

Pastor siedział z Lace w małej poczekalni. Wiatrak warkotał nad ich głowami. Drzwi wejściowe były otwarte, ukazując podwórko, na którym cztery kurczęta grzebały w trawie.

Gdy wysiadał z ciężarówki kilka minut temu, nogi miał jak z waty. Pędził jak szalony, modląc się nieustannie i pokonując półgodzinny dystans w dwadzieścia minut. Dwa razy odwrócił się za siebie, spoglądając przez okienko w kabinie i widząc Dooleya, który wzdychał do niego głęboko.

Lace była spokojna.

— Myślę, że z tego wyjdzie.

— Ja też tak myślę — zgodził się, ujmując jej dłoń. — Byłaś wspaniała.

— Lubię ojca psa — powiedziała.

Barnaba zostanie na farmie Meadowgate przez kilka tygodni odzyskując siły. Noga się zagoi, to było proste złamanie. Ale zagojenie rany klatki piersiowej, wywołanej najwyraźniej przez mocne uderzenie podwozia, gdy samochód przejeżdżał po nim, potrwa dłużej i może nawet doprowadzić do zapalenia płuc.

Ostateczna diagnoza — upłynie dużo czasu, zanim Barnaba będzie mógł pobiegać ze swoim panem.

Pastor wszedł do gabinetu, gdzie Hal wymościł na podłodze wygodne posłanie, i spojrzał na śpiącego Barnabę. Klatkę piersiową psa spowijały bandaże, a jego lewa noga była unieruchomiona w szynie. Sprawdził, jak Barnaba oddycha, następnie ukląkł i położył dłoń na jego przednich łapach, podwiniętych spokojnie, jedna obok drugiej.

Płakał, czując w ustach słony smak łez.

Następnie usiedli w biurze Hala, pijąc mrożoną herbatę Marge Owen i usiłując odtworzyć przebieg wydarzeń.

Przypuszczał, że zasnął w fotelu w sypialni z Barnabą u stóp. Gdy Barnaba usłyszał, jak Dooley schodzi na dół, poszedł za nim i w momencie, gdy Dooley otworzył wejściowe drzwi, sprawdzając, czy nie ma Tommy'ego, Barnaba ujrzał na trawie wiewiórkę.

— Nie wiedziałem nawet, że tam stoi — wyjaśniał Dooley — a potem wybiegł tak szybko przez drzwi, że nie zdążyłem go zatrzymać.

Dooley, siedząc bez koszulki, jedynie w dżinsach i tenisówkach, opuścił głowę.

— Nie obwiniaj się — pocieszał go ojciec Tim. — Pies to pies. Zobaczył wiewiórkę i zrobił to, co robią psy. To mogło się zdarzyć równie dobrze przy mnie.

— To prawda — poparł go Hal. — Rzecz nie w tym, że otwarłeś drzwi, ale że uratowałeś mu życie.

— Zgadzam się — dołączyła Lace, spoglądając uważnie swoimi bursztynowymi oczami.

— Nie chcę wracać do szkoły — oświadczył Dooley. — Chcę tu zostać i opiekować się Barnabą.

Hal oparł się o ścianę, zapalając fajkę.

— Ja to zrobię, przyjacielu, możesz mi zaufać. Mogę ci nawet zdawać co tydzień raport. Co ty na to?

— Nie żartuje pan? Naprawdę?

— No pewnie. Zostaw mi swój nowy numer telefonu do szkoły. Zapisz go po prostu tutaj na ścianie, wszyscy tak robią.



— Nie rozumiem tylko — zauważyła Lace — dlaczego ta osoba, która na niego najechała, się nie zatrzymała?

Dooley wzruszył ramionami.

— To stało się tak szybko... Zobaczyłem, jak Barnaba biegnie za wiewiórką, a potem ten samochód... nie wiem, jaki to był samochód. Może brązowy, wydaje mi się, że był brązowy.

Ojciec Tim zadzwonił do Cynthii, która odchodziła od zmysłów. Sąsiad z naprzeciwka powiedział jej, że Barnaba został ranny i że kaznodzieja zabrał go do szpitala. Harley potwierdził, że widział, jak jego ciężarówka pędziła Main Street, ale nie miał pojęcia, co się dzieje.

— Wyzdrowieje, Timothy — dodawał mu otuchy Hal. — Będę go uważnie obserwował, czy nie widać jakichś objawów zapalenia płuc. Wiesz, że kochamy Barnabę jak swojego. Nie pozwolimy, żeby cierpiał. Marge pokiwała głową.

— To prawda, Tim. Blake, Rebecca i ja też będziemy się nim opiekować.

Mimo to czuł się jak ostatni drań, zostawiając swojego psa. Blake Eddistoe wyszedł z nimi na podwórko i uściśnął dłoń Dooleyowi.

— Dobra robota — stwierdził.

Przy ciężarówce Dooley odwrócił się nagle i powiedział:

— Powinien ojciec dać mi poprowadzić.

Dzieciak potrafił być uparty jak co najmniej Churchill. Rzucił mu kluczyki.

Oczy chłopca zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

— Naprawdę?

— Do samej autostrady.

Dooley, teraz w jednej z koszul Hala, otworzył drzwi kierowcy.

— Wsiadaj — powiedział do Lace. — Możesz jechać w środku.

Cieszył się, że droga z Meadowgate do autostrady wydawała się trochę dłuższa, niż pamiętał, cieszył się ze względu na chłopca. Chciał, żeby droga prowadziła do samej Kanady, zanim na jej końcu pojawi się autostrada.

Znalazł się w domu i brał prysznic, gdy to do niego dotarło. Dzisiaj, po raz pierwszy, Dooley Barlowe powiedział do niego: „tato”.

W drodze do Wirginii przyszedł mu na myśl fragment listu panny Sadie.

„...pieniądze będą jego, gdy osiągnie wiek dwudziestu jeden lat.

(Jestem staromodna i wydaje mi się, że osiemnaście lat to zdecydowanie zbyt wcześnie, żeby dostać spadek).

Złożyłam jeden i jedną czwartą miliona dolarów w miejscu, gdzie przyrosną, i podjęłam kroki, aby zabezpieczyć jego wstępny etap nauki. Gdy będzie miał osiemnaście lat, dochód z funduszu będzie pomocny przy opłaceniu jego nauki w college'u.

Ufam, iż nie powie mu Ojciec o tym, dopóki nie będzie dość dorosły, by przyjąć to z godnością. Ufam również, iż będzie z nim Ojciec w chwilach trudnych i dobrych, dokładnie tak, jak robił to Ojciec do tej pory".

Kwestia bycia z Dooleyem w chwilach trudnych i dobrych została rozstrzygnięta prawie cztery lata temu; zaangażował się w to poważnie, na śmierć i życie. Kwestia, kiedy chłopiec będzie mógł przyjąć taką wiadomość z godnością była już zupełnie inną sprawą.

Prawdę mówiąc, jeśli kiedykolwiek miał okazję dostrzec godność, widział ją wczoraj na ulicy. Dooley działał z najwyższą precyzją, mądrością i wdziękiem.

Mimo to coś ostrzegало go przed tym, aby powiedzieć chłopcu o spadku. Na krótko przed dotarciem do szkoły był już pewien odpowiedzi. Odpowiedź brzmiała: „Zaczekaj”.

— Przyjacielu?

— Tak, proszę ojca?

— Gdy przyjedziesz do domu na Boże Narodzenie, pożyczę ci kluczyki do buicka.

Och, ten wyraz nadziei, który wypłynął na twarz chłopca...

— Jest tylko jeden problem. Zwątpienie przyćmiło nadzieję.

— Będziesz musiał jeździć tylnymi drogami, a ja będę musiał siedzieć na tylnym siedzeniu.

Dooley żuł jedno z ciasteczek, które dała im na drogę Lace.

— OK — powiedział, uśmiechając się — ale spróbujesz się schować tak, żeby nikt cię nie widział.

Zadzwoił do Buddy'ego Benfielda, żeby zapytać, kiedy zostanie podpisana umowa sprzedaży.

— Jak tylko wróci Ron — poinformował go młodszy kościelny, wyraźnie przygnębiony faktem, że rozmawia z człowiekiem, który niedługo zostanie wyeksmitowany.

— Timothy.

Jego żona siedziała na tylnym ganku, pijąc poranną kawę. Widać było, że podjęła jakąś ważną decyzję.

— Chcę, abys zadzwonił do ojca Douglasa, żeby poprowadził za ciebie mszę w niedzielę.

— Dlaczego? — zapytał.

— Ponieważ jesteś wyczerpany.

Nie kłóciła się z nim, nie namawiała go. Stwierdziła jedynie fakt i patrzyła na niego swoimi chębnymi oczami, jakby omawiała z nim interes.

— W porządku — zgodził się. Była wyraźnie zdziwiona.

— Przypuszczam, że powinnam się wycofać, dopóki jestem górą...

— Być może.

— ...ale chciałabym jeszcze, żebyś zaplanował sobie dłuższy sen w niedzielę rano. Żadnego deptania w pantoflach o piątej rano, jakbyś był bożonarodzeniowym aniołem.

— Mów dalej — zachęcał ją.

— To znaczy, że naprawdę to zrobisz?

— Czegokolwiek zażadasz — zapewnił ją. — Nie prosź mnie tylko, żebym chodził na plaży w wyciętych spodenkach kąpielowych.

Co zrobiła ze sobą Velma? Miała na sobie jakąś nieznośnie kolorową, papierową girlandę i kolczyki, które wyglądały na małe banany. Nie powie tego na głos, ale wyglądała, jakby swój strój wyciągnęła z szafy Emmy Newland.

— Co to? — zapytał.

— Lei\*. Nie słyszałeś?

— Co miałem słyszeć?

— Jedzie na ten rejs z Winnie! — zawołał Percy z radością. — Będą żeglować po głębokim błękitnym morzu, zawijając do pięciu portów i jedząc osiem posiłków dziennie, włącznie ze stołem szwedzkim o pomocy!

— Żartujesz! To doskonale! Fantastycznie!

\* Lei — noszona na szyi girlanda z kwiatów, wręczana na powitanie turystom na Hawajach.

Velma uniosła do góry ręce i poruszyła biodrami, co wcale nie było ładnym widokiem.

— Oczywiście nie wiem, czy tańczą hula-hula w St. Thomas.

— Wydaje mi się, że nie — zaryzykował pastor. — Myślę, że to raczej stolica limbo.

— Nie ruszaj się — polecił J.C. — Zrobię ci zdjęcie. Uniósł swojego nikon a i pstryknął cztery zdjęcia Velmie stojącej obok kasy.

— Nie znajdują się na pierwszej stronie, ale myślę, że uda mi się je wcisnąć obok „Porad Ogrodniczych”.

Stojący przy ladzie Coot Hendrick dorzucił swoje trzy grosze:

— Szkoda, że nie poczekałeś i nie zrobiłeś zdjęcia Winnie, jak stoi obok Velmy.

— Materiał łapie się tam, gdzie się da — wyjaśnił J.C. — Idę do boks u, umieram z głodu!

— Umierasz z głodu? — rzucił Coot. — Ja musiałem zjeść nogę od stołu, żeby nie zasła bnać.

Rozpacz ał, że Velma nie chce zabrać się do pracy i nie przyniosła mu jego zwyczajowego zamówienia — zestawu śniadaniowego numer jeden z pepsi z saturatora.

Mule wyglądał na zmartwionego.

— Jak się ma Barnaba?

— Jeśli nie zachoruje na zapalenie płuc, wszystko będzie dobrze, dziękuję, że zapytałeś. Było naprawdę źle. Dooley uratował mu życie.

— Fancy prosiła, żeby ci przekazać, że jest jej bardzo przykro, że tak się stało.

— Adele też mnie o to prosiła.

— Dziękuję. Jutro jadę się z nim zobaczyć.

— Fancy prosiła też, żebym cię zapytał, dlaczego tak dawno do niej nie zaglądałeś. Mówiła, że możesz do niej zadzwonić w każdej chwili, znajdzie dla ciebie czas. — Mule przyjrzał się głowie pastora, jakby szukał roztoczy. — Nad koloratką jakby trochę postrzępione.

A niech tam. Może wyglądać nawet jak Jan Chrzciciel w zły dzień, jego noga więcej tam...

— Dom Randallów jest teraz wolny, przeprowadzili się do Kalifornii, żeby zamieszkać z dziećmi — poinformował ich Mule, dzieląc się garstką najświeższych wiadomości z rynku nieruchomości. — Kupiec Winnie nie daje jej spokoju, a Shoe Barn zostało sprzedane w tym tygodniu.

— Komu? — zapytał J.C., nakładając łyżeczką jogurt na połówkę brzoskwini.

— A komuż by innemu? H. Tide. Wydawca wyglądał na zde gustowanego.

— Co im się wydaje — chcą zrobić z Mitford kolonię Orlando?

— Zastanawiałem się — wtrącił pastor — co znaczy H. Tide?

— Nie mam pojęcia — odparł Mule. — Może High Tide. Albo Henry Tide, coś takiego. Czy dobrze słyszałem, że twoi diakoni otrzymali ofertę kupna na twój dom?

— Oni nie są diakonami, to rada parafialna. I to nie jest mój dom.

— Sprzedadzą go, zanim zdążysz się obejrzeć, przypuszczam, jeśli dostaną dobrą cenę.

— Kto wie? — zastanawiał się, dbając, aby jego głos zabrzmiał zdawkowo.

— Patrzcie — zachęcał J.C., wyciągając „Muse” z teczki. — Jeszcze ciepła spod prasy, weźcie sobie po egzemplarzu.

Przewrócił kilka stron, rozłożył gazetę i położył przed nimi na stole.

Cała strona drobnych ogłoszeń...

*Jesteśmy z Esther. Pozdrowienia, Esther i Gene Bolick*

*Jesteśmy z Esther. Mamy nadzieję, że Wy też. Tucker, Ginny i Sue*

*Jesteśmy z Esther. Jest najlepsza. Sophia i Liza Burton*

*Jesteśmy z Esther. Głosuj zgodnie z sumieniem! Rodzina Simpsonów*

*Jesteśmy z Esther. Robi to, o czym mówi Psalm 72, 12. Zwolennik*

Pastor uderzył w stół.

— To jest świetne! Świetne! Ile kosztują takie ogłoszenia?

— Czterdzieści dolarów — poinformował go J.C. zadowolony z siebie.

— Skąd Sophia wzięła czterdzieści dolarów? J.C. zmieszał się.

— Nie pytaj.

— Ona nie ma czterdziestu dolarów.

— I co z tego? Chciała poprzeć Esther, ale nie miała pieniędzy.

Wielkie rzeczy, jej ogłoszenie zamieściłem za darmo, ale jak się przed kimś wygadacie, że to powiedziałem...

Mule podniósł do góry kciuk na znak poparcia dla J.C.

— Wszystko mi jedno, co o tobie mówią ludzie, kolego, jesteś w porządku.

— Patrzcie.

J.C. wskazał na kilka ogłoszeń.

*Jesteśmy z Esther. Minnie Lomax,*

*Irish Woolen Shop Jesteśmy z Esther.*

*Dora Pugh, Sklep z artykułami żelaznymi*

— Dwa biznesy, które nie boją się zadeklarować swoich preferencji politycznych wobec Boga i całej reszty świata! — zawyrokował z aprobatą wydawca.

Pastor wziął głęboki oddech. Być może i tym razem okaże się, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Z pewnością zagładnie, żeby pogratulować Minnie i Dorze.

— Ty obracasz się wśród ludzi z miasteczka — zwrócił się do J.C. — Z twojej pozycji, jak wyglądają wybory?

— Z mojej pozycji? — J.C. sposepniał i odsunął jogurt. — Powiedziałbym, że jak tylko to wydanie dotrze do czytelników, to szanse będą się przedstawiać mniej więcej pół na pół.

Coś albo ktoś będzie musiał przechylić szalę zwycięstwa na korzyść Esther, bo w przeciwnym razie Edith Mallory obejmie swoimi mackami całe Mitford. Był piąty dzień września i wybory staną się rzeczywistością za niecałe dwa miesiące. Z pewnością w niedzielę może ofiarować specjalną modlitwę albo odprawić wspólne nabożeństwo za tych, którzy niestrudzenie poświęcają się szlachetnemu celowi na rzecz dobra społecznego. A skoro mowa o psalmach, czyż czytanie w najbliższą niedzielę nie brzmi właśnie: „tak niech się zamkną usta mówiących kłamliwie”?

No cóż. Przypomniał sobie, że w najbliższą niedzielę nie będzie przemawiał z ambony, będzie spał do dwunastej zgodnie z planem jego żony i obudzi się silny, odnowiony i ogólnie rzecz biorąc, pozbawiony wszelkich trosk.

— Proszę — wręczył J.C. dwie dziesiątki i dwudziestkę. — Zamieść jedno ode mnie w następnym tygodniu i podpisz: „Przyjaciel”.

Zatrzymali się w Sklepie po drodze do Meadowgate, żeby zabrać mostek dla Marge Owen. Kiedy Cynthia regulowała ich miesięczny rachunek, on przyglądał się zawartości witryny z wyrobami mięsnymi.

— Ojcie!

Podeszła do niego Winnie Ivey, niosąc pięciokilogramowy worek mąki.

— Cieszę się, że ojca spotykam, podjęłam decyzję! postanowiłam pojechać na rejs razem z Velmą i nic nie robić w sprawie sprzedaży, dopóki nie wrócę. Powiedziałam ludziom z firmy handlu nieruchomościami, żeby poczekali, dokładnie tak jak mi ojciec radził, i czuję się jak nowo narodzona! — Zarumieniła się. — Czy może ojciec uwierzyć, że to zrobiłam?

— Mogę! Dobra robota!

— Nie byli zadowoleni, chcieli mnie za wszelką cenę przekonać, powiedzieli, że mogę nie dostać żadnej innej oferty. A potem... nigdy ojciec nie zgadnie.

— Co takiego?

— Zaproponowali mi kolejne trzy tysiące, ale ja powiedziałam, że nie, chcę poczekać, i na tym koniec. Poza tym, dzięki Bogu, jestem o siedem procent wyżej niż o tej samej porze rok temu.

— Nie mówisz serio!

— Ależ oczywiście, że tak!

Miał wrażenie, że Winnie Ivey wygląda o dziesięć lat młodziej, a to dodatkowo w zdecydowany sposób poprawiło jego samopoczucie.

— Wie ojciec co?

— Tak? — zapytał.

— Coraz częściej wydaje mi się, że wcale nie chcę się wyprowadzać do Tennessee. Joe mówił, że może będzie mógł mi znaleźć pracę w Graceland, ale prawdę powiedziawszy, nigdy nie przepadałam za rock and rollem.

Nie musiał być George'em Burnsem\*, żeby wiedzieć, że wycucie chwili to wszystko.

Według Buddy'ego Benfielda, Malcolmowie będą wracać do Mitford około jedenastej.

Czekał przed ich domem, gdy ich samochód pojawił się na podjeździe.

\* George Burns (1896-1996) — jeden z największych amerykańskich artystów komediowych.

Sobotni wieczór i żadnych obowiązków. Żadnych mszy jutro, żadnego wczesnego przyścia do kościoła, żeby otworzyć drzwi...

Dzięki Bogu, że będzie mógł odpocząć jutro rano. Dlaczego nigdy nie wiedział, że potrzebuje odpoczynku, dopóki ktoś nie zdzielił go obuchem w głowę?

Całe ciało miał obolałe ze zmęczenia. Zmęczenie czuł nawet w zębach.

Jak jednak może wylegiwać się tutaj, jakby był na wczasach, gdy jest tyle rzeczy, za które chce podziękować? Powinien być na nogach i podskakiwać do góry z radości.

— Jakie to uczucie? — zapytała jego rozpromieniona żona, siadając na łóżku i opierając się o poduszki.

— Czuję się cudownie! Niesamowicie! Jakby świat należał do mnie!

— Ja czułam się dokładnie tak samo!

— Powiniennem być zrobić coś takiego dziesięć lat temu — stwierdził.

— Może. Ale Bóg ma najlepsze wycucie chwili.

— Czy naprawdę myślisz, że powinniśmy rozpocząć...? Kiwnęła głową.

— Tak myślę. Teraz wydaje nam się to przykrą koniecznością, ale opłaci się w przyszłości.

— Może kryte przejście pomiędzy domami kiedyś?

— Może. Ale brakowałoby mi chodzenia tam i z powrotem przez żywopłot, a tobie nie?

— Ach, ten żywopłot. Gdzie po raz pierwszy mój wzrok spoczął na mojej atrakcyjnej sąsiadce.

Roześmiała się wesoło.

— Twój los był przesądzony.

Usiadł, wziął ją w ramiona i musnął jej policzek swoim.

— Dziękuję — szepnął.

— Za co?

— Za to, że jesteś, jaka jesteś, za to, że ze mną wytrzymujesz, że się mną opiekujesz.

— To znaczy, że nie uważasz, iż jestem szarogęszącą się panią domu?

— Czasami.

— Wiesz, jaki dzień jest jutro?

— Wiem. Dwa lata.

— Dwa długie lata?

— Nie aż tak długie — odparł, całując ją w ucho. — Ale niestety, nie miałem okazji, żeby kupić...

— Nic mi nie kupuj — odparła, opierając się o niego. — Nie dawaj mi niczego, co musiałbyś pakować.

— Możesz na mnie liczyć — obiecał, czując miękkość jej ramion, błękitną satynową koszulę...

Odsunęła się roześmiana.

— Może powinniśmy zaczerpnąć trochę snu, kochanie. Mamy za sobą długi dzień, cały ciąg długich dni, a poza tym teraz, gdy jesteś właścicielem, musisz oszczędzać energię na te wszystkie drobne obowiązki, które będą się pojawiać — jak na przykład naprawienie fundamentów w miejscu, gdzie się kruszą, i zlikwidowanie przecieku w pokoju Dooleya.

— Aha. Rada parafialna już nie będzie się tym zajmować, prawda?

— Zgadza się — odparła, całując go na dobranoc. — Zostaliśmy tylko ty i ja.

— I Harley — dodał, odzyskując dobry nastrój. Wyłączyła światło i przesunęła się na swoją stronę, a on przez krótką chwilę przysłuchiwał się jej świszczącemu, delikatnemu chrapaniu.

Tęsknił za swoim psem i pomodlił się za niego wdzięczny, że odzyskuje siły. Potem pomyślał o Dooleyu i doszedł do wniosku, że powinni zadzwonić do niego jutro do szkoły, mimo że może jest odrobinę za wcześnie.

Ponadto martwił się, że ojciec Douglas może pominąć „Pokój”, co — jak wszyscy wiedzieli — zdarzało mu się od czasu do czasu, i to bez wyraźnego powodu.

A poza tym, jak naprawi fundamenty? Przypuszcza, że Harley będzie wiedział, a jeśli nie? Być może odrobina zaprawy i kilka nowych kamieni w miejsce tych, które się rozsypały i wypadły...

Przewrócił się na bok i spojrzał na sufit — jego sufit, ich sufit, pierwszy sufit, którego jest właścicielem, jak tylko zostaną podpisane stosowne dokumenty. Teraz ona miała dom i on miał dom. Podpórki na książki. Gdy zakończą prace związane z przebudową jej domu, zamieszkają w nim, a ten wynajmą. „Komuś z dziećmi!” — miała nadzieję Cynthia.

Wręczenie Ronowi czeku na sto pięć tysięcy dolarów sprawiło mu ogromną przyjemność, chociaż jego wypisanie pozbawiło go tchu...

— Timothy? — zapytała.

— Tak?

— Myślisz.

— Zgadza się.

— Przestań natychmiast, najdroższy. Zachichotał.

— OK — zgodził się.

Dotarła teraz do niego prawda słów, które skreślił do niego Stuart Cullen kilka lat temu:

„Właśnie zajrzała do pokoju Martha, żeby powiedzieć mi, że czas już zbierać się do snu. Nie umiem wręcz wyrazić, jakie to cudowne uczucie, gdy ktoś mi mówi, co mam zrobić, podczas gdy zazwyczaj to właśnie mnie przypada ten obowiązek... Oto i jest z powrotem, mój Przyjacielu, a wierz mi, moja żona nie lubi przypominać mi niczego dwa razy. Bardzo dobrze, że czuwa nad tym, bym nie roztrwoniał całej swojej energii. W przeciwnym razie poświęciłbym Panu wszystko i rano nie miałbym siły wstać z łóżka...”

Sięgnął po nią, a ona odwróciła się do niego z radością, uśmiechając się w ciemnościach.

## Rozdział osiemnasty

### CZARA DOBROCI

Październikowy huragan zebrał się gdzieś na Morzu Karaibskim, przeszedł z hukiem wzdłuż Wschodniego Wybrzeża, kierując się na północ, i skręcił w głąb lądu w okolicach Przylądka Hatteras. Po kilku krótkich godzinach dotarł do gór na zachodnim końcu stanu, gdzie uderzył w Mitford z niepokojącą siłą.

Ostre porywy wiatru z deszczem chłostały Lord's Chapel, łomotały zamkniętymi okiennicami dzwonnicy, zerwały brezent z tarcicy ułożonej na placu budowy i wyrzuciły taczki na rabatę z różami.

Błaznany dach komórki Omera Cunninghama — poprzednio hangaru dla jego wiekowego samolotku z zadartym ogonem — został porwany i uniesiony na pastwisko Luthera Greena, gdzie widok tego błyszczącego, hałasującego i łopoczącego w powietrzu elementu sprawił, że krowy muczały przerażone.

Stadko Coota Hendricka, złożone z trzech krów rasy Rhode Island Red, schroniło się na ganku, uszedłszy śmierci przez utopienie w dziurze na podwórku, a Lew Boyd, który wlewał bezołowiową superpremium do zbiornika przyjezdnego mustanga, opowiadał później, że wiatr zdmuchnął mu z głowy czapkę i cisnął ją w bukszpan przy pomniku miejskim, blisko przecznicy dalej.

Telefony przestały działać; lawina błota spłynęła po nagim grzbiecie górskim w pobliżu Farmer, zatapiając półciężarówkę marki Dodge; a metalowy znak coca-coli ze sklepu Hattie Cloer na autostradzie wylądował na stojącej na ganku huśtawce Hessie Mayhew.

Na krańcu wioski dziadek Mueller siedział w kuchni, usiłując naprawić zegar kominkowy, o co żona prosiła go na kilka lat przed śmiercią. Wyrzwał przez okno dokładnie w chwili, gdy jego pradawna sto-



doła przewracała się na ziemię. Zauważył, że na chwilę przed tym przechyliła się lekko, a gdy się przewracała, trwało to zaledwie kilka sekund.

— Do licha! — mruknął z uznaniem, zadowolony, że zaoszczędzony został mu trud rozbierania jej samodzielnie. — A teraz — zwrócił się do szalejącego na zewnątrz huraganu — byłbym bardzo zobowiązany, gdybyś poskładał deski.

Mieszkańcy Mitford wylegli na słońce, które rozblysło po burzy, olśnieni wyjątkowym pięknem, jakie po sobie zostawiła, które zdawało się wprost proporcjonalne do jej gwałtowności.

Grzbiety górskie wyglądały niczym wyrzeźbione w szkło, wznosząc się na tle jasnego, idealnie błękitnego nieba, które ciągnęło się od horyzontu po horyzont.

W Fernbank wyjątkowo obfity plon chrupkich jabłek na szarlotki leżał na poszyciu sadu, oczekując na zebranie do miejscowych worków. Burza dopełniła zbiorów i ani jedna drabina nie będzie potrzebna do tego zadania.

— Widzicie — tłumaczyła Jena Ivey — nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło!

Jena zamknęła Mitford Blossoms, żeby pobiec do Fernbank i zebrać jabłka, ponieważ obiecała upiec szarlotki na wentę dobroczynną, do której pozostały zaledwie trzy dni.

— Ale — rozumował ktoś inny, zbierając jabłka — jesienne barwy przejdą nam koło nosa. Burza zerwała wszystkie liście!

— Może i tak — westchnęła Jena, która była zdania, że pewnym ludziom bardzo trudno dogodzić.

Balsamicznie. Jak na wiosnę. Była to ta cudowna pora roku zwana złotą jesienią, która przychodzi tak niezwykle rzadko.

Wypełniał swoje obowiązki, odwiedzał potrzebujących, wścibiał nos w nie swoje sprawy. Czy istnieje jakiś inny sposób, aby ksiądz wiedział, co się dzieje?

Zadzwoił do Bolicków.

— Esther? Co słychać?

— Zabiłabym Gene'a Bolicka, gdyby mi tylko wpadł w ręce, właśnie to słychać!

— Co znowu?

— Czyż nie wypiekam wszelkich różności od niepamiętnych czasów, żeby tylko zdążyć na piątek? I czy go nie prosiłam? Powiedziałam: „Gene, nawet nie dotykaj tych ciasteczek, upiekłam ich trzysta i wkładam je w tej chwili do dziesięciolitrowych plastikowych worków, więc trzymaj swoje łapy od nich z daleka”. No i cóż, pozapinałam te worki i włożyłam je do zamrażarki, i wie ojciec co, wróciłam do domu wczoraj wieczorem i kogo zobaczyłam, jak siedzi przy stole z głową w jednym z tych dziesięciolitrowych worków i pałaszuje ciasteczka, jakby to był jego ostatni posiłek na tym świecie? No niech mi ojciec powie!

— To niemożliwe!

— Zmrożone na kamień, a on zajadał je tak, jakbym wyciągnęła je prosto z piekarnika.

— Aha.

— Ktoś, kto robi coś takiego, musi być naprawdę zdesperowany.

— Zgadzam się. Ale spróbuj mu wybaczyć — poprosił, wiedząc, że Gene Bolick nie zjadł nawet jednego ciasteczka, odkąd kilka miesięcy temu zaczęła się ta afera z wentą.

Odłożył słuchawkę, obiecując jej, że w piątek będzie sumiennie wypełniał swoje obowiązki, pozostając w odwodzie z resztą kongregacji.

Przeglądał szybko „Muse” w poszukiwaniu kolejnej porcji ogłoszeń z gatunku *Jesteśmy z Esther*.

— Wygląda na to, że Esther bierze górę — stwierdził J.C., absolutnie przekonany, że jego pomysł drobnych ogłoszeń załatwił całą sprawę.

Panowało powszechne przekonanie, że twarz Macka Stroupe'a na całą stronę okazała się fatalną pomyłką drugiego obozu. Oglądanie jego facjaty na billboardzie to jedno, ale zobaczenie jej tuż pod nosem, nie wiadomo dlaczego budziło zdecydowaną odrazę, tak głosiła krążąca po mieście plotka.

Razem z rosnącą liczbą pozostałych, pastor zaczynał optymistycznie spoglądać na wynik wyborów, do których pozostał zaledwie miesiąc. Żona diakona z Kościoła baptystów zaplanowała przedwyborczy podwieczorek pod hasłem „Jesteśmy z Esther”, a poza tym pani burmistrz przejedzie w wozie strażackim Main Street podczas parady w dniu Święta Strażaka.

Sprawy miały się zdecydowanie lepiej.

Gdy wchodził do kuchni, aby zrobić dzbanek herbaty, zauważył, że Violet zeszła ze swojego luksusowego mieszkania na szczycie lodówki i zwinęła się w kłębek na posłaniu jego psa pod stołem.

Dzięki Bogu, że Barnaba wraca do domu w sobotę, dzień po wencie dobroczynnej. Hał na wszelki wypadek zatrzymał go w Meadowgate na prawie cały miesiąc.

Nadal będzie miał szynę przez kilka tygodni, ale zdjęto mu już opatrunek z klatki piersiowej. Proces rekonwalescencji może zostać doprowadzony do szczęśliwego końca przez pozostawienie psa w domu na pięć do sześciu miesięcy, bez biegania, polowania czy też aportowania.

— W moim domu słyhać ogromną wesołość — zauważyła Cynthia.

Stała przy kuchennych drzwiach, z głową przechyloną na bok.

— Co masz na myśli?

Przysłuchiwała się pilnie, niczym muzyce sfer.

— Ktoś się śmieje!

— Cóż w tym złego?

Nie odpowiedziała, ale podeszła i stanęła przy kuchence ze zmarszczonym czołem, po czym nastawiła wodę.

— Elton zużył sześć cegieł, żeby wybudować model schodów złożonych z trzech stopni...

Głos Harleya docierał do kuchni.

— Biedny Harley — współczuła Cynthia. — Mam nadzieję, że tym razem dostanie piątkę.

— To cztery minus ubodło go do żywego.

— Wydaje mi się, że Lace jest dla niego zbyt surowa.

— A ty jesteś za miękka! Zanoszenie mu śniadania na tacy, na litość boską.

— Jesteś zazdrosny, bo tobie nie podaję śniadania, a co dopiero na tacy, ale mój drogi przyjacielu, nigdy w życiu nie posprzątałeś i nie poukładałeś mi na strychu tak, że wygląda lepiej niż moja pracownia!

— To prawda!

— Ani nie wywiozłeś śmieci po wspomnianych porządkach na wentę dobroczynną i nie przywiozłeś mi formularza, na którym wszystko mogę odliczyć od podatku.

Obróciła się i szybko podeszła do drzwi.

— Dobry Boże, Timothy! Słuchaj!

Usłyszał histeryczny śmiech kobiety dochodzący z małego domku obok.

Wyszli na tylny ganek. Wysoki śmiech rozbrzmiewał nadal, a po nim rozległ się łomot, który przypominał dźwięk tłuczonego szkła.

— Co, u licha? — zapytała. Jej niepokój był ewidentny.

— Pójdę i zobaczę.

Nie chciał iść i zobaczyć; nie chciał, aby w sąsiednim domku działo się coś niezwykłego.

Pośpieszył przez żywopłot, potem wbiegł po ciemnych schodach i znalazł się pod drzwiami z siatką. Zaglądnął do kuchni Cynthii i zobaczył Pauline Barlowe stojącą przy zlewozmywaku. Wymiotowała.

— Pauline... — zaczął.

Jeszcze raz wstrząsnęły nią torsje, potem odwróciła się i spojrzała na drzwi. Miała spuchnięte oczy i wycierała usta.

— Co? — zapytała.

Jej głos był zimny, szorstki; nieprzyjemny zapach ciepłej żółci i alkoholu przenikał pomieszczenie. Otworzył drzwi i wszedł do środka.

— Co się dzieje?

Starął się, by do jego głosu nie wkraść się gniew, ale aby zabrzmiało to jak proste pytanie. Tak się jednak nie stało.

— Zapytaj tego swojego wielkiego, wszechmogącego tam na górze, co się dzieje, a jak się dowiesz, to mi powiedz. Właśnie to starałam się dowiedzieć — chciałam zrozumieć, co się dzieje. — Roześmiała się nagle i osunęła na podłogę, opierając się o szafki.

Poszedł korytarzem do pokoju dziennego, gdzie Buck Leeper siedział na fotelu w stylu królowej Anny, śpiąc i chrapiąc. Na stoliku z lampką stała pusta butelka po wódce, a na podłodze przy jego stopach — szklanka.

Posprzątał w kuchni i zmiotł stłuczone szkło na tylnym ganku. Pauline tymczasem siedziała na krześle, z twarzą ukrytą w dłoniach. Wyczuł, że płacze, chociaż nie dochodził go żaden dźwięk. Następnie wyłączył światła na parterze, z wyjątkiem lampy w pokoju dziennym i światła w holu. Buck nie poruszył się, a on go nie budził. Zajmie się tym jutro.

Zawiózł Pauline do domu i siedzieli w samochodzie przed domem, gdzie spał jej ojciec, syn i córka. Wesolość i płacz minęły; milczała jak grób. Nie chciała spojrzeć mu w twarz.

— Musimy porozmawiać — powiedział. Kiwnęła głową.

— Jutro po południu, jeśli możesz. Ponownie kiwnęła głową.

— Tak mi przykro — szepnęła.

Wysiadł z samochodu, otworzył jej drzwi i pomógł jej przejść chodnikiem. Temperatura znacznie się obniżyła i Pauline drżała w sukience bez rękawów.

— Czy myślisz, że możesz kogoś obudzić?

— Proszę się nie martwić — uspokoiła go, nadal unikając jego wzroku. — Nie pozwolę, żeby ktokolwiek zobaczył mnie w takim stanie.

Gdy wchodził do domu z garażu, na spotkanie w holu wyszła mu Cynthia.

— Chodzi o Esther! — zawołała. — Miała wypadek i mówią, że bardzo źle to wygląda. Chcą, żebyś natychmiast przyjechał do szpitala!

Esther! Pobiegł do łazienki, ochlapał wodą twarz, zdjął marynarkę z wieszaka w kuchni i jeszcze raz z piskiem opon wycofał z garażu buicka.

Istniało wiele sposobów na przegranie wyborów. Modlił się do Boga, żeby ten nie okazał się jednym z nich.

— Co się stało? — zapytał siostrę Kennedy w szpitalnym korytarzu.

— Spadła z drabiny, złamała sobie nadgarstek, złamała prawy łokieć i...

Siostra Kennedy potrząsnęła głową.

— I co?

— Złamała sobie szczękę. W tej chwili doktor Harper zajmuje się jej drutowaniem.

— Dobry Boże!

— Nic jej nie będzie.

— Nic jej nie będzie? Jak może jej nic nie być, skoro ma złamane dwie kończyny i nie jest w stanie ruszyć szczęką?

— To się zdarza, ojczu.

Siostra Kennedy westchnęła i szła dalej korytarzem. Pokonał resztę drogi korytarzem do poczekalni, gdzie na sofie w stylu Danish Modern siedział w szoku Gene Bolick.

— Gdzie jest Ray? — zapytał Gene'a.

Dlaczego nie ma tutaj Raya Cunninghama? Czy nie wie, że jego żona miała straszny wypadek?

— Jaki Ray? — zdziwił się Gene, robiąc wrażenie, jakby niczego nie rozumiał.

— Mąż Esther!

— Ja jestem mężem Esther — wyjaśnił z prostotą Gene.

— To znaczy... to znaczy, że pani burmistrz nie spadła z drabiny?

— Nie wiem, czy nie spadła, ale Esther tak, i nieźle się przy tym poturbowała.

Wyglądał na niepokieszonego.

— Wielkie nieba, Gene, tak mi przykro. Tak strasznie mi przykro. — Usiadł na sofie obok swojego parafianina. — Jak się czuje?

— Nie za dobrze, jeśli chce ojciec znać moje zdanie. Była w świetlicy parafialnej, na drabinie, rozwieszała napisy — wie ojciec: „Artykuły kuchenne”, „Ubrania” i tak dalej, i zeszła o jeden stopień niżej, i...

Gene uniósł do góry ręce.

— I spadła.

— Gdzie są wszyscy?

Zazwyczaj, gdy nagle ktoś został przewieziony do szpitala w Mitford, cała gromada przyjaciół i rodzina przychodziła, by się modlić, przypuścić szturm na automaty i wrywać przepisy z nieaktualnych numerów „Southern Living”.

— Są w świetlicy parafialnej, domyślam się, już od czterdziestu ośmiu godzin.

— Dam sygnał do rozpoczęcia łańcuszka modlitewnego — obiecał pastor.

Pośpieszył wzdłuż korytarza do telefonu, skąd zadzwonił do żony, aby uruchomiła łańcuszek modlitewny.

— Czy bardzo z nią źle? — chciała wiedzieć Cynthia. Ma złamane obydwie ręce i drutują jej szczękę. Wydała stłumiony okrzyk.

— Wielkie nieba!

— Zostanę tu jeszcze przez chwilę.

— Biedna Esther. Jakie to straszne. Powiedz, proszę, Gene'owi, że bardzo mi przykro, odwiedzę Esther jutro, a natychmiast dzwonię, by uruchomić łańcuszek modlitewny. Kocham cię, najdroższy.

— Ja też cię kocham. Grzej mi łóżko.

Spiesząc wzdłuż korytarza, zatrzymał się na chwilę przy automacie po paczkę Nabs i sprite'a.

Właśnie skończył się modlić z Gene'em o to, aby operacja się udała i aby Esther w pełni wróciła do zdrowia, gdy do poczekalni wbiegła Hessie Mayhew. Spojrzał na zegarek. Jedenasta. Prawie nikt w tym mieście nie chodzi spać po jedenastej.

— Jak się czuje? — zapytała Hessie.

— Jest pod wpływem środków usypiających — wyjaśnił Gene.

— Muszę się z nią zobaczyć — nalegała współorganizatorka wenty.

Jej rozbiegany wzrok i potargane włosy sprawiały, że Hessie wyglądała, jakby ktoś podłączył ją przez pomyłkę do prądu.

— Nie możesz się z nią zobaczyć — zaproponował Gene. — Tylko ja i ojciec możemy tam wejść.

— Czy zdajesz sobie sprawę, że jutro o siódmej rano zbiera się u mnie w domu komitet do spraw jedzenia, żeby upiec dwanaście dwuwarstwowych ciast pomarańczowych, a my nie mamy nawet przepisu?

Gene klepnął się w czoło.

— Och, Boże, miej litość!

— Jestem pewien, że jest gdzieś zapisany — zaryzykował pastor.

— Niestety, nie — rozwiął jego nadzieję Gene.

— To prawda. Nie jest. Hessie ściągnęła usta.

— Czy ja jej tego nie mówiłam? Mówiłam chyba z tysiąc razy, żeby spisała swoje przepisy, a szczególnie ten na ciasto pomarańczowe, na litość boską.

— Ma go w głowie — wtrącił Gene, broniąc swojej żony.

— No cóż — oceniła współorganizatorka z wyrazem zdeterminowania na twarzy — będziemy musieli znaleźć sposób, żeby go stamtąd wydostać!

Przybył do kancelarii następnego ranka, czując wyczerpanie po połowie nocy spędzonej w szpitalu.

O drugiej nad ranem zostawił Esther, by odpoczęła, z jedną ręką w gipsie, drugą w gipsie i szynie, niezdolną do wypowiedzenia jednego słowa, nawet gdyby chciała. Gene spał obok jej łóżka na łóżku po-lowym.

Nie miał pojęcia, jak u licha komukolwiek może się udać wydobyć z Esther przepisu na ciasto. Hessie w każdym razie odłożyła sesję pieczenia do czwartku po południu, co oznaczało, że ciasta pojawią się w ostatniej minucie, jeśli w ogóle.

— Musimy mieć ciasta pomarańczowe Esther — stwierdziła krótko. — Ludzie oczekują ciast pomarańczowych Esther. Przy dwudziestu dolarach za ciasto, razy dwanaście, mamy dwieście czterdzieści dolarów, a to niebagatelna kwota.

Ziewnął i usiadł zmęczony na krześle.

Przecierał oczy w chwili, gdy Buck Leeper otworzył drzwi i wszedł do środka, zdejmując kask.

— Dzień dobry — przywitał go pastor. Buck stał w drzwiach zmieszany.

— Muszę porozmawiać.

— Usiądź.

— Nie mogę zostać. Przyszedłem, żeby ojcu powiedzieć, że... — Buck spojrzał na podłogę, a potem w oczy pastora. — Przepraszam. To, co się stało, było bardzo złe. Napilem się trochę, poczęstowałem ją i od tego się zaczęło.

— Czy wiedziałeś, że jest alkoholiczką? Nałogową?

— Tak. — Głos Bucka był szorstki. — Muszę ojcu powiedzieć, że ją do tego namówiłem, nie powinienem był tego robić, cholernie mi przykro, że tak się stało.

— Jest na to rada, Buck.

Nadzorca budowlany przesunął swój roboczy but po podłodze, spoglądając w dół.

— Nie, mogę sobie z tym poradzić, radziłem sobie z tym, to pierwszy raz od... od dłuższego czasu. Chciałem ojcu powiedzieć, że się wyprowadzam, jedna osoba z brygady wie o domu na sprzedaż, ale myśli, że będą go chcieli wynająć.

— Zanim, o tym porozmawiamy, nazwijmy twój problem po imieniu. On ma imię. To alkoholizm. Twój nałóg.

Buck znieruchomiał, potem odwrócił się, ale nie podszedł do drzwi.

— Od jak dawna pijesz? Od jak dawna pijesz na poważnie?

— Miałem trzynaście lat, gdy mój starszerek zaczął wlewać mi do gardła. Za pierwszym razem zaczął mi pić, dopóki nie zwymiotowałem. — Spojrzał na pastora. — Burbon, zacier. Podobało mu się gdy doszedłem do wprawy, która pozwalała mi pić dalej, kiedy on już leżał pod stołem. Niewielu takich było. Gdy umarł, przysięgłem sobie, że już nigdy się tego nie tknę.

— Ale tak się nie stało, a teraz cierpisz z własnego powodu, jak również z powodu Pauline. Czy zależy ci na Pauline?

— Tak. Zależy mi na niej. — Dlaczego?

— Szanuję ją za to, co potrafiła zrobić, wyjść z tego wszystkiego, z tego piekła, i znaleźć wiarę. Boże, tak strasznie żałuję tego, co zrobiłem.

— Zrobiliście to razem. Do tego trzeba dwóch.

— I jej dzieci. To wspaniałe dzieci. Kto zasługuje na takie dzieci? Nikt, nie zasługują na nie nawet ludzie, którzy są w porządku, którzy nigdy nie pili! Myślałem, że może mógłbym... może moglibyśmy...

— Możesz.

— Nie. — Jego głos był odpychający. — Dla mnie jest już za Późno.

— A gdybyś miał kogoś, kogoś, kto byłby wierniejszy niż brat, kogoś, kto stałby przy tobie, pomagałby ci przez to przejść — pomógłby ci wyjść z tego?

— O Jezu Chryste! — rzucił Buck z odrazą, kierując się w stronę drzwi.

— Prawdę powiedziawszy, właśnie Jego miałem na myśli. Buck poczerwieniał na twarzy.

— Ta gadka na mnie nie działa.

— Jak długo nosiłeś w sobie ból po twoim zmarłym bracie? I jak długo jeszcze zamierzasz go nosić? Skończ z tym, przyjacielu. Skończ z tym i spojrzysz prosto w oczy temu, co pozbawia cię wszystkiego, co jest wartościowe, co jest cenne.

Nadzorca budowlany odwrócił się i wyglądał przez okno, stojąc plecami do pastora.

— Sam sobie z tym nie poradzisz, Buck. Próbowaleś przez lata i nigdy ci się nie udało. Wszystko sprowadza się do tego, że nie zostaliśmy stworzeni, aby radzić sobie sami, jesteśmy tak skonstruowani, aby żyć razem z Bogiem jako naszym obrońcą. Radzenie sobie samemu może być dobre na krótki czas, ale nigdy nie wystarczało i nie wystarczy na całe życie.

Buck wzruszył ramionami, nadal patrząc w okno.

— Pauline wie o Bogu, a i tak jej się nie udało.

— Nie, ale jej się uda. Pamiętaj, że nie przychodzimy do Boga, aby osiągnąć doskonałość, przychodzimy, aby osiągnąć zbawienie.

— Wie ojciec, że mój dziadek był księdzem. Nie ma takiego sposobu, żeby mógł być wystarczająco dobry, aby osiągnąć zbawienie, czy jak to ojciec nazywa. Żadną miarą.

— To nie polega na tym, żeby być wystarczająco dobrym. Buck odwrócił się do niego wściekły.

— To na czym to polega, na litość boską?!

— Na osobistym zaproszeniu Go do naszego życia. Możesz to zrobić poprzez prostą modlitwę, którą odmówisz razem ze mną. Gdy Go zaprosimy, Bóg gwarantuje, że staniemy się nowymi stworzeniami.

— Nowymi stworzeniami? — Buck roześmiał się gorzko. — Kto chce być nowym stworzeniem, jeśli nie może sobie poradzić ze swoim obecnym życiem?

— Nowe stworzenia też popełniają błędy, potykają się i upadają. Gdy jednak zawierzą Bogu swoje serce, od tego momentu On przejmuje odpowiedzialność za ich życie.

— Mnie zawsze wydawało się to stekiem bzdur. Ojciec Tim wstał i stanął przy biurku.

— Mógłbym opowiadać ci przez cały dzień, co zyskałbyś, zawierzając Bogu serce, ale spojrzysz na to w inny sposób — co mam do stracenia?

Przez chwilę w kancelarii słychać było jedynie tykanie zegara stojącego na półce.

— Proszę ojca — powiedział Buck — wyprowadzę się z domu w ciągu kilku dni.

Podszedł nagle do drzwi, otworzył je, następnie zszedł po schodach do swojej ciężarówki, nie oglądając się za siebie.

— „Pola bieleją na żniwo...”

— Buck! — zawołał pastor. — Poczekaj... On jednak nie poczekał.

— Chcą mnie wykupić i pozwolić mi ją prowadzić — wyjaśniła Winnie, wyglądając na zmartwioną. — Co ojciec myśli?

Jeśli jeszcze kiedykolwiek będzie musiał maczać palce w transakcji handlu nieruchomościami. — A ty co myślisz? — chciał wiedzieć.

— Wydaje mi się, że to dobry pomysł. To znaczy, ja pracuję i dostaję regularnie wypłatę, a oni biorą na siebie wszystkie problemy. — Westchnęła. — Mogłabym odetchnąć.

— Czy nie miałaś poczekać z decyzją do powrotu z rejsu?

— Chcą żebym dała im odpowiedź już teraz. W najbliższym czasie. — Łamała nerwowo dłonie. — Natychmiast!

Nie czuł się upoważniony do doradzania Winnie w kwestii, która bezpośrednio dotyczyła kilku najbliższych lat jej życia.

— A co mówi ci na ten temat Bóg?

— Nadal nie opuszcza mnie to poczucie, że zupełnie nie wiem, w którą stronę się zwrócić:

Z pewnością niezbyt dobry znak, ale cóż więcej mógł powiedzieć?

— Twoje włosy... — zaczęła Emma.

— Co się stało z moimi włosami? — warknął.

— Najdroższy — powiedziała Cynthia — jeśli chodzi o twoje włosy...

— Nie dotykaj ich! — zawołał.

I co z tego, że podciął je własnoręcznie? Przynajmniej nie spływały mu na koloratkę jak jakieś wodorosty.



— A niech mnie! — zawołał Mule, przyglądając mu się z zainteresowaniem.

— Nie podoba ci się? — zapytał. — Ja nigdy nie mówię niczego o twoich włosach, nawet ich nie zauważam, więc nie mogę pojąć, dlaczego nie mógłbyś zrobić tego samego dla mnie...

— O rany! — odparł Mule, wyglądając na zmieszanego. — Chciałem cię tylko zapytać, gdzie kupiłeś tę błękitną koszulę.

Gdy w czwartek rano wszedł do pokoju w szpitalu, w którym leżała Esther, jej łóżko otoczone było wolontariuszkami przygotowującymi wentę. Jedna z nich trzymała w rękach notatnik, gotowa do pisania, a wokół panowała atmosfera wysokiego napięcia.

Nawet nie spojrzały na niego, gdy wchodził.

Hessie pochylała się nad Esther, mówiąc tak, jakby słuch pacjentki został poważnie uszkodzony podczas upadku.

— Esther! — krzyczała. — Musisz się postarać! Lekarz powiedział, że da nam dwadzieścia minut i ani sekundy dłużej!

— Ammmammaaa — wydobyła z siebie Esther, usilnie starając się coś powiedzieć pomimo unieruchomionej szczęki.

— Dlaczego nie mogłaby czegoś napisać? — zaproponowała Vanita Bentley. — Widzę, że z gipsu wystają jej dwa palce.

— Anaaa — odpowiedziała Esther.

— Nie da się pisać dwoma palcami. Próbowalas kiedyś pisać dwoma palcami?

— O Boże — jęknęła Vanita. — No to wy coś wymyślcie! Musimy się śpieszyć!

— Potrzebna nam tablica z alfabetem! — wpadła na pomysł Hessie.

— Kto ma teraz czas na szukanie tablicy z alfabetem? A poza tym, skąd byśmy ją wzięły?

— Zróbcie tablicę! — poleciła współorganizatorka wenty. — Napiszcie alfabet w twoim notatniku, a ona może wskazywać litery, aż ułoży je w słowa.

— Ammmammaaa — powtórzyła Esther.

— Nie jest w stanie poruszyć ręką, żeby wskazywać litery!

— I co z tego? My możemy poruszać notatnikiem! Esther uniosła wskazujący palec prawej ręki.

— Jeden palec. Jedna! Zgadza się, Esther? Jeśli tak, to mrugnij raz, jeśli nie, mrugnij dwa razy.

— Mrugnęła raz, więc tak. Jedna! Jedna, ale co, Esther? Szklanka? Łyżeczka? Vanita, notujesz?

— Dwa mrugnięcia! — stwierdziła Marge Crowder. — Więc to nie szklanka i nie łyżeczka.

— Masło! — zawołał ktoś. — Czy to jedna kostka masła?

— Mrugnęła dwa razy, a więc nie. Spróbuj jeszcze raz. Jedna łyżeczka? Ha, dzięki Bogu! Vanita, jedna łyżeczka.

— Dobrze. Ale jedna łyżeczka czego? Soli?

— Na litość, nie dodawałabyś łyżeczki soli do ciasta!

— Wybaczcie mi, że żyję — odcięła się Vanita.

— Może cynamonu? Patrzcie! Jedno mrugnięcie. Jedna łyżeczka cynamonu!

— Alleluja! — zawołały chórem. Esther kiwnęła palcem.

— Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć... — liczyła któraś.

— Pięć czego? — zapytała Vanita. — Filiżanek? Nie. Łyżeczek? Nie. Łyżek stołowych?

— Jedno mrugnięcie, to łyżki stołowe! Pięć łyżek stołowych!

— O, na litość, jak to dobrze, że rano wzięłam tabletkę na serce — westchnęła z ulgą Hessie. — Masła. Mam przeczucie, że to chodzi o masło. Patrzcie! Jedno mrugnięcie!

— Pięć łyżek stołowych masła! — zawołał zgodnie tłum.

— No dobrze, do ciasta potrzebny jest proszek do pieczenia. Ile proszku do pieczenia, Esther?

Esther uniosła jeden palec.

— Jedna łyżeczka?

— Anaaa — jęknęła rozpaczliwie Esther.

— Jedna łyżka stołowa? — zaryzykowała Vanita.

— Nie daje się do ciasta łyżki stołowej proszku do pieczenia! — prychnęła Marge Crowder.

— Słuchajcie — stwierdziła Vanita — pomagam wam z czystej uprzejmości. Mój mąż jest osobiście przekonany, że wspaniale gotuję, po prostu nie piekę ciast, OK, więc gdybyście chciały, żeby ktoś inny notował, to bardzo proszę, droga wolna, dziękuję bardzo!

— Świetnie sobie radzisz, słonko, tak trzymać — uspokoiła ją Hessie.

— Spójrzcie! — wykrzyknęła Vanita. — Ma jeden palec wyprostowany, a drugi zgięty w połowie! Czy to jeden i pół? Tak, mrugnęła jeden raz! Na Boga, jeszcze nigdy nie widziałam czegoś tak sprytnego. OK, jedna i pół łyżeczki proszku do pieczenia!

Wszyscy bili brawo.

— Jestem wykończona — westchnęła Vanita, wachlując się notatnikiem. — Czy nie myślicie, że równie dobrze moglibyśmy sprzedawać dwuwarstwowe ciasta czekoladowe?

— Ammmammaaa — zaoponowała Esther z dezaprobatą. Hessie prychnęła.

— To może trwać całą wieczność. Ile czasu jeszcze mamy?

— Dziesięć minut, może jedenaście!

— Jedenaście minut? Mówicie serio? W życiu nie skończymy tego w jedenaście minut.

— Wydaje mi się, że mówiła mi, iż używa do tego przepisu maślanki — rzuciła Marge Crowder. — Esther! — krzyknęła. — Ile maślanki?!

Esther uczyniła palcem gest wskazujący na jeden i pół.

— Jedną i pół szklanki, tak? Wspaniale! No to pieczemy! Kolejne brawa.

— OK — zarządziła współorganizatorka — co udało się nam ustalić?

Vanita, straszny krótkowidz, uniosła notatnik do samych oczu.

— Jedna łyżeczka do herbaty cynamonu, pięć łyżek stołowych masła, jedna i pół łyżeczki proszku do pieczenia oraz jedna i pół szklanki maślanki.

— Muszę usiąść — stwierdziła szefowa komitetu do spraw jedzenia, dotykając palcami skroni.

— Wygląda na to, że Esther usypia, o nie, dobry Boże, Esther, kochanie, nie zasypiaj, będziesz mogła spać w nocy!

— Czy ktoś mógłby poprosić pielęgniarkę o tabletkę na uspokojenie? — zastanawiała się Vanita.  
— Myślicie, że byliby niezadowoleni, wypisuję czeki na rzecz szpitala od dziewięciu lat, niedługo będzie dziesięć!

— A tak na marginesie — zauważyła Marge Crowder — to przepis na jedno czy dwuwarstwowe ciasto?

Postanowił wyjść na chwilę na korytarz, żeby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

Śpiewająco, Jeden z organizatorów wenty dobroczynnej właśnie tym słowem określił ich piątkowe wysiłki.

Pogoda była wspaniała, świetlica parafialna pękała w szwach od towarów i ludzi, trawnik zdołały trzy białe namioty, chroniąc przed wszelkim negatywnym wpływem warunków atmosferycznych wszystko — od drogocennych antyków i zabawek dla dzieci po posiłki i domowej roboty desery. Trzy autobusy wycieczkowe stały zaparkowane przy drodze, znacząc w ten sposób przedostatnie wydarzenie tego roku.

Parkingowi najpierw zapełnili dwa kościelne parkingi, następnie kierowali ruch do góry, na parking przy szpitalu, i boczną ulicą na parking metodystów. Strumień samochodów i pick-upów płynął również na parkingi za Collar Button, Irish Woolen Shop i cukiernię Sweet Stuff.

Mitford Blossoms dorzucił swoje dziesięć miejsc parkingowych, podczas gdy kilku mieszkańców Main Street, nie wyłączając Evie Adams, zarobiło całkiem nieźle, udostępniając swoje podjazdy.

Dla wolontariuszy wenty była to natomiast ciężka praca na tyłach, bez dwu zdań.

Przez jedenaście godzin z rzędu pastor wydawał resztę, wydobywał towary dla szczególnie zainteresowanych klientów, serwował chili i spaghetti, pakował ciasta, wynosił worki ze śmieciami do pick-upa Gene'a Bolicka, robił kawę, przynosił lód, zbierał odpadki, znalazł plaster i opatrzył otarte kolano, zdemonstrował pracę odkurzacza marki Hoover, przyjął kilka datków na fundusz budowy studni, opowiedział historię okien witrażowych i stał mopem rozlany napój w korytarzu świetlicy parafialnej.

Wujaszek Billy przyszedł na inspekcję uzbrojony w trzy nowe dowcipy, zebrane specjalnie na tę okazję.

Po piątej, niczym w zegarku, zaczęły przyjeżdżać i wyjeżdżać ciężarówki z miejscowych fabryk i instytucji, transportując pracowników, którzy następnie posilali się obficie i dokonywali równie obfitych zakupów.

O ósmej wieczorem przyszedł czas na szturm brygady sprzątającej, a o ósmej piętnaście nieliczne, ale wierne resztki — pomimo zmęczenia odczuwanego w każdej kości — przybyły do szpitala, gdzie Wszyscy zgromadzili się wokół łóżka Esther i zaśpiewali: „Bo Esther naszym przyjacielem jest”.

Ciasta pomarańczowe, zdali relację, poszły jedne z pierwszych, a pewien anonimowy darczyńca zaoferował sześćdziesiąt dolarów — w ten sposób zaokrąglając całą kwotę do trzystu dolarów, co w przeliczeniu daje studnię głęboką na trzy metry.

Była to najbardziej udana wenta dobroczynna wszech czasów, a wpływy z jej organizacji przyniosły fenomenalną kwotę dwudziestu dwóch tysięcy dolarów. Ta suma nie tylko była o kilka tysięcy rekord poprzedniej wenty, okrywała też wstydem i przyprawiała o bezsenność organizatora każdego innego kościelnego przedsięwzięcia, którego celem było zgromadzenie funduszy, może i na całym świecie.

Pauline przysłała do jego kancelarii po południu i usiadła na ławce dla gości, wyglądając na dumną i silną.

— Chodzę na spotkania klubu AA — oznajmiła — i nie będę się już spotykać z Buckiem. To najlepsze, co mogę zrobić, ojciec, i chcę to zrobić, i proszę Boga, aby dał mi dość siły. — Spojrzała na niego błagalnie. — Czy będzie się ojciec za mnie modlił?

Była to najdłuższa samodzielna wypowiedź, jaką kiedykolwiek słyszał z ust Pauline.

Potem poszedł z nią do domu, rozkoszując się rześkim powietrzem i błękitnym niebem.

— Gdy dojdiesz do wniosku, że chciałabyś zamieszkać we własnym domu, pomogę ci, tak samo Harley.

— Dziękuję, ale nie zasługuję na to...

— Pauline, podarowałaś mi jeden z najcenniejszych skarbów tego życia — szansę, abym poznał Dooleya Barlowe'a. Nie zasługuję na to. Nie mówmy więc o zasługiwaniu, dobrze?

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się. A potem się roześmiała.

— Pan Tim! — Jessie przybiegła korytarzem i objęła go za nogi. — Już nie ssę kciuka. Proszę spojrzeć!

Uniosła wysoko kciuk, a on przyjrzał mu się dokładnie.

— To dzięki Buckowi przestałam — oznajmiła, uśmiechając się do niego. — Podarował mi lalkę z włosami do czesania, chce ją ojciec zobaczyć?

— Chcę! — zgodził się ochoczo.

Jessie pobiegła do pokoju dziennego i wróciła z lalką.

— Widzi ojciec, że ma włosy takiego samego koloru jak ja, Buck mówił, że oglądał całe mnóstwo lalek, zanim znalazł tę. Chce ją ojciec potrzymać? Ma na imię Molly, nie sika i nie robi nic innego. — Wzięła go za rękę. — Proszę pójść i usiąść, jeśli chce ją ojciec potrzymać. Buck często ją trzyma, ale nie może już więcej przychodzić, Pauline powiedziała, że nie może.

Jessie wsunęła kciuk do ust, a potem znowu go wyjęła. Pauline spojrzała na pastora, wzruszyła ramionami i odwróciła się, ale zauważył w jej oczach smutek.

*Wenta jest błogosławieństwem po tysiackroć*

W ostatni piątek Lord's Chapel urządziła swoją doroczną wentę dobroczynną która zgromadziła rekordową kwotę 22 000 dolarów.

Według współorganizatorki wenty, Hessie Mayhew, znaczne fundusze zostaną przekazane na budowę studni we wschodniej Afryce i zakup karetki dla szpitala w hrabstwie Landon. Pozostałymi beneficjentami wenty są ośrodki misyjne w Bośni, Chorwacji, Ruandzie, hrabstwie Harlan, Kentucky oraz banki żywności na całym okolicznym terenie.

Pani Mayhew podkreśliła, że szczególne podziękowania należą się współorganizatorce, Esther Bolic, która oczekiwała od wolontariuszy pełnego poświęcenia i odniosła sukces.

Pełna lista wolontariuszy znajduje się na ostatniej stronie dzisiejszego wydania. Ponieważ pani Bolic niestety przebywa w szpitalu, ze złamanymi rękami i szczęką możecie jej przesłać kartkę do pokoju 107, ale zgodnie z zaleceniem lekarza nie można jej składać wizyt do środy.

Ma uczulenie na lilie, które działają zabójczo na jej zatoki, ale poza tym lubi wszystko.

Relację uzupełniało zdjęcie fałszywego czeku na dwadzieścia dwa tysiące dolarów.

— Kto to napisał? — chciał wiedzieć ojciec Tim.

— Zatrudniłem pomoc — poinformował z dumą J.C. — Vanita Bentley!

— Kto to złożył?

— Ja, Vanita pisze tylko odręcznie. Od tej pory będzie redagowała co tydzień specjalną kolumnę zatytułowaną „Z miasta”.

— Gratuluję! — zawołał pastor.

I co z tego, że „Muse” nie zdobędzie nigdy Pulitzera? Przecież to nie jest „New York Times”, na li-  
tość boską.

— *Buon giorno*, ojcze! Andrew Gregory, nareszcie w domu!

— Andrew! Na Boga! Ależ za tobą tęskniliśmy!

Andrew roześmiał się. Pastor pomyślał, że głos jego przyjaciela jeszcze nigdy nie wydawał się tak...

— Fernbank był przedmiotem moich najżywszych rozważań od czasu naszej ostatniej rozmowy — oznajmił Andrew. — Nie mogę się doczekać, kiedy tam pójde i wszystko oglądnę. Jak się mają sprawy w naszym domu?

— No cóż, po pierwsze, masz sad pełen jabłek, a dach jakoś się trzyma.

— Cudownie! Czy może mnie tam ojciec wpuścić, żebym się rozglądnął?

— Oczywiście. Kiedy najbardziej ci pasuje? Może... za piętnaście minut?

— Idealnie! — zawołał Andrew, a jego głos wydawał się... no właśnie, jaki wydawał się głos Andrew? Beztroski? Chłopięcy? Zrelaksowany?

Gdy się jednak nad tym zastanowić, kto nie czułby się zrelaksowany po trzech miesiącach odwiedzania kuzynów we Włoszech?

Kiedy ojciec Tim przyjechał do Fernbank, szary mercedes Andrew, parkował już na podjeździe, a Andrew stał i czekał na ganku razem z mężczyzną i kobietą.

Gdy wchodził po schodach, nie mógł nie zauważyć, że kobieta jest wyjątkowo atrakcyjna, nieomal tak wysoka jak Andrew, i ma wspaniałą figurę. Zmrużył oczy olśniony porażającym ciepłem jej uśmiechu, prawie że nie zauważając czarnowłosego mężczyzny, który stał razem z nimi.

— Ojcze!

— Witaj w domu, mój przyjacielu!

Objęli się na powitanie, a Andrew pocałował pastora po europejsku, w obydwa policzki.

— Ojcze, najpierw chciałbym przedstawić ojcu Annę, moją kuzynkę...

Wielkie nieba, to jest kuzynka?

— ...i moją żonę — dokończył rozpromieniony Andrew.

## Rozdział dziewiętnasty

### FERNBANK

Zdziwiony, jeśli nie zupełnie zaskoczony, pastor ledwie był w stanie wykrztusić z siebie słowo.

— Gratuluję! — wydusił w końcu. — *Mazel tov! Och, felicitaciones!*

Andrew ścisnął mu dłoń.

— Doskonała robota, ojcze! A to jest brat Anny, Antonio Nocelli.

— Proszę do mnie mówić Tony! — oświadczył Antonio, obejmując pastora i całując go w obydwa policzki. — Dużo o ojcu słyszałem.

— A ja nic o tobie i o Annie!

Anna roześmiała się, odrzucając do tyłu głowę.

— Niech mi będzie wolno powiedzieć, ojcze, że Andrew jest bardzo dalekim kuzynem, więc nie musi ojciec wznosić alarmu.

— Tak, na litość boską, proszę nie wznosić alarmu! — zawołał Andrew, chichocząc.

Anna wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

— Mój angielski? Nie jest doskonały.

— A czyj jest? — zapytał pastor. — Cóż, wejdziemy? Czy chciałbyś ich zaprosić do środka, podczas gdy ja tu poczekam?

— Na Boga, oczywiście, że nie, musi ojciec wejść z nami — zaproponował Andrew.

Pastorowi zdawało się, że jego przyjaciel nigdy wcześniej nie był taki opalony, taki chłopięcy, taki radosny.

— Oto klucz, w takim razie. Fernbank już niedługo będzie twój, może mógłbyś otworzyć drzwi?

— Jestem bardzo podekscytowana — zwierzyła się mężowi Anna.

Tony ją poparł.

— Nie mogliśmy już spać, myśląc o domu, który Andrew zaszczeplił w naszych sercach. Andrew otworzył podwójne drzwi i weszli do środka. Zapadła chwila absolutnej ciszy.

— Ach, *bella...* — westchnął Tony. — *Molto bella!*

Anna rozpostarła ramiona w stronę pomieszczenia.

— Jest piękny! Tak jak mówiłeś!

— Trochę wilgotny, moja droga, ale...

— Ależ, *amore mio*, słońce sobie z tym poradzi!

— Anna wierzy, że słońce leczy wszystko — Andrew wyjaśnił z zadowoleniem pastorowi.

Spacerowali wolno po domu, rozkoszując się każdym pomieszczeniem.

Anna dotykała ścian, poręczy, obić, często szepcząc:

— Fernbank.

W sali balowej opowiedział historię malowanego sufitu i dwóch innych Włochów, ojca i syna, którzy przyjechali do samego Mitford, żeby ozdobić go malowidłem, i mieszkali z rodziną panny Sadie przez prawie trzy lata.

W czasie gdy anioły pomykały nad ich głowami pośród skropionych różem chmur, czuł się dziwnie dumny, jak dumny z syna ojciec, z rozkoszą chłonący okrzyki zachwyty.

Ktoś, kto będzie kochał Fernbank! Dzięki Ci, Boże!

Złota jesień zwlekała z odejściem, ofiarowując im ostatnie chwile pięknej pogody.

Siedzieli na ganku na wątlých krzesłach panny Sadie, które pastor odkurzył. Andrew i Anna wybrali wiklinową dwuosobową kanapkę.

— A teraz... — zaczął Andrew. — Wszystko ojcu opowiemy! Ojciec Tim roześmiał się.

— Miej litość. Nie wiem, ile jeszcze nowych wrażeń będę w stanie dzisiaj znieść.

— Tony i Anna mieli śliczną małą restaurację w Lucerze, zaledwie kilka kroków od mojego *penzione*. Jedzenie było wyśmienite, być może najlepsze, jakie miałem okazję próbować w czasie swoich podróży po państwach śródziemnomorskich. Zacząłem chodzić tam codziennie na lunch.

— Wkrótce — dodała Anna, spoglądając odważnie na Andrew — zaczął przychodzić również na kolacje.

— Tony gotował, Anna podawała i odkryliśmy, że jesteśmy kuzynami i, no cóż... — Andrew uśmiechnął się, nagle nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa.

— Nieśmiały — wyjaśnił pastor, kiwając głową w stronę pozostałych.

Anna uśmiechnęła się filuternie.

— On nie jest nieśmiały, ojcze, on jest Anglikiem! Wyprostowała ręce wzdłuż tułowia, udając kawałek drewna.

— Ale tylko na zewnątrz! W środku jest Włochem, delikatnym jak świeże *ravioli*! Gdyby taki nie był, nie mogłabym go poślubić i zamieszkać tak daleko od domu!

Roześmiała się swobodnie i dotknęła dłonią policzka Andrew.

— W budynku, w którym znajdowała się restauracja, miał zostać przeprowadzony remont — wyjaśniał Andrew — a pani Nocelli zmarła rok temu...

Anna i Tony uczynili znak krzyża.

— Kuzyni wyprowadzili się, niektórzy do Rzymu, inni do Werony. Winnica została sprzedana w obce ręce, więc nie trzymały ich już prawie żadne więzy. Mimo to, gdy prosiłem Annę o rękę, obawiałem się, że nie będzie chciała wyjechać z Włoch.

Anna poklepała męża po kolanie.

— Wszystko stało się, we właściwym momencie, ojcze.

— Jakbym tego nie wiedział. Andrew uśmiechnął się swobodnie.

— Rodzina Nocelli już od pokoleń słynie z wyrobu win w Lucerze. Ślubu udzielił nam ich wieloletni ksiądz. Z niemałym trudem udało mi się go do tego nakłonić, a to dzięki swojemu katolickiemu dzieciństwu.

— Twoje dzieci — wtrącił pastor — czy wiedzą?

— O tak. Przyjechały do Lucery na ślub. Bardzo się cieszą naszym szczęściem.

— A ty, Anno, masz jakieś dzieci?

— Nigdy nie miałam dzieci, ojcze, a mój mąż zginął dziesięć lat wcześniej. Potrafił go jakiś szaleńiec w szybkim samochodzie.

— I tak, w Fernbank — kontynuował Andrew — Anna, Tony i ja będziemy mieć swój dom i otworzymy bardzo małą restaurację.

— Bardzo małą! — zawołała Anna.

— I bardzo dobrą! — dodał Tony, unosząc do góry kciuki.

Pastor pomyślał, że Tony jest nieomal tak przystojny — i tak dobroduszny — jak jego siostra.

Nie będąc w stanie usiedzieć już ani chwili dłużej, Andrew wstał i wygłosił oświadczenie:

— Nazwiemy restaurację „Lucera”, na cześć ich ślicznego miasteczka i domu rodzinnego mojej mamy — a wino do restauracji będziemy sprowadzać z jednej z tamtejszych licznych starych winnic, które je wyrabiają od dziesiątego wieku.

— *Brava, Lucera!* — wykrzyknął Tony. — *Brava, Mitford!*

— Wielkie nieba!

Do pastora dotarła cudowność całego planu.

— Włoska restauracja w Mitford, wino ze starych winnic i piękni ludzie, którzy zamieszkają w tym wspaniałym domu! Panna Sadie byłaby zachwycona. Wszyscy będziemy zachwyceni!

Anna stała, nieomal tańcząc z ekscytacji.

— Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę jabłka!

— W tych butach, kochanie? — zapytał Andrew.

— Zaraz je ściągnę! — rzuciła w odpowiedzi, i tak też uczyniła.



Idąc Wisteria Lane w kierunku domu, spojrzął w zapadającej ciemności na budynek, usiłując odnaleźć w sobie poczucie własności, którego się spodziewał. No cóż, pomyślał, pojawi się, gdy podczas ciężkiej zimy pękną rury, a ja sam będę musiał się tym zająć.

Poklepał się po kieszeni płaszcz. W środku znajdował się czek na piętnaście tysięcy dolarów, który wręczono mu na spotkaniu rady parafialnej dzisiaj wieczorem.

Ron Malcolm wręczył mu go nie bez pewnej ceremonii.

— Ojcie, wyceniliśmy dom, zostawiając pewien margines na negocjacje. H. Tide tak bardzo na nim zależało, że nawet nie próbowali negocjować, więc zapłacił ojciec maksymalną cenę. Wszyscy uważamy, że dziewięćdziesiąt tysięcy jest uczciwą ceną dla ojca i dla nas, i... bardzo dziękujemy ojcu za sfinalizowanie z nami tego interesu! Gorące brawa.

Czuł się wręcz wspaniale. Dwupiętrowa rezydencja z lokalnego kamienia, spleciona co do grosza, i piętnaście tysięcy w kieszeni. Nieźle jak na starszego gościa.

Zagwizdał kilka nut z pieśni pastoralnej, wbiegając po frontowych schodach, żeby oznajmić żonie dobrą wiadomość.

Nie wiedział, dokąd wyprowadził się Buck, i mimo że widywał nadzorcę budowlanego na placu budowy, on nic nie wspominał o swoim obecnym miejscu zamieszkania.

Buck zostawił mały żółty domek w nienaruszonym stanie. Nie miało to jednak prawie żadnego znaczenia, ponieważ spóźnione prace adaptacyjne miały się rozpocząć w następnym tygodniu. Zewsząd będą lecieć drzazgi i wokół rozlegać się będzie odgłos pił, przez nie wiadomo jak długo, i Buck prawdopodobnie powierzy całość prac komuś innemu, jak tylko zakończy przebudowę strychu.

Nie chciał stracić Bucka Leepera. W jakiś dziwny sposób, którego nie potrafił wytłumaczyć, Buck był teraz częścią Mitford.

— Timothy!

— Stuart! Właśnie o tobie myślałem.

— Mam nadzieję, że dobrze?

— Tak daleko bym się nie posunął — odparł pastor, tłumiąc śmiech. — Co słysząc, stary przyjacielu?

— Stary przyjacielu. Jakie to dziwne, że użyłeś tego słowa. Czuję się tak, jakbym miał sto cztery lata.

— Jak to możliwe? Wróciłeś właśnie z miejsca, gdzie ludzie noszą bikini.

Stuart jęknął.

— Tak, i gdzie przez dwa tygodnie musiałem wciągać brzuch.

— Wciąganie brzucha to nie wakacje — stwierdził pastor.

— Słuchaj, jestem na autostradzie, jadę na spotkanie w Karolinie Południowej. Czy możemy się spotkać na kawę?

— Na kawę. Hm. Co powiesz na Grill? Zbliża się lunch. Ja zapraszam.

— Cudownie. Main Street, o ile sobie przypominam?

— Na północ od Sklepu, zielona markiza, nazwa na oknie. Kiedy?

— Za pięć minut — odparł biskup weselszym tonem.

— To — powiedział, przedstawiając swojego nadal młodzieńczego przyjaciela z seminarium — jest mój szef, Jego Ekscelencja ksiądz biskup Stuart Cullen.

— Jego Ekscelencja... — rozmyślał Percy. — Przypuszczam, że nie chwaliłbyś się tym, gdyby nie był twój.

— Percy! — zgaśniła go Velma.

— O, na litość boską, nie słuchajcie Timothy'ego, mówcie do mnie Stuart.

Stuart podał wszystkim dookoła dłoń, a pastor obserwował, jak jego urok zaczyna działać na zgromadzonych.

— Nie ruszajcie się!

J.C. przykucnął ze swoim nikonem i pstryknął sześć zdjęć, jedno po drugim.

— Nigdy nie widziałem papieża — przyznał Coot Hendrick, z wielkimi z podziwu oczami.

— Ani papieża, ani biskupa — dodał Mule. Percy wyglądał na strapionego.

— Wydawało mi się, że mówiłeś, iż jest ekscelencją.

— Mówcie do mnie Stuart i skończmy już z tym — poprosił biskup, spiesząc do boksu z ojcem Timem.

Stuart wlał do kawy śmietankę.

— Przy okazji, ktoś powiedział mi, że na trasie, jaką pokonał Abraham w drodze do Kanaanu, teraz potrzebne są cztery wizy.

— Nic w tym dziwnego, skoro wynosi ona prawie tysiąc kilometrów. Chętnie obejrzałbym ją w całości pewnego dnia. Właśnie sobie przypomniałem z jednego z badań, które przeprowadzaliśmy w seminarium, że Kanaan jest miejscem narodzin słowa Biblia.

— I również alfabetu, dodam dla ścisłości. Więc jak by ci odpowiadał krótki pobyt na Outer Banks\* gdzieś w przyszłości? Myślę, że to mogłaby być twoja Dolina Jizreel co najmniej.

\* Outer Banks — wyspy na wybrzeżu Karoliny Północnej.

— Opowiedz mi więcej.

— Cudowna parafia, mały drewniany gotycki kościółek, historyczny cmentarz, cudowne położenie...

— Mów dalej.

— Jest tam pastor, który wręcz marzy o kościele w górach. Mam idealny kościół, a Bill Harley, który jest biskupem w tamtej diecezji, uważa, że moglibyśmy przeprowadzić pewną transakcję — mógłbyś pojechać tam na zastępstwo... latem, po przejściu na emeryturę.

— Powiem o tym Cynthii. Daj mi znać, gdy będziesz wiedział coś więcej. A zatem kiedy ty wybierasz się do Kanaanu, mój przyjacielu?

— Wiedziałem, że zapytasz, ale niestety, nie znam odpowiedzi. Nadal jestem przerażony, dokładnie tak jak ty kiedyś.

— Jak to możliwe, że zrobiłem się mądrzejszy od ciebie?

— Jesteś starszy — odparł Stuart, uśmiechając się. — Dużo starszy.

— Pamiętasz Edith Mallory?

— Te lisicę, która za wszelką cenę usiłowała złapać cię w swoje sidła.

— Zbliżają się wybory i jestem pewien, że finansowała na bardzo dużą skalę kampanię opozycji.

— Kto stanowi opozycję? — zapytał Stuart, odgryzając kęs swojej grillowanej kanapki z serem.

— Nikt, kto mógłby przynieść temu miastu cokolwiek dobrego.

— Jeśli dobrze się domyślam, do czego zmierzasz, to najlepszą rzeczą jest umyć od tego ręce.

— Zgadzam się. Tym bardziej, że nie mam dowodów.

— Czarne interesy. Ale znasz antidotum.

— Modlitwa.

— Właśnie. Jak radzi sobie twój komitet selekcyjny? Nie miałem od nich ostatnio żadnych wiadomości.

— Prawdę powiedziawszy, trochę wypadłem z obiegu — przyznał pastor — ale wydają się podekscytowani. Przyjrzelśmy się parafii i panuje powszechna zgoda co do młodego księdza z dziećmi.

— Mogą zaoszczędzić nam wszystkim trochę kłopotów poprzez zadanie kandydatom jednego podstawowego pytania.

— Które brzmi?

— Czy wierzysz w Jezusa Chrystusa?

— Prawda. Rozmawiałem o tym z komitetem. To bardzo przykra sytuacja, gdy musimy zadawać takie pytanie kandydatom, którzy złożyli śluby i przyjęli święcenia.

Biskup westchnął.

— Święty Paweł powiedział w Drugim Liście do pocziwego człowieka, na pamiątkę którego otrzymałeś swoje imię: „Przyjdzie bowiem chwila, kiedy zdrowej nauki nie będą znosili, ale według własnych pożądań... będą sobie mnożyli nauczycieli. Będą się odwracali od słuchania prawdy, a obrócą się ku zmyślonym opowiadaniom”. Ach, Timothy...

— Jedz, mój przyjacielu. Czeka cię jeszcze długa droga. Dlaczego nie wybrałeś samolotu?

— Jadę samochodem, ponieważ potrzebuję czasu, żeby pomyśleć, potrzebuję trochę czasu w samotności.

— Człowiek musi wsiąść do samochodu i pędzić autostradą pomiędzy stanami, żeby pobyć trochę w samotności? Ach, Stuarcie...

Stuart zachichotał.

— Dwa tygodnie na plaży nie załatwiają wszystkiego.

— Szczególnie jeśli przez cały czas wciąga się brzuch — podsumował pastor.

— Zrobiłam to — obwieściła Winnie.

Nie wiedział, czy zamierza się rozplakać, czy też roześmiać.

— Czy mógłby ojciec wziąć ze sobą tę kopię umowy do domu i ją przeglądnać? — poprosiła go. — Sprawdził ją prawnik, ale nie wiem, czy jest dobry, więc może jeśli nie jest ojciec zbyt zajęty, mógłby to ojciec zrobić, powinnam była poprosić ojca wcześniej. Oczywiście, domyślam się, że jest już za późno, skoro wysłałam ją pocztą, ale mimo to, gdyby ojciec mógł...

— Nie wiem, czy się na coś przydam, ale dobrze, przeglądnę ją.

Do licha, dlaczego nie zdobył po prostu uprawnień pośrednika handlu nieruchomościami? Miał wrażenie, że poświęca mniej więcej tyle samo czasu nieruchomościom, ile posłudze duszpasterskiej.

— Zamęczyli mnie nieomal na śmierć, ojczco. Przypuszczam, że zostanę i że będę ją prowadzić.

Jest błada jak płótno, pomyślał.

— To cudowna wiadomość, że zostajesz w Mitford. Twój interes prosperuje, masz tutaj całe zastępy przyjaciół...

— Ale moja rodzina jest tam — brat i siostra, i dwie siostrzenice, i siostrzeniec.

— Wiem, ale czyż my nie jesteśmy rodziną? Czyż cię nie kochamy?

Powinien się wstydzić, że próbuje oderwać ją od rodzonych krewnych.

— Cieszę się, że za tydzień wybieram się na ten rejs — stwierdziła, wyglądając tak, jakby nic jej nie cieszyło.

Lace siedziała przy kuchennym stole, odrabiając zadanie z historii, gdy Dooley zadzwonił ze szkoły. Ojciec Tim odebrał wiszący na ścianie przy zlewozmywaku telefon.

— Proszę...

— Właśnie idę na lekcje.

— Hej, przyjacielu!

— Hej — odwzajemnił powitanie Dooley. — Co słyszeć?

— Nic szczególnego. A u ciebie?

— Jutro wieczorem mamy nasz jesienny bal koedukacyjny. A niech mnie!

— A niech mnie, co?

— Przyjeżdżają cztery autobusy dziewczyn, może pięć.

— A niech mnie!

Rzeczywiście, to zdawało się mówić wszystko.

— Jak się ma Barnaba?

— Wygląda dobrze. Ma apetyt. Dużo śpi.

— Trochę za nim tęsknię.

— On jeszcze bardziej. Więc co to za bal?

— Będzie orkiestra, wszystko w hali sportowej. Pomagałem dekorować.

— Aha.

— Powiesiliśmy dużo prześcieradeł z drutami i zamieniliśmy halę w ogromny namiot. Wygląda ekstra, powinieneś to zobaczyć.

— Kiedy najbliższa pora odwiedzin?

— Dam ci znać, muszę iść.

— Chcesz przywitać się z Lace? Jest tutaj. — Pewnie.

Podał słuchawkę Lace.

— Doktor Barlowe.

Jej uśmiech, który niezwykle rzadko widywał, był tak spontaniczny i szczery, że zarumienił się i wyszedł z kuchni.

Siedzieli przy stole, pijąc herbatę, podczas gdy Lace składała swoje książki i zeszyty, przygotowując się do wyjścia do domu.

— Co ciekawego przerabiacie teraz w szkole? — chciała wiedzieć Cynthia.

— Właśnie dowiedziałam się o palindromach. Szukam ich wszędzie — przyznała.

— Jak ze słowem Bob, tak?

— Tak. Słowa, których pisownia jest taka sama bez względu na to, czy się je czyta od prawej do lewej, czy od lewej do prawej. To na przykład — kontynuowała, wskazując na leżącą na stole umowę — nie jest palindromem. Gdy czytamy je normalnie, brzmi H. Tide, ale w drugą stronę, Edith. Ale wiecie co, można tworzyć palindromy z całych zdań, na przykład: „Kobyła ma mały bok”.

— Ale sprytnie! — zachwyciła się Cynthia.

— Do zobaczenia — pożegnała się, podchodząc do drzwi prowadzących do suterenu.

— Cześć, Harley! Przeczytaj książkę, którą ci zostawiłam na zlewozmywaku!

— Co zostawiłaś na zlewozmywaku? — dopytywał się pastor zaciekawiony.

— *Silas Marner*.

— Aha. Zajrzyj wkrótce, Lace.

— Kiedy tylko będziesz mogła — dorzuciła Cynthia.

— OK!

Przysunął do siebie umowę. „EdiT.H”.

Krew pulsowała mu w skroniach. Edith? Czy H. Tide mogło być własnością Edith Mallory?

Czy to dlatego H. Tide tak pilnie chciało jego domu? Edith wiedziała, że on i Cynthia będą mieszkać w żółtym domku. Czy chciała kontrolować sąsiedni dom w jakiś podejrzany i pokretny sposób?

— Co się stało, Timothy?

— Nic, po prostu myślę.

Zabrał umowę do salonu i usiadł przy biurku, wyglądając przez okno na pogrążony w zapadającym mroku park Baxter. Mack Stroupe. H. Tide. Edith Mallory.

Jeśli to, co właśnie podsunęła mu Lace, było prawdą, Edith usiłowała obecnie położyć łapę na kolejnej nieruchomości na Main Street. Nie chciał być świadkiem, jak traktuje kogoś innego — a szczególnie Winnie — w sposób, w jaki potraktowała kiedyś Percy'ego. I jak Esther planowała oszukać Winnie, która sprzedawała swój interes bez pomocy pośrednika?

Spojrzał na umowę — wszystko tam było, włącznie z hieroglifami, jak ze ściany w jaskini — i zadzwonił do swojego kuzyna prawnika.

— Dodzwoniłeś się do Waltera i Katherine, proszę, zostaw wiadomość po sygnale. Oddzwonimy niezwłocznie.

Czy podpisana umowa nie jest traktowana jako zgodna z prawem i wiążąca?

Przemierzał pokój.

Edith Mallory zawsze posiadała wiele nieruchomości. Ale po co miałyby sprzedawać Shoe Barn swojej własnej firmie? Nie rozumiał tego. Czyż nie doszukiwał się zbyt wiele w nazwie czytanej od końca?

Z drugiej jednak strony, dlaczego Mack Stroupe obnosił się po mieście i przechwalał swoimi wpływami w H. Tide, jak również pojawiającymi się w ich efekcie ofertami zakupu nieruchomości?

Jeszcze jedno. Czy Miami Development ma z tym wszystkim coś wspólnego? Czy też jest to jedynie zbieg okoliczności?

Nie wiedział, o co w tym wszystkim chodzi, ale był pewien, że sprawy mają się dużo gorzej, niż początkowo przypuszczał.

Wiedział, ponieważ właśnie to podpowiadała mu jego intuicja.

Walter oddzwonił.

— Kuzynie! O czym wróble świergoczą w Mitford?

— Wolałbyś nie wiedzieć. Mam prawne pytanie.

— Strzelaj — rzucił jego kuzyn i od zawsze najlepszy przyjaciel.

Po rozmowie z Walterem zadzwonił do starego znajomego, który pracował we władzach stanowych. I co z tego, że była dwudziesta pierwsza trzydzieści i nie widział Deweya Morgana od dwunastu lat? Może Dewey nawet już nie pracuje we władzach stanowych.

— Nie ma sprawy — obiecał Dewey, który w ciągu minionych lat nabrał dość oficjalnego stylu bycia. — Zadzwoń do ciebie jutro.

— Jak najszybciej, gdybyś był tak miły. A jeśli będziesz kiedyś w Mitford, możesz się czuć zaproszony.

— Niewykluczone, że skorzystam z zaproszenia. Arlene zawsze chciała zobaczyć Mitford.

Gdyby wszyscy ludzie, których zapraszał do siebie, zdecydowali się skorzystać z zaproszenia...

O godzinie dziesiątej w kancelarii zadzwonił telefon.

— Tim? Dewey. Sprawdziłem nazwę niejawnego partnera w H. Tide z Orlando, zgadza się. I również Miami Development. Z dokumentów wynika, że to Edith A. Mallory — w przypadku obydwu firm. Mam nadzieję, że tego szukałeś.

— O tak — przyznał. — Właśnie tego!

Właśnie tego szukał, to prawda, ale to, co znalazł, Wcale nie sprawiło mu przyjemności.

Odsunął kotarę, wchodząc do kuchni cukierni, nie krzyknąwszy nawet „dzień dobry”.

— Winnie, muszę ci coś powiedzieć.

— Co się stało, ojciec? Proszę usiąść, nie wygląda ojciec zbyt dobrze.

— H. Tide należy do kogoś, kto może nie potraktować cię za dobrze. Nie będę wchodził w szczegóły. Wszystko sprowadza się do tego, że możesz nie chcieć sprzedać swojej firmy tym ludziom i być od nich zależną.

— O nie!

— Znalazłabyś się w rękach właściciela lokalu Percy'ego. Uważam, że powinnaś porozmawiać z Percym.

— Ale ja już podpisałam i wysłałam umowę.

— Rozmawiałem właśnie z moim kuzynem, który jest prawnikiem. Proszę. Porozmawiaj z Percym o osobie, od której wynajmuje Grill. I jeśli nie spodoba ci się to, co usłyszysz, musimy działać szybko.

Wytarła ręce i poprawiła opaskę na włosach.

— Jak ojciec każe.

— Nie wyprowadzajcie go z równowagi, dopóki nie obsłuży tłumu, który przyszedł tu na lunch — ostrzegła Velma.

Po chwili zwróciła się do Winnie:

— Zabieram trzy pary szortów, nie krótkich szortów, ale średnich, trzy góry i dwie sukienki bez rękawów do mojego białego swetra. Czy bierzesz suknię wieczorową na kolację z kapitanem?

— Ojej — westchnęła Winnie bezradnie — nie mam nawet czasu, żeby o tym pomyśleć, nie wiem, co zabieram, nie mam sukni wieczorowej.

— Cóż, nie zapomnij o parze butów na gumowej podeszwie, żebyś nie ślizgała się po pokładzie.

Velma była już na rejsie, sponsorowanym przez jej dzieci, i wiedziała, co jest co.

— Velma — nalegał pastor — musimy działać szybko. Czy mogę zadać Percy'emu jedno pytanie? Jak wysoko może podskoczyć mu ciśnienie, jeśli zadamy mu jedno pytanie?

— Och, no dobrze, ale nie gadajcie w nieskończoność.

Coot Hendrick zastukał łyżeczką w szklanę. Odkąd Velma została zaproszona na ten rejs, ani razu nie dołała mu kawy, chyba że wyraźnie ją o to poprosił.

Pastor podszedł do właściciela.

— Percy, czy możesz nam poświęcić sekundę?

Percy odsunął się od grilla, przerzucił przez ramię ścierkę i podszedł do lady.

Dlaczego zawsze stawiał się w takim nieprzyjemnym położeniu? Czyżby przytrafiło mu się najgorsze, co może przytrafić się duchownemu — czyżby zaczął się wtrącać w nie swoje sprawy?

— Percy, tylko się nie denerwuj. Chcę tylko, żebyś opowiedział Winnie o...

— O czym?

— O właścicielce twojego lokalu.

Percy gwałtownie poczerwieniał. Dwieście czterdzieści woltów, minimum.

— Wystarczy jedno czy dwa zdania — prosił słabo.

Pomaszerował do Sweet Stuff z Winnie, która zadzwoniła do H. Tide, żeby powiedzieć, iż anuluje umowę. Uniosła słuchawkę tak, żeby mógł usłyszeć wybuch niezadowolenia po drugiej stronie.

Według Waltera, dopóki umowa nie dotrze do nabywcy, dostarczona osobiście przez sprzedającego czy też przesłana pocztą jest nieważna.

Gdy odłożyła słuchawkę, podszedł do stolika z przodu i opadł na krzesło. Jego własne ciśnienie dalekie było od stu dwudziestu na osiemdziesiąt.

— Earl Grey! — zwrócił się do Winnie. — Czysta, i niech będzie podwójna.

Po raz kolejny Edith Mallory będzie się musiała obejść smakiem. Straciła Fernbank. Straciła jego dom. A teraz straciła pierwszorzędną nieruchomość na Main Street.

Prawdę powiedziawszy, jedyna nieruchomość, jaką była w stanie kupić, to ta, która już do niej należała.

Był pewien, że dołoży wszelkich starań, żeby nie stracić Macka Stroupe'a.

Rozpromieniona Winnie podała mu herbatę.

— Boże, miej litość, czuję się jak z krzyża zdjęta. Znowu jestem w punkcie wyjścia — i bardzo się z tego cieszę!

— Mam dla ciebie werset z Pisma Świętego, Winnie, to słowa proroka Jeremiasza: „Dobry jest Pan dla ufnych, dla duszy, która go szuka; Nie wyczerpała się litość Pana, miłość nie zgasła. Jest nowa i świeża co rano: ogromna Twoja wierność”.

— Proszę się poczęstować ciastkiem czekoladowym! — zachęcała go rozpromieniona Winnie. — A może wolałby ojciec ciastko dietetyczne?

Esther Bolick była już w domu i wracała do zdrowia, Barnaba odzyskiwał siły, żółty domek rozbrzmiewał odgłosem pił i piaskowania, książka Cynthii została ukończona, a Winnie i Velma przysłały do Mitford pocztówki.

Percy przykleił pocztówkę Velmy do kasy.

„Kochani, szkoda, że Was tutaj nie ma, nie uwierzylibyście, jakie wspaniałe kolory mają ryby, są jak neony. Winnie spaliła się na słońcu. Jeśli policzyć niedzielne lody i wczesne śniadanie na pokładzie, można jeść jedenaście razy dziennie. Staram się ograniczać do dziewięciu czy dziesięciu, ha, ha.

Velma”.

Winnie zostawiła w oknie tabliczkę:

„Pojechałam na rejs. Wracam 30 października”

Percy ruszył w dół ulicy i przykleił jej pocztówkę tuż obok tablicy.



„Cześć, kochani, przykro mi, że nie ma mnie z Wami, bym mogła serwować Wam swoje wypieki, ale jestem na Karaibach, starając się złapać trochę słońca. Ludzie z Golden Band zostawili w naszej kabinie kosz z owocami i szampana, po którym Velma dostała wysypki. Ależ tutaj jest pięknie, chociaż w niektórych miejscach na drodze można spotkać świnie. Cóż, trzymajcie się, dopóki nie wrócę. Czeka Was wtedy ogromna niespodzianka za witryną z ciastami. Winnie”.

— Ojciec? Scott Murphy! Słyszał to w jego głosie.

— Kiedy? Kto? — zapytał.

— Wczoraj wieczorem! Dwaj mężczyźni, którzy pokazywali się w każdą środę, jeden z dwójką dzieci. Powiedzieli, że chcieliby się dowiedzieć czegoś więcej o planach Boga odnośnie do ich życia, i rozmawialiśmy, i oni odmówili modlitwę, i to była wspaniała, cudowna rzecz. Bezdomny nie posiada się z radości. Uważa, że za rok latem będziemy mogli robić to, co zrobił Absalom Greer: odprawiać cotygodniowe nabożeństwa nad brzegiem strumienia.

— Musisz opowiedzieć mi każdy szczegół — poprosił pastor. — Wybierzemy się pobiegać jutro rano?

— Szósta trzydzieści, u mnie?

— Możesz na mnie liczyć. Scott roześmiał się, szczęśliwy.

— Niech ojciec łyka witaminy — poradził.

Andrew zadzwonił, żeby zapytać, czy Buck Leeper mógłby się zająć remontem Fernbank.

— Nie wydaje mi się, ale zapytam go — obiecał.

— Będę się też rozglądał za dobrą szkółką leśną. Chciałbym wymienić część krzewów i drzew.

— Znam wspaniałą szkółkę, chociaż ich drzewa są stosunkowo nieduże.

— W moim wieku, ojcie, człowiek nie pozwala sobie na dwie rzeczy — młode wino i małe drzewa. Pastor roześmiał się.

— Oddałbym należną cześć temu, który to powiedział, ale nie pamiętam jego nazwiska. To kolejny znak postępującego czasu.

— Daj spokój, Andrew. Dzięki swojej pięknej żonie wyglądasz jak chłopiec! Jestem oczarowany urodą Anny, tak jak cała reszta. Dziękuję, że sprowadziłeś Annę i Tony'ego do Mitford. Wiem, że ich obecność będzie dla wszystkich cudowną odmianą.

— Dziękuję, ojcie, nie możemy się doczekać, kiedy rozpoczniemy prace na wzgórzu. Anna chciałaby, aby kilka pokoi zostało ukończonych przed Bożym Narodzeniem, chociaż wykonanie wszystkich prac może potrwać nawet rok, zważywszy na naszą pogodę.

— Pozwól, że zajrzę do kościoła i zobaczę, jak postępują prace. Jeśli Buck będzie zainteresowany, poproszę, żeby do ciebie zadzwonił.

Wyszedł z kancelarii, zapinając kurtkę, zadowolony, że znalazł się na zimnym, ostrym powietrzu i na placu budowy, gdzie toczy się prawdziwe życie.

— Początek grudnia i mnie tu nie ma — oświadczył Buck, otrzepując błoto z roboczych butów. — Ojca dom jest w dobrych rękach i będę w kontakcie, będę sprawdzał, jak postępują prace.

— Cóż, widzisz, jest dla ciebie kolejna praca, na wzgórzu, w Fernbank. Wiem, że praca dla Andrew Gregory'ego byłaby bardzo przyjemna i z pewnością panna Sadie byłaby zachwycona, była taka zadowolona z tego, co zrobiłaś w Domu Nadziei...

— Zabawiłem tu dość długo — rzucił oschle Buck. Ojciec Tim nie ustępował.

— Wydaje mi się, że gdybyś został w Mitford, miałbyś mnóstwo pracy. Mógłbyś założyć własną firmę.

— To niemożliwe. Nie ma tu dla mnie miejsca. Pomyślał o Jessie i o lalce...

— W takim razie... — odparł, czując coś na kształt rozpacz.

— Przywiozłam coś dla ojca! — zawołała Velma.

— Dla mnie? Przywiozłaś coś dla mnie?

— Proszę tylko spojrzeć — zachęcała Velma, wyciągając z torebki jakąś rzecz zawiniętą w delikatną bibułę.

Rozłożyła przed nim koszulę z pomarańczowymi, czerwonymi i zielonymi małpami skaczącymi po drzewach palmowych.

— Aha. No cóż. To bardzo miło z twojej strony...

— Pomógł ojciec Winnie wygrać konkurs, a ja pojechałam za darmo, więc...

— Będę ją nosił! — zawołał, zarażając się pomysłem.

— Czy widział ojciec, co przywiozła ze sobą do domu Winnie? — zapytał Percy.

— Nie mam pojęcia.

— I przypadkiem mu nie mów — wtrąciła Velma. — Sam się dowie. Niech ojciec tam idzie i się rozglądnie, a ja zacznę przygotowywać ojca zamówienie.

Opaleni ludzie wracający z egzotycznych miejsc zdawali się przywozić ze sobą do domu nową energię. Nieomalże pobiegł do cukierni.

Wciągnął głęboko powietrze, wchodząc do środka. Bramy niebios!

— Winnie! — zawołał z całych sił.

Wyszła do niego, odsuwając kotarę. Czy to na pewno była Winnie?

— Winnie? — zapytał, zdejmując okulary. Chuchnął i przetarł je chusteczką. — Czy to ty?

— Oczywiście, że to ja! — odparła.

Winnie wyglądała dziesięć lat młodziej, może dwadzieścia, i była opalona na czekoladkę.

— Velma mówiła, że coś ze sobą przywiozłaś.

— Proszę wejść — odparła, śmiejąc się. — Pokażę ojcu. Wszedł za kotarę, a tam przy piekarnikach stał wysoki, ogromny mężczyzna, z gęstymi, ciemnymi włosami i błyszczącymi oczami, w fartuchu oprószonym mąką.

— To on! — wykrzyknęła Winnie rozpromieniona.

— On?

— Wie ojciec, ten, o którym zawsze marzyłam, że stoi obok mnie w kuchni. Ojciec Kavanagh, to jest Thomas Kendall z Topeki, z Kansas.

— Co... gdzie..?

— Poznałam go na statku!

— W kuchni, prawdę powiedziawszy — dodał Thomas, wyciągając dużą dłoń i uśmiechając się od ucha do ucha. — Jestem szefem wyrobów mącznych, ojciec.

— Ukradłś szefa wyrobów mącznych? Winnie! Roześmiali się razem.

— Nie — zaprzeczyła Winnie — to był jego ostatni tydzień w pracy, wracał do domu w Kansas i postanowił, że najpierw przyjedzie do mnie. Zatrzymał się u Velmy i Percy'ego.

Bez wątpienia, zupełnie oniemiał. Najpierw Andrew, teraz Winnie...

— Smakują mu moje rożki z kremem — powiedziała nagle zawstydzona.

— A komu nie smakują?

Thomas objął Winnie ramieniem i spojrzał na nią wyraźnie dumny.

— Bardzo się cieszę, że jestem w Mitford — powiedział zwyczajnie.

— Na Jowisza, bardzo się cieszymy, że jesteś z nami — odparł z przekonaniem pastor.

Esther Cunningham opublikowała specjalny artykuł w „Mitford Muse”, który pojawił się rano w przeddzień wyborów.

„Gdy zostanę wybrana na kolejną kadencję — brzmiał cytat — dam Wam wszystkim coś, na co od dawna czekamy — nowe bożonarodzeniowe dekoracje!”

Pojedyncze sznury światełek po obydwu stronach Main Street były powodem jęków i narzekań już od dekady. I co z tego, że to rozwiązanie zostało wymuszone względami ekonomicznymi, skoro sprawiało, że miasto wyglądało jak pas startowy dla samolotów pasażerskich.

„Bądźcie z programem, który jest z ludźmi — powiedziała pani burmistrz — a dam Wam anioły na Main Street!”

Był jednym z pierwszych, którzy pojawili się w lokalu wyborczym we wtorek rano. Nie miał wątpliwości co do głosów Mule'a i Percy'ego, ale był bardzo sceptyczny co do J.C. Czy J.C. unikał jego wzroku, gdy spotkali się przed ratuszem miejskim?

Przyjrzał się tłumowi.

Perkinsowie, oni byli gorącymi zwolennikami Esther. Był też Ron i Wilma... Malcolmowie na pewno głosowali na Esther. Sądząc po tłumie, który stał w pobliżu drzwi, obliczył, że na każde dziesięć, przypada osiem lub dziewięć dobrych, solidnych głosów z rodzaju: „Jesteśmy z”.

Więc o co miał się martwić?

Ostatnim pomysłem Macka był kolejny billboard, który wyraźnie nie został dobrze przyjęty, jeśli mógł to ocenić.

— Czy widziałeś pory na jego twarzy? — dopytywała się Emma, która wyglądała na całkowicie zde gustowaną. — Wyglądają jak kratery na księżycu. Dużo bym dała, żeby już nigdy więcej nie oglądać Macka Stroupe'a!

Kątem oka obserwował, jak uruchamia komputer i sprawdza pocztę elektroniczną — od dawnego kolegi z klasy, z Atlanty, i łańcuszka modlitewnego z Urugwaju oraz kościoła w północnej Anglii. Emma Newland w cyberprzestrzeni. Nigdy by nie pomyślał, że dożyje takiego dnia.

Przeszedł się w górę ulicy po lunchu, zmagając się z ostrym wiatrem. Ponieważ Esther Bolick nadal nie wychodziła z domu, miał nadzieję, że Gene oddał za nią głos, jako jej pełnomocnik.

— Dużo głosujących? — zapytał przy urnach.

— O tak, ojcie. Bardzo dużo. Już dawno frekwencja nie była tak wysoka.

Poprawił plakietkę z napisem: „Jesteśmy z Esther” i stał na zewnątrz, witając głosujących, tak długo jak był w stanie wytrzymać kłujący wiatr.

Miał nadzieję, że jego biskup nie będzie przejeżdżał w pobliżu.

— Przyjdźcie razem z Cynthią i przyprowadźcie ze sobą tego niedużego gościa, który mieszka w waszych suterenach — poleciła pani burmistrz:

— Harleya.

— Tak. Chciałabym, żeby się zajął naszym samochodem turystycznym. Urządzamy w każdym razie dużą ucztę z poczęstunkiem w postaci żeberek, w czasie gdy będą podliczać głosy, Ray gotuje!

— O której godzinie? — upewnił się zachwycony, że jego pilnie kontrolowana przemiana materii zezwoli, w rzeczy samej, na taką ekstrawagancję.

— Lokal wyborczy zostanie zamknięty o siódmej trzydzieści, czekajcie u mnie w biurze o siódmej trzydzieści pięć.

— Załatwione! — obiecał.

Zauważył, jak na twarzy i szyi pani burmistrz zaczynają się pojawiać pierwsze czerwone plamy.

Wujaszek Billy i panna Rose już czekali, gdy przyjechał z Cynthią i Harleym. Cynthia pośpieszyła, aby pomóc Rayowi dokończyć nakrywanie do stołu.

— Mam dla kaznodziei dobry dowcip.

— Strzelaj! — zachęcił go. — I przy okazji opowiedz go też Harleyowi.

Panna Rose prychnęła i oddaliła się dumnym krokiem.

— Rose nie podoba się ten dowcip — wyjaśnił wujaszek Billy. — Cóż, proszę ojca, zmarł gość, który wiódł bardzo grzeszne życie, wie ojciec. Jak tylko dostał się do piekła, zaczął rządzić tymi biedakami i mówić, zrób to, zrób tamto, zajmij się tym. Cóż, proszę ojca, tak im rozkazywał, że w końcu małe diabły doniosły na niego do najwyższego diabła, który wezwał gościa i zapytał: „Dlaczego zachowujesz się tak, jakby piekło było twoje?” A gość odparł: „Jest moje. Żona urządziła mi je za życia”.

Harley zgiał się wpół i klepnął w kolano, chichocząc. Ojciec Tim roześmiał się swobodnie. Och, ta bez troska przyjemność, którą niosły ze sobą dowcipy wujaszka Billy'ego.

— Skoro podoba wam się ten, który opowiedziałem, opowiem wam jeszcze jeden, gdy już zjemy.

— Przypomnę ci o tym — obiecał pastor.

Aha, oto zaprzyjaźniony duchowny, równie nieostrożnie demonstrujący swoje poglądy polityczne.

Bill Sprouse z Kościoła baptystów uklonił się, a szedł ze swoim psem Sparkym na smyczy.

— Byłem ze Sparkym na spacerze i Esther zawołała nas do środka.

— Mam żarliwą nadzieję, że byłeś z Esther podczas głosowania.

— Czy papież jest katolikiem?

— No pewnie — odparł pastor, ściskając dłoń swojego kolegi. — Wielebny Sprouse, Harley Welch.

— Miło mi cię poznać, Harley. Słyszałem, że świetnie znasz się na samochodach. Ostatnio mój dziwnie się zachowuje, wydaje takie dziwne dźwięki jakby: ułahuudżigdżiguump. Coś w tym rodzaju.

Harley pokiwał głową, uważnie słuchając.

— Może to pasek klinowy.

Ray Cunningham wkroczył do środka, wycierając dłonie w ścierkę.

— Mam dla was, chłopcy, trochę żeberek, czekają tam, chcę, żebyście się najedli do syta. Harley, zanim wyjdiesz, musimy koniecznie porozmawiać. W silniku mojego samochodu turystycznego coś się strasznie tłucze.

— Jak myślisz, o której godzinie będziemy coś wiedzieć? — zastanawiał się Bill Sprouse.

— Och, około dziewiętej — odparł Ray, który po ośmiu wyborach uważał się za znawcę tematu.

Pastor odsunął się od Sparky'ego, który wyglądał tak, jakby miał zamiar podnieść nogę na jego mokasyn.

— Na litość boską, Sparky!

Kaznodzieja pośpiesznie podniósł swojego psa, w efekcie czego Sparky ułożył się na ramieniu swojego pana i wyglądał na zasmuconego.

— Esther zostawiła Ernestine Ivory przy urnach, gdzie odbywa się liczenie — poinformował Ray.

— Przybiegnie tutaj, gdy będzie po wszystkim, obwieszczając dobrą nowinę. No cóż, zapraszam was, chłopcy, i nie żałujcie sobie, stałem przy kuchni cały dzień.

Wkroczył Omer, demonstrując swoim lśniącym uśmiechem fugę G-dur.

— Zbliża się dziewiąta kadencja! — powiedział do swojej szwagierki, klepiąc ją solidnie w plecy.

Wujaszek Billy ziewnął szeroko.

— Już dawno minęła moja pora snu — oświadczył, gdy zegar wybił dziewiątą.

Panna Rose, która nawet podczas snu wyglądała groźnie, chrapała w błękitnym fotelu, przyniesionym wiele lat temu z pokoju dziennego pani burmistrz. W dłoniach panna Rose ścisnęła kilka szczelnie zamkniętych torebek z pozostałościami po kolacji.

— Już niedługo — obwieścił Ray. — Kochanie, czy Ernestine ma telefon komórkowy? Powinna przynajmniej dzwonić, żeby zdawać bieżące raporty.

Telefon zadzwonił jak na wezwanie, alarmując kilka osób.

— O wilku mowa — stwierdził Bill Sprouse, który sam często zajmował się tym tematem.

Pani burmistrz ruszyła przez pokój do swojego biurka.

— Halo? Ernestine? Tak. Tak.

Wszystkie oczy w pokoju zwrócone były na Esther Cunningham, która powoli robiła się biała jak płótno.

— Nie mówisz serio, Ernestine — powiedziała słabym głosem. Wszyscy spojrzeli na siebie przerażeni. Esther powoli odłożyła słuchawkę.

— Mack Stroupe — obwieściła z niedowierzaniem — jest burmistrzem Mitford.

## Rozdział dwudziesty

### NOWA I ŚWIEŻA CO RANO

W pełnej zdumienia ciszy, która nastąpiła go ogłoszeniu zwycięstwa Macka Stroupe'a, Ernestine Ivory przekazała im jeszcze jedną zaskakującą informację:

— Wygrał jednym głosem.

Przeróżne czerwone plamy Esther Cunningham zamieniły się w jeden płomień, gdy dzwoniła do domu jednego z członków komisji wyborczej i zażądała ponownego przeliczenia głosów w najbliższy czwartek.

— Nie ma sprawy — zgodził się.

Czując, że kolacja Raya zaczyna ciążyć w ich zaniepokojonych systemach trawiennych jak kamień i ponieważ nic innego nie przychodziło im do głowy, nieomal wszyscy uciekli do domu.

Popielaty na twarzy wujaszek Billy potrząsnął ramieniem panny Rose, żeby ją obudzić.

— Esther się nie dostała — powiedział.

— Esther wygrała?! — krzyknęła panna Rose. — Zawsze wygrywała, i zawsze będzie wygrywać, więc po co to całe zamieszanie?

Gdy dzwony Lord's Chapel wybijały siódmą rano, wyszedł z domu z Barnabą i skręcił na północ w Main Street. Zgodnie z zaleceniami Hala mogli teraz pokonać kilka przecznic ich trasy joggingowej, ale jedynie w normalnym tempie spaceru.

Mijając cukiernię Sweet Stuff, zobaczył Thomasa, ubranego w fartuch i czapkę kucharską, jak wykladała za szybą tacę czegoś nielegalnego. Duży, ciemnowłosy mężczyzna podniósł wzrok i uśmiechnął się, machając do niego.

Zaledwie po raz drugi widział Thomasa Kendalla, a mimo to wydawało mu się, że ten jowialny piekarz jest tam od zawsze. Jego twarz była tak absolutnie sympatyczna i znajoma.

— Ojczy!

Przechodził obok kancelarii, zamierzając zawrócić obok baru Grill, gdy odwrócił się i zobaczył Winnie. Machała do niego energicznie.

— Czy może ojciec zaglądnąć na minutkę?

Barnaba wyrwał mu smycz z ręki i pogalopował w kierunku Winnie, która zawsze pachniała jak coś dobrego do zjedzenia. Zanim zdążyła zrobić unik, wyskoczył do góry, aby dokładnie oblizać jej twarz.

— O nie! — usiłowała się bronić.

— „Dobry jest Pan dla ufnych, dla duszy, która go szuka” — recytował donośnym głosem. — „Nie wyczerpała się litość Pana, miłość nie zgasła!”

Barnaba położył się posłusznie na chodniku. Nie mógł się jednak powstrzymać przed zlizaniem cukru pudru z butów Winnie.

— „Jest nowa i świeża co rano! Ogromna Twoja wierność!” Barnaba westchnął, przestał i przewrócił się na grzbiet.

— Amen! — zawołał Winnie. — Zacytował ojciec mój werset!

— Co u ciebie słyhać w ten cudowny dzień?

— Czy może ojciec wejść na chwilę? Zamierzaliśmy dzisiaj do ojca zadzwonić, chcielibyśmy powiedzieć ojcu coś bardzo ważnego.

Miał wrażenie, że Winnie zacznie za chwilę podskakiwać z radości.

Weszli do cukierni w chwili, gdy zza kotary wyszedł Thomas z kolejną tacą z kuchni.

— Dzień dobry, ojcze! Przebój dnia! Baclava\*!

\* Baclava — grecki deser, ciasto podobne do ciasta francuskiego z siekanymi orzechami.

Pastor poczuł, jak uginają się pod nim kolana, gdy Thomas podsunął mu pod nos tacę zatopionych w miodzie kąsków; Barnabie pociekła z pyska ślina.

— Proszę się poczęstować — zachęcała Winnie. — Nigdy nie robię baclawy, ale Thomas jest ekspertem.

Thomas stwierdził, że powinni usiąść na chwilę i poczęstować się kawałkiem delikatnej baclawy w kształcie rombu. Ta chwila zapomnienia zablokuje jego przemianę materii na tydzień, pomyślał pastor Tim. Jak może być takim niepoprawnym hazardzistą skoro robi wrażenie tak niemożliwie konserwatywnego?

— Niech ojciec zgadnie — zaczęła Winnie, która nie mogła już czekać ani chwili dłużej.

— Nie mam pojęcia — odparł, chociaż prawdę powiedziaławszy, wydawało mu się, że może rzeczywiście się domyśla.

— Thomas nie wraca do Kansas City.

— Aha.

— W każdym razie nie po to, żeby tam zamieszkać.

— Ojczy — zaczął Thomas — chciałem prosić ojca o rękę Winnie.

— Aha!

Czy Thomas Kendall jest mężczyzną któremu można zaufać? Czy będzie dobry dla Winnie? Będzie musiał zaufać swojej intuicji, która — jak dalece był w stanie ocenić — nie podsuwała mu żadnych obiekcji.

— To on, ojczy — powiedziała z przekonaniem Winnie. — Pan Bóg go zesłał.

— W takim razie!

Mężczyźni roześmiali się, potem wstali i objęli, klepiąc się wzajemnie w plecy. Pastor wyjął chusteczkę i wytarł nos.

— O, na litość boską! — jęknęła Winnie, ocierając oczy rąbkiem fartucha.

— Wręcz nie posiadam się z radości, oddając ci ją za żonę, Thomas, ale Winnie, co z twoim bratem? Czy on nie powinien mieć czegoś do powiedzenia w tej kwestii?

Winnie rozpromieniła się.

— Joe powiedział nam, żebyśmy zapytali ojca. Powiedział, że cokolwiek ojciec postanowi, on się pod tym podpisuje.

Spojrzała z dumą na czułego mężczyznę obok niej.

— Czy udzieli nam ojciec ślubu? Gdzieś na początku stycznia? Muszę pojechać do Kansas, odwiedzić mamę i spakować kilka pudełek. Przez piętnaście lat mieszkałem na statkach, więc nie zgromadziłem zbyt wiele.

Thomas przykrył swoją dużą dłonią dłoń Winnie.

— Velma będzie starościna — powiadomiła go Winnie, z trudem hamując radość.

Pastor ujął drugą dłoń Winnie.

— Niech wam Bóg błogosławi! — powiedział z przekonaniem.

— Halo, mówi ojciec Kavanagh...

— Ratusz miejski, jutro o czwartej — powiedziała posępnie Esther Cunningham. — Obiecałam Panu, że zrezygnuję z bułek z parówką. Módl się!

— Modlę się! — wykrzyknął.

— Timothy? — Cynthia robiła wrażenie zakłopotanej. — Twoje włosy...

Nie znowu.

— Mógłbyś pojechać do Charlotte.

— Nie za tego życia.

— Mógłbyś wybaczyć Fancy Skinner i...

— Wybaczyłem Fancy Skinner, co nie zmienia faktu, że już nigdy nie usiądę na jej fotelu.

Przyjrzała mu się.

— Można na to spojrzeć i w ten sposób.

— Nigdy — powtórzył, odwzajemniając jej spojrzenie.



Był tam o trzeciej czterdzieści pięć, jak prawie wszyscy, sądząc po liczbie zgromadzonych. Przyszła nawet Esther Bolick z Gene'em, który wyglądał na zmartwionego.

Mack Stroupe stał niedaleko drzwi, podając wszystkim rękę, jakby spotkanie zostało zorganizowane na jego cześć. Często wychodził na zewnątrz, żeby zapalić, i wyrzucał pety na rabaty z bratkami.

Esther Cunningham przybyła z Rayem, ich pięcioma pięknymi córkami i mieszaniną wnuków i prawnuków, włącznie z Sissy i Sassy, które przyszły w ogonku za Puny, prosto ze żlobka. Wziął Sissy w ramiona i usiadł obok Puny, w sektorze okupowanym przez reprezentację rodziny Cunninghamów.

— To największa bzdura pod słońcem — złościła się jego pomoc domowa. — Musiałam zrezygnować z ojca toalet, żeby tu przyjść i brać udział w tej głupocie.

— Możesz zrezygnować z moich toalet, kiedy tylko zechcesz — odparł, huśtając Sissy.

Spojrzała gniewnie na Macka Stroupe'a, który śmiał się głośno, w charakterystyczny, przypominający rżenie konia sposób, i rozmawiał z gromadką swoich zwolenników.

— Gdybym nie była chrześcijanką, podeszłabym tam i wydrapała mu oczy!

Przyjrzała się uważnie swoim paznokciom, jakby rzeczywiście rozważała taki obrót spraw.

Dołączył do nich Joe Joe Guthrie, mąż Puny i wnuk Cunninghamów.

— Co ojciec myśli?

Joe Joe spojrzał na niego tak, jak przed nim przez te wszystkie lata patrzyło wielu — jakby mógł dokładnie przepowiedzieć, jak potoczą się sprawy. Nieszczerólnie lubił, gdy ktoś patrzył na niego w ten właśnie sposób.

Przeliczanie głosów było mozolnym procesem i zajęło prawie trzy godziny. Ludzie przemieszczali się dookoła, wchodząc i wychodząc, paląc, szepcząc, śmiejąc się. Niektórzy, przyzwyczajeni do wczesnej kolacji, jechali na autostradę, pochłaniali pizzę i wracali, pachnąc pepperoni.

Inni nie ruszali się z miejsca, licząc każdy głos z trzema członkami komisji wyborczej. Sassy zasnęła, podczas gdy Sissy przemykała po sali, jakby była na wrotkach.

Na chwilę przed siódmą przeniósł się na drugą stronę, żeby usiąść z Bolickami.

— Koniec jest bliski — oznajmił Gene, wyglądając na zmęczonego.

Walka była bardzo wyrównana. Na zmianę Mack albo Esther prowadzili w punktacji, potem drugie doganiało pierwsze i wysuwało się na prowadzenie.

W miarę jak stos głosów powoli topniał, śmiech i szepty, pohukiwania i okrzyki stopniowo milkły.

— Panie i panowie! — oznajmił członek komisji wyborczej — jak wynika z ponownego przeliczenia głosów, którego wszyscy byliście tutaj naocznymi świadkami, mamy remis.

W sali rozległo się westchnienie, po którym nastąpiły szepty i okrzyki.

— W takich przypadkach... — zaczął członek komisji, usiłując przekrzyczeć wrzawę, która narastała gwałtownie.

Postukał w podium pani burmistrz młotkiem.

— Zgodnie z rozporządzeniem władz lokalnych, w takim wypadku... rzucamy monetą.

Pastor pochylił się do przodu. Rzucamy monetą? Decydujecie o przyszłości miasta, rzucając monetą?

— Boże, miej litość — szepnęła Esther Bolick. Zauważył, że Esther Cunningham zrobiła się śmiertelnie blada.

Gdzie podziały się ogniste plamy, niepokonany duch? Nie poddawaj się, Esther...

Odmówił modlitwę, która nigdy nie zawodzi.

— Panie mają pierwszeństwo — stwierdził członek komisji wyborczej.

— Awers... czy rewers? Wszyscy wstrzymali oddech.

Esther Cunningham wstała i spoglądała na tłum, jakby miała wygłosić orędzie gettysburskie\*.

— Awers! — powiedziała głosem, który niósł się do ostatnich rzędów i odbijał się od ściany.

\* Orędzie gettysburskie, „Gettysburg Address” — krótkie przemówienie wygłoszone przez prezydenta Lincolna 19 listopada 1863 roku podczas poświęcenia narodowego cmentarza w Gettysburgu, w Pensylwanii.

Członkowie komisji wyborczej spojrzeli w stronę drzwi.

— Pan Stroupe?

Mack Stroupe wzruszył ramionami.

Członek komisji wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął ją na powrót zawstydzony.

— Ach, czy ktoś ma może pięcio- albo dziesięciocentówkę? Ktoś pośpieszył, aby dać mu dwudziestopięciocentówkę, a dwóch pozostałych członków komisji zbliżyło się, aby ocenić wynik.

Wziął głęboki oddech, odchrząknął i pochylił się lekko nad monetą. Następnie poruszając bezszelstnie ustami, jakby wypowiadał jakąś urzędową przysięgę, rzucił ją.

Z miasta

Vanita Bentley

Wczoraj wieczorem, w mietlicy parafialnej kościoła Lord's Chapel, współorganizatorki wenty dobroczynnej, Esther Bolick i Hessie Mayhe, podjęte zostały kolacją na ich cześć.

Razem z prawie osiemdziesięcioma wolontariuszami, w tym z innych kościołów w Mitford, Bolck i Mayhew zebrały 22 000 dolarów i otrzymały pochwałę za ich „heroiczny wysiłek”, z ust ojca Timothy'ego Kavanagha.

„Bohater oznacza po prostu kogoś, kto kształtuje ideał — wyjaśnił wielebny Kavanagh — a te wolontariuszki, zrobiły to dla nas wszystkich.

Bohaterem może być również ktoś, kto ocala nasze życie w waleczny sposób, a te wolontariuszki, prawie z pewnością zrobiły także i to”.

Wielebny powiedział, że dochody z wenty zostaną wykorzystane na dostawy żywności i lekarstw do Zaijru, wybudowanie studni z czystą wodą w kilku wioskach na wschodzie Afryki oraz zakup karetki dla Landon, gdzie w zeszłym roku zmarła dwójka dzieci, z braku opieki medycznej.

„Wenta była zawsze błogosławieństwem dla innych — powiedział. — Ale w tym rok, dzięki wyjątkowym umiejętnościami organizacyjnym dwóch kobiet i ich poświęceniu, by służyć jak dla Pana, wszyscy możemy świętować szczególne zwycięstwo dla Jego królestwa”.

Bolk i Mayhew otrzymały pamiątkowe tablice, a każdy z pozostałych wolontariuszy otrzymał torbę towarów od miejscowych sklepikarzy.

Pani Bvolk, która miała unieruchomioną szczękę z powodu wypadku, o którym informowaliśmy wcześniej, poprosiła o specjalny obiad złożony z tłuczonych ziemniaków i sosu, aby uczcić fakt, że znowu może jeść prawdziwe jedzenie.

Jeśli czas rzeczywiście płynie, to właśnie nadeszła pora roku, gdy staje się wartkim potokiem, myślał pastor.

Tuż po dorocznej wspólnej uczcie wszystkich Kościołów, którą na szczęście w tym roku wydawał Kościół baptystów, wydarzenia posypały się jak lawina.

Cynthia odwiozła Dooleya do szkoły w dniu świętego Andrzeja, a pastor w tym czasie przygotowywał kazanie na pierwszą niedzielę adwentu i rozpoczął odpowiedzialne zadanie zorganizowania wszystkich związanych z adwentem uroczystości. Jedną z nich, i wcale nie najbardziej błahą, był festiwal kolęd i czytania Pisma Świętego, który tego roku miał się odbyć ze szczególnym rozmachem, z udziałem goszczącego chóru i organisty z Cambridge w Anglii. Goście mieli mieszkać w domach parafian przez pięć dni i wziąć udział w procesji adwentowej, 15 grudnia, po której wszyscy zostaną zaproszeni do jego domu na lekką kolację przy kominku.

— Lekka kolacja, obfity deser — obwieściła Cynthia, rozpaczliwie wertując swoje książki kucharskie.

Na samą myśl o tym wszystkim robiło mu się gorąco, tak jak jego żonie, która przygotowywała coś dla każdego ze swojej listy, nie mogąc z niczym zdążyć.

— Bez względu na wszystko — powtarzała mu co najmniej trzy razy — nie wolno ci tam zaglądać. Mówiąc to, wskazywała na szafę, od której zawsze trzymał się z daleka.

Pozostawała też oczywiście doroczna wędrówka do lasu na północnym krańcu posiadłości Fernbank, aby razem z grupą młodzieżową ściąć jodełkę Frasera, która stanie przed ołtarzem jako drzewo Jessego\*. Tuż potem przychodziła kolej na wizytę w szkole niedzielnej, aby omówić znaczenie ozdób, jakie dzieci będą robiły na drzewko, i grzecznościowa wizyta na próbie bożonarodzeniowego przedstawienia, które w tym roku — ku przerażeniu rodziców i rozpaczy co najmniej dwóch nauczycieli — będzie odegrane we współczesnych strojach. Inspiracją stał się niedawny sukces filmu *Hamlet*, w którym Hamlet miał na sobie błękitne džinsy z czymś, co wyglądało na golf.

\* Drzewo Jessego, „Jesse Tree” — graficzna bądź rzeźbiona podobizna drzewa genealogicznego, przedstawiająca genealogię Chrystusa. Jesse był ojcem Dawida.

— Co zrobimy z tymi wszystkimi skrzydłami? — zawodził nauczyciel, który głosował na tradycyjne kostiumy i przegrał.

Starał się nie zabierać głosu, gdy wybuchały spory w kwestii przedstawienia, i oddał się bardziej przyjemnemu, dorocznemu zadaniu negocjowania z Jeną Ivey zakupu czterdziestu pięciu białych poinsejii i całego pudła bukszpanu, balsaminy, jodły i gipsówki, które zostaną zużyte w Wigilię do przyozdobienia kościoła.

— Dlaczego wy nie możecie prowadzić negocjacji? — zadał kiedyś pytanie członkowi Bractwa Ołtarzowego.

— Bo ona woli ojca i daje ojcu lepszą cenę — otrzymał odpowiedź.

Aspekt bardziej ekonomicznego rozwiązania wyrył jego misję w kamieniu i sprawił, że już na zawsze to zadanie jemu zostało przypisane.

Musiał pamiętać o zamówieniu belgijskich czekoladek dla sióstr ze szpitala i spotkać się z organistą i dyrektorem chóru, aby omówić oprawę muzyczną wigilijnych nabożeństw, i dorzucić swoje trzy grosze w kwestii mebli, jakie zamawiano do nowych sal szkoły niedzielnej na górze, i zadzwonić do rodziców kolegi Dooleya, aby zapytać, czy będą mogli przywieźć go do Mitford w drodze do Holding, i sprawdzić, czy ktoś wybiera się w tym roku z wizytą do Bezdonnego Hobbesa, żeby śpiewać z nim kolędy, i przeglądać rzeczy, których Andrew nie potrzebuje w Fernbank, i pomóc Harleyowi zająć się malutkim domkiem Pauline na tyłach poczty, żeby wyglądał jak dom, gdy przyjdą...

— I znowu to zrobiliśmy — oświadczyła jego żona, potrząsając głową.

Spojrzeni na siebie, zmęczeni i bladzi.

— Za rok — zauważyła z ulgą — będzie inaczej.

Za rok nie będą biegali dookoła jak kury z poobcinanymi głowami, ponieważ za rok... nie będzie miał parafii.

Na myśl o tym jego oczy powilgotniały.

Za mniej niż dwanaście miesięcy jego parafianie będą stali wokół niego w świetlicy parafialnej, śpiewając *Bo on naszym przyjacielem jest* i ofiarowując mu pieniądze oraz jakąś tablicę pamiątkową i puszki z mieszanką orzechową.

Po ślubie Winnie i Thomas planują przeprowadzić się do jej małego domku nad strumieniem, a Scott Murphy przeniesie swojego woka i kilka innych cennych osobistych przedmiotów do obecnego miejsca pobytu Winnie, kiedyś domu bywającej w świecie mamy Olivii Harper.

— Zabawa w krzeselka do wynajęcia! — oceniła Cynthia.

Była to pod każdym względem pora pomyślnych wiadomości i dobrych nowin. Joe Ivey wracał do Mitford.

— Alleluja! — ucieszył się ojciec Tim.

Winnie wręcz nie posiadała się z radości.

— Mówił, że ludzie cały czas pytali go, czy Elvis naprawdę umarł, i nie mógł już tego znieść. Będzie strzygł w tym małym pomieszczeniu za kuchnią cukierni Sweet Stuff.

— Wyroby ciastkarskie i nowe fryzury! — radował się pastor. — Podoba mi się! Trochę po bokach i ciasto owocowe na drogę.

— Popatrz! — zawołała Jessie. — Dzieciątko w pudełku.

Stała na palcach, trzymając swoją lalkę, i zaglądała do złołka, który kiedyś należał do jego babci.

Zdał sobie sprawę, że dziewczynka nic nie wie o Dzieciątku, i zastanawiał się przez chwilę, jak mógł być tak niedomyślny i tak zaskoczony.

Spojrzał na zegarek, wziął ją na ręce i stał, patrząc na złołek razem z nią. Stojąc tam, w oświetlonym lampą salonie, opowiedział jej o Dzieciątku i dlaczego przyszło na świat, podczas gdy ona ssała kciuk, klepała go po ramieniu i uważnie słuchała.

Cztery dni do Bożego Narodzenia, a on biegał roztargniony jak reszta oszalałej ludzkości. Uniknął kolejnego spojrzenia na zegarek i postawił Jessie delikatnie na podłodze akurat w chwili, gdy rozległ się ostry dźwięk dzwonka u drzwi wejściowych.

Dałby sobie uciąć głowę, że to ciasto z bakaliami od Kobiet Kościoła Episkopalnego. Albo, co bardziej prawdopodobne, jak zwykle pomarańcze od Waltera.

— Przyszedłem się... pożegnać.

Buck Leeper stał w dojmującym zimnie z gołą głową. Bał się tej chwili.

— Wejdz, Buck!

— Nie mogę, jestem w drodze do Missisipi, chciałem tylko...

— Buck!

Jessie nadbiegła korytarzem i chwyciła nadzorcę budowlanego za nogi, a z kuchni wybiegł Barnaba, szczekając.

— Proszę — nalegał pastor, odsuwając się, aby Buck mógł wejść. — Pilnujemy Jessie, podczas gdy Pauline kupuje naczynia kuchenne. Daj się namówić, Buck, przyrządzimy coś ciepłego na drogę.

— No cóż... — zaczął Buck niezręcznie, potem pochylił się i wziął Jessie w ramiona.

Przeszli korytarzem i weszli do salonu, gdzie na palenisku buzował niewielki ogień. Buck stał w drzwiach jak w transie, powoli ogarniając wzrokiem choinkę rozświetloną maluteńkimi światełkami i kolejkę elektryczną sunącą u jej podstawy.

Nagle pastor zobaczył pokój zupełnie innymi oczami — pachnące lasem girlandy nad kominkiem i płonące na jego biurku świece, których płomień odbijał się w oknie. Wchodził i wychodził z tego pokoju już od wielu dni, prawie w ogóle tego nie zauważając, radując się w głowie, a nie w sercu.

Buck gwałtownie postawił Jessie na podłodze i przyklęknął obok niej na jednym kolanie.

— Życzę ci wspaniałego Bożego Narodzenia — powiedział z pewną trudnością.

Do jej oczu napłynęły łzy.

— Buck, proszę, nie jedź nigdzie.

— Muszę — odparł.

Zarzuciła mu ramiona na szyję, łkając.

— Ja i Poo chcieliśmy, żebyś z nami zamieszkał! Buck przytulił ją i zakrył oczy dłonią.

— Nie płacz — poprosiła Jessie, tuląc się do niego i klepiąc go po ramieniu. — Proszę, nie płacz, Buck.

Wstał i wytarł oczy w rękaw kurtki.

— Dziękuję za... wszystko. Wasz dom jest w dobrych rękach. Wyjdę sam.

Buck wyszedł z salonu, przemierzył korytarz i zamknął za sobą drzwi wejściowe. Nie wiadomo dlaczego pastor stał jak wryty, nie mogąc się ruszyć; Jessie stała przy drzwiach do salonu, płacząc i trzymając swoją lalkę.

Zegar tykał, kolejka gwizdała i stukotała, ogień syczał.

Podszedł do niej z ciężkim sercem i dotknął jej ramienia.

Spojrzała na niego zasmucona.

— Buck nie powinien był tego robić — powiedziała.

Siódma trzydzieści rano, a on zdążył już przeglądnąć wczorajszą pocztę, napisać na maszynie dwa listy i odwiedzić Louellę.

Może przecież poświęcić dziesięć minut...

Poszedł do końca korytarza i otworzył drzwi bez pukania, tak jak miał w zwyczaju.

— Do licha, mogłam się domyślić, że to ty — zawołała Esther Cunningham, usiłując schować coś pod biurkiem obydwoma rękami.

— O co chodzi? Co tam chowasz? Aha. Bułka z parówką!

— Nic takiego, to bułka z szynką!

— Parówka, szynka, co za różnica?

— Ja wyraźnie mówiłam z Panem o bułce z parówką — odparła, ganiąc go spojrzeniem — więc się odczep.

— Esther, Esther.

Usiadł i oparł stopy na stoliku koktajlowym w stylu Danish Modern, uśmiechając się.

Ona uśmiechnęła się do niego i uniosła do góry kciuki, potem odrzuciła do tyłu głowę i roześmiała się na głos.

Ach, jak dobrze było znowu usłyszeć śmiech pani burmistrz.

Jako kawaler zastanawiał się każdego roku, co robić w Wigilię. Z nabożeństwem zarówno o siedemnastej, jak i o północy usiłował zdecydować, kiedy i co powinien zjeść, czy otworzyć kilka prezentów po powrocie do domu, nieomal o pierwszej już w dzień Bożego Narodzenia, czy też poczekać i zająć się wszystkim po południu, kiedy nadal jeszcze był wyczerpany po poprzedniej nocy.

Teraz wszystko nabrało perspektywy i — jak jego biskup, który był szczęśliwy, że dla odmiany ktoś mówił mu, co ma zrobić — słuchał pilnie swojej żony.

— O drugiej w Wigilię jemy obiad i otworzymy po jednym prezencie przed pasterką. Otworzymy nasze prezenty od Dooleya rano w dzień Bożego Narodzenia, ponieważ chłopiec nie może czekać na nas, starych ludzi, aż się wyleżymy, a po brunchu, dokładnie o pierwszej, otworzymy całą resztę. — Oparła ręce na biodrach i kontynuowała relacjonowanie planów bitewnych. — Na brunch, oczywiście, zaprosimy do nas Harleya. Menu będzie złożone z pieczonego kurczaka i zapiekanki z ostrygami, które przygotuję, a ty wyciśniesz sok i upieczesz ptysie ze szparagami.

Brakowało jej tylko kilku wojskowych epoletów.

— Następnie Dooley pójdzie do Pauline i spędzi tam noc, a nasza bożonarodzeniowa kolacja zostanie podana przed kominkiem. Nałożymy do niej szlafroki i pantofle! — Wzięła głęboki oddech i uśmiechnęła się jak dziewczynka. — I jak ci się podoba?

I jak mu się to podoba? To przechodziło jego oczekiwania, było cudowne, bajeczne. Objął ją mocno, mruknąwszy z zadowolenia, czym wywołał śmiech swojej przepracowanej żony. Ostatnimi czasy był to dźwięk, który bardzo sobie cenił.

Sięgnął na półkę w garderobie po aparat i dotknął pudełka z rzeczami jego mamy — chusteczki, jej obrączka, wieczorowa torebka, guziki...

Stał tam, nie ogarniając pudełka wzrokiem, ale widząc je w pamięci. Oklejone było tapetą z ich ja-dalni w Holly Springs sprzed połowy stulecia, sprzed całych wieków. Kremowe róże z bladozielonymi listkami...

Nie zamierzał go ściągać, ale w jakiś dziwny sposób wyzwoliło ono wspomnienia świąt Bożego Narodzenia w jej domu, i zapach kawy z cykorią, i parujących deserów, i ciasteczek pieczonych na ogromnych blaszkach; jego przyjaciół z seminarium gromadzących się wokół jej stołu; i pokoju gościnnego z całym morzem prezentów, i starannie wybieranych niespodzianek, przewiązanych charakterystyczną białą jedwabną wstążką.

Stał tam, nadal dotykając pudełka, wspominając słowa C.S. Lewisa. Było to coś, co — wiele lat temu — tak dokładnie oddawało jego własne uczucia.

„Razem ze śmiercią mojej matki — napisał Lewis — całe panujące dookoła szczęście, wszystko, co było spokojne i na czym można było polegać, zniknęło z mojego życia. Czekало mnie jeszcze wiele radości, wiele przyjemności, wiele uśmiechów szczęścia; ale na zawsze odeszło dawne poczucie bezpieczeństwa. Teraz było już tylko morze i wyspy; wielki kontynent zatonał jak Atlantyda...”.

— Mamo... — szepnął w kierunku ciemniejszego ciepła garderoby. — Pamiętam...

Nie był zdziwiony, że nie zobaczył już więcej Macka Stroupe'a w Lord's Chapel. Wyglądało na to, że nawet jego budka z hot dogami była zamknięta — być może na wakacje, pomyślał.

Wolał się nie zastanawiać, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy Edith Mallory.

— Robię to co roku! — zawołała z rozpaczą Cynthia.

— Co takiego?

— Zapominam o śmietanie do zapiekanki ze szparagami na następny dzień. A oczywiście jutro wszystkie sklepy będą zamknięte.

Nastąpiła właśnie ta krótka chwila ciszy pomiędzy mszą o piątej po południu a pasterką o północy, a on siedział przy kominku w tak błogim stanie, jakiego nie odczuwał już od dawna. Dzisiaj wieczorem, po prostocie nabożeństwa o piątej, które zawsze odprawiane było bez chóru i obfitości girland oraz wiecznie zielonych gałązek, przyjdzie czas na wzbierającą potęgę głosów i organów, i zapierający dech w piersiach przepych ozdobionej nawy — jakby za wstawiennictwem łaski — balsaminą jodłą i migoczącymi płomykami świec.

Podniósł się, jakby strzepując z powiek sen.

— Pojadę i poszukam śmietany. Wydaje mi się, że sklep Hattie Cloer czynny jest do ósmej.

— Tak mi przykro.

— Nie ma sprawy. Ty gotujesz, ja robię zakupy. Mnie i tak dostało się łatwiejsze.

Ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją w czoło, następnie podszedł do wieszaka w kuchni, żeby wziąć swoją kurtkę.

— A niech mnie! Co to za cudowny zapach? Wciągnął powietrze, kierując się w stronę kuchenki.

— Ciasto pomarańczowe Esther! Vanita Bentley dała mi piracką kopię jej przepisu. Odbiła ich całe dziesiątki na kserokopiarce męża.

— Gdzie twoje sumienie, Kavanagh?

— Nie martw się, to legalne. Zadzwoiłam do Esther i dała mi swoje pozwolenie, żebym z niego korzystała. „Niech ci wyjdzie na zdrowie!”, powiedziała.

— No cóż — westchnął, czując się nagle diabetykiem i poza obiegiem.

— Będziesz mógł zjeść cieniutki plasterek, najdroższy. Jestem pewna, że twoja przemiana materii poradzi sobie z tym.

Gdyby tylko wiedziała.

— Harley! — zawołał w kierunku schodów do sutereny. — Chcesz się przejechać na autostradę?

— O tak, wielbny, chcę, robi mi się już niedobrze od czytania tej książki o gościu, który gromadził złoto.

Usłyszał, jak Dooley i Barnaba zbiegają z hałasem z góry.

— Gdzie się wybieracie? — zapytał Dooley.

— Do sklepu. Chcesz pojechać z nami?

— No pewnie. Mogę prowadzić?

— No cóż...

— Mówiłeś, że mi pozwolisz, jak przyjadę do domu na Boże Narodzenie.

— Dobrze. W takim razie, zgoda!

Idealny moment. Właśnie zapada zmrok i w ten zimny bożonarodzeniowy wieczór nie będzie prawdopodobnie na ulicy żywej duszy.



Harley wszedł po schodach w podbitej baranim futrem kurtce, którą znalazł, prawie nie używaną, na wencie.

— Szukałem wymówki, żeby odłożyć na chwilę tę książkę. Nie ma w niej ani jednego rysunku!

Barnaba stał pośród tego zamieszania, machając ogonem i mając nadzieję, że zostanie zaproszony, gdy nagle rozległ się ostry dźwięk dzwonka.

— Ja otworzę! — zawołał pastor, śpiesząc korytarzem. W bladym świetle lampy na ganku stał Buck Leeper.

— Dojechałem do Alabamy i zawróciłem — wyznał. — Zrobię wszystko.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

### LEW I BARANEK

Buck drżał, gdy wchodził do salonu. Mimo iż pastor wiedział, że to nie z zimna, zaprosił go, aby usiadł przy kominku.

Nastąpiła długa chwila ciszy, gdy Buck czekał, aż drżenie ustanie; siedział z opuszczoną głową, patrząc na podłogę. Pastor pamiętał chwile, gdy sam drżał, gdy zęby szczękały mu jak w febrze.

— Czy Pauline wie, że wróciłeś do Mitford?

— Nie. Przyjechałem po... przyjechałem po to. — Podniósł wzrok. — Nie chciałem wracać.

— Wiem.

— Dręczyło mnie to przez całą drogę. Wjeżdżałem właśnie do Huntsville, gdy zrozumiałem, że dalej już nie jestem w stanie...

Znowu drżał i zamknął oczy. Ojciec Tim dostrzegł mięsień drgający mu na policzku.

— Dobry Boże — powiedział Buck.

Ojciec Tim patrzył na niego, modląc się. Mężczyzna, który kontrolował największe place budowy na południowym wschodzie i najpotężniejsze maszyny budowlane w branży, nie potrafił w tej chwili kontrolować własnego drżenia.

— Zatrzymałem się na parkingu przed restauracją Arby's i siedziałem w samochodzie, usiłując się modlić. Jedyne słowa, które przyszły mi do głowy, to coś, co słyszałem wiele lat temu w kościele mojego dziadka.

Buck spojrzał na ogień.

— Powiedziałem, niech się dzieje wola Twoja.

— To modlitwa, która nigdy nie zawodzi. Zegar tykał.

— On może być dla twojego życia tym, czym fundamenty są dla budynku.

Buck spojrzał mu w oczy.

— Zrobię wszystko, ojcze.

— Na początek potrzebna jest jedynie prosta modlitwa. Niektórym wydaje się zbyt prostą, ale jeśli odmówi się ją sercem, może zmienić wszystko. Czy odmówisz ją ze mną?

— Nie wiem, czy będę umiał sprostać... wszystko jedno.

— Oczywiście, że nie będziesz umiał. Nikt nie może być absolutnie doskonały. Sęk w tym, aby Mu wszystko zawierzyć, cały bagaż, wszystkie możliwości. Wszystko.

— Co się stanie... gdy odmówię tę modlitwę?

— Pytasz, co się stanie teraz, dzisiaj wieczorem, w tym pokoju?

— Tak.

— Może się stać coś niezwykłego. Albo może to być tak delikatne, tak stopniowe, że nawet się nie zorientujesz, w którym dokładnie momencie się pojawi.

— Dobrze — zgodził się Buck, szepcząc.

Pastor wyciągnął dłoń do mężczyzny, którego pokochał, i obaj stanęli przed kominkiem, pochylając głowy.

— Dziękuję Ci, Boże, za to, że mnie kochasz...

— Dziękuję Ci, Boże... — Buck zawahał się i powtarzał dalej: — za to, że mnie kochasz.

— ...i za to, że posłałeś swojego Syna, żeby umarł za moje grzechy. Szczerze za nie żałuję i przyjmuję Chrystusa jako mojego Zbawiciela.

Nadzorca budowlany powtórzył słowa wolno, starannie.

— Teraz, jako Twoje dziecko, zawieram Ci całe swoje życie.

— ...jako Twoje dziecko — powiedział Buck, płacząc cicho — zawieram Ci całe swoje życie.

— Amen.

— Amen.

Nie wiedział, jak długo stali przed kominkiem, obejmując się jak bracia — dwaj mężczyźni z Missisipi; dwaj mężczyźni, którzy nigdy nie zaznali dobroci ziemskich ojców; dwaj mężczyźni, którzy postanowili oddać swoje życie w ręce jeszcze innego Ojca, jeden wierząc, a drugi — mając nadzieję, że jest On uosobieniem dobroci.

W kuchni Cynthia powiedziała:

— Nie uwierzysz! Spójrz tylko!

Wskazała palcem miejsce pod stołem w kuchni, gdzie Barnaba i Violet spali razem. Biały kot leżał zwinięty w kłębek, przytulony do masy długich włosów jego psa, do jego piersi, do jego gojącej się rany.

Ojciec Tim osunął się na kolana oniemiały, zaglądając pod stół i nie dowierzając własnym oczom.

— To cud — wytłumaczyła Buckowi Cynthia. — Od lat byli śmiertelnymi wrogami. Nie masz pojęcia, jak ją prześladował, a jak ona nim gardziła.

Barnaba otworzył jedno oko i spojrzał na pastora, potem znowu je zamknął.

— „Lew i baranek razem leżeć będą!” — zawołała Cynthia.

— Wesołych Świąt, wszystkim i każdemu z osobna! — zawtórował pastor.

— Wesołych Świąt! — wykrzyknęła jego żona.

— Tak — powiedział Buck. — Wzajemnie.

— Myślałem, że nigdy nie skończycie. — Dooley wyszedł razem z Harleyem po schodach z sutereny. — Hej, Buck, myślałem, że wyjechałeś do Missisipi. Jak leci?

— Naprawdę dobrze, a co u ciebie?

Dooley wyciągnął z kieszeni kurtki parę rękawiczek.

— Jadę do sklepu! Spadajmy stąd, jestem gotowy.

— Nie może się już doczekać — wyjaśnił Harley.

Zeszli do garażu i nacisnęli przycisk, który uruchamiał automatyczne drzwi. Uniosły się wolno jak kurtyna w teatrze, ukazując scenię, która sprawiła, że na chwilę stanęli jak oniemiaли.

— Śnieg! — krzyknął Dooley.

Spływał z nieba wirującymi, dużymi i gęstymi płatkami i niczym lukier pokrywał milczącą trawę.

— Może lepiej ja poprowadzę — zaproponował pastor.

— Umiem prowadzić na śniegu! Poza tym nie będę jechał szybko, będę jechał naprawdę wolno.

— Nie wydaje mi się, żeby w taką pogodę mogły buszować na wolności jakieś krowy, wielebny.

Buck i Harley zajęli miejsca na tylnym siedzeniu, a on usiadł obok Dooleya.

— To nie jest ciężarówka Harleya, przyjacielu, więc nie ma tu sprzęgła. Pamiętaj o tym, żeby lewą nogę...

— Wiem — przerwał mu Dooley.

Gdy skręcili w prawo na Main Street, zobaczyli je na każdej lampie — anioły z mieniących się światełek, trzymające wartę na pokrytych śniegiem ulicach.

— Na Jowisza — zachwycił się Harley — to inny świat!

— Cudowne! — ocenił pastor.

Buick zdawał się żeglować po cudownej krainie, lżejszy niż puch. Włączył radio i wybrał ulubioną stację. „Czy słyszycie? To aniołowie zwiastują Dobrą Nowinę...”.

— Buck, gdzie się zatrzymałeś?

— Zatrzymam się u kolegi z brygady na kilka dni, potem wracam. Emil dał mi duże zlecenie w Teksasie, zaczynam w styczniu.

— A może zatrzymasz się u nas? Harley, czy pozwoliłbyś Buckowi skorzystać z twojej sofy? Cynthia wykorzystuje pokój gościnny jako stanowisko do pakowania prezentów.

— To byłaby prawdziwa przyjemność. Śpię na drugim końcu korytarza, nie wydaje mi się, żebym mógł cię obudzić swoim chrapaniem.

— I zjesz z nami brunch jutro, jeśli miałbyś ochotę.

— Chętnie — przyjął zaproszenie Buck. — Dziękuję. Dooley przyhamował na zakręcie.

— Przejedziemy obok domu mamy, dobrze?

— Pojadę, gdziekolwiek zechcecie — zadeklarował Harley.

— Przejedziemy obok i zatrąbimy — powiedział Dooley — a potem odwiedzimy jeszcze kilka innych domów, zanim pojedziemy do sklepu, dobrze?

Pastor uśmiechnął się.

— Gdziekolwiek zechcesz, przyjacielu, ty prowadzisz.

Dooley skręcił w lewo na rogu, a potem w prawo, wjeżdżając w aleję. Mały domek Pauline, miękko wtulony w kępę drzew laurowych, stanowił radosny obrazek. Świąteczka na choince migotała za frontowymi oknami, a płatki śniegu wirowały jak ćmy wokół lampy na ganku.

Dooley nacisnął klakson, a pastor opuścił szybę w chwili, gdy Pauline, Poo i Jessie pojawili się w drzwiach.

— Patrz, mamó, prowadzę!

— Dooley! Ojczu! Czy możecie wejść na chwilę?

Spojrzała na tylną szybę, ale nie była w stanie nikogo dojrzeć na spowitym mrokiem tylnym siedzeniu.

— Jedziemy z misją do sklepu, ale zobaczymy się jutro. Wesołych Świąt! Trzymajcie się ciepło!

— Wesołych Świąt, mamó, Jessie, Poo! Do zobaczenia jutro!

— Wesołych Świąt! Gotujemy szynkę, którą nam ojciec przysłał. Bądź ostrożny, Dooley!

— Wesołych Świąt, panie Timie!

Sammy i Kenny, pomyślał pastor. Miał nadzieję, że dożyje dnia... Dooley zredukował bieg i ruszył płynnie.

— Grzej ostro! — zawołał Poo.

Przy końcu alei Buck pochylił się do przodu niecierpliwie.

— Ojczu, nie mogę... Chciałbym wrócić i zobaczyć Pauline i dzieci. Czy myśli ojciec, że wypada?

Dooley odezwał się od razu:

— Myślę, że wypada.

— Idź — powiedział pastor.

We wstecznym lusterku zobaczył Bucka, jak biegnie aleją w stronę światła, które sączyło się na śnieg z okien domku w laurowym zagajniku.

— Ostatnim razem, kiedy mieliśmy śnieg na Boże Narodzenie, paliliśmy meble, pamiętasz? — zapytał, gdy Dooley skręcał w Main Street.

Była to, prawdę mówiąc, burza śnieżna, którą media okrzyknęły burzą stulecia.

Dooley zachichotał.

— Łamaliśmy to stare krzesło i wrzucaliśmy je do ognia, i smażyliśmy kielbasę bolońską...

— Tak, to były stare dobre czasy — westchnął pastor, który z pewnością wtedy tak nie myślał.

„Pędząc tak przez śnieg...”

Tracił poczucie czasu, szczęśliwy tutaj, w tej dziwnej i magicznej krainie, gdzie zdawało się, że nikt nie mąci śniegu odciskami stóp, gdzie Dooley śpiewał z radiem, a Harley patrzył na wszystko szerokimi z podziwu oczami niczym dziecko...

A oto Fernbank, rozświetlony światłkami jaśniejącymi poprzez pozbawione liści drzewa, wieńczący wzgórze cudowną obecnością, jakiej nigdy wcześniej nie widział. Zaprzagnął nagle zobaczyć go z bliska, poczuć jego ciepło, sprawdzić, czy jest prawdziwy, czy też jest jedynie czarownym snem, który przyszedł, aby sprawić mu radość na Boże Narodzenie.

— Chcesz przejechać obok domu Jenny? — zapytał. — To po drodze do sklepu.

— Nie — odparł Dooley. — Przejedźmy obok Lace. — Cudownie! Potem możemy podjechać do Fernbank, jak już tam będziemy.

— I obok Tommy'ego! Zzielenieje z zazdrości.

— A ty, Harley, chciałbyś gdzieś pojechać?

— Nie, proszę ojca, byłem już wszędzie, chcę zostać tutaj, z wami.

Szkoda, że nie zabrali ze sobą prezentów — ciast z bakaliami, cukierków, mandarynek! Chciał coś wręczyć, coś podarować, sprawić, żeby rozpromieniła się czyjaś twarz...

„Końskie dzwonki dzwonią, wszystkie serca się radują. Och, co za radość, dziś wieczorem jechać i śpiewać saneczkową pieśń! Hej!...”

Zatrąbili na podjeździe Harperów i złożyli głośne życzenia, a następnie pojechali długą wijącą się drogą do Fernbank, gdzie byłby szczęśliwy, już tylko siedząc w samochodzie i patrząc na jego oświetlone pokoje, ze świecą płonąca w każdym oknie.

Podjechali pod frontowe schody i zatrąbili, a Andrew i Anna podeszli do drzwi, otworzyli je i pomachali im, składając życzenia.

— Nie mówcie o tym Rodneyowi Underwoodowi! — poprosił parę stojącą na ganku.

Andrew roześmiał się.

— Nie piśniemy ani słowa! *Joyeux Noël!*

— *Ciao!* — zawołała Anna. — Odwiedźcie nas znowu!

Kiedy zjeżdżali wolno w dół, ujrzeni miasto leżące u stóp wzgórza jak makieta miasteczka pod choinką. Widać było ogromną jodłę obok ratusza, ze sznurami kolorowych światełek, i migoczącą wstęgę Main Street, i rozświetlone domy.

Angielska pisarka, która przypadkowo nazywała się Mitford, określiła to tak trafnie, że mógł wyrecytować jej słowa z pamięci.

Opisała swoje miasteczko w następujący sposób: „nasz własny świat, zwarty i odizolowany jak... pszczoły w ulu albo owce w zagrodzie, albo siostry w zakonie, albo żeglarze na statku, gdzie znamy każdego i mamy prawo myśleć, że każdy się o nas troszczy”.

— „Wyjdźcie na górę i rozgłoście to wszystkim, w całej okolicy...”.

Po krótkim przystanku u Tommy'ego, a potem w sklepie Hattie Cloer pośpieszyli do domu.

— Harley, masz ochotę na filiżankę herbaty z nami przed nabożeństwem o północy?

— Nie, proszę wielbnego ojca, zmagam się z porcją ciasteczek z nadzieniem toffi, żeby zabrać je ze sobą, jak będę szedł do was jutro.

Pokusa z każdej strony i znikąd ratunku.

— Słuchaj, tato, czy chciałbyś oglądnąć film na wideo przed pójściem do kościoła? Tommy pożyczył mi swój magnetowid. To film o baseballu, na pewno ci się spodoba.

Gdyby istniał podatek od radości w tę noc wszystkich nocy, zostałby bankrutem.

— Załatwione! — zawołał.

Siedział, ściskając pół litra śmietany w torbie, i czuł, że stanęli do wyścigu i zdobyli jakieś drogocenne trofeum lub nagrodę, gdy tak jechali wolno pośród niebiańskich zastępów i skręcili w ich zasypaną białym śniegiem ulicę.

TLR